

Rozdział 1

Waszyngton, DC

Prezydent Stanów Zjednoczonych David Perry szedł po głównym trawniku przed Białym Domem, gdy nagle oślepl. Zachwiał się i przytrzymał ramienia pierwszej damy.

— David? Co się stało?

— Rany boskie. Nic nie widzę.

Płaty prezydenckiego helikoptera Marine One zaczęły się obracać i Marian Perry nie usłyszała go dobrze.

— Słucham?

— Nic nie widzę. Trzymaj mnie za rękę. Poprowadź mnie do schodków. Nie chcę, żeby ktokolwiek zorientował się, że coś mi się stało.

— Davidzie, musimy jechać do szpitala. I to natychmiast!

— Leci z nami doktor Cronin, więc najpierw on mnie zbada.

— Davidzie...

— Marian, spokojnie! Pomyśl, co by się stało, gdybym za chwilę odzyskał wzrok!

— Nie ma dla mnie znaczenia, co by się stało! Mnie zależy przede wszystkim na twoim zdrowiu!

Prezydent mocniej zacisnął dłoń na rękę pierwszej damy i szedł dalej w kierunku helikoptera z nerwową determinacją, a jego żona pilnowała, by nie skręcił na bok.

— Stopnie! — ostrzegła go. Prezydent sięgnął prawą ręką do poręczy. Jak gdyby nigdy nic odwrócił się do zebranych przedstawicieli mediów, pomachał im w geście pozdrowienia i uśmiechnął się szeroko.

— Pomóż mi wejść. Licz za mnie stopnie.

— Jeden, dwa, trzy... Na szczycie po prawej stoi Doug Latterby. Nie wpadnij na niego — poinstruowała cicho pierwsza dama. Wchodzili po stopniach, trzymając się za ręce i uśmiechając.

— Cześć, Doug! — zawołał prezydent, starając się utrzymać wesoły ton. — Jak leci? Dostałeś już te raporty o bezpieczeństwie państwa?

— Właśnie nadeszły, panie prezydencie. Może je pan za chwilę przejrzeć.

— Świetnie.

— Ostatni stopień — ostrzegła pierwsza dama.

Prezydent ponownie odwrócił się i jeszcze raz pomachał do kamer i reporterów. Pierwsza dama poprowadziła go korytarzem Marinę One do prywatnej kabiny.

— Pani Perry? — odezwał się Doug Latterby, idąc za nimi.

— Zawołaj doktora Cronina, natychmiast! Startujcie jak najszybciej! Prosto do szpitala imienia Jerzego Waszyngtona.

— Czy prezydent jest chory?

Prezydent zatrzymał się i odwrócił się do Douga Latterby'ego.

— Nic nie widzę, Doug. Nagle straciłem wzrok.

— Jezus Maria! Kiedy to się stało?

— Parę minut temu. Może to coś chwilowego. Zawołaj doktora Cronina i lećmy już.

Rozdział 2

AMA lot numer 2849, Atlanta — Los Angeles

Tylerowi śniło się, że gra w pokera w zadymionym pokoju w Ho Chi Minh, ale nie potrafił rozpoznać symboli na kartach. Zamiast kara, pika, kiera i trefla karty miały rysunki orchidei, gwiazd, haczyków na ryby i filiżanek do herbaty, a figury przyozdobiono rysunkami zielonych małp.

— Podbijam do dwóch tysięcy — odezwał się stary Wietnamczyk po prawej i zaczął tarmosić go za ramię.

— Co? — Tyler się zdziwił. W ogóle nie rozumiał tej gry i był przestraszony, że straci wszystkie pieniądze. A jak wróci do Stanów, jeśli straci pieniądze?

— Proszę pana! — powtórzył Wietnamczyk i znowu potrząsnął go za ramię.

Tyler otworzył oczy. Stała nad nim rudowłosa stewardesa z niewyraźną miną.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mamy pewien problem.

Tyler zakaszłał, pociągnął nosem i z zakłopotaniem rozplatał skrzyżowane nogi. Miał sześć stóp dwa cale wzrostu

i szerokie barki, i zawsze trudno mu było umościć się wygodnie w klasie turystycznej, szczególnie od czasu, kiedy w jedno z kolan wszczepiono sztuczną rzepkę.

— Jaki problem?

— Czy można pana prosić do kabiny pilotów?

— Cholera, chyba nas nie porwano? — Tyler rozejrzał się dookoła.

Stewardesa dotknęła palcem ust.

— Nie, proszę pana. Ale mimo to proszę, by poszedł pan ze mną do kokpitu.

— Nie ma sprawy.

Tyler rozpiął pasy i ruszył za stewardesą, lekko kulejąc. Większość pasażerów spała albo słuchała muzyki z iPodów. Zaledwie dwóch miało uniesione zasłony i wyglądało w mrok nocy. Góry Sangre de Cristo przesuwały się pod nimi powoli, upiorne, pokryte śniegiem. Niebo usiane było gwiazdami.

Stewardesa wbiła kod dostępu w klawiaturę i Tyler wsunął się za nią do kabiny pilotów. Pilot, drugi pilot i nawigator siedzieli w swoich fotelach, ale oprócz tego w niewielkiej kabinie stało dwóch stewardów i stewardesa, a teraz jeszcze dołączyli ruda stewardesa i on. Po twarzy drugiej stewardesy poznał, że płakała.

— Dziękujemy, że pan przyszedł — odezwał się starszy ze stewardów.

— Nie ma za co — odparł Tyler. Nie nawykł do takich uprzejmości. Miał zaledwie trzydzieści jeden lat, ale i tak wyglądał na dwadzieścia pięć ze swoimi zmierzwionymi blond włosami, jasnoszarymi oczami i lekko kanciastą szczęką, cechami, które odziedziczył po swojej matce Szwed-

dce. Jego była dziewczyna, Nadine, ciągle powtarzała, że nawet gdy miał na sobie elegancki garnitur, i tak wyglądał, jakby brakowało mu deski surfingowej pod pachą.

— Nie będę niczego owijał w bawełnę, proszę pana — ciągnął steward. — Jakies dwadzieścia pięć minut temu kapitan Sherman stracił wzrok, a dziesięć minut później reszta jego załogi.

Tyler gapił się na niego ze zdziwieniem, potem spojrzął na nawigatora, który siedział przed swoimi instrumentami, palcami zasłaniając oczy.

— Stracili wzrok? Cała trójka? Są zupełnie ślepi?

Steward skinął głową.

— Nie wiemy dlaczego. Oni też nie mają pojęcia. Może to jakiś wirus, który dostał się tu przez system wentylacyjny. Trudno powiedzieć.

— Twierdzi pan, że jesteśmy trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią i załoga nic nie widzi?

— To nie jest aż takie straszne, jak może się wydawać — odezwał się kapitan Sherman, odwracając się w fotelu. Miał siwe włosy i mocno opaloną twarz. Z powodu swojej wielkiej głowy przypominał Tylerowi telewizyjnego aktora Gene'a Barry'ego. Wzrok pilota był pozbawiony ostrości, zupełnie jakby mężczyzna wpatrywał się w punkt kilkanaście stóp za jego plecami. — Mamy automatycznego pilota i komputerowy system podejścia do lądowania.

— To pocieszające. Czy kontrola ruchu lotniczego wie już, co się stało?

— Poinformowaliśmy kontrolę ruchu lotniczego w Los Angeles, że mamy sytuację alarmową. Na liście pasażerów szukano kogoś choć trochę znającego się na lataniu i ktoś

na dole wskazał pańskie nazwisko. Dlatego poprosiliśmy pana do nas.

— Cholera jasna, ja jestem tylko kaskaderem. Największy samolot, jaki pilotowałem, to cessna sto siedemdziesiąt dwa i zrobiłem zaledwie parę kółek w powietrzu. Gdzie niby miałem się nauczyć latać tym potworem? Na dodatek są ludzie na pokładzie. A jeśli rozbiję samolot i wszyscy zginą?

— Nie musi pan o nic się martwić, panie Jones. Po prowadzę pana przez wszystkie procedury lądowania. Przy odrobinie szczęścia nie będzie pan musiał niczego dotykać poza kilkoma przełącznikami. Pana babcia potrafiłaby to zrobić, ale jako dodatkowe zabezpieczenie woleliśmy mieć za sterami kogoś, kto ma pojęcie o pilotowaniu.

— Nie wiem nawet, czy moje ubezpieczenie obejmuje takie sytuacje.

— Panie Jones, ubezpieczenie jest teraz najmniejszym z pana problemów. Nikt z pasażerów samolotu nie poda przecież pana do sądu za to, że uratował mu pan życie, a jeśli panu się to nie uda, to i tak chyba nie będzie to miało większego znaczenia, prawda?

Drugi pilot odwrócił głowę w ich stronę. Był pochodzenia chińskiego, miał czarne, lśniące włosy i cienki wąsik. Patrzył w sufit niewidzącymi oczami.

— Może pan to zrobić dla wszystkich pasażerów. Jeśli wyląduje pan bezpiecznie, stanie się pan bohaterem. Niech pan spojrzy. — Mężczyzna sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął fotografię małej dziewczynki w sukience w czerwoną kratkę bujającej się na huśtawce. — Jeśli nie chce pan tego zrobić dla pasażerów ani nawet dla siebie, proszę to zrobić dla tej dziewczynki, która w przeciwnym razie straci ojca.

Tyler spojrział na twarze załogi. Uwielbiał ryzyko — przeskakiwanie na crossowym motocyklu przez pięć samochodów, skoki spadochronowe z balonów na rozgrzane powietrze, podpalanie się i skoki z budynków. Gdy wykonywał swoje kaskaderskie popisy, nie był jednak odpowiedzialny za innych ludzi, a jedynie za siebie. Odpowiedzialności za innych unikał w życiu codziennym. I jeszcze pajaków. Bardzo bał się pajaków.

— Będziemy na bieżąco mówić, co należy robić — oświadczył kapitan Sherman. — Obiecuję, że będzie to dla pana jak spacer po parku.

— Mógł pan użyć innego porównania — odparł Tyler. — Ostatnim razem, gdy spacerowałem po parku, ugryzł mnie w tyłek doberman.

Rozdział 3

Los Angeles

Na autostradzie 101 około półtorej mili na wschód od Encino zepsuła się ciężarówka przewożąca bydło. Droga była zablokowana prawie godzinę, gdy poganiacze uspokajali przestraszone zwierzęta i przepędzali je do drugiej ciężarówki. Przez to wszystko Jasmine była spóźniona już czterdzieści pięć minut.

Nie cierpiała się spóźniać. Ciężko pracowała na dobrą opinię, wszystkie jej dostawy były punktualne albo nawet przyjeżdżały przed czasem. Miała przydomek Ranny Ptaszek, a drzwi jej ciężarówki zdobił namalowany wizerunek wrony wyciągającej z ziemi długiego robaka.

Wcisnęła pedał gazu w podłogę, aż potężny, czerwony ciągnik siodłowy Mack z naczepą towarową osiągnął prędkość sześćdziesięciu mil na godzinę. Zwykle nie słuchała muzyki białych zespołów muzycznych, ale *Bat Out Of Hell* Meat Loafa nie było takie złe i śpiewała razem z nim, pędząc drogą i mijając Sunset Boulevard i Santa Monica Boulevard: *The sirens are screaming and fires are howling... way down in the valley tonight.*

Na naczepie osiemnastokołowej ciężarówki przewoziła trzy pomalowane na jaskrawożółty kolor dieslowskie studwudziestokilowatowe generatory prądu o masie jednej tony każdy. Miała je dostarczyć na plac budowy przy Mateo Street na dziewiątą rano.

Jasmine zawsze traktowała życie jako poważne wyzwanie i czuła, że musi udowodnić swoją wartość i starać się bardziej niż inni, a szczególnie mężczyźni. Gdy miała szesnaście lat, zaczęła trenować koreańską sztukę walki wręcz, by rzucić ojcem w drugi kąć pokoju. Złamała mu nos i lewy nadgarstek, a po wszystkim ojciec już nigdy nie podniósł ręki na matkę.

Od tego czasu, dzięki treningom taekkyeon, czuła się w życiu o wiele pewniej. Miała wyjątkowo egzotyczną urodę, etiopskie rysy, krótkie, zaczesane do góry włosy, złote koła w uszach i usta, które nadawały jej wygląd wiecznie nadąsanej. Piersi miała takie, że jak się jakiś facet na nie zagapił, to mógł wpaść na latarnię. Każdy mężczyzna, który chciał ją poderwać, ryzykował poważne urazy ciała.

— *Like a bat out of heli* — śpiewała falsetem. — *I'll be gone, gone, gone!*

Mimo że był to środek porannego szczytu i panował duży ruch, Jasmine udawało się zmieniać pasy tak, żeby utrzymać swoją tranzytową prędkość. Zbliżając się do rozjazdu East Los Angeles Interchange, wyprzedziła cysternę firmy Amoco i autobus z emerytami. Jechała z prędkością sporo przekraczającą czterdzieści pięć mil na godzinę, gdy skierowała się na zjazd z autostrady przechodzący w most nad rzeką Los Angeles.

— *...and I never see the sudden curve until its way too late...*

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, tuż przed nią, zielony hummer gwałtownie skręcił i uderzył w betonową barierkę. Fragmenty karoserii wyleciały w powietrze, a wóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął przodem do ciężarówki Jasmine. Jasmine wcisnęła hamulec do samej podłogi, ale nie miała najmniejszej szansy na uniknięcie kolizji. Uderzyła czołowo w hummera i wbiła go w betonową dźwiękochłonną ścianę otaczającą zjazd.

Nic nie usłyszała, nawet pisku opon, zobaczyła jedynie fragmenty nieba, mostu, drzew i innych samochodów. Mocowała się z kierownicą, gdy ciężarówkę zaczęło znosić na bok. Mack pchał pozostałości po hummerze jak olbrzymi potwór uciekający ze śmiertelnie ranną ofiarą.

O mój Boże, pomyślała. To pewnie koniec.

Jej ciężarówka odbiła się od betonowej balustrady po prawej stronie, potem uderzyła w lewą balustradę i zepchnęła pokiereszowanego hummera z estakady, robiąc wyrwę w barierze ochronnej z prawej strony. Hummer spadł z wysokości czterdziestu stóp, uderzył o betonowe dno suchego kanału i przeturlał się kilka razy z szeroko otwartymi drzwiami.

Jasmine bała się, że jej ciężarówka też spadnie z estakady, ale na szczęście osiemnastokołowiec zatrzymał się na samej krawędzi wiaduktu. Uderzyła czołem o kierownicę, gniotąc okulary przeciwsłoneczne. Prawie straciła przytomność. Była oszołomiona, ale udało jej się wyprostować i normalnie usiąść w fotelu kierowcy.

Nic mi się nie stało. Nie spadnę, pomyślała. Ale zaraz potem poczuła uderzenie w naczepę i kolejne, i całą serię uderzeń popychających ciągnik siodłowy do przodu, aż koła

jego przedniej osi znalazły się poza krawędzią estakady, ciągnąc cały zestaw do przodu.

Jasmine odzyskała słuch, zupełnie jakby ktoś nagle z powrotem włączył radio. W lusterku bocznym dostrzegła, że zerwało się kilka stalowych lin mocujących generatory i dwa z nich spadły na drogę. Stały się kotwicami zabezpieczającymi ciężarówkę przed stoczeniem się w przepaść.

Uderzenia w tył przyczepy pochodziły od samochodów — osobowych, SUV-ów, autobusów i furgonetek — rozbijających się jeden po drugim. Cały zjazd z autostrady zablokowała sterta pogiętej blachy. Niektórzy kierowcy wydostali się z samochodów, ale wielu utkwiono w pułapkach, drzwi mieli pogięte albo zablokowane przez sąsiednie pojazdy.

— Boże Wszechmogący! — wykrzyknęła Jasmine. — Trzeba zwiewać!

Ciągnik jej zestawu drogowego pochylał się nad przepaścią pod kątem dwudziestu stopni i przez przednią szybę było już widać betonowe dno suchej rzeki i hummera leżącego na dachu. Nic nie wskazywało na to, że komukolwiek udało się z niego wydostać. Ostrożnie otworzyła drzwi i spojrzała w dół, zdając sobie sprawę, że musi wyjść z kabiny i wspiać się z powrotem na estakadę. Miała nadzieję, że pozostałe liny trzymające generatory nagle się nie zerwą.

Słyszała krzyki i nawoływania ludzi, i kolejne uderzenia rozbijających się samochodów.

— No dalej, Jazz — powiedziała. — Dasz radę.

Zsunęła się z siedzenia i stanęła na stopniu kabiny. Nad miejscem wypadku krążyły dwa helikoptery — jeden policyjny, a drugi należący do telewizji KNBC. Spojrzała do

tyłu i zdała sobie sprawę, że w karambolu musiało uczestniczyć ponad dwieście samochodów. Estakada wyglądała jak droga do Basry pod koniec operacji Pustynna burza. Najbardziej przeraził ją widok dymiącego forda explorera w samym środku karambolu, zaledwie trzy czy cztery auta od cysterny z paliwem.

Wspięła się po pochylonym stopniu na tył kabiny. Opuściła się na rękach i rozbujała ciało bokiem, by oprzeć but o krawędź drogi. Odepchnęła się od kabiny, zeskoczyła na drogę i dla równowagi, złapała wystający element olbrzymiego generatora.

Samochody osobowe i SUV-y tworzyły zbitą masę pojazdów i gdy uciekała, musiała skakać po ich maskach i dachach. Kierowcy i pasażerowie siedzieli uwięzieni w środku, niektórzy naciskali klaksony, co jeszcze dodawało grozy sytuacji; inni walili pięściami w szyby, próbując je wybić i jakoś się wydostać. Wielu ludziom udało się opuścić boczne szyby i wyjść na zewnątrz. Jasmine zobaczyła otyłego kierowcę SUV-a, który zdołał przecisnąć się przez okno tylnych drzwi, ale zaklinował się w szczelinie pomiędzy swoim samochodem a maską vana FedExu. Czerwony na twarzy i łkający jak dziecko grubas walił pięściami w osłonę chłodnicy furgonetki, a kierowca vana patrzył na to i nie mógł absolutnie nic zrobić, by mu pomóc.

Jasmine pozostało jeszcze ze sto jardów do autostrady, gdy dym z palącego się explorera nagle zrobił się gęstszy. Odwróciła się akurat w chwili, gdy explorer wybuchł i w powietrze wzbiła się pomarańczowa kula ognia. Eksplozja była silna i ogłuszająca, ale jeszcze gorsze były przytłumione

wrzaski setek ludzi uwięzionych w samochodach, przypominające mysie piski.

Po paru sekundach zapaliło się kombi obok explorera, a chwilę później van bezpośrednio przed SUV-em. Wokoło rozchodził się gęsty, brązowy dym, który sprawiał, że miejsce to wyglądało jak pole walki. Jasmine wdrapała się po pochyłej masce cadillaca STS i wreszcie dotarła do przeciwnej betonowej bariery. Szła po balustradzie, łapiąc się co jakiś czas dachów samochodów dla utrzymania równowagi.

Przez hałas wirników helikopterów usłyszała serię uderzeń i trzasków i cysterna Amoco eksplodowała. Chociaż Jasmine była już po drugiej stronie estakady, a na dodatek osłaniał ją jeep, to i tak poczuła gorący silny podmuch, który niemal zbił ją z nóg.

Eksplodował kolejny zbiornik z paliwem jakiegoś samochodu, a po nim następny i następny... Ludzie uwięzieni wewnątrz krzyczeli coraz głośniejszemu z przerażenia, tworząc piekielny chór jęków i zawodzenia. W ciągu niecałej minuty w ogniu stanęło ponad pięćdziesiąt aut.

Jasmine zobaczyła z daleka sześciu, może siedmiu ludzi, którzy zataczając się i potykając, uciekali od ognia. Byli osmoleni, a na kilku z nich płonęły ubrania. Dwa samochody dalej dostrzegła rodzinę z czwórką dzieci rozpaczliwie walących pięściami od wewnątrz w szyby płonącego voyage-ra. Wszyscy mieli piękne blond włosy. Jasmine odniosła wrażenie, jakby cały album rodzinny wrzucono do ognia.

Była już niemal na początku zjazdu, gdy usłyszała krzyk kobiety:

— Ratujcie moje dziecko! Na miłość boską! Ratujcie moje maleństwo!

Jasmine zasłoniła twarz ręką przed żarem. Dym był już tak gęsty, że z trudem oddychała. W samym środku skłębionych pojazdów jakiejś kobiecie udało się opuścić szybę SUV-a od strony pasażera. W rękach trzymała niemowlę. Obok niej na kierownicy leżał mężczyzna z zakrwawioną głową. Był nieprzytomny lub nie żył.

Dziecko miało czerwoną buzię, zanosiło się płaczem i machało rączkami i nóżkami we wszystkie strony. Kobieta uspokajała je, ale cały czas krzyczała:

— Ratujcie moje dziecko! Niech ktoś uratuje moje dziecko!

Jasmine wdrapała się na maskę taksówki wgniecionej pomiędzy ciężarówkę dostawczą a betonową balustradę. Taksówkarz leżał na boku nieprzytomny lub nieżywy, a pasażerka z tyłu, krzycząc histerycznie, kopała obcasem w szybę.

Jasmine przeczołgała się po masce i przeszła po odkrytej skrzyni ciężarówki. Kolejne pięć, sześć samochodów eksplodowało w odległości jakichś stu jardów, a wyrzucony w powietrze stary chevy pick-up z potwornym łomotem wylądował na ziemi do góry kołami.

Wspięła się na dach niebieskiego vana dostarczającego prasę, stojącego tuż obok SUV-a wołającej o pomoc kobiety, która na wyprostowanych rękach trzymała niemowlę i błagała:

— Ratuj mojego chłopczyka, proszę!

Jasmine wychyliła się z dachu furgonetki i próbowała wziąć dziecko w ręce, ale chłopiec machał rączkami i nóżkami, co tylko utrudniało zadanie.

— Czy może pani unieść go odrobinę wyżej?

— Nie dam rady. Mam zaklinowane nogi.

— Dobrze, to ja spróbuję się trochę bardziej wychylić.
Nastąpił kolejny wybuch, tym razem znacznie bliżej.

— Matko Boska, jak ci biedni ludzie strasznie krzyczą!

Jasmine chwyciła się lewą ręką lusterka bocznego vana i wysunęła się odrobinę dalej. Udało jej się dotknąć koniuszków palców dziecka, które nagle przestało płakać i tylko patrzyło ze zdziwieniem. Chłopczyk wyciągnął jedną rączkę w jej kierunku, w tym samym momencie Jasmine wysunęła się jeszcze dalej poza krawędź dachu vana i złapała za rękaw ubranka malucha.

Przez moment pomyślała, że wysunęła się za daleko, upuści dziecko i sama spadnie, przygniatając je. Krzyknęła i powoli, cal po calu zaczęła się podciągać; dostrzegła, że wsporniki lusterka, którego się trzymała, wyginają się pod jej ciężarem.

— Proszę się nim zaopiekować — błagała matka dziecka.

— Oczywiście. Wszystko będzie w porządku. Służby ratunkowe za chwilę przybędą i wyciągną panią.

Kobieta spojrzała na nią oczami, w których malował się paniczny strach i brak wiary w ratunek.

Gdy Jasmine z niemowlęciem dotarła z powrotem do betonowej balustrady, usłyszała kolejną eksplozję tuż za sobą. Odwróciła się i zobaczyła, że SUV młodej matki stanął w płomieniach, a kobieta uwięziona w środku w agonii szarpała głowę na boki. Mężczyzna obok niej nadal leżał nieruchomo na kierownicy.

— Mój Boże — westchnęła Jasmine. — Jak mogłeś pozwolić, żeby wydarzyło się coś tak okropnego.

Coraz więcej wozów eksplodowało. Gdy Jasmine dotarła

do głównej drogi, dym był tak gęsty, że nie wiedziała dokładnie, dokąd idzie. Słyszała nadjeżdżające wozy strażackie, wycie ich syren i trąbienie potężnych klaksonów, ale zdawała sobie sprawę, że nie istniała najmniejsza szansa, by dotarli do płonących wraków, bo półmilowy odcinek blokowały rozbite auta.

Jasmine szła dalej poboczem autostrady, niosąc płaczące i wierzące się niemowlę.

— No dobrze, już dobrze — uspokajała je, głaszcząc po plecach. — Wszystko będzie dobrze, koleżko. Zobaczysz, wszystko dobrze się skończy.

Wydostali się wreszcie poza zasięg dymu. Jasmine szła dalej w gorącym słońcu poranka i nie obejrzała się ani razu, nawet gdy powietrzem wstrząsały kolejne eksplozje. Przed kolejnym zjazdem z autostrady na Alameda Street niemowlę usnęło wtulone w jej ramiona. Jasmine nie miała najmniejszego pojęcia, o czym takie maleństwo może śnić.

Rozdział 4

Miami, Floryda

— Śniło mi się, że mój szofer zawiózł mnie do Classic Grille. Musiałam koniecznie zjeść hamburgera z mięsa homara i kraba. Otworzył mi drzwi i przestąpiłam próg restauracji napuszona jak supermodelka. Wszyscy się na mnie gapili, a ja szłam z zadartym nosem, okręcając palcami naszyjnik z pereł. I wtedy zaczepił mnie szef sali. „Czy pani czegoś nie zapomniała?”. „Nie sądzę, Luigi. A czego niby miałabym zapomnieć?”, odpowiedziałam. Pochylił się i wyszeptał mi do ucha: „Nie ma pani na sobie ubrania”. Spojrzałam po sobie i faktycznie, miał rację. Jeśli nie liczyć pereł i czarnych pantofli od Prądy, byłam goła jak niemowlę.

Niemalże zakrztusiłam się moim kolorowym drinkiem, a jeśli kiedykolwiek spotkaliście panią Zlotorynski, to wiecie dlaczego. Była sucha jak wiór, miała siedemdziesiąt jeden lat, na twarzy ogromne okulary przeciwsłoneczne od Chanel i nos jak myszołów polujący na pieski preriowe.

— Czy domyśla się pani, co ten sen może znaczyć? — zapytałam.

— Że nie czuję się bezpiecznie?

.Pokręciłem głową.

— Ogarnia mnie strach, iż ludzie dowiedzą się, że urodziłam się w południowym Bronksie, a mój ojciec był zwykłym krawcem szyjącym podszewki do ubrań? — Pani Zee pochyliła się w moją stronę i powiedziała to ochrypłym szeptem, chociaż najbliższy plażowicz był kilka stóp od nas i na dodatek spał, głośno chrapiąc.

Ponownie pokręciłem głową.

— Czyli boję się, że stracę wszystkie pieniądze i wyląduję na bruku?

— Nie, pani Zlotorynski, pani sny nie mają nic wspólnego z pani statusem społecznym ani z pani brakiem pewności siebie, ani z inwestycjami świętej pamięci pani małżonka w zakup akcji Pfizera. Zapotrzebowanie mężczyzn na viagrę nigdy nie zmaleje! Ten sen po prostu oznacza, że ma pani pewien wewnętrzny blask, którym bardzo rzadko pani emanuje. W codziennym życiu, gdy załatwia pani różne sprawy na mieście, rzadko okazuje pani ludziom swoją wrodzoną serdeczność.

— Moją wrodzoną serdeczność?

— Tak. Pani doskonale rozumie ludzi, pani Zee. Potrafi pani odczuwać to, co oni czują. Promieniuje z pani duchowy blask. Ale trzyma go pani w swojej wewnętrznej szkatułce na biżuterię, więc nikt nie ma najmniejszej szansy poznać się na pani dobroci.

Pani Zlotorynski podciągnęła swoje chude nogi i usiadła prosto. Przez okulary przeciwsłoneczne nie można było dostrzec jej oczu, ale postawiłbym dziesięć banknotów z portretem Benjamina Franklina, że oczki te miały świński wyraz samozadowolenia i akceptacji. No, może były jeszcze

bardziej świńskie niż zwykle, bo operacje plastyczne powiek nie zawsze się przecież doskonale udają.

Trąciła mnie w ramię polakierowanym na pomarańczowo paznokciem — raz, drugi, trzeci. Czułem się, jakby wielokrotnie ukłuł mnie wyjątkowo natrętny komar.

— Ni-gdy-się-pan-nie-my-li! — przytaknęła. — Faktycznie mam duchowy blask. A także wewnętrzne ciepło. I piękno. W środku cała lśnię. Ale... jest pan jednym z nielicznych ludzi, którzy potrafili to dostrzec. Oczywiście oprócz Morry'ego, *alev ha sholem**, ale Morry tak rzadko bywał w domu, że jak mógł to docenić?

Poprawiłem się w krześle, próbując wydostać się z zasięgu jej paznokci.

— Widziałem pani kierowcę. Jak on tam się zowie? Emigdlío. Gdy tylko się pani odwróci, robi takie miny, że aż wstyd. Nie uważa pani? I to wyłącznie dlatego, że poprosiła go pani, by odwiózł pani przyjaciół do ich domu na Key West o drugiej trzydzieści nad ranem! Przecież to raptem trzysta dwadzieścia osiem mil tam i z powrotem! A ta Rosita? Ta niby pani służąca. Gdy kazała jej pani podgrzać patyczek z wacikiem, to co zrobiła? Powiedziała, że nie jest weterynarzem, tupnęła nogą i zrobiła obrażoną minę. Czy ci ludzie nie rozumieją, jak pani ceni ich pracę? Chyba nie. Ale dlatego właśnie zawsze pozostaną „małymi ludzikami”, prawda? Tak ich pani przecież nazywa? Oni nie zasługują na nic dobrego!

— Święta racja! — przyznała pani Zlotorynski. Otworzyła torebkę z pomarańczowego zamszu i wyciągnęła z niej

* *Alev ha sholem* (hebr.) — Niech spoczywa w pokoju.

lusterko, żeby poprawić słomkowy kapelusz od Marilyn Hikida z przybraniem z pomarańczowych piórek pasujących do równie pomarańczowej szminki. — Bo oni są takimi małymi ludzikami, niech Bóg ma ich w swojej opiece. Bóg stale musi się takimi opiekować, prawda? Oni sami nie radzą sobie na tym świecie!

Podniosłem szklanę z drinkiem w ramach toastu. Moi kochani, cudownie się tu bawiłem. Mój stary kumpel od pokera Marco Hernandez wyjechał na trzymiesięczne tournée po Europie z Joe Morales Mariachi Orchestra i poprosił mnie, bym zaopiekował się jego domem w Coral Gables. Chyba niezły pomysł, co? Gdy wyjeżdżałem z Nowego Jorku, wilgotność wynosiła tam dziewięćdziesiąt trzy procent. Ulice śmierdziały potem niczym pachą rzeźnika, a gdy wychodziłem z taksówki na lotnisku La Guardia, zerwała mi się rączka od walizki. A teraz? Proszę — siedzę sobie na plaży przed pięciogwiazdkowym hotelem Delano i pozwalam promieniom słońca łechtąć podeszwy moich chodaków Crocs, a błękitny Atlantyk zapewnia mnie przy okazji każdej rozbijającej się leniwie fali, że wreszcie mogę uszczknąć dla siebie odrobinę tej pogody dla bogaczy.

Marco jest moim prawdziwym przyjacielem. Przed wylotem do Berlina przedstawił mnie Eduardo, który jest konsjerżem w Casa Esplendido i najprzystojniejszym Kubańczykiem w Miami. Eduardo nosi profesjonalnie przystrzyżony wąsik i gdy przechodzi, powietrze błyszczy wokół jego sylwetki. Za skromny procent zgodził się rozdystrybuować moje wizytówki we wszystkich luksusowych hotelach w South Beach. Harry Erskine, wróżbita i objaśniacz

snów — a szczególnie snów bogatych wdów, które stęsknione były za pochlebstwami i uwodzającymi konwersacjami.

Można być cynicznym, ile się tylko chce, ale te siedemdziesięcioletnie stokrotki z paznokciami jak szpony sępów, pomarszczonymi szycjami i oczami pustymi jak tunele aerodynamiczne po prostu rozpływały się z zachwytu nad sobą, gdy wmawiałem im, jakie są cudowne. A kiedy obiecywałem każdej z nich, że w najbliższej przyszłości spotka przystojnego młodego ogiera z pięknie wyrzeźbioną muskulaturą i wypchanymi gatkami Calvina Kleina, ich wdzięczność nie miała granic.

No dobrze, może i byłem przy takich okazjach mniej więcej takim jasnowidzem, jak dostawca soczystych fantazji, ale przecież mówiłem tym starym babsztylom dokładnie to, co chciały usłyszeć, a moje honorarium było godne pozazdroszczenia — sto siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, a czasami nawet więcej. A skoro to ja odwiedzałem moje wspaniałe klientki i one nie musiały się nigdzie fatygować, to przy okazji zwiedziłem każdy elegancki hotel przy Collins Avenue, przynoszono mi pod nos lunch i drinki. A dziś pani Zlotorynski zabrała mnie do Blue Door Brasserie na najlepszą pieczoną kaczkę w bananach. Zamówiłem ją jako niemalże ironiczny komentarz do naszych osób. W swoim ciemnobrązowym kostiumie kąpielowym od Żary pani Zlotorynski sama wyglądała jak pieczona kaczka, a ja czułem się jak głupi banan tylko dlatego, że siedziałem od dwudziestu lat w Nowym Jorku, zamiast już dawno temu przeprowadzić się do Miami.

— Więc co mam zrobić? — spytała pani Zlotorynski. — Jak sprawić, żeby ci ludzie docenili moją dobroć?

Spojrzałem na zegarek. O piętnastej trzydzieści miałem być w hotelu Biltmore, by postawić tarota kotu birmańskiemu pani Kaplan-Capaldi. Tak, to ta pani Kaplan-Capaldi, której trzeci mąż był właścicielem połowy miasta Hialeah na Florydzie.

Ująłem pergaminową dłoń pani Zlotorynski i podziwiałem swoje podwójne odbicie w jej przeciwsłonecznych okularach. Z tą opalenizną i rozjaśnionymi od słońca włosami wyglądałem znacznie młodziej. W Nowym Jorku robiły mi się worki pod oczami, a skóra nabierała koloru azbestu, jakby moja dieta opierała się tylko na hot dogach i guinnessie, a ja sam jakbym nigdy nie opuszczał mieszkania, co nie było aż tak odległe od prawdy.

— Emigdllo i Rosita to bez wątpienia małe ludziki. Więc co im może pani od siebie dać?

— Sama nie wiem, Harry. A co tacy ludzie mogą chcieć?

— To jest właśnie to! Może oni są ludzikami, ale pani... pani należy do wspaniałych ludzi, więc trzeba dać im więcej, niż oczekują! Wówczas nie będą mogli się nadziwić pani szczodrości! Ani pani troski! Bo pani przecież martwi się o takich ludzi, prawda?

— A jakżeby inaczej? Oczywiście, że się troszczę! Aż nadto troszczę się o nich!

— W takim razie co pani zrobi, żeby okazać im swoją troskę? Niech pani da Emigdllo odrobinę wolnego, żeby spędził trochę czasu z rodziną. Ale nie tylko jeden dzień. Ani nawet dwa dni. Niech pani da mu długi wolny weekend i wypłaci premię, żeby zabrał dzieciaki do Ogrodu Papug albo salonu gier i restauracji Chuck E. Cheese, albo gdziekolwiek te ludziki będą chciały się zabawić. A co dla Rosity?

Niech jej też pani da premię i coś ze swoich starych ubrań? A co? Przynajmniej będzie miała pani pretekst, żeby kupić sobie coś nowego. — Jakbyś w ogóle potrzebowała do tego jakiegoś pretekstu, dodał w duchu Harry.

Przez sekundę wszystkie ścięła dłoni pani Zlotorynski napięły się jak struny pianina. Szczodroblliwość nie leżała w jej charakterze, a sama myśl o daniu czegokolwiek komukolwiek wywołała u niej skurcz mięśni.

W tym momencie uśmiechnąłem się do niej tak szeroko, jak tylko potrafił to Liberace, i powiedziałem:

— Niech pani pomyśli, jak rozniesie się informacja o pani dobroci. Emigdlino opowie innym szoferom o pani dobrym sercu, a Rosita wszystkim służącym o tym, jaką jest szczęście ciarą, bo pracuje u pani; i zanim się pani spostrzeże, zyska pani reputację cieplej, naprawdę ludzkiej osoby i uznanie społeczeństwa.

Pani Zlotorynski powoli skinęła głową, po czym zaczęła kiwać z większym naciskiem, jak dziobiący ptak.

— Masz rację, Harry! O to właśnie chodziło w moim śnie! Ty pierwszy zobaczyłeś, jaka jestem naprawdę, a teraz nadszedł czas, żeby reszta świata się o tym dowiedziała!

Pocałowałem ją w rękę. Na palcach miała tyle pierścionków ze szmaragdami, że o mało nie wybiłem sobie jedynek. Głośno wysiorbałem ostatnie krople mojego drinka Nagayama Sunset i chętnie wypiłbym kolejnego, szczególnie że były po osiemnaście dolców porcja i klientka płaciła rachunek.

— Naprawdę muszę już lecieć, pani Zee. Jak zwykle spotkanie z panią było dla mnie samą radością.

Czekałem, czekałem, aż musiałem powtórzyć:

— Jak zwykle, spotkanie z panią było wielką radością.
— Och, co za zapominalska ze mnie! — wykrzyknęła i wzięła do ręki torebkę. Wyciągnęła kopertę z nadrukiem hotelu Delano, odpowiednio grubą i sprężystą. — Nie wiem, jak ja mogłam dawać sobie radę w życiu bez ciebie, Harry.

Koperta zniknęła w kieszeni mojej niebiesko-żółtej hawajskiej koszuli, jakby nigdy nie istniała. Pewien iluzjonista nauczył mnie tego, gdy pracowałem kiedyś za barem na Manhattanie.

— To działa w obie strony, pani Zee. A co ja zrobiłbym bez pani?

Wstałem i już miałem wyjść, gdy pani Zlotorynski złapała za nogawkę moich lnianych spodni.

— Czy zna pan już datę randki?

— Datę randki?

Jezu, chyba nie chce, żebym się z nią umówił? — pomyślałem.

— Nie chcę być nachalna, ale powiedział pan, że to może nastąpić bardzo szybko, a ja umieram z pragnienia, żeby wpisać już tę datę do mojego kalendarza. No wie pan, tę datę, kiedy nowe szczęście pojawi się w moim życiu.

Odetchnąłem ze śmiechem.

— Ależ oczywiście! Cha, cha! Pani nowe szczęście! Postawiłem wczoraj wieczorem tarota i karty mówią, że to jednak będzie w marcu, ale kiedy dokładnie, nie chciały podać. Marzec, i koniec.

— Nie mogę się wprost doczekać.

— Niech pani tak bardzo się tym nie przejmuje. — Szczególnie że w marcu będę już dawno z powrotem w Nowym

Jorku i nie będę przejmował się moimi zmyślonymi prognozami, dodałem w myślach.

Zacząłem iść po miękkim, gorącym piasku, gdy pani Zlotorynski nagle zaskrzeczała przeraźliwie:

— Harry! Nie zapomniał pan o czymś?

Poklepałem się po kieszeni koszuli. Czy zapomniałem o czymś? Raczej nie. Miałem komórkę, okulary przeciwsłoneczne, kupon na loterię Mega Money i moje pięćset dwadzieścia pięć dolarów o dużych nominałach — wszystko na swoim miejscu.

— Moje mistyczne motto! Zapomniał pan o moim magicznym motcie!

— Ach, pani magiczne motto! Jak mogłem?! Specjalnie przecież je sprawdziłem, stawiając tarota!

— No i?

Podszedłem do niej z powrotem.

— To jest bardzo magiczne mistyczne motto, pani Zee. Bardziej mistyczne od innych, jakie znam. „Wolność jest największym luksusem na świecie. Nieważne, ile kawioru nałożysz na pieczonego ziemniaka, i tak nie odleci on jak mewa”.

— Och, Harry! To takie głębokie! I takie prawdziwe!

— Nie zapomni pani o nim, gdy będzie pani w swój naturalny sposób serdeczna?

— Oczywiście, że nie. Jakże bym mogła? „Nieważne, ile kawioru nałożysz na mewę, i tak nie stanie się ona pieczonym ziemniakiem”.

— Prawie doskonale. I tak powinno być.

Rozdział 5

Przebijałem się przez wiszące w holu hotelu Delano białe, wydymające się ozdobne zasłony, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy.

— Harry?

— Chwila, zaplątałem się w jakieś ozdobne muśliny.

— Harry, tu Amelia.

— Amelia?! — Moje serce niemalże przestało bić z wrażenia. — Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

— Nie wiem, gdzie jesteś. Dzwoniłam pod twój domowy numer, ale nie odbierałeś.

— Jestem w Miami. Pamiętasz Marco Hernandeza, którego przeżywałem Chrupek? Wyjechał na muzyczne tournée, a ja pilnuję jego domu.

Amelia... Nie do wiary. Amelia Carlsson z domu Crusoe. Mogła być miłością mojego życia, gdyby wszystko inaczej się ułożyło. Była szczupłą, elegancką, miała kręcone włosy i urzekające rysy twarzy. Podobała się mężczyznom, którzy lubią wysokie kości policzkowe, odznaczające się łopatki i zamglony wzrok. Zawsze czuliśmy do siebie miętę, ale



problem tkwił w tym, że nie udało nam się dokładnie zgrać w czasie. Gdy ona zerwała z brodatym zrzęda MacArthurem, ja byłem w szczęśliwym związku małżeńskim z Karen i właśnie urodziła się Lucy; a gdy ja odszedłem od Karen, ona była żoną Bertila, prostolinijnego Szweda, który myślał, że serial *Przyjaciele* jest kolejnym telewizyjnym reality show.

Nie widziałem się z Amelią od dwóch lat po okropnych wydarzeniach, o których obydwójce chcieliśmy zapomnieć. Ale to nie te koszmarnie wydarzenia powstrzymywały nas od spotkania. Bertil nie znosił mnie głównie dlatego, że miał poczucie humoru marynowanego śledzia, a oprócz tego okazał się zazdrosny o przeszłość i nie był wcale taki prostolinijny i śledziowaty, gdy chodziło o domyślenie się, że ja i Amelia niezwykle na siebie oddziałujemy. Te nasze spojrzenia, uśmiechy, ocieranie się podczas mijania w przedpokoju.

— Harry, stało się coś okropnego i nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym się z tym zwrócić. — Jej głos brzmiał tak, jakby zaraz miała zalać się łzami.

— Coś okropnego? Co takiego? — Udało mi się wyplątać z zasłon i zwałem się w przepaść obitego zieloną skórą fotela.

— Chodzi o moją siostrę Lizzie. Oślepła. Cała jej rodzina straciła wzrok.

— Cooo? Powiedziałaś: oślepła?

— Całkowicie. Lizzie i Kevin, i ich dzieci też.

— To okropne! Jak do tego doszło?

— Lizzie nie ma najmniejszego pojęcia. W weekend wybrali się na wycieczkę rowerową do Parku Krajobrazowego Hell's Canyon w Oregonie. Byli w połowie podjazdu

na szczyt wzniesienia, gdy mały David zaczął jechać zyg-zakiem i po prostu spadł z roweru. Po nim Shauna. Obydwoje krzyczeli, że nic nie widzą. Lizzie i Kevin rzucili się do nich, ale zanim zdążyli je wziąć w ramiona, sami stracili wzrok. Nawet nie próbowali się ruszać, bo byli zbyt blisko krawędzi kanionu i pięciusetstopowej przepaści. Mieli szczęście, że właśnie przejeżdżał tamtędy strażnik przyrody, bo w przeciwnym razie czekali tam na pomoc kilka godzin, a nawet kilka dni.

— I całkowicie oślepli? W jednej chwili? I Lizzie nie ma żadnego pojęcia, jak to się mogło stać?

— Żadnego. I lekarze też nie znajdują żadnego wytłumaczenia. Ale wydarzyło się coś dziwnego i dlatego próbowałam się z tobą skontaktować.

— Coś dziwnego? Jak bardzo dziwnego? Nie podoba mi się to wszystko.

— Harry, naprawdę chciałabym, żebyś pojechał ze mną w jedno miejsce, proszę cię.

— O jakie miejsce ci chodzi?

— Instytut Okulistyki Caseya w Portlandzie. Musimy tam polecieć jak najszybciej.

— Powiedziałaś: Portland? Portland w Oregonie? To prawie tak daleko na zachodzie jak Japonia!

— United ma lot do Portlandu z Miami, a Continental z Newark i obydwie loty mają przesiadkę w Denver. Samoloty lądują w odstępie godziny. Moglibyśmy się tam spotkać. — Zamilkła i po chwili dodała: — Ja zapłacę za bilety.

— A co z Bertilem? Nie może z tobą polecieć?

— Bertil jest w Genewie na bardzo ważnej konferencji. Wróci dopiero za cztery dni.

— Ale przecież nie będzie zadowolony, jeśli ja tam z tobą polecę, prawda? A co z tym waszym przyjacielem pedziem, jak mu tam, Blakiem Thingym Trzecim? Albo ta kobieta, którą poznałaś, gdy uczyłaś w szkole, ta z tymi wystającymi zębami? Przecież masz milion przyjaciół, do których możesz zadzwonić.

— Harry, to musisz być ty!

Między zastonami przemknęła się do mnie bardzo ładna i młoda kelnerka w białym kostiumie z połączanymi guzikami i zapytała, czy nie chcę czegoś z baru.

— Poproszę Nagayama Sunset. Tylko nie przesadźcie z nagayama. Aha, i proszę to zapisać na rachunek pani Zlotorynski z pokoju siedemset piętnaście, dobrze? Dzięki.

— Trudno mi cię o to prosić, Harry. Ale nikt inny nic z tego wszystkiego nie zrozumie — usłyszałem Amelię.

— Czego dokładnie nie zrozumie?

— Rozmawiałam z Lizzie przez telefon. Jest kompletnie zaskoczona tym wszystkim. Ciągłe powtarza jakieś rzeczy, które nie mają najmniejszego sensu. Zapytałam, czy czuła jakiś ból, ale ona wciąż powtarzała: „My tylko rozprze strzeniliśmy chorobę, prawda?”. A gdy próbowałam się dowiedzieć, o jakiej chorobie mówi, nie umiała mi nic powiedzieć.

— I co dalej?

— Dziś rano powiedziała przez telefon: „Zasłużyliśmy sobie na to, prawda?”. „Oczywiście, że nie”. Zapewniłam ją, że lekarze wkrótce dojdą do tego, co spowodowało ślepotę, a ona i jej rodzina odzyskają wzrok. Ale Lizzie na to: «Nie, my na to zasłużyliśmy, i nie tylko ja i Kevin, i dzieciaki, ale my wszyscy. Wszyscy oślepnjemy i umrzemy. Wszyscy».

— Ona jest jeszcze w szoku. Ludzie w szoku mówią najdziwniejsze głupoty. Kiedyś potrącił mnie autobus na Broadwayu i przez kilka godzin po wydarzeniu wypytywałem napotykanych ludzi, jak dojechać do Sarge's Deli. A po co niby chciałem iść do Sarge's Deli? Ich bliny nigdy nie są odpowiednio ciepłe i do tego mają najmniej sympatyczną obsługę na świecie.

— Ja też myślałam, że to tylko szok. Kazałam jej odoczywać. Obiecałam, że zadbam o to, by otrzymała najlepszą opiekę i właściwe leczenie. A ona: „Lekarze nie wyleczą tej ślepoty, Amelio. To nie jest choroba. To lekarstwo”.

— Lekarstwo? Jakie lekarstwo?

To wszystko zaczęło mnie intrygować. W odróżnieniu ode mnie Amelia była prawdziwym jasnowidzem i medium i nieraz dyskutowała z duchami zmarłych o przepisach na dania z makaronem. Potrafiła każdemu powiedzieć, z jakim typem człowieka zawrze związek małżeński i na jakiego śmierzącego kloszarda wpadnie jutro, jak tylko przejdzie się Lexington Avenue. Znała się też na wszystkich roślinach, ziołach, lustrach i kryształowych kulach, po kształcie zdartych obcasów potrafiła powiedzieć, że delikwent umrze, dławiąc się ością. Wiedziała nawet, jakiej ryby będzie to ość.

— Pytałam ją o to — odparła Amelia. — Jednak nie udzieliła mi bezpośredniej odpowiedzi. Powiedziała tylko: „Widzieliśmy ich, zanim straciliśmy wzrok. Stali na poboczu drogi”. Zapytałam: „Kto stał na poboczu?”. — Lizzie za wahala się przez moment i powiedziała: „Ten, Który Odszedł I Powrócił. Miał z sobą dwa lustra”.

Poczułem swędzenie skóry na głowie, jakbym miał świerzb.

— Ten Który Odszedł I Powrócił? Jesteś tego pewna?

— Harry, ona powtórzyła to dwa razy.

— I co zrobiłaś?

— A jak myślisz? Poprosiłam ją, żeby mi go opisała.

I zapytałam, czy wie, kto to był.

— I co?

— Powiedziała jakieś słowo, którego nie rozumiałam. Ciągle je powtarzała. To słowo brzmiało jak „fatum”, ale jakby trochę inaczej.

— I to wszystko? Fatum?

— Odłożyła słuchawkę, a gdy zadzwoniłam później, pielęgniarka powiedziała, że Lizzie jest zbyt zmęczona, żeby ze mną rozmawiać. Więc wróżyłam z paciorków.

— Z paciorków? Nigdy nie widziałem ciebie wróżącej z paciorków.

— Wróżenie z dymu byłoby lepsze, ale byłam w pracy. Te paciorki to korale nieszczęścia Nawahów. Są podobne do tybetańskich koralu *tala*, tylko nie bardzo przejmują się tym, jak udadzą się plony ryżu na wysokości dwudziestu tysięcy stóp nad poziomem morza. Bardziej przejmują się tym, kim są twoi wrogowie i kto cię zaatakuje, gdy się tego najmniej spodziewasz.

Kelnerka przyniosła mojego drinka i podpisałem rachunek, dołączyłem dwa pięćdziesiąt napiwku. Upiłem łyk lodowatej *cachacy*.

— Okay, i co ci te paciorki wywróżyły?

— Że nadchodzi wielki mrok. Czarny płaszcz powoli zakryje niebo. A ci, którzy stracili wzrok, nie będą już panami świata.

— I co dalej?

— Korale powiedziały, że potężny superczłowiek za mienił powietrze, wodę i ogień w ciało i że podróżuje po ziemi przodków, tak jak oni podróżowali w dawnych czasach.

Nic nie odpowiedziałem. Przynajmniej nie od razu.

— Harry? Słuchasz mnie?

— Tak, tak. Słucham. Czy te korale są coś warte? Tak ogólnie? To znaczy... ściemniają, tylko trochę ściemniają, całkiem prawdopodobnie odpowiadają na zadane pytania czy walą prawdę prosto z mostu?

— Nigdy mnie nie oszukały. Przewidziały jedenasty wrzesień prawie co do minuty.

— W porządku. No to lepiej, żebym zarezerwował bilet na samolot.



Odłożyłem słuchawkę. Ten, Który Odszedł I Powrócił. Nie słyszałem tego imienia od dłuższego czasu i miałem nadzieję, że już nigdy nie usłyszę. To było jedno z wielu imion przerażającego szamana plemienia Wampanoagów — Misquamacusa. Perspektywa kolejnego wskrzeszenia Misquamacusa napawała grozą.

Misquamacus urodził się prawie czterysta lat temu. Legendy indiańskie wspominają, że gdy był jeszcze bardzo młodym adeptem szamaństwa i uczył go mający złą sławę szaman Machitehew, samodzielnie odkrył, w jaki sposób kontaktować się duchowo z Wielkimi Starzymi. Byli to bogowie, którzy rządili Ameryką Północną w tak zwanym Pustym Czasie — gdy nie istniały jeszcze dni ani noce. Zostali oni

wygnani przez Wielkiego Ducha, Gitche Manitou, do najdalszych zakątków czasu i przestrzeni.

Uważano, że Misquamacus uzyskał od Wielkich Starych moc przywoływania burzy krzykiem w stronę nieba. Potrafił położyć setki sosen w ciągu jednego dnia albo przyciągnąć całe stada jeleni samymi zaklęciami i uderzaniem szamańską włócznią. Opowiadano też, że potrafił ukazywać się w wielu miejscach jednocześnie — czasem oddalonych od siebie nawet o tysiące mil.

W siedemnastym wieku walczył o wiele bardziej zaciekle przeciwko angielskim kolonistom niż jakikolwiek inny Indianin, ale w końcu plemię Wampanwagów zostało wyrugowane podstępem ze swojej ziemi, a jego członkowie zamienieni w niewolników, i nawet Ten Który Przynosi Cierpienie Wiecznej Ciemności został zmuszony do poddania się i zaprzestania walki. Wiosną 1655 roku uroczyście zaprzysiął, że wyrzuci z ziemi przodków wszystkich kolonistów — jeśli nie za życia, to w przyszłości — i wstąpił na „drogę ognia”, czyli wlał w siebie płonący olej i spalił się żywcem.

Po tym czynie mógł się ponownie narodzić w ciele jakiegokolwiek, niczego niepodejrzewającej kobiety, która znajdowałaby się w pobliżu miejsca, gdzie złożył siebie w ofierze, w przeszłości lub przyszłości, cokolwiek by wybrał. Ja zostałem wmieszany w tę historię, gdy Misquamacus zaczął rosnąć w ciele młodej kobiety z Manhatanu, Karen Tandy, która miała okropne koszmary senne. Jej matka przyprowadziła ją do jedynej jasnovidza, j akiego znała, czyli mnie, i błagała o pomoc. A ja zadzwoniłem do Amelii. Sam miałem niezłą nawijkę o magicznych spra-

wach i potrafiłem tasować karty tarota szybciej niż Dzik Bili Hickok zwykle, ale Amelia nie była podróbką jasnowidza jak ja.

Z niechętną pomocą szamana Siuksów zwanego Śpiewającą Skałą, wykorzystując najnowsze technologie, udało nam się wysłać Misquamacusa z powrotem do świata duchów. Odkryliśmy wtedy, że wszystko ma ducha — swojego manitou. Nie tylko drzewo, skała lub ptak, ale też laptop, blackberry i konsola do gier Wii. I jeszcze okazało się, że wszystkie współczesne manitou mają o wiele więcej mocy niż manitou z dawnych czasów.

Jednak Misquamacus ciągle chciał powrócić do świata żywych i za każdym razem siał śmierć i zniszczenie na coraz to większą skalę. Zemścił się na Śpiewającej Skale i zabił go. A jeśli mieszkaliście na Manhattanie w tamtym czasie, to pamiętacie „sejsmiczne wydarzenia”, które pochłonęły tak wiele budynków. Pamiętacie też zapewne „chorobę krwi”, która spowodowała zakażenia i śmierć tylu nowojorczyków latem 2002 roku. Pod tymi dwoma określeniami kryją się niszczące działania Misquamacusa.

Pięć lat temu znalazłem zdjęcie Misquamacusa w Internecie na jakiejś mało znanej witrynie poświęconej Keillerowi Webbowi, dziewiętnastowiecznemu fotografowi dokumentującemu Dzikie Zachód. Misquamacus stał na drugim planie dagerotypu w Pyramid Lake w Nevadzie. Zdjęcie zrobiono 18 sierpnia 1865 roku. Na głowie miał czarny cylinder i patrzył na mnie wściekłym wzrokiem, jakby już wtedy wiedział, że pewnego dnia będę je oglądał.

Miał kamienną twarz, policzki oznaczone magicznymi stygmatami i błyszczące oczy.



Jakieś niecałe osiem miesięcy później znalazłem kolejne zdjęcie, ale to zostało zrobione poprzedniego dnia — 17 sierpnia 1865 roku w rezerwacie Indian Hassanamisco koło Grafton w Massachusetts. Grupa Indian z plemienia Nipmuc pozuje na nim w swoich najlepszych strojach, by uświetnić spotkanie rady plemienia. Na drugim planie, po lewej stronie, stał Misquamacus. Nie można go było z nikim innym pomylić, mimo że odległość pomiędzy Pyramid Lake a Grafton wynosi ponad dwa tysiące czterysta mil.

Jego twarz była lekko niewyraźna, bo pewnie poruszył się podczas ekspozycji, ale na głowie miał ten sam czarny cylinder, a na szyi ten sam srebrny medalion ze splecionymi węzami, który widziała Shauna. Od Śpiewającej Skały dowiedziałem się, że wcale nie były to węże, lecz macki wyrastające z twarzy najpotężniejszego z Wielkich Starych.

To był symbol mistycznego związku Misquamacusa z okresem, kiedy nie istniał czas, z niewyobrażalnymi odległościami pokonywanymi w ciągu sekund i z istotami, które mogły przewrócić wszechświat do góry nogami i chodzić pod ziemią w nieskończonej ciemności.

Rozdział 6

Lasy państwowe hrabstwa Modoc, północna Kalifornia

Błyskawica przecięła niebo nad chmurami. Stary samochód kempingowy Winnebago Vista trzeszcząc, wspinał się po kamienistej leśnej drodze prowadzącej nad rzekę. Gdy wjechał na pole biwakowe i zatrzymał się, powietrze rozdarł grzmot tak silny, że zadrżały wszystkie talerze i kubki w szafkach.

— Wygląda na to, że Wielki Bóg Pstrągów nie jest zbytnio zadowolony z naszego przyjazdu — odezwał się Charlie, gdy pierwsze krople deszczu zaczęły stukać o przednią szybę kampera.

— Wręcz odwrotnie, stary — odparł Mickey, zacierając ręce z entuzjazmem. — Taka pogoda jest doskonała na pstrąga. Zmoczone muchy wpadają do rzeki, a pstrągi podpływają do powierzchni na żer.

Niebo przecięła kolejna błyskawica.

— Masz zamiar łowić w taką pogodę? — zapytał Remo.

— Oczywiście. Stanę po kolana w wodzie w samym środku burzy, trzymając wyciągniętą do góry wędkę z włókna

węglowego. Myślicie, że to igranie ze śmiercią? Przyczepię do żyłki kilka much poxyback i poczekam na wyniki.

— A ja strzelę sobie jeszcze jedno piwko i popatrzę, jak łowisz. A ty, Charlie?

— Absolutnie. Nic nie może wygrać z dobrze schłodzonym piwkiem i patrzeniem, jak ktoś łowi na muchę. To rozrywka na najwyższym światowym poziomie.

Z ciasnej toalety wyczłapała Cayley.

— Nienawidzę przyrody — marudziła. — Przyroda jest totalnie do bani. Nie wiem, po co tu w ogóle przyjechałam.

— Przyjechałaś, żeby mieć na mnie oko — przypomniał jej Remo. — W swojej wyobraźni widziałaś mnie i chłopa paków zabawiających się z półtuzinem nagich laseczek.

— Prawdę mówiąc, to taki dokładnie mieliśmy zamiar — wyjaśnił Charlie. — Ale jak się dowiedzieliśmy, że jedziesz z nami, musieliśmy zadzwonić do agencji Gołe Laski i odwołać imprezkę.

Cayley należała do tych kobiet, które miały na stałe przyczepiony do twarzy wyraz zdziwienia, tak jakby wszystko, co działo się wokół niej, absolutnie ją zaskakiwało. Krótko ścięte blond włosy ułożyła za pomocą żelu do góry, rzęsy pogrubiała mascarą, a jej usta świeciły się od różowego błyszczyka. Często obficie spryskiwała się wodą toaletową J-Lo. Na sobie miała białe bolerko, bardzo krótkie szorty safari oraz klapki na niskim obcasie stukające o piętę. Patrzyła na przemoczony krajobraz za szybą, jakby ktoś ją osobiście obraził.

— Wzięłaś pelerynę? — zapytał Mickey, choć mógł domyślać się odpowiedzi. Mickey był chudy, blady, poważny i często mrugał. Okulary w grubej oprawce opierały się na

wielkim nosie w kształcie fasoli, a Mickey zawsze wyglądał, jakby sam podstrzygał sobie włosy przed lustrem w łazience. Chciał zostać zoologiem, ale sklep ze zwierzętami domowymi prowadzony przez jego ojca zbankrutował w 2001 i nigdy nie udało mu się zebrać pieniędzy na studia.

Charlie był pulchny. Jego twarz okalały kręcone ciemno-kasztanowe włosy, a policzki zabarwiały mu się na czerwono, gdy pił za dużo piwa. Uwielbiał żartować i wygłupiać się, mimo że gdy miał zaledwie sześć lat, stracił rodziców w okropnym wypadku samochodowym na autostradzie 1-580. Wychowali go dziadkowie w domu przepęłnionym nieukojonym bólem, więc teraz odrabiał wesołością całe smutne dzieciństwo. Charlie miał astmę i nosił koszulki w rozmiarze XXL z psychodelicznymi wzorami, ale kumple tolerowali jego chrapliwy oddech i krzykliwe T-shirty, bo w sytuacjach konfliktowych z obcymi zawsze pierwszy rwał się do biatyki, które często im się przytrafiały.

Remo był pół-Włochem o niebieskich oczach, czarnej kilkudniowej szczecinie na brodzie i mocno owłosionych nadgarstkach. Pochodził z licznej, hałaśliwej rodziny; miał pięciu braci, dwie siostry i niezliczone ciotki i wujów. Za każdym razem, gdy oni wszyscy spotykali się z okazji urodzin albo zjazdów rodzinnych, to uroczystość bardzo szybko zaczynała przypominać bitwę pod Anzio. Remo mówił o sobie, że jest młodszą i przystojniejszą wersją Nicolasa Cage'a i że mógłby zrobić karierę w filmie. Jednak podobnie jak Mickey i Charlie skończył jako telemarketer w firmie Tiger Electronics w Palo Alto, która sprzedawała oprogramowanie, laptopy i kartridże do drukarek atramentowych.

Nazywali się żartobliwie Cesarzami IT. Pracę w Tiger Electronics rozpoczęli tego samego dnia w efekcie kampanii rekrutacyjnej dwa lata temu i od tego czasu stali się nierozłączni — razem upijali się piwem, chodzili na mecze i robili kawały znajomym.

I razem też powitają swoje przeznaczenie. Od momentu ich przyjazdu na biwak nad rzekę Pit Cesarzom IT zostało mniej niż siedem godzin do wielkiej tragedii.

Tuż po trzeciej po południu chmury zaczęły się rozchodzić i zaświeciło słońce. Ekipa przyjaciół wygrzebała się z winnabago i ruszyła nad rzekę. Remo zebrał płaskie kamienie i puszczał kaczki na wodzie. Charlie też próbował, ale jego kamienie tonęły po pierwszym plusku.

Pół mili dalej na zachód teren wznosił się aż do wulkanicznego wzgórza i urwiska usianego drzewami iglastymi, a rzeka Pit przedzierała się wąskim wąwozem. Jednak tutaj, przy polu biwakowym, była płytka i spokojna; tworzyła kamieniste baseny i małe bystrza, a przy brzegu tworzyła niewielkie mokradła pozarastane sitowiem.

Powietrze było czyste, rześkie i miało sosnowy aromat. Strzyżyki bagienne terkotały, brzęczały i ćwierkały, radując się z nadejścia burzy. Nawet Cayley, która przechodziła z kamienia na kamień jak linoskoczek, powiedziała:

— Aż nie mogę uwierzyć, jak tu pięknie. Nawet ładniej niż w *Bambi*.

Charlie zatopił kolejny kamyk w wodzie.

— Wydawało mi się, że nienawidzisz przyrody. Przecież mówiłaś, że przyroda jest totalnie do bani.

— Ale nie przez cały czas. Nie mam nic przeciwko przyrodzie, gdy jest tak jak teraz. No wiesz, gdy pogoda nie świruje.

— To jest właśnie to, o co chodzi w przyrodzie — odezwał się Mickey znad swojej torby wędkarskiej. — Natura nigdy nie świruje, raz jest taka, a raz inna, i to właśnie jej... natura.

Charlie pochylił się i wziął do ręki muchę.

— Jaką muchę wybierzesz na ten odcinek rzeki? Nimfę czy brząkę?

— Chyba obydwie. Może też komara. Przede wszystkim trzeba wybrać dobry basen, bo inaczej zamiast pstrąga złapiesz *squawfish*. Wiedziałeś, że *squawfish* momentalnie trawi pożarte ryby?

— To zupełnie jak Charlie i jego ukochane kanapki z bagietek — odparł Remo, otwierając kolejną butelkę piwa.

— Hej, Remo! Nie łowisz?

— Nie. Golnę sobie piwko i popracuję nad opalenizną. Może jutro się skuszę.

Mickey włożył zielone wodery i podreptał na środek rzeki. Remo, Charlie i Cayley obserwowali go rozciągnięci na głazach na brzegu. Słońce pochyliło się nad horyzontem i powierzchnia wody błyszczała jak potłuczone szkło, ledwie widzieli zarys sylwetki Mickeya. W całkowitej ciszy słyszeli jedynie szemranie rzeki i świst kołowrotka wędki Mickeya, gdy popuszczał żyłkę.

— Pięknie tu i w ogóle. Ale tak cholernie cicho — odezwała się po chwili Cayley. — Na filmach przyrodniczych leci przynajmniej jakaś muzyczka.

Charlie pokręcił głową załamany.

— Jesteś na rybach w absolutnej dziczy, setki mil od zamieszkaných terenów i chcesz do tego podkład muzyczny?

— No i co z tego? Podkład muzyczny lepiej pozwala zrozumieć, co się dzieje.

— Więc chciałabyś tu usłyszeć delikatną muzykę z harfy, żebyś zrozumiała, że chodzi o rzekę, i głośną trąbkę oznajmającą, że z rzeki wystaje głaz, co?

— Ale z ciebie zgred — odparła Cayley. Poszła do winnebagó i po chwili wróciła z radioodtwarzaczem i poduszką w kwiatki. Włączyła ostry trans i rozłożyła się na głazie, by się poopalać w popołudniowym słońcu. Teraz szemrała rzeka, świstał kołowrotek i z radioodtwarzacza Cayley dobywały się monotonne dźwięki.

— Chodźcie to zobaczyć! Szybko! Prawdziwy Moby Dick! — zawołał Mickey, trzymając w rękach wyrrywającą się brązowego pstrąga długości przynajmniej osiem nastu cali.

Remo zasalutował wyciągniętą butelką piwa.

— Brawo, Mickey! Władco much!

Mickey ostrożnie odczepił pstrąga i wypuścił do rzeki.

Słońce schowało się za krawędzią skał, niebo przybrało krwistopomarańczową barwę i zaczęło robić się chłodno. Rozbryzgując wodę dookoła, Mickey wyszedł z rzeki i ściągnął wodery.

— Trzeba uważać na dno. Jest cholernie śliskie. To jak łożenie po śliskich od smarków kulach do kręgli.

Charlie nabierał chrustu i gałęzi i ułożył okrąg z kamieni. Kliknął zapalniczką i podpałił chrust, który błyskawicznie się zajął.

— Czy ktoś ma ochotę na kielbaski? — zapytał, gdy ognisko porządnie się rozpałiło.

— Jasne — odpowiedział Remo. — I dajcie też te kurcze udka! I mnóstwo piwa, bo zaschłem w środku jak lichy.

— Czy to już wszystko, panie hrabio?

— Nie. Proszę o chipsy serowe, precle i papryczki jalapeno.

— Oczywiście, panie hrabio. Dobrze zbilansowana dieta jest bardzo ważna dla zdrowia pana hrabiego.

Gdy Charlie właśnie wchodził po stopniach kampera, usłyszeli głęboki, przytłumiony ryk, jakby pół tony węgla zsuwało się po blaszanym spuszczeniu kotłowni.

— Co to było? — zapytała przestraszona Cayley.

— Prawdopodobnie puma — odpowiedział Remo. — Właśnie o tej porze wychodzą na łowy.

— O matko! Czy one są niebezpieczne?

— Jasne, że są niebezpieczne. Ale zwykle nie atakują ludzi. Jeśli, rzecz jasna, nie zostaną sprowokowane.

— To może schowajmy się do kampera?

— Nie trzeba. Pумы nie lubią ognia i załóżę się o pięć dziesiąt dolców, że mają też silną awersję do transu i koszulek z psychodelicznymi wzorami. Mogą zaatakować człowieka jedynie wtedy, gdy będzie uciekał przed nimi jak srający ze strachu kurczak.

— Może powinieneś wyciągnąć broń?

— Cayley, rany boskie, nic nam nie grozi. Ona jest co najmniej milę od nas.

— Ale i tak się boję.

— W porządku — poddał się Remo. Poszedł do win-

nebago i wrócił ze sztucerem Remington 700, który pożyczył od wuja. Sprawdził, czy w komorze jest nabój, i oparł karabin o głaz, na którym siedziała Cayley. — Zadowolona?

— Nie powiedziałaś mi, że będą tu pumy.

— Przecież jesteśmy w górach, dzieciно, a w górach żyją pumy. To czego się spodziewałaś? Może rekinów?

— Co z tego? Ale nic mi nie powiedziałaś. Gdybym wiedziała, że tak będzie, tobym wcale tu z wami nie przyjechała.

— Gdybym ci powiedział, że tu będą komary, to też byś nie przyjechała.

— Oczywiście, że nie. Nienawidzę komarów. I nie lubię rekinów.

Remo objął ją ramieniem i przytulił.

— Nie musisz się niczego obawiać. Nic nam się nie może stać. Czy kiedy słyszysz przelatujący helikopter, boisz się, że spadnie na dach twojego domu?

— Oczywiście, że tak.

Remo rzucił Mickeyowi i Charliemu spojrzenie mówiące: „Ach, te dziewczyny, i co tu z nimi robić?”. Mickey pokręcił głową i skrzywił się w uśmiechu, a Charlie pomachał do niego kielbaską.

— Przestań się już zamartwiać, małeńka — uspokajał ją Remo. — Usiądź przy nas i zjedz coś. Nie ma się czego obawiać.

Usiedli wokół ogniska, które paliło się żwawym płomieniem. Charlie dorzucił chrustu. Nabite na patyki kielbaski skwierczały i strzelały nad ogniem. Charlie przygotował też osiem kurzych udek, które ułożył na ruszcie przyniesionym z aneksu kuchennego winnebago.

Pijąc piwo, jedli chipsy i precle i wesoło rozmawiali.

— Cesarze IT! To mi się podoba, chłopaki i dziewczyny!
Jak Teddy Roosevelt kiedyś powiedział: „Dajcie mi zachód słońca i kiełbaski, a wy możecie zatrzymać dla siebie te wasze pałace i pawie”.

— Teddy Roosevelt tak powiedział?

— Nooo. Z pewnością tak by powiedział, gdyby tu był z nami!

— No tak, ale go nie ma — odparł Charlie. — Chyba zapomniałeś go zaprosić.

Na intensywnie czarnym niebie pojawiło się tysiące gwiazd. Przyjaciele opowiadali sobie dowcipy i plotki, a Remo skręcił dużego, niezgrabnego jointa i puścił go w obieg. Charlie zaczął opowiadać straszną historię.

— Jest ciemno jak w tyłku u Murzyna, facet rzuca się w łóżku. Po kilku minutach czuje, że coś go łaskocze. Mówi do babki, by przestała, ale ciągle czuje to łaskotanie jedno cześnie na plecach i na karku. Nawet w uchu. On nie cierpi łaskotania i w końcu sięga do lampy stojącej na stoliku nocnym i ją zapala. Obok leży kobieta, ale cała pokryta okropnymi białymi larwami. Pomylił sypialnie. Pomylił siostry. Włazł do łoża śmierci.

— To ohydne — jęknęła Cayley.

— Wiem. Ale posłuchaj dalej, robi się jeszcze bardziej ohydne. Więc ten facet zaczyna wrzeszczeć i wyskakuje z łóżka. Przewraca lampę i zaczyna poruszać się po ciemku, w panice. Wreszcie trafia do drzwi i znajduje gałkę.

Charlie przerwał historię i zmarszczył czoło, po chwili podniósł rękę, by zasłonić oczy przed blaskiem bijącym z ogniska.

Ale Charlie przejęty patrzył w ciemność.
— Znajduje drzwi i gałkę. I co dalej? — popędziła go Cayley.
— Co się dzieje, stary? — zapytał Remo.
— Coś tam zobaczyłeś? — Mickey rozejrzał się dookoła. Charlie wskazał na brzeg rzeki.
— Tam ktoś jest. Widzicie? Właśnie wyszedł z sitowia. Niełatwo było cokolwiek zobaczyć, bo dym od ogniska zasłaniał widok. Po chwili dostrzegli zarys sylwetki mężczyzny w czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Stał nieruchomo nie dalej niż dwadzieścia jardów od nich, wyraźnie ich obserwując. Remo sięgnął po sztucer i wstał.
— Hej, człowieku! Co tam robisz? Śledzisz nas czy co? Mężczyzna nic nie odpowiedział ani się nie poruszył. Przez chwilę widzieli go całkiem wyraźnie, ale potem dym znowu przysłonił widok.
— Powiesz nam w końcu, czego chcesz?! — krzyknął Remo. — Bo jak nie, to zostaw nas w spokoju i odejść, zrozumiano?
Mężczyzna nic nie odpowiedział i zaczął iść w ich kierunku, raz przysłaniał go dym, raz nie, jak jakiegoś magika. Kapelusz był wypchnięty do góry w kształt stożka i miał skórzany otok. Mężczyzna był ubrany w długi czarny surdut i czarną kamizelkę zapiętą pod szyję. Miał płaską twarz i bardzo wąskie usta. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że jego oczy były całkowicie srebrne i zupełnie pozbawione źrenic, jakby w oczodołach osadzono stalowe kulki.
— Czego od nas chcesz? — powtórzył Remo. — Coś ci się stało? Jesteś niewidomy?

— *Gituwutabudeu?! —* krzyknął mężczyzna w odpowiedzi tak ostrym tonem, że cała czwórka aż podskoczyła. — *Gi besa! Poohaguma! Soongapumaka!*

— Co on, do licha, mówi? — zapytał Remo. — Co to za język?

— Jest wkurzony — odparł Charlie. — Licho wie, co to za język, ale ten gość jest nieźle na coś wkurzony.

Mężczyzna podszedł bliżej, aż znalazł się nie więcej niż dwadzieścia stóp od nich. Remo trzymał karabin z lufą skierowaną wprost na niego, ale nie był do końca pewien, czy mężczyzna go w ogóle widział. Płomienie z ogniska tańczyły i odbijały się w jego srebrnych oczach.

— *Teyabe?* — zapytał Mickeya i Charliego. Potem prze mówił po angielsku, ale jego ton był nadal agresywny. — Dlaczego wasz przyjaciel tak się boi? W moim języku nazywamy takich ludzi *tsegwabbetuma*, taki, który mierzy z broni, ale nigdy nie naciśnie spustu.

— O co chodzi? Czy możemy panu w czymś pomóc? — zapytał Remo. — My tutaj tylko biwakujemy.

— Powiedziałem wam — odparł mężczyzna. — Ja jestem *poohaguma*, szaman. Ale nawet jeszcze więcej, jestem *soongapumaka*, szaman, który odbiera oddech. Nazywam się Wodziwob, ale wy, jeśli chcecie, możecie nazywać mnie Piekielny John.

— Fiu! Dobrze wiedzieć, że nie nazywa się jakoś bardziej przeraźliwie — skomentował Charlie po cichu.

— Proszę pana, przecież nie weszliśmy na teren prywatny, prawda? Znaki wyraźnie mówią, że to jest pole biwakowe. I niczego tu nie niszczyliśmy. Złapałem pstrąga, ale wiedzia-

łem, że przekroczył regulaminowy rozmiar, więc wrzuciłem go z powrotem do rzeki.

— Co?! — wykrzyknął Wodziwob. — Myślicie, że nic nie zniszczyliście? Zniszczyliście więcej, niż możecie sobie wyobrazić.

— Uspokój się, stary — wtrącił się Charlie. — Przyjechaliśmy tu tylko wypić kilka browców, upiec kielbaski i złowić kilka pstrągów. Jak wyjedziemy, nie będzie po nas śladu.

— Zawsze będziemy wiedzieć, że tu byliście, nawet jeśli stąd wyjedziecie i nigdy nie wrócicie.

— Pozbieramy wszystkie śmieci, obiecujemy. Każdą butelkę.

— Myślicie, że przejmuję się waszymi butelkami i śmieciami? Z czasem wszystko zniknie. A wy zanieczyściliście tę ziemię w inny sposób. Skalaliście jej ducha, a taka plama ma *gi tokedu*, jest nie do usunięcia.

— Przykro mi — rzekł Remo. — Ja naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

— Nie ma znaczenia, czy wiecie, czy nie. I tak poniesiecie konsekwencje.

— Jeśli pana czymś zdenerwowaliśmy, to przepraszamy — dołączył się Mickey. — Staramy się niczego tu nie zniszczyć ani nie zabrudzić, a nasz samochód kempingowy ma własną toaletę chemiczną, więc nie będziemy tu zostawiać żadnych plam, jak się pan wyraził.

W tej samej chwili zmaterializowały się jeszcze dwie postacie, jakby wyszły z ziemi. Jedna stanęła po lewej, a druga po prawej stronie Wodziwoba. Obydwie były niezwykle wysokie, prawie dwukrotnie wyższe od Wodziwoba,

szerokie w ramionach, kanciaste i ubrane w czarne płaszcze. Ich twarze zasłaniały maski pomalowane na biało. Na głowach miały rogi przybrane koralikami, drobnymi kośćmi zwierząt i czaszkami ptaków.

Postacie stały obok Wodziwoba, lekko się chwiejąc na boki, a dym z ogniska snuł się między ich nogami. Wyglądały bardziej jak totemy niż ludzie.

— A oni skąd się tu wzięli? — sapnął Charlie.

— Remo, lepiej wynośmy się stąd — odezwała się Cayley, ściskając go za rękę.

Remo podniósł sztucer wyżej i przesunął go z jednej postaci na drugą, jednocześnie zrobił trzy kroki do tyłu, w stronę winnebago.

— Oni przyszli znikąd — szepnął Charlie. — Oni po prostu wyłonili się z ziemi.

— Może mamy halucynacje. Remo, skąd miałeś tę trawkę, którą paliliśmy?

Remo cały czas mierzył do trzech postaci i cofał się.

— To dobry towar. Dostałem go od Louiego.

— To może to wszystko od tego ogniska. Może w tych gałęziach była jakaś trująca roślina.

— Co widzisz? — zapytał go Remo. — Widzisz faceta w czarnym, szpiczastym kapeluszu i dwóch wysokich facetów, którzy wyglądają, jakby byli ubrani w trumny?

Mickey rzucił mu szybkie spojrzenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że każdy człowiek ma inne halucynacje, gdy się najara trawy.

— Cayley ma rację — odezwał się Charlie. — Nie ma co udawać cwaniaków, lepiej się stąd wynośmy i to *prontissimo*.

Zaczęli się wycofywać w stronę kampera, ale mężczyzna, który nazwał się Piekielnym Johnem, posuwał się w ich kierunku między głazami z przerażającą pewnością siebie. Dwie totemowe postacie szły za nim wydłużonym krokiem, jakby na szczudłach. Ich chodowi towarzyszył złożony, klikający dźwięk i głośny grzechot.

— Cholera jasna! — zawołał Remo. W jego głosie słychać było panikę.

— Dlaczego uciekacie przede mną? — dopytywał się Wodziwob. — Boicie się *ggwo tseka 'a*, że was oskalpuję?

— Odczep się od nas, człowieku! — zawołał Remo. — Nic ci nie zrobiliśmy, ale jeśli chcesz, żebyśmy sobie pojechali, to pojechamy!

Remo podniósł sztucer i wystrzelił ostrzegawczo w powietrze. Strzał odbił się wielokrotnym echem od skał i otaczających gór. Po ostatnim echu odezwał się ryk pumy.

— Zakłóciliście spokój *kaggwe toohoo 'oo* — powiedział Wodziwob. — Tak samo jak zagnietliście każde źdźbło trawy, po którym szliście; i zatruliście owady, i wybiliście ptaki latające w powietrzu. Zepsuliście wszystko wokoło i teraz musicie za to zapłacić.

Remo wymierzył sztucer prosto w piersi Wodziwoba.

— Zrobisz jeszcze jeden krok, panie Piekielny czy jak się pan tam nazywa, i następna kulka będzie dla ciebie. Nie żartuję. Ja i moi przyjaciele teraz odejdziemy, a ty zostaniesz tutaj i pozwolisz nam odjechać. *Capiscal*

Wtedy Wodziwob podniósł ręce wnętrzem dłoni do góry i zaczął śpiewać wysokim, zdławionym świergotem.

— Jezu, tak zawodzi kocur mojej matki, gdy ma ochotę — odezwał się Charlie.

— Śpiewam do wszystkich was jako *gi tuwutabuedul* — zawołał Wodziwob, a jego głos nie był już tylko szyderczy, ale też pełen złości. — To znaczy ślepiec. Przynoszę waszym oczom *toohoo-ggweddaddu nabo 'o*, czarną farbę. *Po-oga 'hoo*, zdmuchuję wasze świece.

Totemowe postacie przysunęły się bliżej, aż zagórowały nad grupą przyjaciół. Za pozbawionymi wyrazu nacięciami na ich maskach Cesarze IT dostrzegli słabe błękitnobiałe światełka.

— Daj spokój, człowieku. Chcemy już stąd jechać! — oznajmił Charlie.

— Spójrzcie na nich! — wybuchnął Remo. — To nie są ludzie. Oni są jak... jakieś dziwaczne roboty!

Zaczął przyglądać im się dokładniej. Totemowe istoty wydały z siebie zgrzyty i zabujały się na boki. Potem, bez żadnego ostrzeżenia, błękitnobiałe światełka wystrzeliły skwierczącym ogniem jak elektryczne łuki spawarek. Ogień był tak jasny, że Cesarze IT musieli podnieść ręce i zasłonić twarze, by nie dać się oślepić.

— Jasna cholera! — zaklął Mickey.

Blask szybko się pojawił i szybko zniknął, a Mickey znalazł się w kompletnej ciemności. Opuścił rękę, ale przed oczami nadal miał ciemność. Mrugał szaleńczo, pocierał oczy, ale to nic nie dawało. Nic nie widział oprócz bezkresnej ciemności.

Cayley pierwsza zaczęła krzyczeć.

— Jestem ślepa! Remo, nic nie widzę! Remo! Oślepiłam! Pomóż mi!

Remo sam zataczał się i chodził w kółko, machając rękami, i krzyczał:

— Aaa! Aaa! Cholera! Co ty mi zrobiłeś, gnoju?! Co zrobiłeś?

Charlie padł na kolana i kręcił głową we wszystkie strony, kiwał na boki, jakby gałki oczne poluzowały mu się w oczodołach, a on chciał ruchami głowy umieścić je z powrotem we właściwym miejscu i przywrócić sobie wzrok.

— Co ty mi zrobiłeś?! — wrzeszczał Remo. — Gdzie jesteś, do kurwy nędzy? Co mi zrobiłeś? — Remo wystrzelił jeszcze raz, a Cayley krzyknęła, potknęła się i oparła o Mickeya. Mickey złapał ją za ramię i pomógł utrzymać równowagę.

— To ja, Mickey. Ja też nic nie widzę. Nie ruszaj się. Charlie, a ty gdzie jesteś?

— Nic nie widzę — jęczał Charlie. — Co mi się stało, Mickey? Nic nie widzę!

Mickey wyciągnął rękę i trafił na bark Charliego.

— Nie ruszaj się Charlie. On nas oślepił. To przez te płomienie z ich oczu.

— Jesteś tu jeszcze?! — krzyczał Remo. — Jesteś tu jeszcze, panie Piekielny Pieprzony Johnie?

Zapadła cisza. Poza ciągłym kwileniem Cayley jedynymi dźwiękami dochodzącymi do ich uszu były szum wiatru, bulgot rzeki i skwierczenie ognia. Słyszeli jeszcze przypominający ćwierkanie cykad furkot totemowych postaci i drewniany odgłos ich ruchów.

— Nie zbliżać się! — krzyknął Remo. — Ostrzegam was! Może i was nie widzę, ale mogę odstrzelić wam pieprzone łby!

— Jesteście bezradni jak niemowlęta — odparł Wodź-wob. — Nic już nie możecie zrobić, by się uratować.

Jesteście teraz zupełnie tacy sami jak my kiedyś. Gdy pierwszy raz pojawiliście się na naszej ziemi, my byliśmy ślepi. Ślepi na waszą pazerność, ślepi na wasze okrucieństwo. Byliśmy też głusi, głusi na wasze kłamstwa, które bzyczały jak muchy składające jaja na trupie naszego szczęścia.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odpowiedział Mickey. — Przepraszamy, jeśli zrobiliśmy coś, co się panu nie spodobało, ale na pewno nie zrobiliśmy tego panu na złość. Czy możemy coś zrobić, żeby znowu wszystko było normalnie? A ta ślepotą jest tylko chwilowa, tak? Jak od patrzenia w słońce?

Wodziwob podszedł bardzo blisko do Mickeya, bo Mickey poczuł jego zapach, jakby woń jakichś ziół i korzeni, kolendry i gałki muszkatołowej. Czuł też zapach łoju maślanego i zatechły smród tytoniu.

— A to, co wy zrobiliście mojemu ludowi, też było chwilowe?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi! — wrzasnął Mickey prosto w twarz Wodziwoba, a to przecież Mickey nigdy nie tracił zimnej krwi. — Nie mamy pojęcia, o czym pan w ogóle mówi! Nie chcę być ślepy! Chcę odzyskać wzrok!

— Nie musicie się niczego bać — odparł Wodziwob. — Już wkrótce nie będziecie ślepi.

— Co to znaczy? — zapytał trzęsący się Mickey.

Wodziwob nie odpowiedział, ale Mickey wyczuł, że zrobił kilka kroków do tyłu.

— Tudatzewunu! Tubbohwa'e! Pokażmy naszym przyjacielom drogę do ich przodków!

— Chcecie nas zabić?! — krzyknął w panice Remo. — Myślicie sobie, że nas zabijecie i nikt nie ruszy za wami w pościg? Wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy, panie Piekielny John. Nasi rodzice wiedzą. Nasi przyjaciele wiedzą. I straż leśna. I mamy też GPS.

Za plecami usłyszał drewniany terkot totemowych figur. Gdy odwrócił się, stracił równowagę i upadł na kamienie, upuszczając sztucer. Mickey zrobił dwa kroki do przodu po omacku i potknął się o leżący pień, na którym wcześniej siedział, piekąc kiełbaski na ognisku. Przewrócił się i upadł w ognisko na wyprostowane ręce, wzbijając snopy iskier. Krzyknął z przerażenia i przekręcił się na bok. Przypalona skóra na dłoniach parzyła go boleśnie, a włosy zajęły się ogniem. Usiadł na ziemi i uderzał rękami w głowę, by zdusić ogień, po czym wściekle przeczesywał włosy palcami, by upewnić się, że już się nie palą.

— Okay — zaczął Charlie, chcąc uspokoić sytuację. — Nie powiemy nikomu, co nam zrobiliście. Obiecujemy. Tylko nie róbcie nam więcej krzywdy!

— Nie chcę być ślepa! Wolałabym umrzeć! — jęknęła Cayley.

— Zrobimy wam dokładnie to samo, co wasi przodkowie zrobili nam. — Powiedziawszy to, uklęknął obok Rema i przywołał totemową postać Tudatzewunu, która chwyciła Rema za przedramiona. Jednocześnie Tubbohwa'e podniósł go z ziemi i przyciągnął do Charliego, tak że stali od siebie oddaleni o trzy stopy.

— Będą nas szukać — ciągnął Remo, choć w jego głosie dominowało już przerażenie. — Straż leśna i policja. I FBI.

Jeśli nie wrócimy do domu, to zaczną nas szukać i wtedy wy będziecie ugotowani.

Wodziwob spętał ręce Charliego, potem Cayley i na końcu Mickeya. Cała czwórka została związana razem i przypominała skutych łańcuchem skazańców. Cayley łkała cicho, a pozostała trójka milczała ze zwieszonymi głowami, jakby pogodzili się z tym, co miało się wydarzyć. Choć Mickey nie był poważnie poparzony i miał jedynie zaczerwienioną twarz i spaloną grzywkę, to szczękał zębami i drżał na całym ciele w szoku.

— Teraz musicie wspiać się do miejsca, gdzie nasz lud musiał wejść i gdzie wasi przodkowie go wymordowali.

— Dlaczego to robicie? — pytała Cayley z płaczem. — Co wam zrobiliśmy złego? Nigdy tu wcześniej nie byłam! I nie wiem w ogóle, kim jesteście!

— No właśnie. Wy nie wiecie, kim był nasz lud, bo ich kości leżały porzucone na ziemi, a ich imiona wywiały wiatr. Ruszamy, czas na wspinaczkę.

Totemowa postać zwana Tubbohwa'e złapała za linę i zaczęła ciągnąć całą czwórkę obok winnebago i dalej w stronę wzgórze i skał wznoszących się przed nimi jak wielki ciemny mur. Więźniowie zataczali się i wpadali na siebie, ale gdy się przewracali, Tudatzewunu stawiał ich siłą na nogi i ciągnął do góry uściskiem drewnianych ramion.

— Ja nie chcę! — łkała Cayley, gdy droga zrobiła się stroma, a ostre krzewy rozcinały jej skórę na nogach. — Ja nie chcę. Nie zmuszajcie mnie!

Charlie nic nie powiedział, ale po pierwszych pięćdziesięciu stopach podejścia zaczął ciężko dyszeć.

— On ma astmę — wyjaśnił Remo.

— Wielu z mojego ludu było chorych, gdy musieli ukrywać się na tej górze. Były tu kobiety i bezbronni dzieci, i starcy. I wszyscy oni musieli się wspinać.

Oddech Wodziwoba też był ciężki, wspinaczka musiała stanowić dla niego duży wysiłek, jednak parł do przodu, a Tubbohwa'e ciągnął pojmany za sznur, wspinając się pomiędzy skałami jak monstrualny czarny pajak o upiornie białej twarzy; Tudatzewunu szedł na końcu, podnosząc tych, którzy upadli.

Wspinaczka na szczyt trwała dwie godziny. Mimo że ścieżka była nierówna, usiana kamieniami i wulkanicznym żwirem, to pod sam koniec się wygładziła. Nadal przed oczami mieli tylko ciemność. Na twarzach poczuli silny nocny wiatr, a dokoła słyszeli szum tysięcy sosen otaczających skaliste wzgórza.

Wodziwob się zatrzymał; Tubbohwa'e pociągnął ostro za linę i czwórka więźniów stanęła. Charlie po chwili padł na kolana i zaniósł się astmatycznym rzęzeniem.

Wodziwob zaczął opowiadać.

— To działo się we wrześniu, sto pięćdziesiąt lat temu; zebrały się tu trzy plemiona: Pajuci, Modoc i Pit River, które na co dzień były sobie wrogie. Ale to był Wielki Czas, święto obchodzone raz w roku, gdy wrogowie zapominali o niewyrównanych rachunkach i spotykali się na ucztowanie, gry, handel i zaloty kończące się małżeństwami pomiędzy przedstawicielami różnych plemion.

— A co to ma, do cholery, wspólnego z nami? — zapytał dyszącym głosem zdenerwowany Remo.

— Wszystko — odpowiedział Wodziwob. — Wasi biali żołnierze nie rozumieli obchodów święta Wielkiego Czasu, mimo że były one bardzo popularne w Kalifornii przed przybyciem Europejczyków. Jako że zebrały się tutaj trzy wrogie sobie plemiona naraz, wasi żołnierze założyli, że plemiona połączyły się, by wspólnie zaatakować białych, więc sami zdecydowali się na atak. Powiedźcie, czy plemiona, które szykują się do wojny, przy prowadzając z sobą na miejsce zgromadzenia kobiety i dzieci? Jeśli nie wzięłyby z sobą kobiet, dzieci i starszyzny, nie byłiby zmuszeni zostać tutaj przy Piekielnych Jaskiniach i walczyć. Rozpłynęłyby się jak cienie, by walczyć innego dnia. Każdy inteligentny żołnierz rozumiałby tę zasadę. A ktoś ludzki pozwoliłby im odejść. Ale żołnierze zamordowali ponad dwudziestu Indian, kobiety, dzieci i starców, i ta zbrodnia nadal woła o sprawiedliwość.

— Ale my tego nie zrobiliśmy — świszczącym głosem bronił siebie i przyjaciół zdesperowany Charlie. — I nie byli to też dziadkowie naszych dziadków.

Wodziwob nie zwrócił na niego uwagi.

— Opowiem wam, co ci żołnierze zrobili. Wzięli pięciu jeńców razem z wodzem Si-e-ta. Ich indiańscy zwiadowcy przynieśli gałazki cierni i wyłupali im oczy, tak że gałki zwisały na policzki. Potem związali ich cierniami i kazali iść przed siebie na krawędź skały i jeszcze dalej. Przepaść jest głęboka na sześć stóp.

— Chyba nie chce pan zrobić tego samego z nami? — zapytał przerażony Mickey.

Wodziwob obszedł ich dookoła, kłując każdego palcem.

— A jeśli tak, to czy nie byłoby to wymierzeniem sprawiedliwości? Czy to nie tak właśnie jest napisane w waszej świętej księdze? „Życie za życie, oko za oko”.

Cayley znowu zaczęła płakać jak dziecko.

— Czy myślicie, że my nie płakaliśmy, gdy zabijano nasze dzieci? — zapytał Wodziwob.

Rozdział 7

Waszyngton, DC

Po dwudziestu minutach do pokoju weszli doktorzy Schaumberg, Henry, a tuż za nimi Cronin.

— Davidzie, przyszli lekarze — odezwała się pierwsza dama, biorąc w dłoń rękę prezydenta.

Doktor Schaumberg podszedł do łóżka, trzymając wysoko skan oczu, mimo że prezydent nie mógł go zobaczyć. Doktor był szczupły i żyłasty; rzędzące siwawe włosy na czubku głowy pokrywał „pożyczką” zaczesywaną z lewej strony. Na nosie miał okulary „połówki”, a głowę osadzoną na szyi pomarszczonej jak u legwana. Chrząknął i powiedział ponuro:

— Mamy wyniki badań, panie prezydencie.

— I co? Jaki werdykt? — domagał się odpowiedzi prezydent.

— Panie prezydencie, ma pan stuprocentowe zmętnienie rogówki.

— Co? Co mam?

— Pana rogówka została jakby zasłonięta chmurami —

wyjaśnił doktor Henry. Był solidnie zbudowanym czarno-skórym i wyglądał jak emerytowany zapaśnik; jego łysa głowa świeciła jak żarówka. — Innymi słowy, soczewka okrywająca pana źrenicę nie jest już przeźroczysta.

— Czy to trwałe schorzenie?

— Jeszcze tego nie wiemy, panie prezydencie — od powiedział doktor Henry, kręcąc głową. — Po pierwsze, musimy przeprowadzić sporo testów, by ustalić, co spowodowało zmętnienie, więc przewieziemy pana do Krajowego Instytutu Okulistyki. Mamy tu do czynienia z niezwykle szybko postępującym całkowitym zmętnieniem, i to bez żadnych objawów ostrzegawczych.

Doktor Schaumberg skinął głową, zgadzając się z przedmówcą.

— W prawie każdym wypadku zmętnienia rogówki u pacjentów pojawia się wiele oczywistych objawów prowadzących do utraty wzroku. Na przykład przy zapaleniu spojówek oczy zaróżowiłyby się najpierw, później przez pięć do dwunastu dni występowałyby podrażnienie i łzawienie, zanim wzrok zacząłby słabnąć.

— Nic takiego nie miałem, żadnego podrażnienia. Po prostu mrugnąłem i jakby ktoś zgasił światło.

— Naprawdę nie macie pojęcia, jak mogło dojść do tego tak nagle? — zapytała pierwsza dama.

— Zmętnienie rogówki może być spowodowane wieloma różnymi czynnikami — zaczął wyjaśniać doktor Schaumberg. — Jednym z nich jest zapalenie spojówek, ale pan prezydent nie miał zaróżowionych oczu ani żadnych podrażnień, zanim nastąpiła ślepotą. Drastyczny brak witaminy A może nieraz prowadzić do osłabienia wzroku, ale nie

sądzę, żeby pan prezydent był na diecie charakterystycznej dla mieszkańców Trzeciego Świata. Istnieje jeszcze zespół Sjógrena, który jest powiązany z reumatycznym zapaleniem stawów, ale to bardzo rzadkie schorzenie i zwykle dotyczy kobiet w średnim wieku.

— Jest jeszcze jaglica — dodał doktor Henry.

— Jaglica? — zapytał prezydent. — Ta choroba, na którą cierpią afrykańskie dzieci?

— Właśnie ta, panie prezydencie. Wywołuje ją *Chlamydia trachomatis*. Jednak jaglica uszkadza rogówkę wieloetapowo i powoduje ślepotę dopiero w ostatnim stadium choroby. Proces leczenia...

— W porządku — przerwał niecierpliwie prezydent. — Jak długo będą trwały te badania?

— Przynajmniej trzy dni. Może dłużej, w zależności od tego, co odkryjemy.

— W porządku. Doug Latterby odwoła moje spotkania, a ja wrócę tu jutro z samego rana.

— Chyba nie myśli pan o opuszczeniu szpitala, panie prezydencie?

— Oczywiście, że tak. Za dwie i pół godziny mam spotkanie z prezydentem Federacji Rosyjskiej.

— Davidzie — zaprotestowała pierwsza dama. — Nie możesz przecież spotkać się z Georgijem Pietrowskim, będąc ślepy. Niech Kenneth cię zastąpi.

— Tak? I jak wyjaśnimy moją nieobecność na jednej z najważniejszych konferencji politycznych od upadku Związku Radzieckiego? Powiemy mediom, że miałem atak serca? A może udar mózgu? To byłaby fatalna wymówka, jeszcze gorsza od przyznania się do ślepoty. A może po

prostu ogłosimy, że zapomniałem o przyjeździe Pietrowskiego i pojechałem na ryby?

— Panie prezydencie, nalegam na pozostanie w szpitalu — odezwał się Schaumberg. — Pana schorzenie wystąpiło tak nagle i jeśli opóźnimy leczenie, to stan może się pogorszyć. Ponadto wszelkie choroby atakujące rogówkę są bardzo zaraźliwe.

— To prawda, panie prezydencie. Mogą rozprzestrzeniać się przez uścisk dłoni, ślinę lub wydzielinę z nosa — wyjaśnił doktor Cronin. — Sądzę, że naszym wzajemnym relacjom z Federacją Rosyjską nie bardzo by pomogło, gdyby kichnął pan na prezydenta Pietrowskiego i gdyby on też stracił wzrok.

Prezydent oparł dłoń na barku doktora Cronina i zszedł z łóżka.

— To jest ryzyko, które muszę podjąć. To spotkanie jest preludium przed ostateczną rozgrywką z rosyjską mafią w Stanach Zjednoczonych. Nasz wywiad przygotowywał się do tego przez trzy lata kosztem milionów dolarów, a jedyną osobą, która może stawić czoło Pietrowskiemu, jestem ja.

— W jaki sposób chce pan stawić mu czoło, skoro pan go nie będzie widział?

— Zdam się na los i będę improwizował. Doug Latterby może być moim psem przewodnikiem.

— Davidzie, kochany... błagam cię. A jeśli pójdziesz na to spotkanie i przez to nie odzyskasz już wzroku? — wtrąciła się pierwsza dama.

— Ja wysyłam młodych mężczyzn do innych krajów w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki i oni ryzykują znacznie więcej niż tylko wzrok. Tym razem, Marian, moja

ojczyzna jest na pierwszym miejscu. I wiem, że mi się uda. Zobaczycie. Zostałem wybrany na przedstawiciela narodu, bym załatwił najtrudniejsze sprawy. Więc jeśli nie ja, to kto?

— Panie prezydencie, proszę mi wybaczyć tę śmiałość — odezwał się Cronin — pan nie tylko oślepl, ale i zwariował.

Prezydent odwrócił się do doktora Cronina.

— Tym razem, Andrew, udam, że też ogłuchłem.

♦ ♦ ♦

Prezydent Stanów Zjednoczonych czekał na stopniach południowego portyku Białego Domu, gdy wjechał korowód prezydenta Pietrowskiego. Było ciepłe popołudnie, ale niebo zasnuwał szary płaszcz chmur. Właśnie przestało padać i zrobiło się bardzo wilgotno. Koła limuzyn mlaskały o mokry asfalt.

Prezydent David Perry miał ponad sześć stóp wzrostu, potężną klatkę piersiową, wielką głowę i gęste siwe włosy. Jego szare, głęboko osadzone oczy zawsze były mocno przymrużone, jakby starał się skupiać wzrok na czymś, co znajdowała się poza jego polem widzenia. Dzisiaj nie widział nic. Był solidnej postury, ale codziennie ćwiczył na siłowni z trenerem z piechoty morskiej, więc jego brzuch nie wylewał się za pasek spodni. Gdy szedł, ruszał rękami na boki jak żołnierze podczas defilady i trzymał się sztywno, jakby nosił gorset ortopedyczny, ale po prostu tak się trzymał.

Żona, Marian, stała po jego lewej stronie. Była drobną, niską kobietą o blond włosach i ładnej, fotogenicznej twarzy. Dzisiejszego popołudnia miała na sobie garsonkę składającą

się z zakietu w biało-różowy wzór kwiatowy i różowej spódnicy od swojego ulubionego projektanta.

Doug Latterby niemalże wisiał kilka cali za plecami prezydenta, nieco na prawo. Jego pociągła twarz z wielkim nosem była zwykle łagodna, ale gdy prezydent Pietrowski wysiadł ze swojej limuzyny, usta Douga ściągnęły się, a jego plecy przygarbiły z napięcia.

— Właśnie wchodzi po schodach. Uśmiecha się do pana. Wyciąga rękę. Proszę podnieść rękę, wyciągnąć. Bardziej na lewo. Dobrze.

Prezydent Perry uśmiechnął się i przywitał gościa słowami:

— Witamy w Białym Domu, panie prezydencie. Mam nadzieję, że miał pan miłą podróż. Przepraszam za niezbyt inspirującą pogodę. Gdy byłem ostatnim razem z Marian w Moskwie, ta burza śniegowa, którą pan dla nas zamówił, zrobiła na nas niezwykle wrażenie.

Zostało to przetłumaczone pospiesznie i raczej bez polotu, ale prezydent Pietrowski kiwał głową ze zrozumieniem. Był niski i miał wyłupiaste oczy. Marian Perry nazywała go „Gollumem”.

— Wolę ciepły klimat — odpowiedział przez tłumacza. — Ale czy porzekadło nie głosi, że „kilka kropel deszczu powinno każdemu nakapać do życia?”.

Po formalnym powitaniu w Sali Recepcyjnej w obecności psa prezydenta wabiącego się Sierzant, który krążył dookoła i wściekle zamiatał ogonem, uderzając nim o nogi wszystkich zebranych, prezydent Perry zaprosił Gieorgija Pietrowskiego do Gabinetu Ovalnego. Marian Perry rzuciła okiem na

Douga Latterby'ego, gdy ten delikatnie zmienił kurs prezydenta, który szedł na ścianę, i pomyślała, że faktycznie może im się udać. W końcu w połowie drugiej kadencji David Perry znał na pamięć każdy zakręt i kąt Skrzydła Zachodniego.

Usiedli w Gabinetcie Ovalnym — po jednej stronie prezydenta Perry'ego siedział wiceprezydent Kenneth Moran, a po drugiej Doug Latterby. Byli tam też sekretarz stanu, George Smirniotakis, ciągle podnoszący chusteczkę do nosa, oraz szef FBI, Warren Truby, którego Marian Perry nazwała kiedyś „smutniejszym bratem Herberta Hoovera”.

Gdy kelner przyniósł kawę i ciasto, Doug Latterby pochylił się do prezydenta i szepnął mu przez ramię:

— Pietrowski jest trochę bardziej na prawo. O, dobrze. Proszę trzymać wzrok nieco niżej.

W końcu drzwi do Gabinetu Ovalnego zamknięto i prezydent Perry przemówił:

— Georgij, będę mówił bez owijania w bawełnę. Do stałeś raporty wstępne, więc wiesz, że chciałem się dzisiaj tu z tobą spotkać, by prosić cię o aktywną pomoc. W prawie każdym dużym mieście w całych Stanach Zjednoczonych działają co najmniej trzy wielkie rosyjskie organizacje przestępcze, które wprowadzają rządy strachu, korupcję i cierpienie. Kiedyś byli to Sycylijczycy i ich mafia. Teraz Rosjanie i Ukraińcy, którzy zajmują się wszystkim: handlem narkotykami, prostytutką, hazardem, oszustwami i kradzieżami na taką skalę, jakiej ten kraj nigdy jeszcze nie widział.

Georgij Pietrowski wysłuchał tłumaczenia i odpowiedział:

— Ameryka zawsze reklamowała się jako kraj wielkich możliwości, gdzie każdy może się dorobić bez względu na to, skąd pochodzi.

— Oczywiście — odparł prezydent Perry. — Ale jest olbrzymia różnica pomiędzy dorabianiem się pracą a za bieraniem innym ich dorobku. Olbrzymia różnica istnieje też pomiędzy wolnym rynkiem a wymuszeniem rozbójniczym.

Gieorgij Pietrowski wzruszył ramionami.

— Każdy sad wydaje jedną albo dwie zepsute śliwy. Nie rozumiem, jak miałbym osobiście odpowiadać za występki kilku ludzi, którzy akurat urodzili się w Rosji. W końcu sami ich wpuściliście na teren Stanów Zjednoczonych. I teraz w gestii waszych służb policyjnych leży ukrócenie ich działalności, a w gestii waszych sądów — ich skazanie. Wszystko, co mogę jeszcze dodać, że jeśli chcecie dać im najśrodsze z możliwych wyroki, to macie moje szczere błogosławieństwo.

— Obawiam się, że potrzebuję od ciebie więcej niż tylko szczerych życzeń powodzenia, Gieorgij. — Prezydent Perry nie potrafił ocenić, czy Pietrowski jest śmiertelnie poważny, czy lekko sarkastyczny. — Potrzebna mi twoja aktywna współpraca.

Normalnie w tej sytuacji wstałby i podszedł od tyłu do fotela Pietrowskiego, żeby Rosjanin musiał wykręcić szyję, by mu odpowiedzieć. Ale teraz, przez ślepotę, nie miał szansy na realizację takiego scenariusza. Nie mógł sobie pozwolić na potknięcie się albo pomylenie kierunku.

— Zależy mi szczególnie na dorwaniu niejakiego Lwa Chlebnikowa, który przewodzi szajce mafijnej łączącej

prostytycję z handlem narkotykami w Nowym Jorku. Do tej pory nie udało nam się postawić mu żadnych zarzutów, bo nikt nie chciał przeciwko niemu zeznawać. Wszyscy się go boją, bo jeśli ktoś stanie mu na drodze, przywiązuje delikwenta do wolno stojącej skrzynki na listy, oblewa benzyną i podpala. Takie postępowanie uważane jest za łagodne.

— Słyszałem o tym człowieku. — Georgij Pietrowski skinął głową.

— Jest jeszcze Wiktor Zamiatin, który ma swoją bazę w Cincinnati. Nie jest tak silny jak Chlebnikow, ale macki Zamiatina rozciągają się na cały Środkowy Zachód. Jego organizacja zajmuje się wymuszaniem opłat za ochronę, podpaleniami, prostytucją i handlem narkotykami. Zamiatin pcha się dosłownie wszędzie, gdzie może coś nielegalnie zarobić.

— O tym człowieku też słyszałem — przyznał prezydent Georgij Pietrowski. — On jest... jak wy to mówicie... „niezłym cwaniakiem”.

— To dobre podsumowanie.

— Więc czego się po mnie spodziewasz? Chcesz, żeby moje siły bezpieczeństwa porwały tych dwóch ludzi i przewiozły ich do Rosji? Ja nie chcę ich tam tak samo, jak ty nie chcesz ich tutaj.

— Oczywiście, że nie o to mi chodzi. Ale prawie wszystkie pieniądze, które Chlebnikow i Zamiatin zarabiają na nielegalnych operacjach, są prane przez banki w Moskwie i Sankt Petersburgu. Chodzi o miliardy dolarów rocznie. Chciałbym, żebyś przycisnął te banki i zamroził konta tych dwóch. Chciałbym też, żebyś skonfiskował ich majątki w Rosji,

domy, jachty, nieruchomości. Chcę, żeby ci dwaj faceci zostali w samej bieliźnie.

— To łatwo powiedzieć, ale trudniej wykonać. U nas też istnieje tajemnica bankowa. Poza tym od razu zauważono by, że działam na życzenie obcego mocarstwa, a to raczej nie wpłynęłoby korzystnie na umocnienie mojej pozycji jako prezydenta, nieprawdaż?

— Raczej nie — przyznał prezydent Perry.

— Trochę bardziej na lewo — szepnął mu do ucha Doug Latterby.

Prezydent poprawił się w fotelu i kontynuował:

— Jednak szkody, które ci dwaj wyrządzają gospodarce i społeczeństwu, są tak znaczące, że jeśli odmówisz dobrowolnej pomocy, to będę musiał uciec się do perswazji.

— Perswazji? Sugerujesz, że będziesz na mnie naciskał?

— Możesz to sobie tłumaczyć, jak chcesz. Ale jeśli nadal pozwolisz Chlebnikowi i Zamiatinowi prać pieniądze w rosyjskich bankach, będę zmuszony rozpocząć systematyczne redukcje pomocy finansowej dla Federacji Rosyjskiej. Za każdy miliard, który Chlebnik i Zamiatin wyduszą ze Stanów Zjednoczonych, zarządę wycofanie dziesięciu miliardów w środkach pomocowych, pożyczkach i inwestycjach.

Nastało długie milczenie przerywane jedynie kaszlem i krepującym poprawianiem się w fotelach. Prezydent Perry mógł tylko wyobrazić sobie wyraz twarzy Georgija Pietrowskiego.

— Gollum być zły — powiedział Dough Latterby szepem. — Gollum bardzo, bardzo zły.

Gdy wreszcie prezydent Federacji Rosyjskiej odpowiedział, widać było, że jest wściekły.

— Uważam, że powinniśmy zawiesić te rozmowy. Po trzebuję czasu na zastanowienie się nad twoimi sugestiami, muszę przedyskutować je z moimi doradcami. Okazuje się, że ta kwestia radykalnie zmieniła nasze dotychczasowe relacje. Wszedłem do tego gabinetu, myśląc, że jesteście sojusznikami politycznymi na zasadzie równości.

— Nadal nimi jesteśmy. Nic się nie zmieniło pod tym względem — odparł prezydent Perry.

— Tak uważasz? Sojusznicy nie grożą sobie nawzajem.

— Sojusznicy nie pozwalają, by najgorsze męty okradają narody dla nich ważne, i nie odmawiają działania, gdy są o to poproszeni.

Georgij Piotrowski wstał. Doug Latterby ujął łokieć prezydenta, dając mu znak, że powinien w tym momencie wstać.

— Z pełną powagą rozważę to, co powiedziałeś, Davidzie. Przekażę ci moją odpowiedź jak najszybciej.

— Wiedz, że o czymkolwiek rozmawiamy w tym gabinecie, nie ma to wpływu na naszą osobistą przyjaźń.

— Oczywiście, że nie. Doskonale rozumiem, pod jaką jesteś presją. Ale powinieneś także zrozumieć moją sytuację. Aha, zanim zapomnę, pokażę ci aktualne zdjęcia „moich” dwóch bandziorów.

Wyjął kolorową fotografię z wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął na rękę do przodu. Doug Latterby przejął zdjęcie i włożył do ręki prezydenta Perry'ego.

— Ja już wiem, jak te dwa dranie wyglądają — odparł prezydent, oddając fotografię.

Gieorgij Piotrowski zeszywniał i popatrzył na prezydenta Perry'ego ze zdziwieniem, po czym bez słowa odwrócił się i wyszedł z Gabinetu Owального. Za nim pospieszyli jego doradcy.

— Co się stało, Doug? — zapytał prezydent.

— Chodzi o tę fotografię, panie prezydencie. Myślę, że nie wyłapał pan akcentu na słowo „moje”. To nie był Chlebnikow ani Zamiatin. To były dzieci prezydenta Piotrowskiego.

Rozdział 8

AMA lot numer 2849, Atlanta — Los Angeles

— Załoga pokładowa, piętnaście minut do lądowania — zakomunikował Tyler przez interkom. Siedział w fotelu drugiego pilota ze słuchawkami na uszach. — Cholera jasna, w życiu nie myślałem, że kiedykolwiek coś takiego powiem.

— Może powinieneś wyłączyć interkom, zanim podzielisz się tak radosną informacją z dwustu dziewięcioma niczego niepodejrzewającymi pasażerami — skomentował kapitan Sherman.

— Cholera, przepraszam. Trzęsączka początkującego.

— Cieszę się, że tego też nie słyszeli.

Boeing 747-400 lekko bujał popychany bocznym wiatrem. Przez szybę Tyler dostrzegł porzrzucone po całym horyzoncie mrugające światełka wybrzeża południowej Kalifornii.

— Systemy awaryjne uruchomione? — zapytał kapitan Sherman.

— Tak — odpowiedział Tyler.

— Kontrola ciśnienia włączona? Wilgotność wyłączona. Wprowadź wysokość nad poziomem morza pasa, żeby

rozhermetyzować kabinę podczas lądowania. W tym wypadku to sto dwadzieścia osiem stóp.

— Wprowadzone.

— Ustaw wskaźnik położenia horyzontalnego na tryb nawigacji radiowej.

— Ustawione.

— Włącz automatyczne hamowanie. Chyba nie chcieli byśmy bezpiecznie wylądować, a potem się nie zatrzymać, prawda? Mieszkańcom Inglewood nie bardzo by się to podobało.

Tyler udał przerażenie, ale kapitan Sherman i tak nie mógł tego zobaczyć, ponadto Tyler był wystarczająco przerażony, tak że właściwie nie musiał udawać.

— Światła w kabinie i podświetlenie wyjścia z samolotu włączone. Zapłon włączony. Systemy paliwowe włączone w pozycję do lądowania. Podgrzewanie paliwa wyłączone. Stabilizacja kołowania włączona. Hydraulika sprawdzona. Kłapy oporowe ustawione na dwadzieścia pięć stopni.

Krople potu spływały po czole Tylera, każdy mięsień jego barków i ramion był napięty. Zaczął się bać, że nie poradzi sobie z lądowaniem. Wszystkie popis kaskaderskie, które wykonywał, były zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, dopracowane co do milimetra przez profesjonalistów z branży. Jeśli Tyler podejrzewał, że ryzyko było zbyt wysokie, to po prostu odmawiał wykonania numeru. Ale w tym wypadku nie miał wyjścia. Musiał się wywiązać z zadania. I to od razu dobrze.

— Znajdź kontrolki systemu zarządzania lotem — odezwał się kapitan Sherman. — To te dwa podświetlone przełączniki na panelu antyodblaskowym oznaczone LNAV

i VNAV. Wyciągnij z pamięci na monitor mapę lotniska w Los Angeles i ustaw ją w skali stumilowej. Przed lądowaniem będzie pulsował sygnał na środku ekranu.

Tyler zaczął ustawiać mapę elektroniczną, a światła Los Angeles wydawały mu się już niepokojąco blisko.

— Pomiedzy siedzeniami znajduje się gałka pokręta. Znalazłeś ją? Przekręcaj ją, aż liczba na wyświetlaczu wyniesie sto stóp ponad poziomem pasa do lądowania, czyli dwieście dwadzieścia osiem stóp.

— Okay... zrobione.

— Teraz ogłoś przez interkom: „Kabina przygotowana do lądowania”.

Tyler widział dokładnie lotnisko w Los Angeles i światła pasa do lądowania.

— Naciśnij przyciski LOC i G/S. Powinny zapalić się wszystkie trzy kontrolki CMD.

— Zapaliły się.

Silniki samolotu zawyły, gdy 747 podchodził do lądowania na pasie 7L z prędkością dwustu pięćdziesięciu węzłów.

— Klapy na trzydzieści stopni — poinstruował kapitan Sherman. — Włącz automatyczne hamowanie.

— Pięćdziesiąt — oznajmił głos automatycznego pomiaru wysokości. — Trzydzieści.

Przez długą chwilę Tyler był przekonany, że czterystutonowy samolot leci zbyt szybko i zbyt wysoko i że nie trafią w pas lotniska. Tylko kilka razy w życiu szczerze się modlił, ale gdy 747 pędził nad pasem na wysokości poniżej dziesięciu stóp i nadal nie dotykał kołami podłoża, Tyler szepnął: „Ratuj mnie, Boże!”.

Nagle poczuli uderzenie i szarpnięcie w lewo. Po chwili

nowe szarpnięcie i osiemnaście kół 747 zaczęło piszczeć jak chór zarzynanych świń. Silniki przeszły z ogłuszającym wyciem w tryb hamowania. Tyler zauważył, że samolot ściga na lewą stronę pasa. Byli dwadzieścia jardów od progu, gdy boeing wreszcie się zatrzymał. Kapitan Sherman odwrócił się do niego i spojrzał niewidzącymi oczami.

— To byłoby tyle, Jones. Udało się. Wygrał pan czekoladę.

— Nie sędzę, żeby udało mi się wylądować bez tego automatycznego urządzenia — odpowiedział z ulgą Tyler, jednak cały trząśł się, jakby przez godzinę trzymał w rękach pięćdziesięciokilową sztangę.

— Ma pan rację. Nie chciałem umniejszać pana zasług, ale bez automatycznego systemu lądowania prawdopodobnie wielu z nas by pan zabił.

— Ach, dziękuję panu za takie wotum zaufania.

— Nie chciałem pana obrazić, panie Jones. Po prostu jestem realistą.

Na zewnątrz, na pasie startowym, po obu stronach samolotu ustawiały się wozy strażackie i karetki pogotowia z migającymi światłami na dachach. Obsługa pokładowa otwierała drzwi i zrzuciła awaryjne spusty dla ludzi. Pierwsi pasażerowie zjeżdżali na dół.

W drzwiach kokpitu pojawił się jasnowłosy mężczyzna w białej koszuli w towarzystwie szefa pokładu. Intensywnie pachniał płynem po goleniu.

— Kapitan Sherman? Nazywam się George O'Donnell, jestem zastępcą kierownika operacyjnego lotniska. Wieża poinformowała nas o pana kłopotach ze wzrokiem.

Kapitan Sherman się nie odwrócił.

— To nie są „kłopoty ze wzrokiem”, panie O'Donnell. Z nieznanых przyczyn straciłem wzrok, tak jak moja cała załoga. Ten dżentelmen wspomagał nas w posadzeniu tego ptaszka na ziemię.

George O'Donnell pochylił się do przodu i wyciągnął rękę, by pogratulować Tylerowi.

— Dziękujemy panu za pomoc. Linie lotnicze AMA przekażą panu swoje dowody uznania.

— Proszę się tym nie martwić. Ja chcę tylko wreszcie stąd wyjść — odpowiedział Tyler.

— Wolelibyśmy, żebyście jeszcze tu pozostali aż do chwili, gdy wszyscy pasażerowie opuszczą pokład. Nie chcemy, żeby widzieli, jak pomagamy wyjść z samolotu załodze, która straciła wzrok. Kto wie, jakiego bałaganu narobili by wtedy w sądach nasi pasażerowie.

— Z całym szacunkiem, panie O'Donnell. Ja nie jestem ślepy i chcę po prostu wynieść się z tego samolotu jak najszybciej!

— Rozumiem pana, ale wokół jest pełno przedstawicieli prasy i nie chcielibyśmy, żeby pan z nimi rozmawiał, dopóki sami się nie dowiemy, co tu się dokładnie działo.

— Chodzi panu o to, żeby to pan ustalił ponad wszelką wątpliwość, że nie była to wina AMA? A może to była wina AMA? Jak zamierza pan to wszystko wyjaśnić?

— Nie ma potrzeby, żeby pan się unosił. Tak jak wspominałem, jesteśmy panu bardzo wdzięczni, ale moja praca polega na dbaniu o reputację linii lotniczych. Pasażerowie powinni mieć pełne zaufanie do AMA i nadal latać naszymi liniami.

Położył ręce na ramionach Shermana.

— Na zewnątrz czeka na pana i załogę ambulans. Jak

tylko pasażerowie opuszczą pokład samolotu, zabierzemy państwa na dokładne badania do Instytutu Okulistyki Doheny w Lincoln Heights. Tyler zdjął słuchawki, rozpiął pasy i wstał.

— Kapitanowi i załodze może pan kazać pozostać, dopóki pasażerowie nie opuszczą samolotu, panie O'Donnell, ale ja nie pracuję w waszej firmie, dlatego teraz pójdę do domu.

Tyler był wyższy od O'Donnella o jakieś cztery cale i cięższy o blisko dwadzieścia osiem funtów. George O'Donnell podniósł ręce w uspokajającym geście.

— Okay... niech będzie. Ale nadal proszę, żeby nie rozmawiał pan z dziennikarzami. Nie chcemy stworzyć wrażenia hysterii.

— Histerii?! — wybuchnął Tyler. — Nie było pana na pokładzie samolotu, gdy powiedziano mi, że pilot i cała załoga stracili wzrok. Pan nawet nie zna znaczenia słowa „histeria”.

— Okay, nie kłóćmy się już — mruknął O'Donnell, schodząc mu z drogi.

— Mam nadzieję, że odzyska pan wzrok, kapitanie Sherman. Zadzwoń jutro do szpitala i dowiem się, co u pana słychać.

— Dzięki — odparł kapitan. — Dziękuję za uratowanie pasażerów.

— Nie ma sprawy. Też chciałem żyć.

Właśnie miał zamiar przejść do kabiny klasy turystycznej po swoją torbę, gdy usłyszeli przez radio przejęty głos.

— Wieża do AM A dwa osiem cztery dziewięć! Wieża do AMA dwa osiem cztery dziewięć! Ewakuować się jak najszybciej! Nadlatuje samolot pozbawiony kontroli!

Kapitan Sherman podniósł swoje słuchawki z mikrofonem.

— Powtórz!

— Przyspieszcie ewakuację pasażerów z waszego samolotu! Nadlatuje prywatny odrzutowiec z południowego zachodu z szacunkową prędkością dwustu siedemdziesięciu węzłów. Ma przyrządy nastawione na pas siedem L i wytraca wysokość, ale nie możemy połączyć się z pilotem.

Bez chwili wahania Tyler chwycił za ramię nawigatora i unióśł go z fotela. Wypchnął go za drzwi kokpitu i to samo zrobił z drugim pilotem. George O'Donnell i szef pokładu pomagali wypiąć się z pasów kapitanowi Shermanowi.

Górny pokład i pierwsza klasa były już prawie puste, zostało tylko dwóch pasażerów, którzy zbierali swoje bagaże ręczne. Jednak w klasie turystycznej w przejściu między fotelami stało jeszcze trzydziestu, może czterdziestu pasażerów czekających na swoją kolej do ewakuacji. Żaden z nich nie panikował ani się nie przepychał. Spokojnie rozmawiali i żartowali.

— Nie ślizgałem się na zjeżdżalni, odkąd ukończyłem osiem lat! — żartował jakiś pasażer.

Tyler zaczął krzyczeć.

— Słuchajcie, wszyscy! Uwaga! Musicie jak najszybciej opuścić samolot! Na tym samym pasie ląduje następny samolot!

— Nie zdejmujcie butów! Ewakuujcie się natychmiast! — dodał szef pokładu.

Podniosły się nerwowe krzyki i pasażerowie zaczęli się wzajemnie popychać. Tyler pociągnął nawigatora i drugiego pilota do wyjścia.

— Boże, proszę mnie nie pchać, przecież nic nie wi-
dzą! — jęknął nawigator, ale Tyler i tak go popchnął w dół
spustu. Za nim zjechała otyła kobieta w jasnoróżowym
swetrze i biznesmen ściskający swój neseser. Za nimi zsunęło
się dwoje starszych japońskich turystów.

Tyler odwrócił się i zobaczył, że kapitan niepewnie schodzi
po krętych schodach z górnego pokładu uciepiony poręczy.
George O'Donnell był tuż za nim.

Tyler już miał podejść do schodów, gdy usłyszał prze-
szywający uszy świst i ogłuszającą eksplozję, która odbijała
się echem od budynków portu lotniczego. Ktoś na pasie
zaczął wrzeszczeć: „O mój Boże! O mój Boże!”.

Tyler wrócił do wyjścia, gdzie ostatnia czwórka pasażerów
czekała na ewakuację. Stały tam rudowłosa stewardesa,
która go obudziła, i czarna stewardesa z włosami splecionymi
w drobne warkoczki.

— Co to było? — wymamrotała ta pierwsza głosem
pełnym przerażenia; jej twarz była upiornie blada ze stra-
chu. — Czy to samolot?

Tyler wychylił się na zewnątrz, przysłaniając oczy dłonią.
W odległości około stu jardów zobaczył płonący zarys
dwusilnikowego prywatnego odrzutowca pędzącego na nich
na płonących oponach. Maszyna wybuchła przy siadaniu,
ale nadal toczyła się po pasie z prędkością sześćdziesięciu,
może siedemdziesięciu węzłów na godzinę, niczym płonący
karawan pogrzebowy.

Tyler złapał obydwie stewardesy za ręce i wyskoczył za
drzwi. Strażacy na dole pomogli im się wydobyć z plątaniny
rąk i nóg i wstać.

— Uciekajcie! — popędzili ich strażacy i Tyler ze stewar-

desami pobiegli po pasie startowym, byle dalej od 747. Nawet strażacy zaczęli uciekać.

Kapitan Sherman i George O'Donnell stali jeszcze w otwartych drzwiach boeinga, gdy prywatny odrzutowiec wbił się w 747. Pierwszy zbiornik paliwa boemga eksplodował i olbrzymi jeźor ognia, buchający niczym z paszczy smoka, polizał czarne niebo.

Tyler zatrzymał się i odwrócił. Odbiegli mniej więcej na trzysta jardów od kadłuba samolotu, ale mimo to poczuli na twarzach żar wybuchu. Kolejne zbiorniki paliwa eksplodowały, wysyłając w powietrze płonące kawałki aluminium.

Wyczerpany, spocony i sapiący Tyler usiadł koło oznaczenia początku pasa dojazdowego. Stewardesy usiadły tuż obok. Przyglądali się, jak pożar ogarnia cały samolot, od dzioba po ogon. Byli zbyt przejęci, by rozmawiać, a poza tym hałas palącego się boeinga zagłuszyłby słowa. Nastąpiła seria mniejszych wybuchów, gdy ogień doszedł do zbiorników tlenu i eksplodowały koła, pękały szyby. Pięć wozów strażackich wylewało pod olbrzymim ciśnieniem hektolitry białej piany na kadłub samolotu. Piana kłębiła się na pasie niczym tańczące frywolne duszki.

Nad nimi krążyły helikoptery policji i straży pożarnej, a ich reflektory krzyżowały się na porannym niebie, przebijając gęsty czarny dym dobywający się z płonącego 747. O wpół do szóstej rano z potwornym jękiem korpus samolotu zapadł się do środka i zwałił na powierzchnię pasa startowego.

Latynoska pielęgniarka przybiegła do Tylera i stewardes sprawdzić, czy nic im się nie stało. Miała bardzo szerokie biodra, ale Tyler pomyślał, że ma poprawiającą nastrój piękną

twarz Madonny. Po chwili podszedł do nich funkcjonariusz Federalnego Zarządu Lotnictwa, by wziąć od niego adres — będzie musiał stawić się później na przesłuchanie podczas oficjalnego postępowania wyjaśniającego. Po nim przyplątał się kolejny kierownik z AM A, ostrzyżony na jeża, w okularach.

— Czy kapitan Sherman zdążył się uratować? — zapytał go Tyler.

— Przykro mi, ale nie. Do tej pory ustaliliśmy, że mamy łącznie jedenaście ofiar. Niestety, kapitan Sherman jest jedną z nich.

— Cholera. Nie byłoby tylu ofiar, gdyby nie nadleciał ten drugi samolot.

— Racja. Nadal nie wiemy, dlaczego tak się stało. Ale to rzeczywiście wielka tragedia.

Tyler wstał i już miał zamiar odejść, gdy podeszła do niego blondynka w czerwonym golfie.

— Pan Jones? Jestem Tina Freely z „LA Timesa”. Czyba to pan jest bohaterem dzisiejszych wydarzeń?

— Nic o tym nie wiem. Ale i tak nie powinienem z panią o tym rozmawiać.

— Niech pan da spokój, panie Jones. Czy mogę zwracać się do pana po imieniu? Liniom lotniczym AMA nie udało się utrzymać faktów w tajemnicy. Rozmawiałam z kilkoma kontrolerami ruchu lotniczego i oni powiedzieli mi, co się stało.

— Przykro mi, jestem całkowicie skołowany po tym wszystkim, muszę iść do domu.

Tina Freely szła obok Tylera w stronę terminalu portu lotniczego.

— Więc cała załoga straciła wzrok i pan musiał wylądować tym samolotem?

— To odbyło się automatycznie. Ja tylko przycisnąłem kilka guzików, włączyłem kilka przełączników i powiedziałem pasażerom, żeby nie palili w toaletach.

— To i tak duży akt odwagi.

— Załoga straciła wzrok. Chyba nie miałem wielkiego wyboru, prawda?

— Czy wie pan, dlaczego oślepli?

— Nie mam pojęcia. Kapitan podejrzewał, że to mógł być jakiś wirus przenoszony przez klimatyzację. Wie pani, coś w rodzaju choroby legionistów. Ale jeśli to byłaby prawda, to dlaczego nikt inny nie ośleplł? Dlaczego ja nie straciłem wzroku?

Byli już blisko terminalu. Samoloty nadal lądowały, kołowały i startowały z innych pasów, więc Tyler niezbyt dokładnie słyszał, co do niego mówiła, jedynie koniec zdania usłyszał wyraźnie: „poinformował, że też stracił wzrok”.

— Ktoś jeszcze ośleplł? Przepraszam, nie usłyszałem wszystkiego.

— Ten prywatny odrzutowiec, który rozbił się i wpadł w boeinga, to learjet czterdzieści pięć. Jego właścicielem i pilotem był Norman Rossabi, jeden z partnerów firmy Kerwin, Rossabi i Prink. To prawnicy wielkiego show-biznesu.

— No tak. Słyszałem o nich. Zresztą, kto nie słyszał...

— Rossabi sam pilotował maszynę. Leciał z nim jego klient. Wracali z weekendu w Albuquerque. Odezwwał się przez radio gdzieś nad lasami państwowymi Tonto w Ariзонie i poinformował, że nagle ośleplł. To był ostatni przekaz

z tego samolotu. Przynajmniej kontrolerzy złapali go na radarze i widzieli, jak wraca do domu.

— Może to tylko zbieg okoliczności — rzucił z powątpiewaniem Tyler.

— Tak się panu wydaje?

— Nie mam pojęcia. Może to jakaś choroba, którą łapią piloci na dużych wysokościach. Może to kwestia ciśnienia albo wpływ promieniowania ultrafioletowego od słońca. Atmosfera jest tam rozrzedzona, prawda? I nie chroni przed szkodliwym promieniowaniem.

— Może i tak — odparła Tina Freely. — Czy mogę zrobić panu zdjęcie? Mógłby wyglądać pan tak bardziej... bohatersko?

Rozdział 9

Ladera Park, Los Angeles

— O której godzinie przyjdą ci z opieki społecznej po dziecko? — zapytała po raz siódmy ciotka Jaśminy. — Muszę przyznać, że to maleństwo jest słodkie, ale nie zajmowałam się nigdy niemowlętami. Z tobą siedziałam, gdy byłaś już nastolatką, a twoja mama musiała chodzić do pracy. Przysięgam, że kiepsko rozróżniam jeden koniec niemowlaka od drugiego.

— To proste — odparła Jasmine. — Wystarczy tylko powąchać.

Ciotka Jasmine wyszła na balkon z dzieckiem na rękach. Była niska, koścista i przygarbiona. Miała wyschniętą i pomarszczoną skórę na twarzy, która Jasmine zawsze bardziej przypominała skórzaną maskę niż ludzką twarz. Głowę okryła czerwonym jedwabnym szalem, który udrapowała w coś, co przypominało wielką różę. Ubrana była w sukienkę z czerwonego jedwabiu do kostek, o szerokich rękawach i obszyciu z żółtej nitki.

W uszach nosiła dyndające złote kolczyki, a na nadgarst-

kach miała więcej złotych i srebrnych brzęczących bransoletek, niż Jasmine mogła zliczyć. Nazywała siebie ciotką Ammy, tutaj w Ladera Park, ale naprawdę nazywała się Amadi, co znaczyło „wielka radość, bo wydawało się, że umrze przy porodzie”. Podniosła dziecko i powąchała.

— Na razie chyba wszystko w porządku. Ale jeśli wyniucham kupeczkę, to od razu przekazuję je tobie, słyszysz?

— Tak.

Jasmine patrzyła na szare welony dymu nadal unoszące się nad lotniskiem. Dym odchylał się w lewo, bo wiał północno-zachodni wiatr. Przypomniało jej to słowa z Biblii, które babcia zawsze jej cytowała: / *sprawię dziwy na górze — na niebie i znaki na dole — na ziemi. Krew i ogień, i kłęby dymu**.

Nad końcem pasa startowego nadal krążyły trzy helikoptery. Jasmine i ciotka usłyszały eksplozję boeinga linii AMA o trzeciej dwadzieścia pięć rano i wyskoczyły od razu na balkon. W ciemnościach zobaczyły czerwoną kulę ognia.

W wiadomościach telewizyjnych już po niespełna dziesięciu minutach podano, że na lotnisku w Los Angeles zderzyły się dwa samoloty, ale na razie brak informacji o liczbie ofiar. Godzinę później na pospiesznie zorganizowanej konferencji prasowej szef policji William J. Bratton podał do wiadomości, że chociaż policja Los Angeles nie wykluczyła całkowicie zamachu terrorystycznego, to jed-

* Dzieje apostołskie 2,19, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2000.

nak wszystko wskazuje, że był to jedynie tragiczny wypadek.

Ammy bujała dziecko na rękach. Chłopczyk nie spał, ale najwyraźniej jej kołysanie go uspokajało.

— To nie był wypadek — stwierdziła z naciskiem. — Tak samo jak to, co przydarzyło się tobie wczoraj, ten karambol na autostradzie, to też nie był wypadek.

— Skąd możesz to wiedzieć? — Jasmine odwróciła się i pogłaskała niemowlę po głowie i rączce. Chłopczyk złapał za jej palec i patrzył na nią poważnym wzrokiem, jakby nie chciał stracić jej z oczu.

— Wiem, i tyle. Czuć to w powietrzu.

— Znowu ta twoja parapsychologia. Rzucasz kości?

— Nie muszę rzucać kości, żeby wyczuć, że szykuje się coś złego. To po prostu czuć. Powietrze wokoło zaczyna gęstnieć, robi się jak zupa.

— Może jeszcze raz powinnaś zadzwonić do opieki społecznej? Może zapomnieli?

— Trochę cierpliwości. Przyjadą. Najpierw muszę porozmawiać z moim agentem ubezpieczeniowym, a to jest teraz o wiele ważniejsze. Próbowałam już cztery razy i nikt nie podnosi słuchawki.

— A nie mówiłam? Coś złego wisi w powietrzu!

♦ ♦ ♦

Godzinę później Jasmine jeszcze raz zadzwoniła do pogotowia opiekuńczego, ale w słuchawce usłyszała jedynie nagranie z sekretarki automatycznej zachęcające do pozostawienia nazwiska i numeru telefonu.

— Może sama powinnam zawieźć im to dziecko?

— Chyba tak. Przecież nie możesz go tak sobie zabrać do domu, a ja tym bardziej nie mogę się zaopiekować biednym maleństwem.

Jasmine po raz kolejny wykręciła numer agencji ubezpieczeniowej. Znowu usłyszała nagranie podobne do tego na sekretarce automatycznej pogotowia opiekuńczego: „...wszystkie linie są zajęte... prosimy o pozostawienie krótkiej wiadomości, a nasz konsultant oddzwoni do państwa...”.

— Weź mój samochód — zaproponowała ciotka Ammy. — Odwieź małego i pojedź do siebie. Możesz poprosić Hubiego, żeby odstawił samochód jutro.

— Super, dzięki.

Jasmine wyciągnęła ręce, chcąc wziąć dziecko od ciotki Ammy, ale chłopczyk bardzo mocno chwycił się czerwonej jedwabnej sukienki i zaczął płakać.

— Hej, cicho — uspokajała go Ammy. — Jazz zabierze cię do miłych ludzi, którzy się tobą zaopiekują.

Jasmine wzięła go na ręce, ale malec zaniósł się jeszcze głośniejszym płaczem i nadal mocno ścisnął sukienkę Ammy.

— On chyba chce, żebyś ty była jego nową mamusią — rzekła Jasmine.

— Sorry, mały, ale bycie mamuszką to zupełnie nie dla mnie. Nawet taki przystojniak jak ty nie zrobi ze mnie mamki.

W tym momencie niemowlę nagle przestało płakać i spojrzało na sufit niebieskimi oczami pełnymi łez. Sprawiało wrażenie, jakby coś usłyszało albo na coś czekało. Podniosło rączkę i wskazało nią sufit.

— O co chodzi, koleś? — zapytała ciotka Ammy. Dziecko nadal wskazywało sufit.

— Ga — powiedział chłopczyk.

— Ga?

— Ga — powtórzył.

— Sorry, mały, ale ja nie rozumiem mowy niemowlaków. Kiedyś coś czaiłam, ale już wszystko zapomniałam.

— Ga — powiedziało dziecko i w tym momencie usły szafy dudniący dźwięk, okna w mieszkaniu ciotki Ammy zaczęły drżeć, a brązowa kamionkowa waza spadła z półki i rozbiła się o lakierowaną podłogę z klepki. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze, a po chwili całe mieszkanie zaczęło drżeć, aż ze ściany spadł obrazek jakiegoś świętego.

— Trzęsienie ziemi — zawyrokowała Jasmine, ale to było bardziej pytanie niż stwierdzenie, nigdy wcześniej nie przeżyła takich objawów trzęsienia. Dudnienie przemieniło się w rozdzierający powietrze ryk, a nad blokiem mieszkalnym przemknął cień olbrzymiego smoka. Z dachu odpadły różowe dachówki, a w pobliskim parku podmuch zerwał liście z drzew.

Jasmine i ciotka Ammy wyskoczyły na balkon akurat w chwili, by zobaczyć osiemdziesięciostopowy ogon airbusa 380 znikającego za blokami po drugiej stronie parku. Połyskiwał białością i był tak wielki, że budynki dookoła wyglądały jak makiety.

— Święta Tereso! — krzyknęła Ammy, ale Jasmine wiedziała, że ciotka nie modli się do żadnej chrześcijańskiej świętej, lecz raczej do Oya, bogini burzy, piorunów i cmentarzy Santerii.

Nie był to najgorszy pomysł, bo potężny odrzutowiec

pasażerski spadł dokładnie na skrzyżowanie West Centinela i La Tijera Boulevard z tak głośnym hukiem, jakby walnęły wszystkie pioruny, które tu kiedykolwiek spadły. Nos samolotu rozpychał samochody i przewracał ciężarówki, a skrzydła o rozpiętości dwustu sześćdziesięciu stóp ścinały palmy, latarnie i kładki dla pieszych.

Samolot ślizgał się wzdłuż La Tijera i wbił się pod betonowe słupy wiaduktu obwodnicy San Diego Freeway, po czym wybuchł, wyrzucając w powietrze kawałki estakady. Pędzący autobus runął pod kątem sześćdziesięciu stopni w dziurę wybitą przez dziób samolotu, natrafiając na płonące zbiorniki paliwa. Po nim do wyrwy w jezdni jak stado metalowych lemingów poleciały kolejne samochody.

Jasmine i ciotka Ammy obserwowały strzelające wysoko w niebo pozostałości po wybuchających pojazdach, a wiele z latających fragmentów przypominało ludzkie szczątki. Hałas był potworny — chrzęst stali i aluminium, wybuchy kolejnych zbiorników z paliwem i niekończące się uderzenia blachy o blachę. Nad koronami drzew unosiła się brązowa chmura w kształcie grzyba, a przez gałęzie i liście widać było pomarańczowe jęzory płonącego paliwa lotniczego rozlewającego się po jezdni.

— Mój Boże — jęknęła Jasmine i przeżegnała się szybko. Nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć w takiej chwili. Wróciła do salonu i usiadła na przykrytej czerwoną kapą sofie. Trzęsła się z szoku. — Mój Boże, on przecież prawie rozbił się o nasz dach.

Ciotka Ammy też wróciła z balkonu i usiadła obok niej. Niemowlę przestało płakać i siedziało spokojnie. Wpatrywało się w Jasmine z wielką powagą.

— On wiedział, co się stanie — rzekła Jasmine. Ujęła dziecko za dłonie. — Wiedziałeś, tak? Czułeś, że to się wydarzy, zanim my to pojęliśmy?

Ammy pogłaskała policzek dziecka.

— Może on ma moc. Na przykład widzi przyszłość.

— Mój Boże. Ci wszyscy biedni ludzie. Nikt nie przeżył by takiej tragedii. I akurat musiał spać na La Tijera. Bóg jeden wie, ilu ludzi zginęło na ziemi.

Dziecko oparło głowę o ramię ciotki. Mrugało oczami, jakby było zmęczone. Przez otwarte drzwi balkonowe dochodziły do nich odgłosy kolejnych eksplozji, trąbienie i wycie syren wozów strażackich.

— Włącz wiadomości — poprosiła Ammy.

— Nie wiem, czy mam ochotę. To przecież tak potworna tragedia jak jedenasty września.

— Możliwe... z tym wyjątkiem, że do jedenastego września przyczynili się muzułmańscy terroryści, a to jest coś zupełnie innego. Wiem dobrze, dziewczyno. Czuję to. Tak jak gęstniejące powietrze, jak podłoga drżąca pode mną. Ktoś chce nam zrobić krzywdę, zapamiętaj moje słowa. Ktoś, kto nas mocno nienawidzi.

Jasmine niechętnie włączyła telewizor na kanał wiadomości KCAL 9. Było jeszcze za wcześnie, by mieli zdjęcia z katastrofy airbusa, ale sprawozdawca Kent Shocknek z grobową miną podawał tragiczne informacje o katastrofie lotniczej w południowo-zachodnim Los Angeles.

— „Airbus trzysta osiemdziesiąt jest największym pasażerskim samolotem świata i przewozi na swoim pokładzie ponad ośmiuset pasażerów. Od swojego pierwszego rejsu w dwa tysiące szóstym roku samolot nie miał żadnych

usterek zagrażających bezpieczeństwu lotu. Otrzymujemy doniesienia od służb ratunkowych, że liczba ofiar katastrofy może sięgnąć setek ludzi".

— Święta Tereso! — wykrzyknęła ciotka Ammy i zaczęła modlić się do bogini Oya: — *Oya yegbe iya mesa oyo orun afe fe iku lelebe oke ayaba...*

Inwokację przerwało niemowlę, które przekreśliło się w jej rękach i wskazało na ścianę, gdzie wisiało lustro w pięknie oklejonej muszelkami ramie.

— Ga — powiedziało dziecko i skrzywiło głowę, by upewnić się, że Jasmine też na nie patrzy.

— A o co teraz chodzi, mały? — zapytała Jasmine.

— Ga. — Chłopczyk wskazywał na lustro rączkami i lekko kiwał głową.

— O Boże... tylko nie mów, że kolejny samolot zaraz się rozbije.

Jasmine i Ammy siedziały cicho, nasłuchując. Słyszały łoskot wirników helikopterów policji i prasy i szaleńcze wycie syren wozów strażackich i ambulansów pędzących na miejsce katastrofy airbusa. Cały czas dochodził do nich huk zderzających się samochodów i ciężarówek. Ale nie słyszały wycia silników odrzutowych.

— Co chcesz, słodki buziaczku? — spytała małego ciotka Ammy. — Co tam widzisz?

— Ga. Mm-mm.

— Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Pewnie coś widzi, ale niech mnie drzwi ścisną, jeśli coś z tego rozumiem.

Dziecko cały czas wyciągało rączki w stronę lustra i kiwało głową, bujając się na kolanach Ammy.

— Czy on czasem nie wskazuje na lustro? — zapytała w końcu Jasmine.

— Lustro? A niby dlaczego?

— Bo to twoje szczególne lustro, prawda? Zawsze mi to powtarzałaś.

— No tak, ale...

— Zawsze opowiadałaś, że to jest szczególne lustro właśnie dzięki tej ramie przyozdobionej muszelkami.

— No tak. Muszelki *cowrie* są naklejone wokół lustra w specjalny sposób. Na górze tworzą napis *eyiolo osa*, co znaczy „rewolucje”, „kłopoty” i „pożar”. Na dole układają się w słowa *irosun oche*, co znaczy „zmarli krążą wokół i czekają, by kogoś złapać”. Mój dziadek dał mi to lustro. On był *santero*, duchownym Santerii. Powiedział, że to lustro będzie chroniło moją rodzinę, zawsze pokaże nam, co złego się stanie.

— Ga — powiedział chłopiec, nadal wskazując obiema rączkami na lustro i kiwając głową jeszcze mocniej.

— Co jest, maluszku? Zupełnie nie rozumiem twojego gaworzenia. A może powiesz wreszcie coś po ludzku?

Ammy wstała i podeszła z dzieckiem do lustra. Chłopczyk patrzył na swoje odbicie z niezwykłą powagą, zupełnie jakby miał coś powiedzieć. Powoli przekręcił głowę w lewo, a potem w prawo.

— Ga — powtórzył. — Mm-mm.

— Wiemy, co znaczy „ga” — rzekła Jasmine. — Ale nie mam najmniejszego pojęcia, co to jest to „mm-mm”.

Gdy dziecko wpatrywało się w swoje odbicie, obraz w lustrze pociemniał.

— Zobacz — odezwała się Ammy. — Wygląda, jakby w środku była noc.

Jasmine podeszła do lustra. Ciotka mówiła prawdę. Odbicie pokoju było pogrążone w mroku, a wyraźnie rysowały się jedynie ich sylwetki — Ammy z szalem udrapowanym na głowie w formie wielkiego kwiatu i Jasmine z krótkimi włosami i wielkimi kolczykami.

— Co się dzieje, ciociu Ammy? — zapytała Jasmine, marszcząc brwi.

— Nie wiem, Jazz. Nie mam najmniejszego pojęcia. Od czasu do czasu, gdy spoglądałam w lustro, widziałam w nim różne dziwne rzeczy, na przykład jaśniejące obiekty znikające w mgnieniu oka, jakby ktoś przechodził pod oknem. Ale nigdy nie widziałam, żeby w lustrze było aż tak ciemno.

Dziecko jeszcze raz pokazało rączkami na lustro, odwróciło się do Jasmine i powiedziało:

— Mm-mm.

— Na pewno „mm-mm”, mały?

— Mm-mm. Mm-mm.

Jasmine jeszcze raz spojrzała w lustro. Ich sylwetki nadal tam były, ale wyglądało, jakby jeszcze ktoś przebywał w pokoju, pomiędzy nimi a oknem balkonowym.

— Aaa! — krzyknęła Jasmine i odwróciła się, ale w jasno oświetlonym saloniku nikogo nie dostrzegła.

Odwróciła się do lustra. W środku jakieś dziesięć stóp za nimi ktoś stał. Bardzo wysoki mężczyzna zawinięty w ciemny, rdzawoczerwony koc, z dziwnym nakryciem głowy, jakby czaszką byka z rogami. Rogi były obwieszane paciorkami i piórami, i jeszcze czymś, co wyglądało na czaszki małych ptaków.

— Widzisz go, ciociu Ammy? — szepnęła Jasmine.

Ciotka skinęła głową i przełożyła dziecko na lewą rękę, by móc się przeżegnać.

— Widzę. Dziecko przekazuje nam swoją wizję. To właśnie ten ktoś z lustra sprawia, że ziemia drży, a powietrze robi się gęste jak zupa.

Postać w lustrze stała nieruchomo, choć przeciąg powodował poruszanie się koralików i piór. Gdy oczy Jasmine przyzwyczyły się do ciemności, zaczęła dostrzegać surowe rysy twarzy, orli nos i malowidła jakby wykonane henną na policzkach. Jego oczy świeciły srebrzyście. W rękach trzymał dzidę z kępkami furta i pęczkami piór. Drzewce były dodatkowo przyozdobione ponad setką nabitych zębów ludzkich i zwierzęcych.

Jasmine odwróciła się szybko, ale za nimi nikt nie stał w „prawdziwym” salonie. Jednak w lustrze ta postać stała i obserwowała ich.

— Co to jest? — szepnęła do Ammy. — Jak to możliwe, że widzę go w lustrze, ale tutaj go nie ma?

— Ga — odezwało się dziecko i zaczęło podskakiwać na rękach ciotki. — Mm-mm.

— Ciii, malutki — uspokajała go Ammy. — Ktokolwiek to jest, lepiej go nie złościć.

Jasmine widziała nieznajomego w lustrze całkiem wyraźnie, choć ten wydawał się przeźroczysty, ponieważ dostrzegła za nim półkę z książkami i bibelotami.

— Czy to duch? — zapytała Jasmine.

— Raczej nie. To bardziej jakby obraz z przyszłości. Obraz ten jest u malca w głowie, ale skoro nie może nam nic powiedzieć ani narysować, pokazuje to w lustrze.

— Ale kto to jest? Co to jest?

— To mm-mm, tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

Jasmine podeszła do lustra i zakryła dłońmi policzki, by ostre słońce z prawdziwego salonu odbite od jej twarzy nie wpadało do lustra. Wyglądało na to, że postać patrzy w ich kierunku, ale trudno było o stuprocentową pewność. Nawet jeśli faktycznie spoglądała w ich kierunku, to wzrok miała skupiony na punkcie o wiele bardziej odległym. Jej usta poruszały się, jakby recytowały jakieś wersety zaklęcia, monotonne i mroczne jak modlitwa ciotki Ammy do Oya.

Jasmine bała się tak, jakby miała zidentyfikować sprawcę przez lustro weneckie. Jednak ani przez chwilę nie odczuwała, że ta postać stanowi jakieś zagrożenie. Tak jak powiedziała Ammy — to przecież była tylko wizja. Nadal pozostawała niewyjaśniona kwestia, kim jest ta postać i dlaczego pojawiła się w lustrze ciotki?

Gdy przypatrywała się jej, dostrzegła, że z przystrojenia głowy i rogów odpadają na podłogę czarne drobiny. Jasmine spojrzała w dół i zobaczyła przerażona, że były to rozłazące się we wszystkich kierunkach jakieś chrząszcze, jakby karaluchy, i pojawiało się ich coraz więcej, aż pokryły całą podłogę. Cofnęła się przestraszona.

— Ciociu, spójrz na te owady! Czyż to nie ohydne?

Ciotka Ammy znowu się przeżegnała, a dziecko wskazało rączką na chrząszcze w lustrze i powiedziało:

— Wa-was.

— Aha, czyli to są wa-was.

— Wa-was — powtórzyło dziecko.

— Jazz, kochana, może odwróć to lustro do ściany, dobrze? Nie podoba mi się ta wizja.

— Okay, ciociu. Tak zrobię.

Ruszyła z powrotem do lustra, ale gdy zrobiła krok, pod jej butem coś chrupnęło. Spojrzała na podłogę i zobaczyła, że nadepnęła na wielkiego karalucha, który teraz leżał na grzbiecie w połowie zdeptany, ale ruszał jeszcze czułkami. Trzy albo cztery biegły po podłodze, jednak ciągle pojawiały się następne. Wylewały się ze szczeliny pod listwą przy-podłogową. Były brązowe i świecące, a gdy się poruszały, wydawały suchy, szeleszczący odgłos.

— To niemożliwe! — krzyknęła przerażona Ammy. Podniosła dziecko wyżej i cofnęła się w stronę balkonu. — Lustro pokazuje przyszłe wydarzenia, ale obraz nie jest rzeczywisty! Nie jest bardziej rzeczywisty od tego, co widać w szklanej kuli!

Jasmine tańczyła jakieś dziwne flamenco, starając się rozdeptać jak najwięcej chrząszczy. Ale owady cały czas wysypywały się ze szczeliny przy podłodze i po chwili zajmowały już połowę podłogi salonu, włożyły na buty i łydki Jasmine.

— Lustro! — krzyknęła ciotka. — Obróć lustro do ściany!

Miażdżąc butami karaluchy, Jasmine wzięła lustro i spróbowała je trochę odsunąć od ściany, żeby móc je obrócić. Było niewyobrażalnie ciężkie i odciągnęła je zaledwie o cztery cale. Nagle zobaczyła, że postać w lustrze zaczęła się do niej przybliżać w krótkich, drgających ruchach, jakby na przyspieszonym filmie. Jasmine była przerażona. Puściła lustro, które płasko uderzyło o ścianę. Gwóźdź, na którym wisiało, wysunął się ze ściany, a lustro spadło na podłogę i roztrzaskało się na kawałki. Muszelki *cowrie* i trójkąty potłuczonego szkła rozsypały się wokół stóp Jasmine.

— Moje lustro! — krzyknęła zrozpaczona ciotka Ammy. — Moje cudowne zwierciadło!

Jasmine ze zdziwieniem patrzyła na podłogę. Roje karaluchów zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Nawet te martwe, rozdeptane.

— Zniknęły — stwierdziła. — Nie wierzę własnym oczom. Wszystkie zniknęły.

— Wa-was — powiedziało dziecko i machało paluszkami, jakby chciało pokazać ruchy karaluchów.

— Nie, mój drogi. Koniec z wa-was. Dzięki Bogu, wa-was gryzą teraz piach — oświadczyła Jasmine i wzięła malca z rąk ciotki.

— Nie wiem, co powiedziałby mój dziadek, gdyby zobaczył, co stało się z jego lustrem. Wielokrotnie mu obiecywałam, że będę o nie dbać, bo wtedy i ono będzie dbać o mnie. Świadomość, że lustro jest tutaj, by chronić mnie przed złem, miała mu zapewnić spokojny odpoczynek w niebie.

— Tak mi przykro, ciociu Ammy. Naprawdę przepraszam.

— Nie, Jazz. To nie twoja wina. Ta wizja była niezwykła i może lustro właśnie obroniło mnie tak, jak mogło: rozbijając się na kawałki, bo nie było innego sposobu, by powstrzymać tego kogoś, kto chciał nas dopaść.

— Myślisz, że on mógłby przejść przez lustro?

— Słyszałam raz albo dwa o takim przypadku. Pewna kobieta w Meksyku, której mąż zginął na morzu, pewnego wieczoru przed pójściem spać zobaczyła w lustrze męża przechodzącego przez pokój w stronę drzwi. Gdy obudziła się następnego ranka, jej wianek ślubny leżał obok na stoliku nocnym, a na dywanie było pełno mokrych śladów stóp.

Jasmine nic nie odpowiedziała, lecz tylko lekko bujała chłopczykiem w rękach.

— Wa-was. Mm-mm — powiedziało po raz kolejny dziecko.

— Nie, nie, maluszk. Wszystkie wa-was już zniknęły i mm-mm też.

— Powinam odwieźć go do pogotowia opiekuńczego. Nie wygląda na to, że dziś kogokolwiek tutaj przyślą po niego.

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie. Przecież ma taki dar. Nie chciałabym, żeby cokolwiek wylazło z lustra i zrobiło mu krzywdę.

— Ciociu Ammy, przecież nie możemy go zatrzymać.

— No nie wiem. Czy to znowu byłby taki wielki kłopot? Może nawet nauczyłabym się odróżniać, gdzie ma tyłek, a gdzie głowę.

— Nie mogę w to uwierzyć. Dwadzieścia minut temu powiedziałaś, że nie możesz się doczekać, by odwieźć go do pogotowia.

— Dwadzieścia minut temu miałam jeszcze lustro, które mnie chroniło. A teraz mam tylko to dziecko.

Niemowlę podniosło rączkę, wskazując na sufit.

— Ga.

— No widzisz? — tłumaczyła Ammy. — Cały świat rozpada się na kawałki i tylko to dziecko może nas uratować.

Ledwie skończyła mówić, gdy usłyszeli ogłuszające dudnienie z północnego wschodu. Przypominało dźwięk nadlatującego samolotu pasażerskiego, raptownie tracącego wysokość. Dudnienie przeplatało się z wysokim wizgiem

silników, gdy pilot próbował zmniejszyć prędkość i wyrównać lot, by trafić na pasy do lądowania lotniska LAX.

— O Jezu! — jęknęła Jasmine. — Musimy stąd uciekać.

Ale było już za późno. Usłyszeli, jak odrzutowiec spada milę na południe od nich, na Rogers Park, i rozbija się w potwornej eksplozji. Zaledwie kilka sekund później następny samolot pasażerski rozbił się o ziemię, tym razem w Hollywood Park Race Track, a po nim kolejny w Culver City. To brzmiało, jakby szatan trząsał wszystkimi drzwiami w piekle.

— O mój Boże! To koniec świata! — sapnęła załamana ciotka Ammy.

Wyszły na balkon i zobaczyły trzy czarne pióropusze dymu bijące w niebo. Niemowlę pokazało rączką na każde z nich, spojrzało na Jasmine i powiedziało:

— Ga! Mm-mm!

— Tak, kochanie. Masz całkowitą rację. Ga. Mm-mm — odparła Jasmine.

Rozdział 10

Portland, Oregon

Nic nie wiedziałem o spadających z nieba samolotach, dopóki nie zaczęliśmy podchodzić do lądowania na lotnisku w Portlandzie. Spojrzałem za okno i zobaczyłem, że popołudniowe słońce jest przesłonięte chmurami brązowego dymu.

— Wygląda na to, że nieźle tam grillują — odezwałem się do Amelii, która wertowała książkę *Projekcja duszy Shengong*.

— Co? — zapytała, zdejmując okulary do czytania. Uwielbiałem te jej okulary. Wyglądała w nich jak naukowiec, ale przy tym bardzo zmysłowo. Miała krótkie złotorude włosy i posągową twarz księżniczki z okresu prerafaelickiego, a do tego świetną figurę. Założyłbym się, że pod tą szarą wełnianą spódnicą nosi tylko czarne stringi. Oczywiście działała jedynie moja rozpalona wyobraźnia, ale wróżbiarze mieli licencję na korzystanie z rozpalonej wyobraźni nie tylko dla profitów i zadowolenia klientów, lecz także dla własnej przyjemności.

Amelia pochyliła się i spojrzała przez okno.

— Mój Boże! Harry, to wygląda, jakby pół lotniska się paliło.

Wyciągnąłem szyję, żeby przyjrzeć się temu widokowi. Miała rację. Północno-wschodnia część lotniska w Portlandzie stała w płomieniach, a gęsty szary dym słał się wzdłuż rzeki Kolumbia, prawie zasłaniając Lemon Island, Government Island i most Glenn Jackson, którym przebiegała międzystanowa autostrada 1-250 do stanu Waszyngton.

Kiedy krążyliśmy nad lotniskiem, widziałem, jak płomień tworzył krzyż na zarysie sylwetki odrzutowca. Jego statecznik pionowy był nietknięty, a na nim gwiazdy na niebieskim tle i biało-czerwone pasy będące elementem logo US Airways. Kadłub samolotu był wybebeszony i dostrzegłem szare rzędy spalonych foteli.

— Święta Weroniko! — zawołałem. Jednak reszta pasażerów klasy biznes siedziała w ciszy, poza jednym mężczyzną, który zaczął mamrotać modlitwę w jidysz: *Y'hi ratzon milfanekha A-donai E-loheinu velohei avoteinu...*

— Modli się o bezpieczną podróż — szepnęła mi do ucha Amelia.

— Skąd wiesz?

— Byłam kiedyś zaręczona z Żydem. Zanim zaczęłam się spotykać z MacArthurem. To znaczy to był facet przed facetem przed MacArthurem.

— Nigdy mi tego nie mówiłaś.

— Zerwałam z nim po trzech miesiącach. Jego matka mnie nienawidziła. Nazywała mnie *mechascheife*. Czarownica. Przewidziałam, że jego ojciec będzie miał atak serca, i tak się stało.

Przez interkom rozległ się głos kapitana:

— Panie i panowie, jak sami widzicie, na lotnisku w Portlandzie wydarzył się poważny wypadek. Proszę o współpracę ze mną i całą załogą poprzez zachowanie całkowitego spokoju. Skontaktowałem się z kontrolą ruchu powietrznego i poprosiłem o wyznaczenie innego miejsca lądowania, ale zostałem poinformowany, że do podobnych wypadków do szło także w innych miastach i nie mamy tyle paliwa, by dolecieć do lotniska, które mogłoby nas przyjąć. Ze względu na zaistniałą sytuację najrozsądniejszym rozwiązaniem jest natychmiastowe lądowanie na pasie dwadzieścia osiem R. Nie podano mi szczegółowych informacji o wypadkach na innych lotniskach, ale jak tylko czegoś się dowiem, natychmiast przekażę to państwu. Rozumiem, że chcieliby państwo uzyskać szczegółowe informacje, ale jestem zmuszony prosić, żeby nie włączali państwo telefonów komórkowych, dopóki bezpiecznie nie wylądujemy i nie zatrzymamy się przed terminalem.

Nagle jakby za dotykaniem czarodziejskiej różdżki wszyscy włączyli telefony komórkowe i zaczęli gdzieś dzwonić.

— Joannę! — Obok po drugiej stronie przejścia starszek trąknął do słuchawki. — Będę mówił krótko... na lotnisku w Portlandzie była katastrofa samolotu, a nasz pilot powiedział, że na innych lotniskach też wydarzyły się wypadki.

Mężczyzna zamilknął, pokiwał głową, spojrzął w moim kierunku i rzekł:

— Rozmawiałem z córką. Powiedziała, że od pół godziny we wszystkich wiadomościach tylko o tym mówią. Ponad dwadzieścia samolotów spadło w całym kraju; w Miami, Bostonie, Kansas City. Zginęły setki ludzi. A może nawet tysiące!

Amelia wzięła mnie za rękę i ścisnęła mocno. Nic nie powiedziała, ale domyśliłem się, o czym myślała.

Siedzący przede mną mężczyzna wstał. Miał rudą marynarkę w kratę, tłustą pożyczkę na głowie zakrywającą łysinę i dwa wystające zęby jak u bobra.

— To Arabusy! — oznajmił. — To znowu ci szmaciarze w turbanach! Co stało się z tą wzmocnioną ochroną, którą nam obiecano?

Pojawiła się stewardesa, prosząc ludzi, by wyłączyli telefony komórkowe. Kobieta w średnim wieku złapała ją za rękaw.

— Czy macie jakieś informacje o innych lotach? Moja córka z rodziną leci dzisiaj z Cincinnati.

— Przykro mi. Wiemy tylko, że były to podobne wypadki. Halo, proszę pana. Proszę wyłączyć telefon! Kapitan prosił wszystkich o niewłączanie telefonów!

— Czy wiedzą, dlaczego tamte samoloty się rozbiły? — zapytał facet z wystającymi zębami. — Czy to były urowadzenia?

— Przykro mi, ale nie znam szczegółów. Proszę teraz usiąść i zapiąć pasy. Za kilka minut podchodzimy do lądowania.

— Arabusy! — powtórzył zębatek. — Pieprzona Al-Kaida! Powinniśmy byli wywalić brudasów z kraju zaraz po jedenastym wrześniu!

Samolot robił zwrot w prawo nad rzeką i odbite od wody światło wpadało do kabiny pasażerskiej. Silniki dudniły niskim tonem oznajmującym lądowanie. Syczała klimatyzacja, wyrównując ciśnienie powietrza. Amelia mocno ścisnęła moją dłoń, ale sam nie byłem do końca pewien, które z nas potrzebuje wsparcia.

— Wszystko będzie dobrze, Harry — szepnęła. — Obie-
cuję ci.

Jako że była prawdziwym jasnowidzem, w odróżnieniu od takiego blagiera jak ja, musiałem uwierzyć w jej słowa. Jednocześnie nie bardzo spodobała mi się myśl, że mógłbym umrzeć w ciągu kolejnych pięciu minut. I to w potworny sposób, na przykład element zniszczonego poszycia kabiny wyprułyby mi wnętrzności albo fotel przede mną zmiażdżyłby mnie w ludzką salsę, ewentualnie spłonąłbym żywcem w męczarniach.

A to jeszcze nic, nie mieliśmy już z Amelią czasu ani na szybki seks, ani na ostatnią szklaneczkę jacka danielsa, ani na zamówienie podręcznego wiatraczka na baterie z katalogu pokładowego sklepiku.

Maszyna zeszła w dół tak szybko, że o mało nie pospadaliśmy z foteli, i uderzyła w pas startowy, tak że niemal straciliśmy oddech. Silniki wyły na ciągu wstecznym, a kapitan zablokował hamulce tak raptownie, że samolot gwałtownie opuścił nos i zabujał się jak jakieś gigantyczne kanu pokonujące bystrza. Zaraz po tym zwolnił pas startowy i szybko pokołował przez kłęby gęstego dymu obok wypalającego się kadłuba US Airways. Przez wentylację dolatywał nas smród palącej się gumy.

Pasażerowie klaskali, krzyczeli i gwizdali z radości, niektórzy stukali butami o podłogę, ale Amelia i ja tylko spojrzeliśmy na siebie wzrokiem mówiącym: „też mi coś”. Chyba obydwójce zdaliśmy sobie sprawę z tego, że jeszcze za wcześnie dla nas na wstąpienie do świata duchów. Za dużo mieliśmy do zrobienia w świecie żywych. Może też wreszcie nadejdzie moment konsumpcji naszej miłości, którą

zawsze odczuwaliśmy, ale do której nigdy się otwarcie nie przyznaliśmy. A może to tylko ja byłem taki ckliwy. To prawda, potrafię być ckliwy, szczególnie gdy oglądam powtórki melodramatu *Tacy byliśmy* z Barbrą Streisand i Robertem Redfordem.

Gdy kołowaliśmy do terminalu, Żyd żarliwie dziękował Bogu za szczęśliwe lądowanie, a gość z zębami bobra już gadał przez komórkę z bratem z Cedar Rapids.

— Ile? Trzydzieści cztery? Rany boskie! Nie do wiary! I jeszcze katastrofy drogowe? Ile? Nie mogę w to uwierzyć, Malcolm. To Armagedon! Pieprzony Armagedon!

Wewnątrz terminalu panował chaos tworzony przez zgromadzone, zapłakane rodziny oczekujące na bliskich, ekipy telewizyjne, strażaków i policję. Było tam też ze stu sanitariuszy, ale wszyscy stali wokół taśmociągów bagażowych z potwornie smutnymi minami, bo nie mieli już kogo ratować. Usłyszałem, jak jeden reporter telewizyjny mówił, że samolot z Chicago, numer lotu 4/90, podczas lądowania zarył nosem na początku pasa i eksplodował. Na pokładzie było stu siedmiu pasażerów i załoga; nikt nie przeżył.

Nadzieja na odebranie naszych bagaży ulotniła się, więc wyszliśmy z Amelią z terminalu i złapaliśmy taksówkę. Taksówkarz był ponurakiem z wygoloną głową i wielkim nochalem. Przez całą drogę żuł gumę. Gdy wyjechaliśmy z lotniska i skierowaliśmy się na południe ku centrum, odwróciłem się, by jeszcze raz spojrzeć na dymy unoszące się z pasa startowego.

— Wiecie, co myślę? — zaczął taksówkarz. — Powinniśmy wziąć odwet. Natychmiast, bo to się nigdy nie skończy.

— Odwet? A niby na kim? — zapytałem

— Nooo, na tych, jak tam się nazywają... Na terrorystach. Wszystkich. Powinniśmy rzucić bombę na cały Bliski Wschód i pokazać, że nie ujdzie im to na sucho.

— Okay. A chodzi panu o jakieś szczególne miejsce na Bliskim Wschodzie czy o cały region?

— Wymazać ich z mapy, wszystkich. Zawsze byli z nimi tylko kłopoty. Palestyńczycy, Irańczycy, pieprzeni Irakijczycy. — Pociągnął nosem i dodał: — I Grecy.

Kiedy jechaliśmy przez Portland, podkręcił głośniej radio i słyszeliśmy sprawozdania radiowe z całego kraju. Było po piątej po południu i od pierwszej nad ranem rozbiło się do tej pory trzydzieści siedem samolotów pasażerskich, większość z nich na lotniskach, ale część w osiedlach domów jednorodzinnych, lasach lub górach. Ostrożne szacunki podawały, że zginęło cztery tysiące pięciuset ludzi, a tysiące zostało rannych.

Wszystkie loty komercyjne i prywatne zostały odwołane, a John Rostoff, sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, poinformował, że nie będzie zgody na loty, dopóki departament nie ustali, dlaczego rozbiło się tyle samolotów i kto za to odpowiada.

Jednocześnie na drogach całego kraju doszło do tysięcy wypadków i karamboli. Kierowcy zderzali się czołowo na prostych drogach albo zjeżdżali z pasów ruchu.

Wydarzało się także mnóstwo innych wypadków — ludzie wpadali nagle pod samochody, spadali ze schodów, topili się w basenach i jeziorach.

Taksówkarz ściszył radio.

— Wiecie, co myślę?

— Nie wiemy, ale z pewnością pan nam powie — odparła Amelia.

— Zatruli czymś wodę. Może LSD albo czymś w tym rodzaju.

— A kto to zrobił?

— Terroryci. Pieprzeni Irańczycy.

— Może ma pan rację, ale to mógł być ktoś, kto nie nawidzi nas jeszcze bardziej niż pieprzeni Irańczycy.

— To znaczy... francuscy Kanadyjczycy?

Skręciliśmy w wysadzony osikami kampus Uniwersytetu Zdrowia i Nauki Stanu Oregon i zatrzymaliśmy się przed Instytutem Okulistyki Caseya. To był piękny, lśniący bielą sześciokondygnacyjny budynek z setkami błyszczących okien — wyglądał bardziej na luksusowy statek wycieczkowy niż na szpital. Gdy płaciłem za przejazd, taksówkarz znowu się odezwał:

— Wiecie, co myślę? Ja myślę, że to koniec Ameryki, jaką znamy. Zapamiętajcie moje słowa.

Wjechałem z Amelią na trzecie piętro, gdzie leżała jej siostra Lizzie z rodziną. Podłoga recepcji była wykonana z utwardzonego szkła i fosforyzowała błękitem. Czuliśmy, jakbyśmy znaleźli się nagle w filmie science fiction.

W normalny dzień byłaby to oaza spokoju, jednak dzisiaj z półtuzina lekarzy i tyleż pielęgniarek zebrało się wokół dyżurki pielęgniarek i ze smutnymi minami oglądało wiadomości telewizyjne. Dźwięk był wyciszony, ale przesuwający się u dołu ekranu pasek z informacjami wystarczająco dobitnie opowiadał apokaliptyczną historię. Potwierdzono,

że rozbiło się trzydzieści dziewięć samolotów pasażerskich. A co gorsza, niedaleko San Diego nad oceanem zderzyły się dwa myśliwce Tomcat. Zginęły obydwie dwuosobowe załogi. Jeśli nawet nasze samoloty bojowe spadały z nieba, oznaczało to, że tkwiliśmy po uszy w gównie.

Podeszliśmy do grupy lekarzy i pielęgniarek i razem z nimi oglądaliśmy wiadomości, które z minuty na minutę stawały się coraz bardziej apokaliptyczne. Wszyscy pamiętaliśmy to potworne uczucie, które towarzyszyło oglądaniu relacji z zawalenia się wież World Trade Center. Teraz to uczucie wróciło, tyle że znacznie silniejsze.

Gdy na ekranie pojawił się John Rostoff, sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, stojący obok mnie wysoki lekarz z czerwonymi policzkami poprosił pielęgniarkę, aby ustawiła głośniej telewizor.

— „...wszystko, co tylko możemy, by odkryć przyczyny tych tragicznych wydarzeń — mówił sekretarz. Widać było jak mruży oczy, żeby przeczytać dokładnie tekst z telepromptera. — Z zapisów czarnych skrzynek, które do tej pory udało nam się odzyskać, wynika, że piloci samolotów, które uległy katastrofom, nagle stracili wzrok. Na oczni świadkowie najgorszych w naszej historii wypadków drogowych twierdzą, że wystąpienie nagłej ślepoty u kierowców także było przyczyną katastrof drogowych. Nie mamy pojęcia, czy ta utrata wzroku została spowodowana przez naturalne przyczyny związane z wystąpieniem jaglicy, czy też jest wynikiem ataku terrorystycznego. Ofiary ślepoty są badane przez ekspertów z Centrum Zwalczenia Chorób”.

— Osobiście uważam, że to epidemia — odezwał się

lekarz z czerwonymi policzkami. Odwrócił się do mnie i rozmawiał ze mną, jakbym był jakimś wybitnym ekspertem do spraw chorób oczu. — To mogłaby być złośliwa odmiana CMV. A to roznosi się przez zwykły ludzki kontakt.

— A może to skażona żywność? — zastanawiał się lekarz koreańskiego pochodzenia. — Jakiś konkretny napój gazowany skażony metanolem. Coś takiego wydarzyło się w Luizjanie kilka lat temu. Około czterdziestu osób oślepiło, zanim znaleziono przyczynę zatrucia.

Podeszła do nas pielęgniarka o kasztanowych włosach. Przyciszonym głosem zapytała:

— Pani Carlsson?

— Tak, to ja.

— Pani siostra tak cieszyła się na pani przyjazd. O niczym innym nie mówi od rana.

— Czy ona wie, co się dzieje w całym kraju? — zapytałem pielęgniarkę, kiwając głową w stronę telewizora.

— Ależ skąd. Nie przekazaliśmy tych informacji żadnym naszym pacjentom, którzy całkowicie stracili wzrok. Mają dosyć swojego stresu, z którym muszą sobie radzić. — Zamilkła na moment. — To okropne, co się dzieje, prawda? Moja serdeczna przyjaciółka miała przylecieć dzisiaj z Miami i jeszcze się do mnie nie odezwała.

Poprowadziła nas korytarzem, a jej białe tenisówki skrzyptały o wypolerowaną na błysk podłogę.

Lizzie siedziała w łóżku z zieloną przepaską na oczach. Była o trzy lata młodsza od Amelii i odrobinę grubsza. Mimo piegów na nosie była równie ładna jak siostra. Gdy Amelia weszła do pokoju i wymówiła jej imię, Lizzie wyciągnęła ręce przed siebie i boleśnie zatkała. Amelia

przytuliła ją i uspokajała, usiadła koło niej na łóżku i trzymała ją za dłonie.

— Jak się ma Kevin? A Shauna i David?

— Tak samo jak ja. Zupełnie ślepi, a lekarze nie wiedzą dlaczego.

— Jak sobie dają radę?

— Kevin i David chyba się z tym pogodzili, ale Shauna cały czas płacze.

— Przyjechał ze mną Harry.

— Harry?! Harry Erskine? Mój Boże, nie widziałam cię całe lata. — Lizzie próbowała się uśmiechnąć. — No i teraz też nie zobaczę.

— Cześć, Lizzie — przywitałem się. — Bardzo mi przykro, że coś takiego wam się stało.

— Cieszę się, że przyjechałeś, Harry. To dla nas koszmar — odparła Lizzie, wyciągając rękę w moim kierunku.

Uścisnąłem jej rękę i ucałowałem Lizzie w policzki.

— Miejmy nadzieję, że to tylko chwilowe. Co powiedzieli lekarze?

— Nic konkretnego, oprócz tego, że rogówka zmętniała, a oni nie wiedzą dlaczego.

— Nie mają żadnej hipotezy?

Lizzie pokręciła głową.

Na początku myśleli, że zostało to spowodowane jakąś rzadką infekcją, którą mogliśmy złapać w lesie. Ale przeprowadzili dziesiątki badań i testów, i stwierdzili, że jeśli nie liczyć ślepoty, nic nam nie dolega.

— Może to stres? — zasugerowała Amelia. — No wiesz, jak u ludzi, którym odebrało mowę po przeżyciu jakiegoś strasznego szoku.

— My nie przeżyliśmy żadnej traumy — odparła Lizzie. — Po prostu jechaliśmy na rowerach wzdłuż kanionu i tam go spotkaliśmy.

Zawahała się, jakby zapomniała, co miała powiedzieć. Popatrzyliśmy na siebie z Amelią, marszcząc brwi, a gdy ona spytała:

— Jak on wyglądał? — Lizzie jej przerwała. Jej głos zabrzmiał dziwnie płasko i bez wyrazu, jakby to jakaś inna kobieta czytała podpowiedz z kartki:

— Oczywiście, że na to zasłużyliśmy.

— Powiedziałaś mi to już przez telefon. Ale co masz na myśli, mówiąc: „zasłużyliśmy na to”?

Lizzie zmarszczyła czoło.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — odparła, tym razem swoim normalnym głosem.

— Przed chwilą powiedziałaś: „zasłużyliśmy na to”.

— Nic takiego nie powiedziałam.

— Lizzie, powiedziałaś bardzo wyraźnie. Harry też to słyszał, prawda Harry?

— On stał przy drodze — ciągnęła Lizzie. — On stał przy drodze, a obok niego stały dwa odbicia.

Przykucnąłem przy łóżku blisko niej.

— Odbicia? — zapytałem. — Co masz na myśli, mówiąc: „odbicia”?

Powoli wykonała ruch ręką z góry na dół, jakby czyściła szybę okienną.

— Oni stali obok niego jak dwa długie lustra. Wyglądali jak ludzie, jednak byli tylko odbiciami ludzi. — Znowu nastąpiła ta delikatna zmiana tonu. — Ale my na to zasłużyliśmy. Zasłużyliśmy, żeby oślepnąć. W końcu i tak roznosimy chorobę.

— Lizzie, jak on wyglądał?

— Wyglądał jak Ten, Który Odszedł I Powrócił. Wyglądał jak Hin-mut-too-yah-lat-kekht. Wysoki, bardzo wysoki, z twarzą jak skała.

— Jak kto?

— Hin-mut-too-yah-lat-kekht. Piorun Uderzający W Górach.

— Rozumiem — odparłem, choć nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym ona w ogóle mówi. — I ten Hin-mut-too jakiś tam przemówił do ciebie?

— Powiedział, że zasłużyliśmy na to, żeby oślepnąć i umrzeć. Powiedział, że roznosimy chorobę i kości jego ojców śpiewają mu pieśń, by nie okazywał nam żadnej litości.

— Posłuchaj mnie, Lizzie — wtrąciła Amelia. — A pa miętasz, co się stało potem? Co zrobił po tym, jak do was przemówił?

Lizzie zaczęła ruszać głową na boki.

— Wszyscy oślepiemy i umrzemy. Wszyscy. Zasługujemy na to. Zasługujemy na karę.

— Lizzie! Czy powiedział, jak się nazywa? — zapytałem.

— Wyglądał jak Hin-mut-too-yah-lat-kekht. Ale to nie był Hin-mut-too-yah-lat-kekht. To był Ten, Który Odszedł I Powrócił.

Spojrzałem znacząco na Amelię, a Amelia na mnie. Obydwoje znaliśmy różne imiona Tego, Który Odszedł I Powrócił. Ale kto mógł o nim powiedzieć Lizzie? I kim był ten gość z dwoma cieniami, ów Hin-mut-too-yah-lat-kekht?

Lizzie nagle odwróciła się do mnie i oświadczyła:

— On wie, że tutaj jesteście. Wie, że przyjechaliście

mnie odwiedzić. Mówi, że tym razem zetrze was na proch. I mówi, że wiatr zanieśie wasze prochy daleko od tej ziemi, żeby nikt tu o was nie pamiętał, i nie będzie po was żadnego śladu na ziemi, w której spoczywają prochy jego przodków.

— Lizzie. Muszę się dowiedzieć, jak on się nazywa. To jest bardzo ważne.

— Nie wolno mi wymawiać jego imienia. Został wyrzucony z tego świata, ale powrócił. Tym razem ma wiele twarzy i wiele imion.

Złapałem ją za rękę i mocno ścisnąłem. Jej ciało było wychłodzone i drżało.

— Czy to był Misquamacus? — zapytałem.

— Harry, nie...! — krzyknęła Amelia.

Ale było już za późno. Lizzie zeszywniała. Całe jej ciało zaczęło się spazmatycznie wyginać. Opadła na poduszkę i zaczęła okropnie wrzeszczeć, w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem. Darła się potwornie, nie nabierając nawet powietrza w płuca.

Otworzyły się drzwi i wbiegły dwie pielęgniarki i lekarz stażysta o azjatyckich rysach twarzy.

— Co się stało? — zapytała jedna z pielęgniarek, podczas gdy druga pochylała się nad Lizzie i przyciskała jej czoło, starając się ją uspokoić.

— Nie wiem. Po prostu nagle wpadła w taki stan.

A co innego mogłem powiedzieć? Że wymówiłem imię najpotężniejszego indiańskiego szamana, jaki kiedykolwiek żył na kontynencie północnoamerykańskim? Tego, Którego Oblicze Ukazuje Się Na Niebie? Tego, Który Przynosi Cierpienie Wiecznej Ciemności? Misquamacusa? Tego Który Odszedł I Powrócił?

Wrzask Lizzie był tak głośny, że prawie się nie słyszeliśmy. Nie wahając się zbyt długo, stażysta otworzył szafkę z lekami, wyjął małą buteleczkę i szybko napełnił strzykawkę. Podszedł do łóżka i zrobił Lizzie zastrzyk.

— To tylko środek uspokajający — wyjaśnił.

Czekaliśmy. Minęło pół minuty, a Lizzie nadal wrzeszczała, jej usta były otwarte na całą szerokość, a każdy mięsień ciała napięty do granic możliwości.

— Nic z tego nie rozumiem — odezwał się stażysta, zasłaniając uszy dłońmi. — Środek już powinien zadziałać. Szczerze mówiąc, powinna leżeć nieprzytomna. Dawka, którą jej dałem, powaliłaby konia.

— Ona hipowentyluje, ale nie wiem dlaczego. Wrzeszczy, lecz nie wciąga powietrza — oświadczyła jedna z pielęgniarek.

Stażysta sięgnął do szafki z lekami po jeszcze jedną buteleczkę środka uspokajającego.

— Rany boskie — odezwała się Amelia. — Ile pan chce jej tego dać?

— Małą dawkę — odparł stażysta. Wypełnił strzykawkę, ale zanim doszedł do łóżka, Lizzie nagle przestała wrzeszczeć i leżała, dysząc, jakby właśnie ukończyła bieg maratoński.

— O to chodziło, Lizzie — powiedziała jedna z pielęgniarek, głaszcząc ją po ramieniu. — Spróbuj odpocząć. Pomyśl o czymś miłym i przyjemnym. Pomyśl o spacerze po plaży, latem. Pomyśl o leżeniu na łące i obserwowaniu zmieniających kształty obłoków.

Lizzie znowu zeszywniała, otwierała i zamykała usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale straciła jeszcze dodatkowo mowę.

— Już dobrze, Lizzie, odpocznij. Pomyśl o ciepłym dniu.
Lizzie wydała z siebie głęboki, gardłowy dźwięk.
— Czy ona się nie dusi? — zaniepokoiła się Amelia.
W tym momencie Lizzie powiedziała:
— Misquamacus.
— Co? — zapytała zdziwiona pielęgniarka.
— Misquamacus — powtórzyła Lizzie.
— Czy państwo może rozumieją, o co jej chodzi? —
dopytywała się pielęgniarka, zwróciwszy się do Amelii.
— Zasługujemy na to. Wszyscy na to zasługujemy —
odezwała się znowu Lizzie.

Jeszcze raz otworzyła szeroko usta i już myślałem, że znowu będzie wrzeszczeć, ale zamknęła je i zaczęła stopniowo się uspokajać. Kilka razy przeszły ją dreszcze, ale po chwili leżała spokojnie i choć nie widziałem jej oczu, to chyba spała. Pielęgniarki sprawdziły jej tętno, ciśnienie krwi i zmierzyły temperaturę.

— Wszystko dobrze? — zapytała Amelia.
— Tętno blisko stu uderzeń, ma lekkie nadciśnienie, ale to normalne po takim ataku — odpowiedziała pielęgniarka.
— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby pacjent nie zareagował na taką dawkę silnego środka uspokajającego. Nigdy. Zwykle taka dawka usypia człowieka, zanim uda się doliczyć do trzech.

Nie odezwałem się ani słowem. Amelia też nic nie powiedziała. Obydwoje zdawaliśmy sobie sprawę, z kim mamy do czynienia, i wiedzieliśmy, co musimy teraz zrobić, choć wzdrygaliśmy się na myśl o tym.

Amelia pochyliła się i pocałowała Lizzie.
— Niech Bóg cię strzeże, kochana siostrzyczko.

— Proszę się o nic ul. bać. Takie napady wyglądają groźnie, ale zwykle nie wyrządzają pacjentowi żadnej szkody. To prawdopodobnie opóźniony szok. Występuje nawet do pięciu, sześciu dni po traumatycznych przeżyciach. Czasem nawet dopiero po kilku tygodniach — wyjaśniła pielęgniarka.

Wyszliśmy z pokoju i poszliśmy odwiedzić Kevina.

— Czyim głosem mówiła Lizzie? — zapytałem Amelii. — To z pewnością nie był jej głos. Czy ona mogła znać Hin-mut... jakiegoś tam? Albo w ogóle słyszeć o Misquamacusie? Chyba nigdy nie opowiadałaś jej o nim, prawda?

— Oczywiście, że nie. Wydaje mi się, że to była wiadomość. Wiesz, o co chodzi, sugestia posthipnotyczna. Jak tylko zaczęła opowiadać o tym, co jej się przydarzyło, to po prostu z niej wyszło.

— No dobrze, ale dla kogo była ta wiadomość?

— Dla nas, Harry. Dla ciebie i dla mnie. Jak myślisz, dlaczego Misquamacus wybrał Lizzie i ją oślepił? Jest moją siostrą. Stanowiła najlepszą przynętę.

Rozdział 11

— Wszyscy odzyskamy wzrok — oświadczył Kevin. — Jestem o tym święcie przekonany. Nie wiem, co tam się stało, ale nikt nie ślepie bez żadnego powodu, prawda? Nie na zawsze.

Był potężnym facetem ze sporą nadwagą, o szerokich ramionach i ogromnych plecach. Przypominał bardziej trenera futbolu amerykańskiego niż kierownika sklepu sportowego, ale teraz z zieloną opaską na oczach wyglądał wręcz dziecinnie i bezbronne. Siedział w szpitalnym fotelu z zagłówkiem z dietetyczną colą w ręce i niedokończoną kanapką z serem na talerzyku. Na ścianie za nim wisiał obraz olejny przedstawiający pusty pokój, namalowany przez Vilhelma Hammershei. Pomyślałem, że to bardzo stosowny obrazek dla szpitala, w którym pacjenci niczego nie widzą.

— Kevin, czy możesz opowiedzieć nam, co się tam stało? — poprosiłem. — Lizzie powiedziała, że spotkaliście faceta z dwoma długimi lustrami po bokach. Nie bardzo rozumiemy, o co jej chodziło.

Kevin pochylił się do przodu w swoim fotelu i splótł tłuste palce.

— Sam dobrze nie wiem. To stało się tak szybko. Jechaliś my rowerami po zachodniej stronie kanionu. Było dość stromo, Lizzie jechała jakieś dwadzieścia, trzydzieści jardów przede mną, bo zawsze szybciej jeździła na rowerze, a ja wlokłem się z tyłu, by dotrzymać dzieciom towarzystwa. I wtedy nagle na ścieżce pojawił się ten facet. Nawet nie wiem, skąd się tam wziął. Tak jakby się po prostu zmateriałizował.

— Jak wyglądał?

— Był wysoki, wyższy ode mnie. Może miał z sześć stóp i cal lub dwa cale. Czarny kapelusz z szerokim rondem ocieniał mu twarz. Był ubrany na czarno i miał wielki srebrny medalion, a w ręce trzymał jakąś dzidę ozdobioną kawałkami futra i piórami. Nie przyjrzałem się jej zbyt dokładnie.

— A co z tymi lustrami? Widziałeś je?

— To nie wyglądało mi na lustra. To były bardziej jakby zjawy. Dwaj faceci stojący po obu stronach tego pierwszego, ale gdy spojrzałem na nich bezpośrednio, znikali. Wiesz jak to jest, gdy jesteś bardzo zmęczony, to wydaje ci się czasem, że kątem oka widzisz czarnego kota, a gdy spojną dasz w jego stronę, nic tam nie ma. Z nimi było tak samo.

— A na kogo według ciebie wyglądali?

Kevin zastanowił się przez chwilę, uniósł lekko głowę i przechylił na prawo, jakby starał się wyobrazić sobie tę scenę.

— Pamiętam, że obydwaj mieli białe twarze, jakby po kryte kredą. Czasem wyglądali na bardzo wysokich, a czasem

na niskich, jakby stali dość daleko od nas. To może zabrzmieć głupio, ale pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż bardziej wyglądają na marionetki niż na ludzi.

— I co się działo dalej? — zapytała Amelia.

— Lizzie podjechała do tego faceta w czarnym kapeluszu, zatrzymała się i rozmawiała z nim. Ja z dziećmi byliśmy trochę dalej, wiał wiatr, więc nie słyszałem, o czym rozmawiają. Myślałem, że może on był na pieszej wędrownicy, zgubił się i pytał ją o drogę. Wtedy podjechałem bliżej, a on zaczął potrząsać tą swoją dzidą i krzyżeć. To brzmiało mniej więcej tak: „Jesteście winni! Wasi przodkowie i wy, i wasze dzieci, i dzieci waszych dzieci!”. Nie podobały mi się jego wrzaski, więc podjechałem do Lizzie i powiedziałem chyba coś w tym stylu: „Co tu się dzieje? Dlaczego krzyczysz na moją żonę, człowieku?”. Nic nie odpowiedział. Ani słowa. Popatrzył tylko na mnie i podniósł ręce, jakby chciał polecieć. Powiedział coś, czego nie zrozumiałem, i wtedy zobaczyłem to błyszczące niebieskie światło. To było jak patrzenie z bliska prosto w lampę halogenową. Aż odchyliłem się do tyłu, bo nic nie widziałem, i potknąłem się o Shaunę, która stała tuż za mną. Obydwoje się przewróciliś my. Słyszałem, że Lizzie i David też się przewrócili. I to wszystko. Nie słyszałem, jak odchodził. Lizzie płakała, dzieci również i ja też czułem, że się rozpłaczę. Ale musiałem uważać na całą rodzinę, bo po jednej stronie mieliśmy przepaść głęboką na pięćset stóp.

— Marionetki — powtórzyła Amelia.

Kevin wzruszył ramionami.

— Gdy patrzyłem na wprost, to ich nie widziałem. Tylko kiedy spoglądałem kątem oka. Coś dziwnego było w ich

chodzie, jakby to był jakiś taniec, no i w tym, jak obracali głowami. Po prostu przypominali teatralne marionetki, i tyle. Wstałem i ścisnąłem go za ramię.

— Dzięki, Kevin. Trzymaj się. Możemy porozmawiać z dziećmi? Będziemy ostrożni.

— Rozmawiajcie, ale uważajcie z Shauną, dobrze?

Amelia pocałowała Kevina i poszliśmy do pokojów dzieci. David spał na plecach z otwartymi ustami, więc zostawiliśmy go w spokoju.

Shauna nie spała. Leżała skulona w pościeli i przytulała się do brązowego zająca. Była bardzo smutna.

— Witaj, Shauno. Jak się czujesz, kochanie? — zapytała Amelia.

— Smutno mi — odparła dziewczynka i zaczęła płakać. Amelia objęła ją i mocno przytuliła. Nawet z zieloną opaską na twarzy wyglądała na ładną dziewczynkę z tym zadartym nosem i złotorudymi, kręconymi włosami. Spod opaski na oczach leciały łzy. Mówiła, łkając. — Mama i tatuś obiecali, że kupią mi szczeniaczka na urodziny — pochwaliła się Shauna. — A teraz nigdy nie zobaczę już, jak będzie wyglądał.

— Trzeba mieć nadzieję, skarbie — odparła Amelia. — Harry i ja znamy różne sztuczki, prawda, Harry?

— Sztuczki? — Siłłem się na wesołość. — Znamy więcej sztuczek niż kucyk z pięcioma nogami.

— Harry, przestań — przerwała mi Amelia. Uwielbiałem, jak mnie ganiła.

Sięgnąłem po kilka chusteczek ze stolika nocnego Shauny i delikatnie otarłem jej łzy z policzków.

— Wiemy, że coś bardzo przykrego wam się przytrafiło, skarbie. To było okropne i niesprawiedliwe. Ale twoja ciocia

Amelia i ja zaczynamy rozumieć, co to było. Muszę cię tylko zapytać, czy pamiętasz coś związanego z tym człowiekiem w czarnym kapeluszu albo z tymi dwoma mężczyznami, którzy obok niego stali. Wszystko jest dla nas ważne, więc powiedz nam, co pamiętasz, nawet jeśli uważasz, że to nic szczególnego, bo może to pomóc wam w odzyskaniu wzroku.

— Nie widziałam go dokładnie. Wiem tylko, że krzyczał na mamę.

— Widziałś jego twarz?

— Niezbyt wyraźnie. Miał na sobie jakiś metalowy wiorek. Zauważyłam go, bo słońce na niego świeciło. Był srebrny i taki jak węże, cały splątany.

Spojrzałam na Amelię. Promienie słoneczne oświetlały jej twarz i włosy, sprawiając, że wyglądała jeszcze bardziej jak prerafaelicka dama — afektowana i blada z fioletowymi krążkami pod oczami. Obydwoje byliśmy już bardzo zmęczeni.

— A tych dwoje ludzi obok niego? — zapytałam Shaunę. — Mama powiedziała, że wyglądali jak lustra. A tata mówił, że wyglądali jak marionetki.

Shauna pochyliła głowę i zaczęła wykręcać palce w taki sposób jak dzieci, które chcą wyjaśnić coś, czego nie rozumieją.

— Wiem, że tam ktoś był, bo ich trochę widziałam. Ale kiedy patrzyłam prosto na nich, znikali.

— Dobrze, kochanie, dobrze. A gdy ich tak trochę widziałś, to jak wyglądali?

— Wyglądali jak pudełka.

— Jak pudełka?

Shauna skinęła głową.

— Wyglądali jak pudełka z rękami i nogami, i białymi twarzami.

— Rozumiem. A pamiętasz, jakiego byli koloru?

— Niezbyt. Czarni, a może ciemnoczerwoni.

— Czarni albo ciemnoczerwoni z białymi twarzami, tak? Shauna ponownie skinęła głową.

— Tej nocy mi się śnili — wyznała i łyzy znowu położyła się jej po policzkach. — Zaglądali przez moje okno i bardzo się przestraszyłam.

— Nie przejmuj się, ja też mam niedobre sny o różnych rzeczach, na przykład jak gubię spodenki kąpielowe, pływając w oceanie, albo jak znajduję wielkie, owłosione ptaszniki w zupie. A najgorsze sny mam o urzędzie skarbowym. Złe sny to tylko sny, skarbie. Nie są prawdziwe i nie powinnaś się ich bać.

— Dobrze.

— Jeśli jeszcze raz będą ci się śniły te pudła, jak zaglądają tu przez okno, klasnij w ręce i zawołaj „spadajtis pudełkoni”! Zapamiętasz? To zaklęcie zawsze działa.

Wyszliśmy od Shauny i wróciliśmy pożegnać się z Kevinem i sprawdzić, jak czuje się Lizzie.

— „Spadajtis pudełkoni”? — zapytała ze zdziwieniem w głosie Amelia.

— Właśnie tak. Jeśli masz koszmary o pudełkach, to zaklęcie nigdy cię nie zawiedzie.

— A jaki masz sposób na urząd skarbowy?

— Całkiem podobny. Trzeba klasnąć w ręce i krzyknąć: „spadajtis podatkoni”!

♦ ♦ ♦

Amelia zarezerwowała dla nas apartament w The Inn at Northrup Station przy Dwudziestej Trzeciej Północno-Zachodniej w modnej i eleganckiej dzielnicy Portlandu głównie dlatego, że miał dwa oddzielne szerokie łóżka (ze względu na przyzwoitość — przecież była zamężna) i okazał się niezbyt drogi. Osobnym powodem było to, że jej szurnięta przyjaciółka z West Village powiedziała, iż wnętrze tego hotelu jest „totalnie odjechane”.

I wcale z nas sobie nie żartowała. Czuliśmy się tak, jakbyśmy weszli do kreskówki z Królikiem Bugsem z połowy lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Ściany i draperie stanowiły krzykliwy melanz czerwieni, pomarańcza, fioletów, żółci i różu, a meble były „współczesne” czasom, gdy kobiety nosiły na głowach ule, a cadillaki miały z tyłu pionowe stateczniki. Front lady recepcyjnej był obity fioletowym sukniem, a z sufitu zwisały trzy ruszające się dzieła przestrzenne.

Hotel wydawał nam się błazeński, ale powitano nas z wielkim zadęciem. Wyniosły młody człowiek wyglądem przypominający Arta Garfunkela poinformował nas, że karta kredytowa Amelii zostanie obciążona dodatkowymi kosztami, jeśli po opuszczeniu pokoju będzie wyczuwalna choćby najśłabsza woń dymu papierosowego.

— Cholera. Tyle się poświęcamy, a nie można nawet zajarać — skomentowała sytuację Amelia.

Nasz pokój był przestronny i widny i miał balkon z balustradą z kutego żelaza. Gdybyśmy byli w odpowiednim nastroju, usiedlibyśmy sobie na zewnątrz, zapalili hawańskie cygara, podziwiali tramwaje na Northrup Avenue i rzucali w przechodniów oliwkami wypełnionymi tureckim pieprzem.

Jednak ani ja, ani Amelia nie mieliśmy czasu na przyjemności. Poszedłem do kuchni i otworzyłem butelkę geyserskiego shirazu, ale tylko na to sobie pozwoliliśmy.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? — zapytała mnie Amelia.

Podąłem jej dużą lampką cierpkiego czerwonego wina.

— Zasadniczo to nie mamy żadnego wyboru, prawda? Jeśli powiemy lekarzom o prawdziwych przyczynach utraty wzroku przez Kevina i Lizzie, to nam nie uwierzą. Już to sobie wyobrażam, jak im mówimy: „Posłuchajcie, lekarzynie, to nie jest żaden problem medyczny. Oni zostali oślepieni przez indiańskiego szamana. Ale to jeszcze nic, ten Indianin walnął w kalendarz gdzieś w połowie siedemnastego wieku i powinien pozostać martwy, jednak drań odmówił”.

— Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że Misquamacus specjalnie wybrał Kevina i Lizzie — rzekła Amelia po chwili. Zdjęła czarny lniany zakiet i powiesiła go na oparciu krzesła. — Jestem pewna, że wybrał ich, by nas tu ściągnąć. Byli przynętą.

— Ale dlaczego? Ty i ja zawsze przysparzaliśmy mu samych kłopotów.

— Nie, Harry, zastanów się. Ściągnął nas tutaj, bo do kładnie wie, jaki będzie nasz następny ruch.

— Wie, że planujemy zrobić seans, tak myślisz? Wie, że chcemy wywołać Śpiewającą Skałę z Krainy Wiecznych Łowów?

— Uważam, że on nie tylko to wie, ale wręcz chce, żebyśmy to zrobili.

— Ale dlaczego? Przecież Śpiewająca Skała przysporzył mu więcej kłopotów niż my. Bez Śpiewającej Skały zrobiłby

z nas grzanki już w czasie swego pierwszego powrotu. Może upiekłby też ładnych kilka tysięcy bladych twarzy. A kto wie, może nawet i milionów.

— No właśnie — odparła Amelia. — Myślę, że on pragnie ukarać Śpiewającą Skałę za uratowanie nas. Chcemy po krzyżować mu szyki, a on nie chce, by pomagał nam Śpiewająca Skała.

— Pokrzyżować szyki... Niezłe określenie. Ja ci pokrzyżuję szyki, ty zły czarowniku!

Amelia nie miała ochoty na żarty. Gdy była poważna, to po prostu była poważna, a kiedy rozmowa dotyczyła świata duchów, to jej powaga stawała się szczególna.

— Pomyśl. Duchy, które chcą powrócić do fizycznego świata, muszą wytworzyć ektoplazmę.

— Chodzi ci o to coś białego, co medium wyciąga z rękawa i udaje, że jest to duch wujka Caspera?

— To jest oczywista ścierna. Zwykle wykorzystuje się do tego celu szyfon. Była jedna słynna medium, która chowała szyfon w ubraniu, i gdy chciała przywołać ducha, wyciągała go spod sukienki. Ale prawdziwe duchy muszą wytworzyć jakąś substancję, choćby nie wiadomo jak cienką i przezroczystą, bo inaczej nie będą w ogóle widoczne. Nie odbijałyby światła, tak jak to robią widma, i nie potrafiłyby przesuwac obiektów, tak jak to robią poltergeisty.

Poszedłem do kuchni, gdzie znalazłem wielkie opakowanie precli serowych.

— Okay — zgodziłem się, otwierając torebkę i rozsypując przy tym precle na blat kuchenny. — Ale gdy ostatnim razem wyrzuciliśmy Misquamacusa, pozbawiliśmy go ekto-

plazmy, prawda? Zdeektoplazmowaliśmy go, jeśli w ogóle istnieje takie słowo.

— Racja. Ale pozostał jego duch, jego wspomnienia i emocje, i wszystko, co sprawia, że ludzie różnią się od siebie. Nic z niego nie pozostało, by mógł się reinkarnować, żadna substancja. Tylko idea Misquamacusa.

— W takim razie jak mu się udało ukazać? Jak mógł odebrać wzrok Lizzie i Kevinowi?

— Nie wiem i dlatego właśnie musimy wezwać Śpiewającą Skalę.

— No a jeśli to jest właśnie to, czego spodziewa się po nas Misquamacus...?

— Podejrzewam, że on nie może nic zrobić Śpiewającej Skale w świecie duchów, który rządzi się innymi prawami niż świat żywych, a szczególnie dotyczy to świata duchów Indian. Po śmierci żaden duch Indianina nie może skrzywdzić ducha innego Indianina, nawet jeśli byli swoimi najbardziej zagorzałymi wrogami za życia.

— Chcesz powiedzieć, że jak wykorkuję, to nie będę mógł dokopać Jimmy'emu Shapiro za to, że ukraść mi kartę z Jimem Bibbym?

— Można to też tak wyrazić.

Powoli zaczynałem pojmować, co Amelia starała mi się wytłumaczyć.

— Rozumiem. Jeśli on znalazł jakiś sposób na zmaterializowanie się, a na to właśnie wygląda, my zaś przywołamy Śpiewającą Skalę, który też się zmaterializuje, sytuacja się zmieni. Obydwaj będą mieli jakieś formy fizycznych postaci, więc Misquamacus będzie mógł się zemścić na Śpiewającej Skale.

— I to nie tylko na Śpiewającej Skale, ale też na tobie i na mnie, jeśli Śpiewająca Skała nie zdoła nas dłużej chronić.

— To jak? Robimy to czy nie? — zapytałem.

Na ekranie wielkiego plazmowego telewizora zawieszono na przeciwnej ścianie pokazywano w wiadomościach potężny karambol na autostradzie na Long Island. Zobaczyliśmy setki rozbitych pojazdów — autobusów, ciężarówek, samochodów osobowych, SUV-ów, nawet ambulansów — wiele z nich płonęło.

— To jest wojna — stwierdziła Amelia. — Więc czy mamy jakiś wybór?

Rozdział 12

Zamknęliśmy drzwi balkonowe i okna i zasunęliśmy zasłony. Pokój był skąpany w zielonkawym mroku niczym wewnątrz tropikalnego akwarium. Zdjąłem bransoletkę od Śpiewającej Skały. Była zrobiona z dwudziestu jeden wypolerowanych czarnych kamieni wydobytych z dna rzeki Okabojo w Dakocie Południowej. Gdy umierał, powiedział mi, że jego duch będzie podzielony pomiędzy dwadzieścia jeden kamieni i że będę go nosił na nadgarstku do końca mojego życia.

Nie wiem naprawdę, dlaczego indiański szaman wybrał białego wróżbitę o wątpliwej reputacji, by pilnował jego ducha, ale podejrzewam, że nasze wspólne batalie przeciwko Misquamacusowi wytworzyły niewytłumaczalną braterską więź między nami, która nie miała nic wspólnego z rasą, pochodzeniem ani nawet wzajemną sympatią. Nigdy nie uważałem, że Śpiewająca Skała mnie zbytnio lubi, szczególnie że wciskałem wymyślone głupoty podstarzałym babczkom jako wizje ich nadchodzącego życia miłosnego. Śpiewająca Skała wierzył w absolutną prawdę. Zawsze

powtarzał, że absolutna prawda jest najpotężniejszą bronią, jaką dysponował przeciwko demonom ze świata duchów — „Jedno kłamstwo prowadzi do następnego kłamstwa, a to tworzy sieć kłamstw, którą rządzi Inktomi, pająk demon roztaczający ciemność i zamęt i paraliżujący dusze tych, których ukąsi”.

Śpiewająca Skąła szczerze nienawidził bladych twarzy za każdy okrutny mord dokonany na jego ludzkie — a szczególnie za masakrę pod Whitestone Hill w Dakocie Południowej latem 1863 roku, w której zginęła jego praprababcia wraz z dwustoma mężczyznami, kobietami i dziećmi. To był niezbyt szlachetny moment wśród innych nieszlachetnych momentów. Wystarczy poczytać w Intemecie o takich miejscach jak Conestoga, Gnadenhutten, Sand Creek czy Wounded Knee i zapłakać.

Poza szczerym umiłowaniem prawdy Śpiewająca Skąła był realistą. Zdawał sobie sprawę, że dni magii i polowań na bizona przeminęły na zawsze oraz że wszelkie wysiłki, by je wskrzesić, są daremne. Nie wierzył także w zemstę. Ufał, że Gitche Manitou — Wielki Duch — ukarze tych, którzy zabili z chciwości, uprzedzeń rasowych lub okrucieństwa, oraz że ta kara będzie o wiele potworniej szał, niż cokolwiek pałający żądzą zemsty zwykły śmiertelnik mógłby wymyślić, jak na przykład patrzenie, jak ich dzieci są duszone na ich oczach nie przez dwie lub trzy potworne minuty, ale przez całą wieczność.

Rozłożyłem na stole swoją bransoletkę, a Amelia postawiła w środku grubą czerwoną świecę. Wskazała palcem na sufit.

— Czujnik dymu.

— Co?

— Wyjmij z niego baterię. Tu będzie sporo dymu i nie chcemy, żeby ktoś wezwał straż pożarną, prawda?

— Jasne. — Przysunąłem krzesło i po nim wdrapałem się na stół. Odkręciłem pokrywę czujnika dymu i wyłuskałem baterię, a Amelia zapaliła świecę. Gdy zszedłem ze stołu, pokój zaczął się wypełniać wonią cynamonu, goździków i leśnych owoców.

Wiedziałem, po co jest ta świeca — sam wykorzystywałem całą gamę magicznych ziół i przypraw korzennych, które sprzedawałem podstarzałym damulkom po niezwykle wygórowanych cenach, a większość z tych składników pochodziła z wyprzedaży przeterminowanych przypraw ze sklepu spożywczego. Cynamon i goździki miały odpędzać złe wspomnienia, które nadal mogły krążyć po pokoju po poprzednich gościach — takie jak bicie żony, sadystyczny seks albo próby samobójcze — a leśne owoce miały oczyścić powietrze i chronić nas przed złowrogimi i złośliwymi duchami, które mogłyby chcieć niepostrzeżenie przeniknąć przez wrota światów.

— Pachnie jak na Boże Narodzenie — powiedziałem, gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie.

— To nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem — odparła Amelia. Jej oczy błyszczały w świetle płomienia świecy. — To jest rytuał otwierania wrót, którego nauczyłam się od czarownicy mieszkającej w Dakota Building.

— Naprawdę czarownice mieszkają w Dakota Building? Jak w *Dziecku Rosemary*?

— Nawet byś nie pomyślał, że to czarownica. Jej mąż

jest producentem teatralnym na Broadwayu, a ona prawie codziennie jada lunch w Le Cirque.

— Z pewnością by mi się podobała. Bogata, podstarzała, z bzikiem na punkcie zjawisk nadprzyrodzonych. Musisz dać mi jej numer.

— Ona wcale nie jest stara, choć ma starszego męża. Ma zaledwie trzydzieści dwa lata i była kelnerką. Ale jest bardzo dobrą czarownicą. A jak myślisz, w jaki inny sposób mogłaby wpłynąć na siedemdziesięciosiedmioletniego multimilionera, żeby się z nią ożenił i uczynił ją jedyną spadkobierczynią?

Świeczka zaczęła się jaśniej palić i wydzielać dym, który spiralami unosił się pod sufit. Amelia położyła dłonie płasko na stole i zaczęła wywoływać Śpiewającą Skałę.

Gdy recytowała formułę zaklęcia wywoływania duchów, jej głos wznosił się wyżej i wyżej i robił się coraz bardziej śpiewny, aż doszedł do momentu, gdy brzmiał, jakby śpiewała arię operową. Bóg jeden wie, co myśleli sobie o nas ludzie z sąsiednich apartamentów. Pewnie, że mamy bzika na punkcie opery.

— Przywołuję ducha szamana Śpiewającej Skały — śpiewała. — Przywołuję każdego ducha, który może ująć go za dłoń, dotknąć jego serca i przywieść go tutaj. Żywimy wobec niego tylko serdeczne uczucia i dobrze mu życzymy, ale muszę z nim rozmawiać o sprawach innego świata.

Czekała przez chwilę z zamkniętymi oczami, po czym znowu zaintonowała:

— Przywołuję ducha szamana Śpiewającej Skały. Ktokolwiek go do mnie przyprowadzi, zostanie wynagrodzony. Śpiewająca Skała? Słyszysz mnie, Śpiewająca Skała?

Coraz gęstszy dym unosił się ze świeczki, aż wypełnił cały pokój. Wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk — oprócz odgłosów tramwajów sunących po Northrup Avenue, odległego zawodzenia Niny Simone w telewizji gdzieś za ścianą i śmiechu jakiejś kobiety, która chyba za dużo wypła.

Słyszałem powtarzający się rzepolący dźwięk jakby z jakiegoś meksykańskiego instrumentu w kształcie ryby, tyle że ten dźwięk był o wiele bardziej miękki i złożony. Brzmiał, jak gdyby dochodził do nas z niewielkiej odległości, ale jednocześnie z daleka.

— Słyszę jakiś instrument perkusyjny — powiedziałem Amelii.

Skinęła głową, nie otwierając oczu.

— To znaczy, że duchy odnalazły Śpiewającą Skałę. On przewodzi spotkaniu modlitwemu.

— Przewodzi czemu? Spotkaniu modlitwemu? A niby po co to miałyby robić? Przecież on nie żyje. Jest tylko duchem.

— Harry, zmarli modlą się za żyjących tak samo, jak żyjący modlą się za zmarłych. Oni odeszli od nas, ale ciągle się o nas martwią.

Połączyła palce dłoni spoczywających na blacie stołu i zaśpiewała:

— Wszystkie duchy, posłuchajcie tego, który potrafi mówić językiem zmarłych! Przyprowadźcie do mnie Śpiewającą Skałę, ubierzcie go w światło! Przyprowadźcie do mnie Śpiewającą Skałę, nałóżcie na niego pył! Przyprowadźcie do mnie Śpiewającą Skałę, by mógł ze mną rozmawiać, i pomóżcie tym, których zostawił!

Po zakończeniu śpiewu krótko klasnęła w dłonie i zawołała:

— *Abbona!*

Jeszcze raz klasnęła i tym razem zawołała:

— *Yoaw! Nis!* (kłaśnięcie) *Nees!* (kłaśnięcie) *Aquitl* (kłaśnięcie).

Wyciągnęła ręce przed siebie z wnętrzami dłoni skierowanymi w moją stronę i otworzyła oczy.

— No i o co w tym wszystkim chodziło? — zapytałem.

— Liczyłam od tyłu w języku Wampanoagów. To był mój sposób na powiedzenie Śpiewającej Skale, że nadchodzi Misquamacus.

Pokręciłem głową.

— Amelio, nie przestajesz mnie zadziwiać. Ja nawet nie potrafię liczyć w tym języku do przodu.

— Ciii — upomniała mnie. — Nie mów już nic. Czekamy.

Dym w pokoju był tak gęsty, że Amelia wyglądała, jakby siedziała z grubą firanką, jak jakieś fałszywe medium podczas jednego z seansów z dawnych czasów, choć dobrze wiedziałem, że Amelia jest prawdziwą wróżką i nie musi wyciągać szyfonu z rękawa.

— Na co konkretnie teraz czekamy? — zapytałem.

— Ciii — powtórzyła. — Zaczyna się. Jest już bardzo blisko.

Błyszcząca czarna bransoletka Śpiewającej Skąły zaczęła leciutko pobrzękiwać, po chwili trząść się dość mocno. Wreszcie podskoczyła na kilka centymetrów i powtórzyła to jeszcze pięć razy, za każdym razem wzlatując coraz wyżej.

Dochodził do mnie jednocześnie coraz głośniejszy dźwięk

szarpanego meksykańskiego instrumentu: *szikka-trikka, szikka-trikka, czika-rika, traka-taka*. Amelia znowu zamknęła oczy.

— Przejście jest otwarte! — zaśpiewała. — Proszę, byście wszyscy przyprowadzili Śpiewającą Skałę do świata cielesnego! O, dwunożne duchy, wzywam was! Czworonożne duchy, wzywam was! Duchy drzew i królestwa minerałów, poprowadźcie Śpiewającą Skałę do mnie! Duchy wiatru, wiejcie w jego plecy! Pokażcie mu ścieżkę! Pokażcie mu wrota!

Bransoletka, która cały czas trzęsła się i grzechotała, uniosła się piętnaście centymetrów nad płomień. Widzieliśmy, jak powoli zawiązuje się w ciasny, skomplikowany węzeł i kręci nad żarem. Jej czarne, polerowane kamienie błyszcząły jak oczy Amelii, a każdy kamień odbijał światło płomienia świecy, kierując je w dym, co wyglądało, jakby latały tam świetliki. Początkowo te niby-świetliki latały bezładnie po całym pokoju, po suficie, po ścianach, aż miałem ochotę je łapać. Ale stopniowo zbliżały się do siebie, tworząc rój w najgęstszym dymie, w którym zaczął się formować coraz bardziej rozpoznawalny wzór. Był to zarys człowieka stworzony z wirujących światełek, jakby zrobiony z wielu połączonych modeli układów słonecznych.

— Śpiewająca Skało! — zaśpiewała Amelia. — Śpiewająca Skało, przejdź przez wrota!

Dym gęstniał w świetlistym zarysie sylwetki, która przyciągała go z całego pokoju, coraz szybciej i szybciej, jakby ktoś włączył potężną ssawkę. Zarys wypełniała ciemna, mglista postać, która szybko stawała się coraz gęstsza

i ciemniejsza. Wytworzyła własne cienie i głębie, plecy, głowę i twarz. Z tętniącego dymu powstawał mężczyzna.

Jednocześnie cały pokój trząsał się i wibrował, jakbyśmy przechodzili najdłuższe trzęsienie ziemi w historii ludzkości. Waza ze sztucznymi makami podskakiwała na stoliczku, aż wreszcie runęła na podłogę. Ze ściany spadła reprodukcja obrazu i pękła chroniąca ją szyba. Z kuchni dochodziły dźwięki dzwoniących sztućców w szufladach, kubków obijających się o siebie w szafkach. Za zasłonami w salonie brzęczały metalowe ramy okienne.

Po kolejnych trzech, może czterech minutach wibracje ustały i pokój jakby w jakiś cudowny sposób oczyścił się z dymu. Obok stołu, pięć stóp ode mnie, stał Śpiewająca Skąła. Wyglądał tak jak zawsze — czyli bardziej jak agent nieruchomości z małego miasteczka niż potężny indiański szaman — ale tym razem jego sylwetkę tworzył bez przerwy wirujący dym. Odniosłem wrażenie, jakbym stał przed domowym projektorem wyświetlającym jakiś stary film z bawiącymi się dziećmi.

Miał otwarte oczy, ale wzrok skupił na ścianie obok okna, lekko na lewo. Stał nieruchomo.

— Amelia? — odezwałem się. Amelia siedziała całkowicie bez ruchu z odchyłoną do tyłu głową, ramionami zwisającymi po bokach i zamkniętymi oczami. Z twarzy odpłynęła jej krew i nawet trudno było mi stwierdzić, czy oddycha. — Amelio, on przyszedł. Udało ci się. Wywołałaś go.

Zapadła długa cisza przerywana jedynie hałasem przejeżdżających pod oknami tramwajów i ledwie słyszalnym

szikka-tikka-tikka jakiegoś szarpanego instrumentu, ale i ten dźwięk zamilkł po chwili.

Wstałem, obszedłem stół i położyłem ręce na ramionach Amelii. Migocząca postać Śpiewającej Skały patrzyła prosto na mnie, ale szaman nie dał znaku, że mnie rozpoznaje.

— Amelio — szepnąłem jej do ucha. — Amelio, ko chanie, udało ci się! On tu jest.

Otworzyła oczy. Spojrzała najpierw na mnie, a ja ruchem głowy wskazałem na Śpiewającą Skałę.

— Śpiewająca Skało! Przyszedłeś do nas! Dziękujemy ci!

Śpiewająca Skała nadal się nie odzywał ani nie dawał znaku, że nas rozpoznaje. Przecież zmarł, a teraz został uformowany jedynie z zagęszczonego dymu, ale nadal był Śpiewającą Skałą. Zdziwiłem się, że podchodzę tak emocjonalnie do jego osoby. Miałem tylko nadzieję, że śmierć nie wywołała u niego jakiegoś astralnego alzheimera i że nie zapomniał, kim jesteśmy.

Stanąłem na wprost niego. Dym ze świecy dość chropowato uformował jego postać; wyglądała trochę jak szkic węglem. Zauważyłem, że zaczął wytwarzać ektoplazmę i z każdą sekundą stawał się coraz bardziej realistyczny. Jego czarne, natłuszczone włosy były już dokładnie odtworzone, nawet sieć delikatnych zmarszczek wokół oczu stała się doskonale widoczna.

Spojrzał na mnie, zezując. Może ektoplazma nie była w stanie odtworzyć okularów, a może rozbiły się w momencie, gdy został zabity. Na sobie miał ten sam czarny garnitur, w którym zginął, z szerokimi klapami i znaczkiem z łosiami.

— Śpiewająca Skało? — odezwałem się. Wyciągnąłem rękę do przodu i delikatnie dotknąłem jego kościstego barku.

Marynarke miał tak zakurzoną, jakby znalazł ją w ruinach budynku po wyburzeniu. Zmaterializował się wystarczająco, żeby z nim porozmawiać. — Śpiewająca Skala? Nie rozpoznajesz mnie?

Śpiewająca Skala zamknął i otworzył oczy tak powoli, jak jaszczurka wygrzewająca się na skale.

— Wiem, kim jesteś, Harry Erskinie — odparł ochrypłym głosem. — Dlaczego mnie wezwaliście? Myślałem, że będę miał już z wami spokój na zawsze. Przecież dałem ci bransoletę. Dałem ci opiekę mojego ducha w cielesnym świecie. Czy to nie wystarczy?

— Nie słyszałeś, że Amelia liczy od tyłu w języku Wampanoagów?

— Tak, słyszałem.

— Próbowala ci powiedzieć, że Misquamacus znalazł sposób na powrót do świata żywych.

— Wiem o tym. To był jeden z powodów, dla których się za was modliłem. Ale ty wezwałeś mnie, a ja jestem duchem, żaden zaś duch nie może oprzeć się wezwaniom ze świata cielesnego bez względu na to, jak bardzo jest mu niechętny.

— Bardzo mi przykro, że przerwałem twoje obrzędy, ale skoro wiedziałeś, że Misquamacus znalazł sposób na powrót, to dlaczego nas nie ostrzegłeś? Siostra Amelii wraz z całą rodziną straciła wzrok. I wygląda na to, że to samo dzieje się w całym kraju. Samoloty spadają z nieba. Samochody się rozbijają. Ludzie wypadają z balkonów.

— Jestem tego w pełni świadom. Duchy uważnie przyglądają się temu, co dzieje się w cielesnym świecie. Ale świat zmarłych nie jest za to odpowiedzialny i nie może

interweniować w przeznaczenie żywych bez względu na to, jak jest katastroficzne.

— Jezusie Świąty, Śpiewająca Skała! Mogłeś chociaż dać nam jakiś znak! Nie zdajesz sobie sprawy, ilu niewinnych ludzi zginęło? Tysiące! I zginie jeszcze więcej.

Śpiewająca Skała pozostał niewzruszony. Indianie byli najlepsi w zachowywaniu kamiennej twarzy. Tak naprawdę nieokazywanie emocji było jedyną emocją, jaką okazywali. Widzieliście kiedyś zdjęcie Indianina, który by się uśmiechał albo pokazywał wyprostowany środkowy palec?

— Mówiłem ci to już, Harry. Nie jest powinnością martwych chronić żywych przed ich objawionym przeznaczeniem.

„Objawione przeznaczenie”. Podobał mi się ukryty w tym określeniu sarkazm. „Objawione przeznaczenie” było usprawiedliwieniem, które biali wykorzystywali w dziewiętnastym wieku, by zabijać Indian i zabierać im ich ziemie. To nie nasza wina. Bóg tak chciał.

Odwrociłem się do Amelii. Wzywaniem Śpiewającej Skały wyczerpało jej siły i cała teraz drżała ze zmęczenia. Pochyliłem się nad nią i dotknąłem jej czoła, by upewnić się, czy nie ma gorączki.

— Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

— W porządku. Ale nie trać czasu. Misquamacus zorientuje się już po kilku minutach, że Śpiewająca Skała przeszedł przez wrota. Musisz go zapytać, jak Misquamacusowi udało się powrócić i w jaki sposób oślepił ludzi. I przede wszystkim, dlaczego to robi?

Śpiewająca Skąła chodził powoli wokół stołu. Chociaż wydawał się w pełni zmaterializowany, widziałem światło lampy stojącej za nim przebijające przez jego sylwetkę. Jego głos docierał do mnie, jakby ktoś wołał z łodzi na nabrzeżu przy wiejącym wietrze.

— Musisz zrozumieć jedną rzecz o Misquamacusie, Harry. Jego magiczne moce nie pochodzą od Gitche Manitou ani od duchów wiatru, jezior czy ziemi. One pochodzą od Wielkich Starych i dlatego właśnie nikt z tego świata nie może mu ich odebrać.

Podszedł do mnie blisko i powiedział:

— Wielcy Starzy zostali wypędzeni na granice istnienia, ale są wieczni i nieśmiertelni. Nawet Gitche Manitou nie potrafi umniejszyć ich wpływu na takich jak Misquamacus, którzy poznali sekret kontaktowania się z nimi i mówienia w yyharuti, języku, który powstał, zanim ludzie nauczyli się mówić.

— Okay, rozumiem. Nie można całkowicie wymazać czyjegoś ducha. Ale wydawało mi się, że uczyniliśmy coś, co nie pozwoli mu powrócić do świata żywych w fizycznej postaci. Przecież nie jest już w stanie produkować ektoplazmy, a skoro tak, to nie wytwarza ektoplazmy i nie może przyjąć materialnego kształtu, tak jak ty to zrobiłeś. Czy dobrze myślę? I nie może już zrobić tego numeru z płonącym olejem i odrodzić się w jakiejś niczego niepodejrzewającej kobiecie, tak jak zrobił to z Karen.

Śpiewająca Skąła podszedł do okna. Podniósł lewą rękę i zasłony się rozsunęły. Chyba nawet ich nie dotknął. Pokój wypełnił się światłem słonecznym, co sprawiło, że Śpiewająca Skąła wydał się jeszcze bardziej zakurzony niż

wcześniej. I choć rzucał cień na podłogę, to był on bledszy niż cień żywego człowieka.

Na zewnątrz Northrup Avenue tętniła życiem. Jaskrawoczerwone tramwaje przesuwały się pod oknem, a chodniki były zatłoczone przechodniami z zakupami. Na błękitnym niebie błyszczało kilka porozrywanych białych chmur.

— Misquamacus przysiągł, że zniszczy wszystkich, którzy wymordowali jego lud i rabowali jego kraj — tłumaczył Śpiewająca Skala. — Przysiągł to wobec Wielkich Starych i obiecał, że powrócą z wygnania; a Wielcy Starzy będą trzymali go za słowo przez całą wieczność. Nigdy nie ucieknie od swojego zobowiązania, nawet gdyby tego chciał. On nie potrafi powrócić do świata rzeczywistego w swojej oryginalnej postaci jak ja. Przejął duchy kilku najpotężniejszych szamanów, jacy kiedykolwiek żyli, takich jak Machitehew, czarownik Wampanoagów, który nauczył go magii. Machitehew w języku Wampanoagów znaczy „ten, który ma serce pełne zła”. Przejął też duchy Wodziwoba, znanego wśród białych osadników w Oregonie jako Piekielny John; i Loca, wodza plemienia Chiracahua z Warm Springs; i wodza Jump Off, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Nantan Dole Tasso; i wodza Niskiego Psa z plemienia Xunka Kuciyedano; i Nakaidokliniego, sławnego szamana, który wskrzeszał zabitych wojowników. Mimo że ci czarownicy są już dawno martwi, to nadal zamieszkują świat duchów i mogą odwiedzać cielesny świat, tak jak ja to zrobiłem. I w taki właśnie sposób powrócił Misquamacus.

— Więc jest duchem, który wchłonał inne duchy? Pożyczył ich ubrania, bo nie ma własnych?

— Tak. Pożyczył ich dym. Pożyczył ich prochy. Pożyczył ich twarze, ich głosy i magię. I sami możecie ocenić, jaki jest potężny, mając w sobie tyle duchów naraz. Gdy żył, mógł pojawiać się w wielu miejscach jednocześnie. Teraz jest tak samo, chociaż sam nie potrafi się zmaterializować, może być w dwudziestu lub trzydziestu duchach i ożywić je, nawet jeśli znajdują się w różnych miejscach w kraju, daleko od siebie.

— A Piorun Uderzający W Górach? — zapytała Amelia.

— Gdzie słyszeliście to imię?

— To on oślepił moją siostrę, gdy z mężem i dziećmi jechali rowerami bokiem HelFs Canyon. Muszę wiedzieć, jak on to zrobił i czy uda im się przywrócić wzrok.

— To był Hin-mut-too-yah-lat-kekht, znany także jako wódz Joseph z Nez Perce. Bardzo mądry przywódca swojego ludu i dzielny wojownik, ale też potężny szaman. Za życia nie chciał walczyć z białymi ludźmi, lecz wygląda na to, że po śmierci Misquamacus go przekonał, żeby zmienił zdanie i dokonał zemsty.

— Jezu! Znowu ta zasrana zemsta. Dlaczego ludzie nie mogą zaakceptować tego, że przeszłość to przeszłość i nic tego nie zmieni!

— Łatwo tak powiedzieć, jeśli stoisz po stronie zwycięzców — rzucił z goryczą Śpiewająca Skała. — Łatwo tak powiedzieć, jeśli to twoja kultura zdominowała rzeczywistość, a twój cały styl życia nie został zmyty na zawsze przez okropny sztorm.

— Rozumiem. Przykro mi. Ale ten Hin-mut... jakiś tam jest zdecydowanie odpowiedzialny za odebranie wzroku siostrze Amelii. Ona, jej mąż i dzieci potwierdzili, że miał jeszcze jakichś dwóch pomocników z sobą.

— Jakich pomocników? Ludzi, duchy czy demony?

— Wyglądali jak jakieś odbicia w lustrze albo pudła, albo marionetki. Ich twarze były białe, ale ciała czarne lub czerwone.

Śpiewająca Skała miał coś powiedzieć, gdy nagle rozległo się ostre pukanie do drzwi. Brzmiało, jakby ktoś stukał laską. Amelia spojrzała na mnie zaniepokojona, a ja na Śpiewającą Skałę.

— Kto tam?! — zawołałem.

Śpiewająca Skała podniósł rękę i powiedział:

— Ktokolwiek tam jest, prędzej czy później będziecie musieli stawić mu czoło.

— Może to tylko pokojówka chce położyć czekoladki na poduszkach.

Znowu usłyszeliśmy donośne walenie w drzwi. Podeszedłem do drzwi i jeszcze raz zapytałem:

— Kto tam? O co chodzi?

Zdawałem sobie sprawę, że Śpiewająca Skała ma rację. Ktokolwiek to był, prędzej czy później będziemy musieli stawić mu czoło.

Złapałem gałkę, wziąłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi.

Rozdział 13

Lasy państwowe hrabstwa Modoc, północna Kalifornia

Ostrożnie szli po wulkanicznym rumowisku, czasem trzymając się za rękawy, czasem wpadając na siebie. Ciernie krzewów łapały ich za dżinsy i drapały po nogach. Gdzieś w rozległej pustej ciemności zaskrzeczał myszowski, jakby wiedział, co ma się z nimi stać, i nie mógł się doczekać, kiedy będą leżeli martwi na skałach sześćset stóp niżej.

Cayley cały czas łkała, Remo przeklinał, a Charlie sapał, z trudem łapiąc powietrze.

Tylko Mickey był cicho, bo próbował sobie przypomnieć, jak wyglądali jego rodzice, dom i młodsza siostra. Mówią, że przed śmiercią całe życie człowieka przewija mu się przed oczami, ale Mickey odkrył, że to nieprawda. Nie był w stanie niczego zobaczyć, miał tylko przebłyski pamięci — jak wchodzi do kuchni i matka stoi tyłem do niego przy blacie albo jak biegnie po boisku do baseballu do następnej bazy, albo jak gra w nogę jaskrawoczerwoną piłką. Miał wrażenie, że jego umysł pokazywał mu obrazy nakręcone kamerą utrzymaną w trzęsącej się ręce. Jego matka odwraca

się do niego i mówi: „Cześć, kochanie” — ale jej twarz jest zupełnie rozmazana.

— Ruszajcie się! — zawołał Wodziwob. — Nie dotar liście jeszcze do waszego przeznaczenia!

Remo zatrzymał się, odwrócił i krzyknął:

— Pierdolę cię, gościu! I pierdolę moje przeznaczenie! Myślisz, że tak po prostu damy się zrzucić ze skały jak potulne baranki?

Tudatzewunu dźgnął go w biodro swoją włócznią, aż Remo krzyknął z bólu.

— Kurwa! Kurwa!

Zrobił jeszcze kilka kroków i rzucił się na ziemię, ciągnąc z sobą Cayley i Charliego. Mickey ukląkł koło nich.

— Musicie iść! — rozkazał im Wodziwob. — Nadszedł dzień, w którym zaczniecie oddawać mojemu ludowi to, co mu zabraliście!

— Nic nikomu nie zabieraliśmy! — wrzasnął Remo. — Nic nie zabraliśmy! Tylko rybę, okay? I wrzucimy ją z po wrotem do rzeki, pasuje? Wrzucimy ją do rzeki, wsiądziemy do kampera, odjedziemy i już nigdy tu nie wrócimy!

— Wstań i bądź mężczyzną! — krzyknął Wodziwob. — Wstań i idź!

Tudatzewunu i Tubbohwa szturchali ich dzidami tak długo, aż wstali. Płacz Cayley zmienił się w szloch, a oddech Charliego przeszedł w rżenie. Mickey odmówił modlitwę, której matka nauczyła go w dzieciństwie.

— Oddaję moją duszę i moje ciało pod Twoją opiekę na tę noc, Boże, pod Twoją opiekę, Jezu Chryste, pod Twoją opiekę, Duchu Święty. Pod Twoją opiekę, Trójco Święta, która obronisz mnie przed złem nocy.

— Zamknij się! — warknął na niego Remo, gdy ruszyli do przodu. — Po prostu się zamknij!

— Ja nie chcę spaść w przepaść! — krzyczała Cayley.

— O Boże, Boże, Boże! — jęczał Charlie.

Cała czwórka nagle stanęła. Choć byli zupełnie ślepi, poczuli po podmuchu wiatru i szmerze rzeki daleko w dole, że doszli do krawędzi wzniesienia. Tylko kilka kroków dzieliło ich od pustki przepaści.

— Dalej! — rozkazywał Wodziwob. — Idźcie śladami wodza Si-e-ta! Już wkrótce się z nim spotkacie!

— Nie mamy zamiaru! — wykrzyknął Remo. — To jest morderstwo! To jest jawne morderstwo!

Tudatzewunu i Tubbohwa'e zaczęli kłuć ich swoimi włóczniami — w plecy, w pośladki, w uda. Cała czwórka krzyczała z bólu.

— Do przodu! — rozkazał Wodziwod. — To zawsze było wasze przeznaczenie, od dnia, kiedy się urodziliście! Boicie się go!

Mickey czuł ciepłą krew płynącą po nogach pod dzinsami. Wziął głęboki oddech i powiedział:

— Zróbmy to!

— Co? — zapytał Remo.

— Skoczmy! I tak nas zabiją! Pokażmy im, że się nie boimy!

— Czyś ty, kurwa, zwariował?

Nagle wtrąciła się Cayley.

— Tak! Skoczmy! Wszyscy razem!

— Czy wam wszystkim odważyło? — wściekał się Remo.

— Nie — odpowiedział Charlie. — Polecimy. Obiecuję to wam.

— To będzie bardzo bolało, człowieku — oświadczył Remo.

— Nie, nie będzie nic bolało, jeśli pomyślisz o najpiękniejszym wydarzeniu swojego życia — odparł Mickey.

— Dalej! — darł się Wodziwob. — Nie ma czasu na rozmowy!

Pudełkowe postacie kłuły ich włóczniami. Tudatzewunu pchnął Rema dzidą w ucho i przebił ostrzem małżowinę.

— Aaa! Kurwaaa! — wrzeszczał Remo z bólu i potem histerycznie krzyknął: — Taaak! Skaczymy! Teraz! Zróbmy to razem!

Cała czwórka zbliżyła się do siebie. Zrobili kilka małych kroczków dalej. Skała pod nimi zaczęła ostro opadać, a spod ich stóp sypały się luźne kamyki i leciały w przepaść. Przez kilka sekund słyszeli, jak kamyki odbijają się od skał poniżej, potem była już cisza, aż po kilku chwilach odległe stuknięcia daleko niżej.

— Gotowi? — zapytał Mickey.

— Gotowi — odparł Remo. — Kocham was! Cesarze IT!

— Geronimo! — krzyknął Charlie dychawicznym głosem.

Zrobili kilka kroków do przodu, aż skała umknęła im spod nóg i spadli w pustkę. Przekręcali się w powietrzu, liny zawiązane wokół ich nadgarstków trzymały ich razem, więc podczas spadania objali się o siebie w powietrzu.

Spadali, spadali... Mickey pomyślał: Nie wierzę w to! Za chwilę umrę! To już koniec mojego życia! A wtedy but Charliego uderzył go w czoło, aż głowa odskoczyła mu do tyłu, a cała czwórka nagle przestała spadać, utworzyła

plataninę ciał, uderzając się o siebie, aż wreszcie walnęli w skałę i niemal stracili przytomność.

— Jezusie Świąty! — krzyknął Remo.

Byli poobijani i pokaleczeni, poskręcani z sobą. Dopiero po kilku sekundach zrozumieli, co się stało. Nie mieli pojęcia, jak długo spadają, ale nie polecili więcej niż jakieś trzydzieści stóp. Mimo wszystko Mickey czuł się tak, jakby ktoś poobijał go z całej siły kijem baseballowym, a nadgarstki tak go piekły, jakby ktoś je przypalał. Jedno kolano miał uwięzione pomiędzy dwoma ostrymi skałami, a reszta ciała wisiała na linie, którą byli razem powiązani.

Próbował złapać linę, żeby trochę się podciągnąć i uwolnić nadgarstki. Gdy mu się to udało, zrozumiał, gdzie się znaleźli.

— Gdzie jesteś, Remo? Charlie? — zawołał.

— Wszystko z tobą w porządku? — zapytał Remo. — Bo mnie nic się nie stało. A co z tobą, Charlie?

— Okay. Mam chyba skręconą kostkę. Boli jak jasna cholera.

— Cayley, a ty?

— Co się z nami stało? — odezwała się Cayley niewyraźnym głosem kogoś w głębokim szoku. — Nie żyjemy?

— Żyjemy! Nie spadaliśmy długo. Złapało nas drzewo — wyjaśnił Mickey.

— Co? — spytał zdziwiony Remo.

— Nie jestem do końca pewien, ale wygląda na to, że ty i Charlie jesteście po jednej jego stronie, a ja i Cayley po drugiej. Gdyby nie związali nas sznurem, to już leżelibyśmy martwi na dole.

Remo milczał przez chwilę. Drzewo zatrzeszczało, kilka

kamieni spadło w przepaść. Słyszeli dochodzący daleko z dołu szum rzeki Pit płynącej po dnie wąskiego, głębokiego kanionu.

— Bola mnie nadgarstki i barki — narzekała Cayley.

— Musimy się stąd wyplątać — odezwał się Mickey.

— Serio? — odpowiedział zaczepnie Remo. — Jesteśmy ślepcami, człowieku. Wisimy na pieprzonym drzewie w połowie góry. Więc o czym ty w ogóle mówisz?

— Daj spokój. Musi być jakiś sposób. Gdyby tylko jednemu z nas udało się uwolnić nadgarstki.

— No nie wiem, jak jest z twoimi, ale moje są tak silnie ściągnięte, że nawet ich nie czuję.

— Może potrzebujemy liną o skałę.

— Stary, ja nawet nie mogę się ruszyć. Całe pół tony Charliego wisi na drugim końcu mojej liny.

— W takim razie jesteśmy w gorszej sytuacji, niż gdybyśmy po prostu walnęli o ziemię — podsumował Charlie, zanosząc się kaszlem. — Będziemy umierać tu tutaj w męczarniach z wyczerpania, wisząc na drzewie... kilka dni.

— Spokojnie. Może ten popapwany szaman, pies mu mordę lizał, zobaczy nas i wyzwoli z tej biedy kilkoma pchnięciami dobrze zaostrzonych dzid.

— Posłuchajcie — zaczął Mickey. — Jeszcze żyjemy. Pomodliłem się do Boga, żeby nas oszczędził, i tak się stało.

— Ooo! To świetnie! Wiedziałem, że możemy polegać na naszym starym dobrym Bogu.

— A ty jesteś nieżywy?

— Nie. Przecież umarlaki nie mówią. Ale za to mam kilka złamanych palców.

— Uwolnimy się stąd, zobaczycie. Znajdziemy jakiś sposób.

Cayley zaczęła znowu płakać.

— Barki mnie strasznie boją, Mickey. Proszę, zrób coś. Już dłużej nie wytrzymam.

— Zobaczycie, że się stąd uwolnimy — uspokajał wszystkich Mickey. — Los nie oszczędził nas bez żadnego powodu.

Remo zaczął płakać. Był to szloch małego chłopca, który zgubił się w supermarkecie i nie może odnaleźć mamy. To przeraziło pozostałych bardziej niż Wodziwob, bo oznaczało, że zwykle bezczelny, arogancki i pewny siebie Remo stracił wszelką nadzieję, że przeżyją.

— Rany boskie, Remo! — uspokajał go Charlie, ciężko oddychając.

— Macie rację. Będziemy tu wisieć, aż umrzemy z wyčerpania i odwodnienia, a myszołowy wydziobią nam oczy. Gdybyśmy walnęli o skały, przynajmniej byłoby po wszystkim. Bam, bam... i koniec. Ale to? Nie zniosę tego.

Wisieli na drzewie jak cztery nieżywe skunksy przywiązane do płotu. Drzewo trzeszczało, rzeka płynęła w dół, wiatr wiał dookoła, a oni przez dwadzieścia minut cierpieli w ciszy. Remo próbował przekreślić głowę, by przegryźć linę, ale zaledwie dotknął jej lewym policzkiem.

— Może powinniśmy się rozbijać i oderwać to drzewo od podłoża? — zaproponował Mickey — Przecież ono wyrosło pomiędzy skałami i jego korzenie nie mogą tkwić w szczelinach zbyt głęboko.

— Aha, rozumiem — odparł Remo. — I wtedy spadniemy w przepaść i roztrzaskamy się?

— Sam powiedziałeś, że nie zniesiesz wiszenia tutaj.

— Pewnie, że nie zniosę, ale to nie oznacza, że chcę umrzeć.

— Przecież skoczyłeś jak wszyscy, prawda?

— No tak, ale wtedy to było co innego. Gdy to zrobiłem, myślałem, że jednak coś nas uratuje. Może anioło wie albo jakiś dziwny podmuch wiatru. Jakiś cud. Sam nie wiem.

— Drzewo nas uratowało, stary. Drzewo. To był ten cud. A teraz musimy wymyślić sposób, żeby się stąd wydostać. To nie był przypadek. Bóg nas uratował i będziemy żyli, obiecuję ci.

— Przestańcie już jęczeć, do cholery! — odezwał się jakiś głos z nosowym akcentem, bardzo blisko nich.

Posłuchali, choć nadal stękali z bólu.

— Kto to powiedział? — dopytywał się Charlie. — To ty, Remo?

— To nie ja, stary.

— Mickey, słyszałeś to?

— Nie mam pojęcia, kto to był. Jest tam kto? Halo? Jest tam kto?

— Powiedziałem, żebyście się zamknęli, do licha — odezwał się głos. — Ciem, rzuć mi linę, chłopcze. Jethro, ty wspinaj się tam. Dobrze. I trzymaj się na widoku. Ci Pajuci mogą nadal czaić się za skałami.

— Kto tu jest? — zapytał Mickey.

— A co sobie myślałeś? Trzydziesty Dziewiąty Regiment Piechoty Konnej.

— Nie widzimy was — odezwał się Charlie. — Indianie nas oślepiłi.

— To draństwo! Trzymajcie się tam, a my ściągniemy

was z tego drzewa. Ale bądźcie cicho. Pajuci na pięć mil słyszą pierdzącego bobra.

Wisieli wyczerpani na drzewie i wsłuchiwali się w szuranie butów o powierzchnię skał i pobrzękiwanie metalowych narzędzi. Po chwili poczuli, że zostali pochwyceni przez silne, mało delikatne ręce i podciągnięci. Mickey wyczuł palcami chropowatą powierzchnię płaszczów z serży i guziki, poczuł zapach whiskey i bardzo ostry odór potu.

Nie bardzo orientowali się, co się dzieje wokół nich, aż wreszcie Mickey i Cayley zostali przyciągnięci do boku drzewa i przetoczeni przez jego pień na drugą stronę, gdzie wisieli Remo i Charlie. Cała czwórka zderzyła się z sobą, ślizgając się butami po stoku, ale ratownicy trzymali ich mocno, uniemożliwiając upadek w przepaść.

Bardzo ostrożnie prowadzono ich w porośnięty ciemnymi krzewami żleb. Mickey odniósł wrażenie, że zostali uratowani przez co najmniej sześciu lub siedmiu ludzi, bo za każdym razem, gdy się potykał, podtrzymywały go dwie lub nawet trzy ręce.

Gdy weszli głębiej w krzaki, oswobodzono ich z lin i rozdzielono. Mickey rozcierał nadgarstki, wyczuwając otarcia od liny.

— Zaskoczyli was ci Pajuci, co? Oni tak potrafią. I Miodokowie też. Pojawiają się znikąd jak duchy.

— My nic nie robiliśmy — odparł Mickey. — Tylko łowiliśmy ryby.

— Łowiliście ryby? To chyba głupota, biorąc pod uwagę sytuację.

— Nie wiedzieliśmy, że tak to wkurzy rdzennych Amerykanów.

— Kogo?!

— Indian — poprawił Remo. — Mówili, że weszliśmy na ich ziemię. Powiedzieli, że biali oślepiłi ich wodza i zmusili ich do skoczenia w przepaść. I dlatego zrobili to samo z nami.

— Teraz nic wam już nie grozi — wyjaśnił nosowy głos. — Kilku z nich, sukinsynów, jeszcze próbuje walczyć, ale większość uciekła jak króliki i chowa się w jaskiniach. Może z tuzin wymknął się z gór, ale dorwaliśmy w końcu prawie wszystkich. Powiem inaczej: oni już nigdy nie będą z nami walczyć. Na pewno nie ci Pajuci ani Modokowie, ani ci Indianie Pit River.

— Nie rozumiem — odrzekł Mickey. — Kiedy to się stało?

— Uwaga teraz! — ostrzegł ich nosowy głos. — Tu robi się trochę stromo. Idźcie ostrożnie!

Żołnierze pomogli im zsunąć się z pochyłej, gładkiej skały i dalej zejść po luźnych kamieniach i małych wulkanicznych głazach. Po chwili znaleźli się na równym terenie i doleciał ich szum rzeki.

— Nie słyszeliśmy żadnej walki — wyjaśniał nachalnie Mickey.

— Może Indianie nie tylko was oślepiłi, ale również ogłuszyli — odezwał się inny głos.

— Po prostu jesteście zdziwieni, że tego nie słyszeliśmy, i tyle.

Doszli do skał nadrzecznych, a ratownicy wzięli ich za ręce i prowadzili przez rzekę; lodowata woda sięgała do kolan.

— Więc skąd jesteście, ludzie? — zapytał nosowy głos.

— Z Pało Alto. Przyjechaliśmy tylko na ryby.

— Pało Alto? Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

— Nigdy pan nie słyszał? Leży trzydzieści pięć mil na południe od San Francisco. To stolica IT Kalifornii.

— Stolica czego?

— Informatycznej Technologii — wyjaśnił cierpliwie Remo. Pośliznął się na zanurzonym w wodzie kamieniu, ale jeden z ratowników złapał go za ramię, zanim zdążył się przewrócić.

— Przepraszam, chłopcze — odparł nosowy głos. — Nie mam pojęcia, o czym ty, do licha, mówisz.

Doszli do drugiego brzegu rzeki, gdzie usłyszeli więcej głosów i rżenie koni. Poczuli zapach drewna z ogniska i pieczonego boczku.

— Gdzie przywiązaliście swoje konie? — zapytał nosowy głos. — Wiem, że to trochę dziwne pytanie, bo Indianie na pewno je od razu ukradli.

— Przyjechaliśmy tutaj wozem kempingowym — odpowiedział Remo.

— Jak to „wozem kempingowym”?

— No tak. Zostawiliśmy kampera na polu namiotowym.

— „Kampera”? Jesteście jakimiś Chinolami czy innymi dziwadłami?

Zaprowadzono ich do ogniska. Po dochodzących dźwiękach — rozmów, kaszlu, pobrzękiwania metalu — zorientowali się, że są w jakimś obozowisku. Mickey oszacował, że było tam dwudziestu, trzydziestu mężczyzn. Nie słyszał głosów kobiet ani dzieci.

— Głodni? — zapytał zachrypnięty głos.

— Nie, dzięki — odparł Charlie.

— Macie coś albo coś takiego? — zapytała Cayley.

— Co?!

— Cokolwiek do picia. Byle nie piwo korzenne.

— A co chcesz? Mamy kawę albo wodę.

— Wodę poproszę.

Całą czwórkę usadzono przy ognisku.

— Możemy pożyczyć od was komórkę? Musimy jak najszybciej wracać do domu, żeby ktoś zajął się naszymi oczami.

— Co chcesz pożyczyć?

— Komórkę. Oczywiście, jeśli jest tu zasięg. Jeśli nie, to może ktoś z was mógłby nas podwieźć. Zapłacimy za benzynę.

Po długiej chwili milczenia nosowy głos odpowiedział:

— Naprawdę przykro mi, synu. Ale zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

— O komórkę. Telefon komórkowy. Przecież na pewno ktoś z was ma komórkę.

— Przykro mi. Ale zabiłeś mi ćwieka.

— To kim wy w końcu jesteście? — zapytał Charlie.

— Kim my jesteśmy?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — pospieszył z wyjaśnieniami Charlie. — Jesteśmy wam bardzo wdzięczni za uratowanie życia. Ale nie widzieliśmy was, gdy tu przyjechaliśmy. Mówicie, że walczyliście z Indianami, a my nic z tego nie słyszeliśmy. No i wygląda na to, że nie rozumiecie, o czym mówimy. Przynajmniej niewiele.

— Powiedziałem wam — odparł nosowy głos. — Jesteśmy z Trzydziestego Dziewiątego Regimentu Piechoty Konnej pod generałem George'em Crookiem. Pan generał obozuje w górę rzeki.

— Ale dlaczego walczyacie z Indianami? — zapytał Mickey.

— Dlaczego walczymy z Indianami?

— No tak. Co oni złego zrobili?

— Co oni zrobili?

Znowu nastąpiła pełna zdziwienia cisza, którą w końcu przerwał nosowy głos.

— Jethro! Hej, Jethro! Po co my walczymy z tymi Indianami?

— Bo oni są cholernie niedobrzy!

— No właśnie — powiedział nosowy głos najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi. — Bo oni są cholernie niedobrzy i dlatego z nimi walczymy. Oni zwykle nie łączą się w takie grupy, Pajuci, Modokowie i Pit River, i Szoszoni. Normalnie to oni leją się po dupach między sobą, przepraszam panienkę za słownictwo. Teraz się połączyli, by nas zaatakować. — Mężczyzna wciągnął głośno powietrze i dodał: — Ale wygląda na to, że przeprowadziliśmy atak wyprzedzający.

— My nie widzieliśmy żadnych Indian — oświadczyła Cayley.

— Nie widzieliście? Zanim was oślepieno czy później?

— Zanim. Biwakowaliśmy nad rzeką. Nikogo nie widzieliśmy.

— Zadziwiasz mnie, panienko. Tam było ponad siedem dziesięciu pięciu Pajutów i trzydziestu Pit River, a także spora grupka Modoków i Szoszonów. A nas jest około setki, wliczając w to kompanię kawalerzystów i piętnastu indiańskich zwiadowców. Tam się rozpętało piekło, była strzelanina, wrzaski, bieganina.

Nagle ktoś zawołał:

— Caleb! Sierżant Briggs chce cię zobaczyć! Natychmiast!
— Już idę! — odpowiedział mu nosowy głos i zwrócił się do czwórki przyjaciół: — Muszę was tu zostawić na chwilę. Posiedźcie i odpocznijcie, dobrze? Jak będziecie głodni, to zawołajcie Chowdera. To nasz kucharz obozowy, przynajmniej tak każe na siebie mówić.

Gdy odszedł, odezwał się zdziwiony Remo:

— Kim są ci ludzie, do licha?

— To oczywiście, że żołnierzami — odparł Charlie. — Ale nie prawdziwymi żołnierzami. Może oni są z jakiegoś towarzystwa historycznego, które odtwarza dawne bitwy.

— Pewnie masz rację — zgodził się Mickey. — No bo cały czas powtarzają, że walczyli z Indianami, ale przecież nie widzieliśmy żadnych Indian... poza Piekielnym Johnem i tymi jego dwoma dziwadłami.

— Muszę iść do lekarza — jęknęła Cayley. — Nie mogę ruszać ramieniem.

— Wygląda na to, że bark ci wyskoczył — powiedział Mickey.

— A ja muszę dostać mój inhalator — odezwał się Charlie. — I obwiązać kostkę.

— A ja chcę się stąd jak najszybciej wydostać — oświadczył Remo. — Musimy poprosić tych facetów, żeby choć na pięć minut zapomnieli o swoich rolach i przestali udawać, że nas nie rozumieją.

Wrócił Caleb i przykucnął koło nich.

— Sierżant mówi, że możemy pożyczyć wam dwa konie, byście po dwóch na nie wsiedli, i damy wam jeszcze indiańskiego zwiadowcę, który poprowadzi was do Goose Lake. Tam mamy obóz i lekarza.

— Konie? — zaprotestował Remo. — Żartuje pan? Poza tym, że jestem kompletnie ślepy, to ja nigdy w życiu nie jechałem konno.

— Nigdy nie jechałeś na koniu? — zapytał nosowy głos z niedowierzaniem. — Nigdy?

— Nigdy. I nie zamierzam. To znaczy... dziękujemy za pomoc i w ogóle, ale jazda konna nie wchodzi w rachubę.

Po chwili nosowy głos powiedział:

— No to może uda się skombinować dla was jakieś indiańskie tragi.

— Co?

— Indiańskie tragi. Powiązane żerdzie ciągnięte przez muły, pod warunkiem że pozwolą je wziąć. No i uprzedzam, to nie będzie wygodna podróż.

— Proszę mnie posłuchać — zaczął Remo. — My tylko chcemy skorzystać z komórki. Rozumie pan?

— Przykro mi, synu. Nadal cię nie rozumiem.

— Przecież musicie mieć jakiś nadajnik radiowy.

Nastało milczenie. Nosowy głos najwyraźniej doszedł do wniosku, że upadek w przepaść i zawieszenie na drzewie poplątały młodym ludziom w głowach.

— A może ktoś mógłby odwieźć nas naszym winnebago? Może tak to załatwimy?

— Synu, muszę ci coś szczerze powiedzieć. Zupełnie nie rozumiem, o czym mówisz. Najlepiej będzie jak usiądziecie sobie w spokoju i porządnie się wyśpicie do rana. Strzelec Johnson znajdzie dla was jakieś koce i zaprowadzi was do wolnego namiotu. Rano zdecydujemy, co z wami zrobić.

— Rany boskie, człowieku! — wykrzyknął Remo. — Ja tylko proszę o pożyczenie na chwilę komórki!

— Wiem, o co prosisz, ale my nie mamy tu żadnej komórki. Jak złapiemy Indianina, to nie trzymamy go w koźmórcie, lecz rozstrzelujemy. To rozkaz generała Crooka: — nie bierzemy żadnych jeńców.

— Jezu — odparł Remo. — Dajmy już temu spokój.

— Przykro mi — odpowiedział nosowy głos tonem, który brzmiał, jakby faktycznie mówił to szczerze.

♦ ♦ ♦

Strzelec Johnson zaprowadził ich do śmierdzącego pleśnią namiotu, rozłożył cztery drapiące wełniane koce i pomógł im się na nich położyć.

— Może ci faceci tak się wczuli w odgrywanie swoich ról, że naprawdę nie rozumieją, o czym my mówimy. Słyszałam o czymś takim. To chyba nazywa się regresja. Moja ciocia Mimi wierzyła, że jest reinkarnacją Betsy Ross. Zaczęła szyć flagi narodowe i wysyłać je do Białego Do mu — opowiadał Charlie.

— Ale przecież widzieli, że potrzebujemy lekarza — zaprotestowała Cayley. — Ja rozumiem, że można sobie żartować, ale to już kompletny absurd.

— Może to wcale nie dzieje się naprawdę — zastanawiał się Remo. — Może ta trawka, którą dostałem od Louiego, jest mocniejsza, niż myślałem.

— Sądysz, że cały czas jesteśmy nawaleni? — odparł Mickey. — Chcesz, żebym ścisnął ci połamane palce dla sprawdzenia, czy to prawda?

— Posłuchajcie — włączył się Charlie. — Przeżyliśmy, tak? Więc może też nie zostaniemy ślepi na zawsze. Może to jest tak jak z tą odklejoną siatkówką i medycyna zdoła

to naprawić. Mój wujek Stanley miał odklejoną siatkówkę, a po operacji nie musiał nawet nosić okularów.

— A kogo był reinkarnacją? Sokolego Oka i Ostatniego Mohikanina?

— Nic więcej dziś nie wymyślimy — zawyrokował Mickey. — Nawet jeśli ci ludzie mają radio, to i tak sami go nie znajdziemy. Najlepiej będzie, jak faktycznie się prześpimy.

— A jak niby mam zasnąć? — skarżyła się Cayley. — Bark potwornie mnie boli.

— Po prostu leż spokojnie i pomyśl o tym swoim chłopa — poradził Remo. — To powinno cię uspić.

— On nie jest moim chłopakiem.

— Aha, więc wiesz, o kim mówię? O tym głupolu, który smaży hamburgery w Taxi's?

Rozmawiali jeszcze z przerwami przez godzinę, czasem sprzecząc się, czasem narzekając, czasem szlochając z przerażenia. W końcu szok spowodowany utratą wzroku i upadkiem w przepaść dał znać o sobie i zasnęli jedno po drugim. Kręcili się i mruczeli przez sen, a Cayley nawet zaczęła płakać, takim delikatnym szlochem jak miauczenie kota, który stoi pod drzwiami na deszczu i chce wejść do środka.

Mickeyowi śnił się Wodziwob, ale w jego śnie Wodziwob stał plecami do niego i nie chciał się odwrócić. Mickey podszedł, położył mu rękę na ramieniu i dopiero wtedy tamten się odwrócił. Twarz Wodziwoba była maską — śmiertelnie białą, a zamiast oczu miał błyskające niebieskie światła. Mickey próbował krzyczeć, ale coś utkwiło mu w gardle, coś grubego, tłustego i ohydneho, jakby połknął ropuchę, i tylko zbierało mu się na wymioty.

Remo dyskutował z kimś przez sen:

— Nie możesz mnie tu zostawić, człowieku. Nie ma już powrotu. Co? Nie dotknę tego.

Charlie prawie się nie ruszał przykryty kocem, ale jego oddech był ciężki i świszczący i kilkakrotnie zupełnie ustawał. Taki bezdech trwał u niego minutę, po której Charlie wydawał z siebie piszczący dźwięk i zaczynał oddychać. Choć jego przyjaciele zupełnie nie zdawali sobie z tego sprawy, tej nocy był bliżej śmierci niż którekolwiek z nich.

— Nie dotknę tego. Proszę, nie zmuszaj mnie, nie chcę tego dotknąć — błagał przez sen Remo.

♦ ♦ ♦

Mickey obudził się od klekotania sroki, która miała gniazdo na pobliskiej sośnie. Chrząknął i obrócił się na bok, próbując naciągnąć na siebie koc, ale koca nie było.

Usiadł. Nadał był zupełnie ślepy. Słyszał szum bystrzy rzeki Pit i wiatr poruszający liśćmi krzewów. Musiał spłoszyć srokę, która odleciała z wrzaskiem.

— Remo! — zawołał, macając przestrzeń wokół siebie. — Remo! Śpisz?

Po chwili odezwały się jęki:

— Jezu! Moje palce!

— Żyjesz? — pytał Mickey. — Charlie? Cayley? Jesteście cali?

Charlie zaświszczał i zakasłał.

— O rany, mój bark! — zaczęła marudzić Cayley.

— Gdzie mój koc? — zapytał Remo. — Hej! Kto mi ukradł koc?

— Nie mam twojego koca. Swojego też nie mogę znaleźć.

— Mój też zniknął — dodała Cayley. — Co się dzieje?!
Leżę na ziemi!

Remo wstał i wyciągnął ręce przed siebie.

— Hej! Obudziliśmy się! Czy ktoś nam może pomóc? —
zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Dochodził do nich tylko szum
rzeki.

— Hej! — krzyknął Mickey. — Żołnierze z Trzydziestego
Dziewiątego Regimentu! Potrzebujemy waszej pomocy!

Nadal brak jakiegokolwiek odpowiedzi. Remo zaczął ostroż-
nie krążyć wkoło z wyciągniętymi przed siebie rękami.

— Jest tu kto? No dalej, niech się ktoś odezwie! To nie
jest śmieszne! — Machnął rękami i opuścił je. — Nie ma
namiotu! — rzekł ze zdziwieniem.

— Co?

— Nie ma namiotu. Zabrali go. Do licha! Zostawili nas
samyh bez namiotu i bez koców.

Mickey i Charlie wstali.

— Hej! — zawołał. — Caleb! Jesteś tu? Caleb! Halo!
Jest tu kto?!

— Oni odjechali — stwierdziła Cayley. — Zostawili nas
samyh.

Nasłuchiwali przez dłuższą chwilę, ale Cayley miała rację.
Nie słyszeli żadnych głosów ani pobrzękiwania ostróg czy
uprzęży; żadnego rżenia koni, żadnego odgłosu ludzkiej
obecności. Tylko szum wody, wiatru i liści na drzewach.

— Nic z tego nie rozumiem — oświadczył Remo. —
Wszyscy jesteśmy ślepi. Wszyscy potrzebujemy lekarza,
i to szybko. A oni nas po prostu zostawili w tej głuszy
i nie mamy możliwości dotrzeć do jakiegokolwiek cywilizacji.

— Ja muszę jak najszybciej dostać inhalator. Bez niego mogę umrzeć — odezwał się Charlie.

— W takim razie sami spróbujemy poszukać drogi po wrotnej do kampera — zawyrokował Mickey. — W końcu mniej więcej wiemy, gdzie jesteśmy. Jesteśmy koło kanionu, więc pole biwakowe musi znajdować się trochę dalej w górę rzeki. Jeśli pójdziemy wzdłuż niej, to prędzej czy później natrafimy na kamper.

— O ile ci gnoje go nie ukradli.

— Jeśli ukradli, to ukradli, nic na to nie poradzimy. Ale przynajmniej stamtąd jest jakaś droga.

— I co? Niby mamy maszerować z powrotem pieszo? Wiesz, jak to daleko? Nawet do drogi trzysta pięćdziesiąt jeden? Przynajmniej osiem mil, o ile oczywiście się nie zgubimy, co jest przecież całkiem możliwe.

— Z takim pesymistycznym podejściem to w ogóle nie mamy szansy — odparł Mickey. — Więc co mamy według ciebie zrobić? Usiąść na tyłkach i umrzeć z głodu? Daj spokój. Stevie Wonder też był ślepy, a i tak został bogaty i sławny.

— Stevie Wonder nie został porzucony w środku lasu Modoc bez przewodnika, który mógłby zaprowadzić go z powrotem do cywilizacji.

Mimo marudzenia ruszyli w stronę rzeki, po czym zaczęli przeprować się na drugą stronę po kolana w wodzie, balansując i ślizgając się na zanurzonych kamieniach, które Mickey porównał do „kul do kręgli wysmarowanych smarkami”. Gdy doszli do przeciwnego brzegu, szli wzdłuż rzeki jeden za drugim z ręką spoczywającą na barku osoby poprzedzającej.

— Czujecie dym? — zapytał Mickey, który szedł pierwszemu.

Remo zatrzymał się, powąchał powietrze i odparł:

— Czuję. To chyba pali się jakieś ognisko.

— Może ich dogoniliśmy — zasugerowała Cayley.

— Nie, to nie jest ognisko obozowe — stwierdził Remo. — Czuję smród oleju i palącej się gumy.

— Chyba nie myślisz, że... — zaczął Charlie.

— Jasna cholera! — zaklął Mickey. — Założę się, że podpalili nasz kamper.

Przeszli po głazach tak szybko, jak tylko mogli, choć Cayley i Charlie tracili równowagę i trzeba im było pomagać. Poczuli wreszcie, że są na równiejszej przestrzeni.

— Słyszycie te bystrza? Tutaj łowiłem ryby.

Winnebago musiał być bardzo blisko, bo czuli gęsty, duszący dym palącej się gumy i zaczęli kasłać. Słyszeli, jak trzeszczą płonące elementy samochodu, pękają szyby i syczy paląca się gąbka siedzeń.

— To gnoje! — zawołał ze złością Remo.

— Lepiej się odsuńmy — poradził Mickey. — Ten dym jest toksyczny, no i może za chwilę wybuchnąć zbiornik z paliwem.

— Nic z tego nie rozumiem — zastanawiała się głośno Cayley. — Po to nas ratowali i dali nam schronienie, żeby potem spalić nasz samochód?

— Mogli to zrobić ci Indianie.

— Nieważne, kto to zrobił. Już po nim — rzekł Mickey. — Przecież i tak nie dalibyśmy rady nim pojechać.

— Więc co teraz? — zapytał Remo.

Mickey już miał coś powiedzieć, gdy winnebago eks-

plodował z hukiem przypominającym trzaśnięcie olbrzymimi drzwiami. Poczuli falę gorąca i usłyszeli, jak kawałki aluminium uderzają o skały wokół nich.

— Nic wam się nie stało? — zapytał Mickey.

— Nic, zupełnie nic — odpowiedział Remo.

— Ja się czuję wręcz wspaniale — wyznał Charlie. — Ledwie oddycham, ledwie chodzę, ale poza tym jest fantastycznie.

— A ja jestem potwornie zmęczona. I boli mnie bark, jakby go przypalono — narzekała Cayley.

— Mogę ci zrobić temblak z mojego paska od spodni — zaproponował Mickey. — To powinno ci trochę ulżyć.

— I co dalej? — zapytał Remo. — Ruszemy pieszo?

— A masz lepsze propozycje? Dopóki będziemy trzymać się drogi, gdzieś w końcu dojdziemy.

Mickey podszedł do Cayley, machając rękami, wyjął ze szlufek płócienny pasek, zawinął go wokół jej nadgarstka, przełożył przez bark i spiął klamrą. Przez ten cały czas Cayley jęczała z bólu.

Nagle usłyszeli głęboki łoskot, jakby coś uderzało w powietrze.

— To chyba nie są bębny? — odezwał się Remo. — Nie chcę już żadnych Indian!

Ale łoskot stawał się coraz głośniejszy i do tego jeszcze doszedł wysoki świst.

— To helikopter! — zawołał Charlie.

Remo wrzasnął z radości. Cayley chwyciła dłoń Mickeya i ścisnęła ją mocno; Mickey z kolei złapał dłoń Rema, który sięgnął w kierunku Charliego. Razem podnieśli ręce i zaczęli krzyczeć:

— Tutaj! Tu jesteśmy! Nie odlatujcie! Nie zostawiajcie nas! Jesteśmy ślepi! Nic nie widzimy!

Po złapaniu się za ręce Mickey zobaczył błysk przed oczami. Przez moment widział błękitne niebo z błyszczącymi białą chmurami. Dostrzegł nawet rozmyty obraz przelatującej sójki. Natychmiast puścił dłonie Rema i Charliego i przyłożył palce do oczu, ale w chwili gdy to zrobił, znowu przestał widzieć.

— Widziałam! Coś widziałam! Widziałam niebo! — krzyczała Cayley.

— Ja też! — zawołał Remo. — Znowu zniknęło, ale na pewno widziałem niebo.

Charlie zaczął kasłać, ale zdołał wyrzucić z siebie:

— Widziałem niebo! Też widziałem! Może odzyskamy wzrok?!

Helikopter się zbliżał. Wydawało się, że krąży tuż nad ich głowami.

— Złapmy się za ręce! — krzyknął Mickey.

— Co?

— Złapmy się za ręce! Szybko!

Macali powietrze, aż wreszcie udało im się trafić na siebie i znów złapać za ręce. Podnieśli je jak wcześniej. Znowu każde z nich zobaczyło błyskawicę światła i ich oczy zalała jasność nieba, zieleń sosen i blask powierzchni rzeki Pit. Zaledwie dziesięć jardów od nich dopalał się szkielet ich winnebago. Nad głowami powoli krążył biały helikopter straży leśnej z pochylonym nosem i pobłyskującymi w promieniach słońca płatami wirnika. Przez kilka sekund wir powietrza nawiewał na nich dym z pożaru i marszczył powierzchnię wody. Helikopter odleciał na bok i wylądował na końcu parkingu.

Mickey upadł na kolana, wycieńczony i uradowany, ale nie puścił dłoni Cayley. Cayley uklękła przy nim; to samo zrobili Remo i Charlie.

— Czy wiecie, co to znaczy? — zapytał Remo zachrypłym głosem. — Będziemy musieli trzymać się za ręce do końca życia!

— Spoko — odparł Charlie. — To o wiele lepsze od bycia ślepym.

— Taaak? Pomyśl o tym, człowieku. Nawet do łazienki będziemy musieli chodzić razem — odpowiedział Remo.

— Możesz sobie pomarzyć — mruknęła Cayley.

Rozsunęły się drzwi helikoptera i ze środka wyskoczyło dwóch strażników przyrody ubranych w mundury khaki — mężczyzna i kobieta.

— Wszystko w porządku? — zapytała strażniczka, przekrzykując hałas silnika. Miała okulary i była bardzo zgrabna. Czarne, długie włosy związała w koński ogon. — Czy potrzebujecie pomocy medycznej?

Mickey uściśnął dłoń Cayley.

— Widzisz? A nie mówiłem, że Bóg nas uratuje?

Cała czwórka, nadal trzymając się za ręce, podeszła do helikoptera. Strażniczka odwróciła się do swojego kolegi, robiąc zdziwioną minę, a on wzruszył ramionami. Dlaczego ci młodzi ludzie zachowywali się, jakby byli na jakimś marszu pokojowym, i trzymali się za ręce?

Gdy czwórka przyjaciół znalazła się już blisko, strażnik parku zlustrował ich wzrokiem. Oczy przesłaniały mu raybany, a usta brązowe wąsy.

— Nazywam się Edison i jestem strażnikiem parku sta nowego, a to strażniczka Butowski — powiedział mężczyz-

na. Wskazał głową na winnebago. — Co tu się, do licha, stało? Dlaczego tak kiepsko wyglądacie? Czy pani ma złamaną rękę?

— Chyba ramię wyskoczyło mi ze stawu barkowego — odpowiedziała Cayley płaczliwie.

Strażniczka Butowski podeszła do Cayley i delikatnie zbadała jej ramię. Cayley skrzywiła się z bólu, a strażniczka uśmiechnęła się do niej współczująco.

— Myślę, że nieźle je naciągnęłaś, ale ramię nie wyskoczyło ze stawu. Możesz mi wierzyć. Gdy mnie się to kiedyś przytrafiło po upadku na nartach, wyłam non stop z bólu.

— Zostaliśmy napadnięci — oświadczył Mickey. Nie wiedział, jak ma wyjaśnić to, co im się przytrafiło, albo może to, co sobie wyobrazili. Sam zaczął się zastanawiać, czy to wszystko to była tylko nieudana wycieczka.

— Zabierzemy was do Alturas — oznajmił strażnik Edison. — Zostaniecie zbadani w ośrodku zdrowia i po gadacie z policją, powiecie im, kto was napadł. A kto to był w ogóle? Motocykliści? Mamy z nimi spore problemy. A może neonaziści?

Mickey i Remo spojrzeli na siebie, ale żaden z nich nie wymyślił nic sensownego. Co niby mieli powiedzieć? Że zostali zaatakowani przez Indianina w czarnym garniturze o imieniu Piekielny John i jego dwóch pomocników o białych twarzach, którzy wyglądali jak kartonowe pudła na szczudłach? I że to oni ich oślepiłi i kazali skakać w przepaść?

— Wsiadajcie do helikoptera — pogoniła ich strażniczka Butowski. Sama wskoczyła wcześniej i usunęła z siedzeń plecak i apteczkę, by zrobić miejsce dla czwórki przyjaciół.

Gdy to robiła, Mickey rozejrzał się po kabinie i zrozumiał, że jak wsiądą do środka, to nie będą mogli trzymać się za ręce, a może w ogóle już nigdy wzrok im nie wróci, dlatego doszedł do wniosku, że przynajmniej teraz wykorzysta ostatnie chwile.

Zasmucił się. Spojrzał na rzekę. Wydawało mu się, że na drugim brzegu widzi dwudziestu, może trzydziestu ludzi wpatrujących się w niego. Byli w jakiś dziwny sposób pozbawienie koloru i prawie przezroczyści, więc trudno było ocenić, kim naprawdę są. Czuł, jakby spoglądał na białą-czarną fotografię wyblakłą od słońca.

— Remo — odezwał się Mickey. — Charlie. Spójrzcie tam. Nie, w drugą stronę. Widzicie tych ludzi?

— Widzę, widzę. To ci żołnierze i kawalerzyści — odparł Remo, mrużąc oczy.

Miał rację, Mężczyźni mieli na głowach kapelusze o szerokich rondach i byli ubrani w wojskowe mundury z dawnej epoki, z epoletami, a niektórzy mieli szable przytroczone do pasów.

— Może to ci sami, którzy nas uratowali? — zastanawiał się Charlie.

— Mówisz o tych, którzy nas uratowali, a potem, gdy spaliśmy, zabrali koce i zostawili nas, żebyśmy umarli z wyziębienia?

— Gotowi? — zapytała strażniczka Butowski. — Najpierw dziewczyna, dobra? Jak masz na imię, kochanie?

— Poczekajcie jeszcze chwilę — poprosił Mickey. Ale gdy spojrzął na rzekę, żołnierzy już tam nie było, zniknęli jak duchy.

Rozdział 14

Waszyngton, DC

— Wszystkie loty pasażerskie, transportowe i prywatne zostały odwołane, panie prezydencie — powiedział Doug Latterby, zatrzasnąwszy kłapkę telefonu komórkowego. — Wszystkie maszyny lecące z zagranicy mają zawrócić lub wylądować na najbliższym lotnisku leżącym poza obszarem Stanów Zjednoczonych. Wyjątkowo mogą u nas lądować jedynie samoloty, którym kończy się paliwo. Przeprowadza się tylko podstawowe loty ratunkowe, a wtedy personel jest za każdym razem poddawany drobiazgowym badaniom wzroku.

Prezydent Perry siedział na łóżku w waszyngtońskim Instytucie Okulistyki, dokąd został zabrany na dalsze badania. Miał na sobie jedwabny zielony szlafrok w białe wzorki i Doug Latterby pomyślał, że wygląda znacznie starszej niż na swoje pięćdziesiąt sześć lat, a z pewnością na bardzo zmęczonego. Oczy miał zapuchnięte i choć nic nie widział, to jego źrenice rzucały się z boku na bok jak dwie zamknięte w słoiku muchy plujki.

Całe trzecie piętro Instytutu Okulistyki zostało wyłączone

z normalnego użytkowania i podporządkowane pobytowi prezydenta; agenci Secret Service obstawili wszystkie klatki schodowe i windy, a w sali obok pokoju prezydenta zorganizowano tymczasowe centrum dowodzenia.

Było jasne, choć wietrzne popołudnie, po niebie przesunęły się kłębiaste cumulusy jak galery po morzu, a drzewa ugięły się od wiatru, ale oczywiście prezydent nie mógł tego widzieć.

Mimo wielokrotnych szczegółowych badań zespół złożony z pięciu czołowych okulistów nie potrafił stwierdzić, dlaczego prezydent stracił wzrok. Rozważano także różne sposoby leczenia — od transplantacji rogówki po operację laserem, ale bez dokładnej znajomości przyczyny ślepoty lekarze nie chcieli ostatecznie wypowiadać się na temat radykalnej interwencji chirurgicznej. Obawiali się, że mogłaby doprowadzić ona do całkowitego pozbawienia go wzroku i odebrać wszelkie nadzieje na wyleczenie.

— Ile samolotów spadło do tej pory? — zapytał prezydent.

— Razem czterdzieści siedem, w katastrofach zginęło łącznie siedem tysięcy czterysta sześć osób.

— Matko Boska. A jaka jest sytuacja na drogach?

— Trudno to ocenić. Ale w jedenastu tysiącach wypadków zginęło blisko dwa tysiące ludzi.

— Czy wprowadzono ograniczenia dla ruchu drogowego?

— Podobnie jak w przypadku ruchu lotniczego. Cywile mają zakaz korzystania z dróg głównych, mogą się po nich poruszać tylko pojazdy wojskowe, policja i służby ratunkowe, a w każdym pojeździe znajduje się drugi kierowca.

Cywile mogą podróżować po drogach lokalnych z prędkością do dziesięciu mil na godzinę. Jeśli będzie to konieczne, to zmniejszymy dopuszczalną prędkość do pięciu mil na godzinę. Ograniczenia wprowadziliśmy także w ruchu kolejowym. Dozwolony jest jedynie ruch pociągów towarowych, jeśli w składzie jest dwóch dodatkowych maszynistów. Zakazaliśmy żeglugi morskiej, w szczególności tankowcom i statkom przewożącym substancje toksyczne. Trudno będzie wprowadzić te wszystkie przepisy w życie, ale cały czas apelujemy do ludzi, by zachowali rozsądek i nie wpadali w panikę.

— Jakie są reakcje opinii publicznej?

— A jak pan myśli? Ludzie są przerażeni i zakłopotani tak samo jak my. W kilku dużych miastach doszło do okradania sklepów: w Baltimore, Chicago, Detroit. Gwardia Narodowa dobrze sobie radzi z najgorszymi sytuacjami. Tu nie chodzi o to, że ludzie są źli, jak to się działo w Watts, po prostu boją się, że nagle zabraknie żywności i środków do życia.

— Czy FBI już coś ma?

Doug Latterby pokręcił głową, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież prezydent tego nie widzi.

— Nie, nic. Pół godziny temu rozmawiałem z Warrenem Trubym. Siatki terrorystyczne milczą. Nikt nie przekazuje żadnych gróźb. Żadnych taśm z nagraniami jak te od Al-Kaidy. Jak do tej pory żadna frakcja nie przejęła odpowiedzialności za te wydarzenia ani nikt nie zażądał pieniędzy. Oczywiście w Internecie pojawiły się głupie teksty od kilku wariatów, ale ich sprawdzono.

Latterby stuknął palcem w swojego blackberry.

— Jest jedna niepokojąca sprawa. Mieliśmy sześć wybuchów epidemii utraty wzroku w bazach wojskowych armii: w Fort Lewis w stanie Waszyngton, w Fort Ord w Kalifornii, w Fort Carson w Kolorado, w Fort Sili w Oklahomie, w Fort Sam Houston w Teksasie i w Fort Meade w Marylandzie. Do tej pory liczba ociemniałych wojskowych nie dochodzi jeszcze do liczby oślepiętych cywili, sięga raptem dwustu, może trzystu ludzi. Ale każdy wybuch ślepoty w bazie wojskowej bardzo szybko się rozprzestrzenia.

— Jak to się dzieje, Doug? Co myślisz na ten temat? Może to lasery?

— Nie mam pojęcia, panie prezydencie. Ale ważniejsze jest chyba pytanie „dlaczego” niż „jak”. Tu nie chodzi o jakichś wariatów, którzy oślepiają ludzi dla zabawy. Oni czegoś chcą. Tylko musimy się dowiedzieć czego.

— O której godzinie mam wystąpienie w telewizji?

— O szóstej pięć czasu wschodniego. Przesunęliśmy je o pięć minut, żeby najpierw podać najświeższe wiadomości. Henry i Leland już prawie zakończyli montaż pańskiego przemówienia, więc mamy sporo czasu, żeby je przesłuchać i wprowadzić ewentualne poprawki.

— Okay, ale wolałbym wystąpić na żywo. Powiedziałbym: „Moi drodzy współobywatele. Znaleźliśmy się razem w kupie gówna. Ale nie jestem tego w stu procentach pewien. Czuję, że to coś miękkiego i ciepłego, jednak, do jasnej cholery, nie widzę, jakiego to jest koloru”.

W tej chwili do sali weszła sekretarka prezydenta, Jean Fallon.

— Panie prezydencie? Rozmowa telefoniczna do pana.

— Prezydent nie odbiera żadnych rozmów — odparł

Doug Latterby. — Jest na spotkaniu z Połączonym Kolegium Szefów Sztabów.

— Przykro mi, Doug, to prezydent Pietrowski, który dobrze wie, gdzie jest nasz prezydent i z jakiego powodu.

— Jasna cholera. Żartujesz sobie.

Prezydent wyciągnął rękę.

— Daj mi telefon, Jean. Odbiorę tę rozmowę od razu. Nie ma co udawać, że wszystko jest w porządku.

— Panie prezydencie, musi pan być bardzo ostrożny — odezwał się Doug Latterby. — Mówimy tu o prezydencie Rosji. Tej samej Rosji, która ma sześć tysięcy sześćset osiemdziesiąt jeden głowic atomowych wymierzonych w nas w chwili, gdy jesteśmy narażeni na atak jak nigdy w całej naszej historii.

— Wiem o tym doskonale, Doug. Wiem też, jakim arsenałem jądrowym dysponują.

— Proszę, panie prezydencie. Powiem Pietrowskiemu, że jest pan bardzo zajęty i że jak pan skończy, natychmiast pan oddzwoni. Omówmy najpierw, co mu pan powie, do czego się przyznamy, a do czego nie.

— Doug, roztrzaskało się czterdzieści siedem samolotów pasażerskich. Tysiące Amerykanów zginęło i zostało rannych w wypadkach drogowych. Nasi żołnierze też tracą wzrok.

— Właśnie doniesiono o wypadku kolejki górskiej na King's Island w Cincinnati. Ponad pięćdziesięciu ludzi zginęło, trzydziestu sześciu w wagonikach i kilkunastu na ziemi. Jeden z inżynierów sterujących kolejką oślepił i nacisnął zły przełącznik — poinformowała Jean Fallon.

— Podaj mi telefon — zdecydował prezydent.

— Cokolwiek pan powie, proszę nie przyznawać się, że

stracił pan wzrok — syknął do niego Doug Latterby. — A jeśli się już o tym dowiedział, to proszę mu powiedzieć, że wieczorem będzie pan miał operację i lekarze twierdzą, iż zostanie pan całkowicie wyleczony.

— Panie prezydencie! — odezwał się Gieorgij Pietrowski. Jakość rozmowy była tak dobra, jakby prezydent Rosji dzwonił z miejsca oddalonego zaledwie o kilka kwartałów.

— Gieorgij! — przywitał go prezydent. — Dobrze cię słyszeć, przyjacielu. A właśnie teraz potrzebuję wszystkich przyjaciół, jakich mam.

— Przyjmij ode mnie najszczęśliwsze kondolencje związane ze śmiercią tylu twoich współobywateli. Co za straszna plaga! Czy wiesz, co powoduje tę ślepotę?

— Nasze służby bezpieczeństwa i Centrum Zwalczenia Chorób pracują nad tym non stop. Istnieje kilka hipotez, ale nie poznaliśmy jeszcze prawdziwego powodu.

— Tak więc nie wiesz, jak straciłeś wzrok ani czy go w ogóle odzyskasz?

Prezydent nie odpowiedział, tylko zakrył dłonią mikrofon i powiedział bezgłośnie: „On wie”.

— Pewnie zastanawiasz się, jak się o tym dowiedziałem — kontynuował prezydent Pietrowski, nie usiłując nawet ukryć swojej satysfakcji. — Oczywiście pierwsze podejrzenia pojawiły się podczas naszego spotkania; moi ludzie bardzo skrupulatnie cię obserwowali.

— Gieorgij, nie będę nawet próbował zaprzeczać.

— Szczere ci współczuję. Moja matka straciła wzrok w wieku osiemdziesięciu jeden lat i to była tragedia. Nie mogła czytać ani szyć, co uwielbiała. Tak pięknie potrafiła

wyszywać! Kwiaty, koty, smoki! — Zamilkł na moment, po czym zapytał: — Jakie są prognozy lekarzy?

— Całkiem dobre. Na wieczór planowana jest operacja.

— Naprawdę? Tak szybko? Co sprawiło, że zmienili decyzję?

— O czym ty mówisz? Przecież to ma być przeszczep rogówki, i tyle.

— Słyszałem coś zupełnie innego. Ale pewnie ktoś się pomylił.

— A co takiego słyszałeś?

— Słyszałem, że lekarze nie podjęli jeszcze ostatecznej decyzji. Boją się, że wybiorą niewłaściwą procedurę i zo staniesz ślepy do końca życia. I oczywiście nie będą pewni, czy wybrana procedura jest właściwa, dopóki nie poznają prawdziwej przyczyny utraty wzroku.

— Powiem to inaczej, Georgij. Termin operacji został wyznaczony, ale nie jestem zupełnie przekonany, czy do niej dojdzie.

— Cokolwiek się stanie, będzie operacja czy nie, życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia. Chcę, żebyś wiedział, że my, Rosjanie, udzielimy wam wszelkiej możliwej pomocy. Przyślemy wam lekarzy, jeśli będzie potrzeba, albo środki transportu, albo ludzi. W obliczu takiego kryzysu musimy odłożyć na bok wszelkie różnice w poglądach.

Prezydent Perry skrzywił się, robiąc minę, przez którą na początku kariery politycznej nadano mu przydomek „Mops”. Może i był ślepy, ale na pewno nie głupi, i wiedział, że ktoś chce go tu oszachrować. Zdawał sobie jednak sprawę, że większość samolotów sił powietrznych była uziemiona, większość okrętów marynarki wojennej stała w por-

tach, a ślepotą szerzyła się wśród żołnierzy i dlatego bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych było zagrożone.

Dla politycznie wrażliwego ucha prezydenta Perry'ego wypowiedź „musimy odłożyć na bok wszelkie różnice w poglądach” brzmiała jak świetna parafraza wypowiedzi „nie wykorzystamy waszej bezbronności, jeśli zrezygnujecie z utworzenia tarczy antyrakietowej w Polsce”.

— To bardzo szczodra oferta, Gieorgij. Dziękuję ci za troskę i życzenia. Z pewnością zwrócę się do ciebie, jeśli będę potrzebował pomocy logistycznej.

— Proszę, przekaż moje najserdeczniejsze życzenia swojej wspaniałej małżonce. Aha, jeszcze drobiazg. Mógłbym cię prosić o przysługę?

— Taaak? Co takiego?

— Prokurator okręgowy z Nowego Jorku ma zamiar postawić zarzuty panu Lwu Chlebnikowi za pewne operacje finansowe.

— I?

— I... Pan Chlebnikow ma wpływowych przyjaciół tutaj w przemyśle naftowym, którzy byliby bardzo zawiedzeni, gdyby postawiono mu te zarzuty.

— I?

— Mam nadzieję, że mnie pan rozumie, panie prezydencie. Coś za coś.

Prezydent Perry wziął głęboki oddech i odrzekł:

— No dobrze, Gieorgij. Zobaczą, co się da zrobić. Ale nie mogę niczego obiecać.

— Rozumiem, panie prezydencie. Nie ma sensu składać obietnic, których nie będzie można dotrzymać. — Po tych słowach Gieorgij Pietrowski się rozłączył.

Prezydent Perry powoli odsunął słuchawkę od ucha, poruszał głową w prawo i lewo i zmarszczył brwi.

— No i co? Co on powiedział? — zapytał Doug Letterby.

— Douglas, ściągnij tu jak najszybciej Kennetha, Georga i Dicka. I szefów sztabów. Geоргij Pietrowski już zaczął prosić mnie o przysługi.

— A czego chce?

— Tym razem niewiele. Chce uwolnienia Lwa Chlebnika od zarzutów wymuszania haraczy. O ile znam Geоргij a Pietrowskiego, to jest to zaledwie początek. Musimy stworzyć zupełnie nowy plan obrony kraju, i to natychmiast.

— Myśli pan, że to Rosjanie ściągnęli na nas ślepotę?

— Tego nie wiem, Doug. Ale kraj krwawi, a Geоргij Pietrowski ma nos bardzo wyczulony na krew.

♦ ♦ ♦

Pierwsza dama przyszła w odwiedziny do swojego męża tuż po zakończeniu pilnej konferencji dotyczącej bezpieczeństwa kraju. Była blada i wycieńczona jak prezydent, ale celowo ubrała się w różową, jedwabną bluzkę i skropiła L'Air Du Temps, ulubionymi perfumami prezydenta. Nawet jeśli nie mógł jej widzieć, to chciała, by przynajmniej czuł, że dla niego ładnie się ubrała.

— I jak poszło? — zapytała siedzącego na łóżku prezydenta.

— To będzie cholernie skomplikowane. Wszystkie trzy rodzaje sił zbrojnych muszą przygotować plany awaryjne na wypadek, gdy pilot samolotu albo kapitan okrętu, albo dowódca jednostki piechoty straci nagle wzrok.

— Chcesz coś do jedzenia? — zapytała Marian Perry. —
Masz ochotę na chowder?

— Dobry pomysł. Ale poza zupą nic więcej nie przelknę.

Uśmiechnięta kelnerka o koreańskich rysach przyniosła pyszną gęstą, śmietanową zupę rybną i pierwsza dama zaczęła karmić męża.

— Czuję się taki bezradny — rzekł prezydent.

— Ale nadal jesteś prezydentem — odparła, krusząc krakersy i wrzucając je do zupy.

— Prezydentem, który nie potrafi nawet trafić łyżką do ust.

— Wkrótce nauczysz się dawać sobie radę. A pamiętasz Eugene'a Salsy'ego? Albo Thomasa Pryora Gore'a? Został wybrany na senatora Oklahomy trzy razy z rzędu. A Kristin Cox? Oni wszyscy byli ociemniali.

— Wiem o tym. Na rany Jezusa, Marian, ja nie chcę być ślepy! Chcę czytać książki. Chcę móc oglądać niebo. A najbardziej pragnę widzieć ciebie!

Pierwsza dama ostrożnie wytarła serwetką usta męża.

— Rozmawiałam z lekarzami po badaniu rogówki. Za stanowią się nad implantem soczewki w jednym oku, by zobaczyć, czy to będzie działać.

— Mogę spróbować wszystkiego. Jedno sprawne oko to zawsze lepiej niż żadne.

— Może nie powinnam ci tego mówić. Oni nie chcieli, bym dawała ci płonne nadzieje. Bo im po prostu skończyły się już pomysły. Przebadali kilkadziesiąt osób, które oślepyły w taki sam sposób jak ty, i zupełnie nie mają pojęcia, co było tego powodem.

— Założę się, że Pietrowski jest w to jakoś zamieszany.

I pewnie kilka innych krajów, które chciałyby zobaczyć nas na kolanach.

— Kochanie, naprawdę wyglądasz, jakby przydało ci się trochę snu — odrzekła Marian Perry, odsuwając miseczkę po zupie. — Niech Kenneth też się trochę tym wszystkim pomartwi. A ty postaraj się teraz odpocząć.

— Może masz rację. Problem w tym, że gdy zasypiam, mam koszmary. A gdy się budzę, nie wiem, czy to dzień, czy noc. Tu jest tak cholernie ciemno.

◆ ◆ ◆

Doktor Cronin dał mu zastrzyk uspokajający i o pierwszej trzydzieści nad ranem prezydent już spał. Wydawało się, że prawie nie oddycha; jego włosy i twarz były tak blade, że wyglądał jak własna maska pośmiertna wykonana z alabastru. Lampki nocne pozostawiono zapalone, a drzwi prowadzące do dyżurki pielęgniarek na wpół otwarte, by pielęgniarka i dwóch agentów mogli go bez przerwy obserwować.

Rozmawiali teraz w dyżurce przyciszonymi głosami — o odwołaniu wszystkich wydarzeń sportowych, o tym, że pięciu słynnych aktorów hollywoodzkich straciło wzrok po premierze *Enchanted Hunters*, o nowym obrazie Rachel Keston wystawionym w Mann's Chinese Theater na Hollywood Boulevard.

W społeczeństwie narastała histeria, ludzie barykadowali się w domach; często dochodziło do strzelanin — niewidomi bali się, że są atakowani bądź okradani, i strzelali na oślep do wymaginionowanych napastników. Tysiące ludzi próbowało opuścić centra miast i uciec do lasów, ignorując zakaz

jeżdżenia autostradami, i powstawały gigantyczne korki. Tracili wzrok zarówno na terenach słabo zamieszkanym, jak i w centrach dużych miast. W północnej Minnesocie siedmiu myśliwych na ślepo błądzących po lesie zostało zabitych lub ciężko rannych po ataku baribali. W Salt Lake City cały mormoński chór nagle stracił wzrok podczas koncertu. Jak doniosła „Salt Lake Tribune”, trzysta sześćdziesiąt osób w białych togach „spadało z wyciągniętymi rękami ze sceny jak anioły z nieba”.

Kraj nadal pogrążał się w chaosie i ciemności, a prezydent spał. Od czasu do czasu zaglądał do niego któryś z agentów Secret Service, ale przez trzy godziny prezydent spał zupełnie bez ruchu.

— Chyba nie umarł, co? — zapytał jeden z agentów.

Pielęgniarka spojrzała na ekrany monitorów.

— Nie, nie. Ale pewnie coś mu się śni.

O trzeciej czterdzieści pięć nad ranem prezydent się obudził, bo usłyszał jakieś odgłosy stukania, jakby kapała woda z kranu. Podniósł głowę z poduszki i nasłuchiwał.

— Kto tu jest?! — zawołał, ale nikt nie odpowiadał.

Stukanie stawało się coraz głośniejsze i z każdą minutą coraz bardziej złożone, do tego dochodziło niskie brzęczenie i szeleszczenie.

— Kto tu jest? — powtórzył pytanie. Nadal nie usłyszał odpowiedzi, za to poczuł, jak coś delikatnie wdrapuje się po jego ręce, jakby pajak albo karaluch, a po chwili mnóstwo owadów biegało po jego szyi, twarzy i pidżamie. Chciał wołać o pomoc, ale gdy tylko otworzył usta, pięć czy sześć

karaluchów próbowało mu do nich wejść, więc zaczął pluć i prychać.

— Jackson! Kaminsky! — zawołał w końcu. — Jackson! Kaminsky! Do mnie!

Ale ani agenci, ani pielęgniarki się nie odzywali.

— Kto tu jest? — spytał prezydent. — Gdzie są Jackson i Kaminsky? Kto tu jest, do licha?

Machając szaleńczo rękami, strzepywał karaluchy z twarzy. Owady uparcie chciały wejść mu do ust, a miały cierpki smak, jak ciemnobrazowy syrop na kaszel. Niektóre dostały się w rękawy pidżamy prezydenta, a on próbował rozgnieść je przez materiał. Inne wędrowały po jego plecach.

— Weź ze mnie te robale! — krzyczał prezydent. — Kimkolwiek jesteś, będziesz miał od cholery kłopotów, tyle mogę ci obiecać! Weź ze mnie te cholerne robale!

Dopiero wtedy prezydent zdał sobie sprawę, że widzi mężczyznę stojącego w rogu pokoju. Dostrzegął jego sylwetkę, mimo że reszta pokoju pozostała całkowicie ciemna. Człowiek ten wyglądał jak fotograficzny negatyw, biała postać na czarnym tle. Był bardzo wysoki, na głowie miał niezwykle okrycie w formie bawolich rogów, z których zwisały sznury koralików i pęczki piór, co sprawiało, że wydawał się jeszcze wyższy. W ręce trzymał włócznię, na której końcu nabito ptasią czaszkę.

Początkowo prezydent myślał, że ten człowiek jest jedynie jakimś dziwnym imprintem na jego siatkówce. Mrugnął raz i drugi, by sprawdzić, czy obraz zniknie. Ale nie dosyć, że nie zniknął, to jeszcze zrobił kilka kroków do przodu i podniósł prawą dłoń w geście powitania.

Ponieważ twarz tego upiora jawiła się jako negatyw, prezydent nie rozpoznawał jej rysów. Oczodoły były jak dwie białe smugi, a zęby czarne. Miał silną, pozbawioną emocji twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i haczykowatym nosem.

Gdy się przybliżył do prezydenta i stanął w bezruchu, owady zaczęły uciekać z łóżka i spadały wprost na podłogę z miękkim, grzechoczącym odgłosem. Prezydent postrzegał je jako ruszające się strumienie białych plamek spieszących do stóp, wchodzących po nogach i znikających w szatach tej dziwnej postaci.

— Ja cię widzę — stwierdził prezydent ochrypłym głosem.

— Oczywiście, że mnie widzisz — odpowiedział mężczyzna szeptem. — To ja pomalowałem twoje dni ciemnością. To ja decyduję, co widzisz, a czego nie widzisz.

— Kimże ty jesteś, do licha? Jesteś prawdziwym czło-
wiekiem czy to wszystko tylko mi się śni?

— Czy można pytać sen, czy jest snem? — Mężczyzna zamilkł i powoli dotknął czoła dłonią, jakby chciał wydo-
stać z pamięci obraz wydarzenia z bardzo dawnych cza-
sów. — Kiedyś to my myśleliśmy, że jesteście jedynie
snem, gdy po raz pierwszy pojawiliście się tutaj na swoich
statkach.

— Słucham?

— Myśleliśmy, że jesteście bogami przysłanymi przez
Gitche Manitou, by przynieść nam dobrobyt, boskie rady
i powodzenie. Ale wy przepędziliście nas z naszych terenów
łownych i zhańbiliście nasze święte miejsca. Mordowaliście
nasze kobiety i dzieci, jakby były zwierzętami. Po tym

wszystkim wiedzieliśmy, że jesteście już tylko koszmarem. Na samym końcu odkryliśmy największą prawdę. Odkryliśmy, że istniejecie naprawdę.

— Jackson! Kaminsky!

Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej i teraz prezydent nawet poczuł jego zapach. Zapach niegarbowanej skóry bizona, dymu z ogniska i mroźnych poranków w lesie. Zapach Ameryki, jaką była w przeszłości, przed przybyciem kolonistów.

— Oni cię nie słyszą — powiedział mężczyzna. — Potrafię przynieść głuchotę tak samo jak ślepotę. Potrafię otwierać i zamykać czas, jak jedna z waszych świętych ksiąg.

— Kim jesteś? — zapytał prezydent. — Czego, do licha, chcesz?

— Mam wiele imion. Dla niektórych plemion jestem Tym, Którego Twarz Ukazała Się Na Niebie. Dla ciebie jestem Tym, Który Przynosi Cierpienie Wiecznej Ciemności. Ale gdy narodziłem się po raz pierwszy, nazwano mnie Misquamacus.

— Misquamacus? Czy to coś znaczy? Skąd mam rozumieć język Indian?

— To znaczy Ten, Który Odszedł I Powrócił. To znaczy, że byłem jedynym, który nigdy nie zgodził się na to, co nam uczyniliście. I dopóki stąpacie po tej ziemi, dopóty nie złożę do niej kości i nie rozpląnę się na wietrze w zapomnieniu. Odbiorę każdą puszcę, każdą rzekę i każdą górę, która do nas należała, i znów będą nasze, a wszystko, co zbudowaliście, na zawsze pochłonie ciemność.

— Przecież ty nie istniejesz — odparł prezydent. — Albo jesteś tylko złym snem, albo jakąś sztuczką optyczną.

— Wkrótce się przekonasz, jaki jestem prawdziwy. Gdy moi przodkowie powstaną z ziemi tysiącami i przejmą tę ziemię. Gdy zobaczysz, jak wałą się wasze pomniki, a mosty runą do rzek. Gdy tamy puszczą wody, a wasze miasta zatoną. Gdy niebo zatrzęsie się od niszczącego grzmotu, tak że rozsypią się szyby w każdym oknie od Ogunait na wschodzie po Tsurai na zachodzie. Wtedy przekonasz się, że istnieję.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz?

— Bo pochodzę z plemienia Wampanoagów, a członkowie tego plemienia zawsze byli honorowymi ludźmi, czego o was nie można powiedzieć. Gdy nas przepędzaliście i mordowaliście, nie okazywaliście litości, chociaż wiedzieliście, że nie mamy sił, by was powstrzymać. A teraz to wy nas nie powstrzymacie, jednak jestem gotów oszczędzić życie milionów ludzi.

Prezydent zmrużył oczy, ale biała postać pozostała rozmyta.

— To bardzo wielkoduszne z twojej strony. Żal tylko tych tysięcy, które już zabiłeś.

— Tak, zabiłem wielu waszych ludzi — przyznał Misquamacus. — A wy co? Wy zabiliście nie tylko nasz lud, ale też całą naszą kulturę. Zabiliście nasze tradycje, naszą religię, ukradliście z umysłów naszych dzieci święte opowieści, które tworzyły naszą tożsamość.

— Powiedziałeś, że mimo wszystko okażesz łaskę. Więc gdzie jest haczyk?

Misquamacus przybliżył się jeszcze bardziej. Prezydent był pewien, że widzi, jak karaluchy spadają jego przystrojenia głowy, a szaty poruszają się, jakby żyły swoim życiem.

— Jesteś wodzeni swojego ludu, czy tak?

— Tak. Zostałem wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— W takim razie powiedz całemu swojemu ludowi, żeby zniszczył swoje domy, rozkopał drogi i nauczył się żyć tak, jak my kiedyś żyliśmy. Powiedz im, że już nie będą latać po niebie ani podróżować jak do tej pory, pozostanie im chodzenie albo jazda na koniu. Powiedz im, że muszą się nauczyć szacunku dla ziemi, dla pór roku i muszą słuchać duchów drzew, duchów traw i duchów wiatrów, które wieją zimą.

— Ty naprawdę mówisz poważnie, tak? Kimkolwiek jednak jesteś, albo może czymkolwiek, to i tak jesteś tylko snem. A mimo to zupełnie poważnie kierujesz do mnie te słowa.

— Sam doświadczyłeś mojej mocy. Wiesz, co potrafię zdziałać. Ale daję ci szansę uratowania swojego ludu. Ziemia, po której stąpamy, za bardzo już przesiąkła krwią.

Prezydent pokręcił głową.

— To, o co prosisz, to kompletne szaleństwo! Nie możesz żądać od nas, żebyśmy cofnęli kalendarze o dwieście lat! A niby jak mielibyśmy się wyżywić?

— W taki sam sposób, jak my to robiliśmy. Ziemia was wyżywi.

— Czy ty kompletnie zwariowałeś?! W jaki sposób wyżywić trzysta pięć milionów ludzi mięsem bizonów i jagodami?! Poza tym świat zmienił się nie do poznania! Świat to teraz skomplikowane technologie, przeludnienie i problemy społeczne. I niby jak mielibyśmy się bronić przed napaścią z zewnątrz? Łukami i strzałami?

— Jeśli musielibyście tak żyć, to zrozumielibyście, przez co my przechodziliśmy.

— To chyba jakiś koszmar senny! Zaraz się obudzę, a ty znikniesz.

— Nie, mój przyjacielu. Nie zniknę, dopóki nie obiecasz, że zwrócicie nam nasze tereny i będziecie szanować ziemię tak, jak my ją szanowaliśmy.

— Wysłuchaj mnie, nie ma żadnej możliwości, by cofnąć się w przeszłość i żyć jak dawniej. Wątpię, czy ludzie w ogóle potrafiliby tak żyć. Jesteśmy przecież najbardziej zaawansowanym technologicznie narodem na całej planecie. I uważasz, że moglibyśmy ot, tak sobie to wszystko porzucić? I zapomnieć o samolotach, samochodach i komputerach?

— Zrobiliście to już z moim ludem — odparł Misquamacus szyderczo. — I udało się wam. Oderwaliście tysiące indiańskich dzieci od ich rodzin. Tysiącom dzieci kazaliście zapomnieć o ich plemiennych korzeniach i tradycji, i wychowywaliście ich na białych ludzi. Co mówił wasz wielki nauczyciel? „Zabić Indian, by ocalić ludzi!”.

— Wstyd mi z tego powodu. Przykro mi, że zrobiono to twojemu ludowi. Ale jest już za późno na odwrócenie historii. Czas biegnie naprzód, mój przyjacielu, i nie da się go cofnąć, bez względu na wszystko.

Misquamacus milczał przez chwilę. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Przez całe wieki czekał na swoją zemstę, kilka godzin więcej nie robi mu już żadnej różnicy. Plemię Wampanoagów było honorowym i szlachetnym ludem obdarzonym bezgraniczną cierpliwością.

— Dam ci jeden dzień i jedną noc na podjęcie decyzji.

Wróć o tej samej porze jutro i wtedy powiesz mi, co postanowiłeś.

— Nie potrzebuję czasu na zastanowienie. Odpowiedź brzmi: Nie! Samo zadawanie mi takiego pytania to szaleństwo!

— Możliwe. Ale wasz Bóg zobaczy, że przynajmniej dałem wam szansę.

Po tych słowach jego postać zaczęła drżeć, zapadać się i kurczyć, aż pozostała zaledwie kropką światła, jak punkt po wyłączeniu telewizora.

— Jackson! — krzyknął prezydent. — Kaminsky! Do mnie!

Dwaj agenci natychmiast pojawili się w pokoju.

— Tak, panie prezydencie?

— Widzieliście go?

— Eee... kogo? — zapytał Kaminsky.

— Tu był ktoś przed chwilą. Indianin.

— Indianin? — powtórzył z powątpiewaniem i zażenowaniem agent. — Jaki Indianin?

— Jakiś wódz indiański z rogami bizona na głowie i miał na sobie pełno robaków.

— Przepraszam?

— Chcę się dowiedzieć, jak, do licha, się tutaj dostał?

Jackson podszedł do zasłon i sprawdził, czy ktoś się tam nie chowa. Skontrolował klamki okienne, ale były zamknięte. Otworzył szafę, ale nie było w niej nic poza ciemnym garniturem prezydenta. Kaminsky uklęknął i sprawdził pod łóżkiem. Nic.

— Czy wszystko w porządku, panie prezydencie? — zapytała pielęgniarka, która właśnie weszła do pokoju.

— Nie, nie jest wszystko w porządku. Był tu przed chwilą jakiś szalony Indianin, a po całym moim łóżku biegały roje robactwa.

— Nie widzę tu żadnych robaków, panie prezydencie — odparła pielęgniarka, sprawdzając pościel na łóżku.

— Uważacie, że to zmyślam? Był tutaj, stał dokładnie tam, gdzie wy teraz. Widziałem go!

Nastąpiło długie milczenie, które przerwał Kaminsky.

— Pan go widział, panie prezydencie?

— Stał tuż przede mną, przecież mówię wyraźnie. Był tak blisko, że czułem zapach tego drania. To on sprawił, że oślepnę i że inni też oślepli, tak przynajmniej powiedział.

— Właśnie o to chodzi, panie prezydencie. Pan jest ociemniały.

— Myślisz, że tego nie wiem?

— Oczywiście, że pan wie. Ale skoro pan jest ociemniały, to jak pan mógł go widzieć? I jak mógł się dostać do tego pokoju, jeśli my go nie widzieliśmy?

Pielęgniarka poprawiła poduszki prezydenta.

— Muszę sprawdzić pańskie ciśnienie i temperaturę. Może pan mieć lekką gorączkę.

— Cholera jasna! — wrzasnął prezydent. — Widziałem go! Powiedział, że nazywa się Marcus coś tam. Sprawি, że wszyscy oślepną, by Indianie mogli odzyskać swoje ziemie.

— Bardzo mi przykro, panie prezydencie, ale myślę, że chyba miał pan po prostu jakiś okropny koszmar senny. Te wszystkie leki, które panu dali, mogły spowodować dziwaczne efekty uboczne — rzekł Jackson.

— Jedynym dziwnym efektem ubocznym w tym miejscu jesteś ty, Jackson. A teraz przeszukajcie cały szpital

i pytajcie ludzi, czy nie widzieli tego żartownisia. Bo możliwe, że jeszcze gdzieś się tutaj ukrywa.

— Tak jest, panie prezydencie.

Gdy agenci Secret Service wyszli, pielęgniarka sprawdziła ciśnienie, temperaturę i tętno prezydenta.

— Chyba wszystko w porządku — powiedziała. — Pańskie serce bije trochę szybciej, ale to naturalne po takim koszmarze.

Prezydent obmacywał brzeg łóżka, aż trafił na jej dłoń. Ścisnął ją lekko i powiedział chropawym głosem:

— To nie był koszmar. Przysięgam na Boga.

— Może powinien pan się trochę zdrzemnąć? Przyniosę panu gorącego mleka.

— Nie potrzebuję gorącego mleka. Potrzebuję kogoś, kto powie mi, o co w tym wszystkim chodzi. Wiesz, co powiedział mi ten Marcus? Powiedział mi, że miliony Amerykanów zginą, jeśli nie poddamy się jego woli. I wiesz co?

— Nie, panie prezydencie.

— To ci powiem. Ja mu wierzę.

Rozdział 15

Hollywood, Kalifornia

Tyler przekręcił zamek i otworzył drzwi swojego mieszkania.

— Witaj w Casa del Jones. Zapraszam do środka. Czuj się jak u siebie w domu.

Tina weszła do salonu i rozejrzała się dookoła. Tyler pokuśtykał za nią.

— Ładnie tutaj. Tak meksykańsko. Czy to czasem nie u ciebie kręceno *Dajcie mi głowę Alfredo GarcíP*.

— Ten wystrój to nie moja wina. Tak już było, gdy się tutaj wprowadziłem, i do tej pory nie miałem czasu na remont. Sam wolę styl skandynawski, czyli trochę chromu, sofę krytą białą skórą i szklane blaty stołów.

Mieszkanie Tylera znajdowało się na pierwszym piętrze pomalowanej na kremowo kamienicy w hiszpańskim stylu przy Franklin Avenue. Ściany salonu były wyłożone dębową boazerią, a podłoga — lakierowaną na ciemno dębową klepką. Na środku leżał czerwono-fioletowy dywan w meksykańskie wzory. Dwie masywne sofy były obite welurem obszytym złotymi frędzlami. Ciemny stolik do kawy stał

na bogato rzeźbionych nogach. Na blacie leżały zaczytane egzemplarze „Hot Bike” i „American Iron”.

Nad kominkiem wisiał wielki, ponury obraz olejny przedstawiający corridą i matadora zadającego bykowi ostateczny cios.

Tina zdjęła z ramienia różową torebkę od Prądy i usiadła na jednej z sof.

— Jestem wypompowana. Dwie i pół godziny z lotniska. To jakaś porażka.

— Co chcesz do picia? — zapytał Tyler. — Sok z granatów? Pepsi? A może koktajl truskawkowy?

— A którą to mamy już godzinę? — Tina spojrzała na zegarek. — O rany, dopiero po dziesiątej. A co tam, napiję się whisky z lodem.

Tyler poszedł do kuchni połączonej z salonem i wrócił po chwili, niosąc szklaneczkę whisky dla Tiny i butelkę heinekena dla siebie.

— Za tych, co na morzu. — Tina wzniosła toast, stukając szklaneczką o butelkę Tylera.

— Za to, żebyśmy przetrwali te wszystkie przeciwności losu.

Tyler włączył wielki telewizor na ścianie i odszukał kanał z wiadomościami. Na ekranie sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, John Rostoff, właśnie ogłaszał ogólnokrajowe ograniczenia w podróżowaniu w celach prywatnych. Mimo warstwy telewizyjnego make-upu jego twarz była blada, a oczy spuchnięte.

— Chce, żebyśmy jeździli dziesięć mil na godzinę? — upewniała się Tina. — To mamy szczęście!

Ich podróż z lotniska była nie do zniesienia. Zarówno

autostrada z San Diego, jak i Harbor Freeway były całkowicie zakorkowane i zablokowane wrakami porzuconych samochodów, a ruch był tak wolny, że gdy ich taksówka dotarła do Olympic Boulevard, mieli ochotę po prostu z niej wysiąść i ruszyć dalej pieszo.

Nad Los Angeles wisiały poszarpane zasłony brązowego dymu i miasto wyglądało jak Bagdad po solidnym nalocie, a smród spalenizny przedostawał się nawet do ich klimatyzowanej taksówki, powodując łzawienie i katar.

Zdecydowali się wracać jedną taksówką, ponieważ Tina mieszkała zaledwie pięć minut piechotą od Tylera przy La Presa Drive. Gdy dojechali do Franklin Avenue, Tyler zaproponował, by wpadła do niego na drinka, a może i na pizzę. Gdy turlali się powoli po La Cienega Boulevard, Tina otworzyła laptopa i napisała raport z wypadku samolotu AMA, zanim dotarli na Rodeo Drive, i wysłała go bezpośrednio do redakcji „LA Timesa”.

— Musisz wracać dziś do redakcji? — zapytał Tyler.

— Powinnam zameldować się tam około piątej. Jestem na nogach od dwudziestu dwóch godzin, więc redaktor powiedział, że mogę zrobić sobie przerwę. On wcale nie oczekuje, żebym siedziała na baczność przy biurku. Jak będzie miał dla mnie jakieś zadanie, to wyśle mi e-mail.

Wyszli na balkon z widokiem na sady. Nawet tutaj było czuć spaleniznę i słyszeć odległe syreny radiowozów i wozów strażackich. Ciepły wiatr poruszał liśćmi drzewek pomarańczowych, a przepiórki o bordowym upierzeniu z zadowoleniem świergotały na dachu — to wszystko sprawiało, że Tyler miał wrażenie, jakby cały ten ranek był jakiś nierealny.

— Czas apokalipsy — powiedziała Tina. — Tak samo pewnie czuli się wszyscy w Nowym Jorku jedenastego września. Jakby cały świat się na nich zawalił.

— *Czwarty wylał swą czasę na słońce: i dano mu władzę dotknąć ogniem ludzi. I ludzie zostali dotknięci wielkim upałem [...]. I [anioły] zgromadziły ich na miejsce zwane po hebrajsku Har-Magedon. [...] I nastąpiły błyskawice i głosy, i gromy, i nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi [...]. A wielkie miasto rozpadło się na trzy części**.

— Hej. Jestem pod dużym wrażeniem.

— Mój ojciec jest kaznodzieją — odparł Tyler. — Zawsze zmuszał mnie do recytowania psalmów. Wiesz, *Pan jest moim pasterzem* i tak dalej. Gdy byłem dzieckiem najbardziej podobała mi się Apokalipsa. I ci aniołowie zemsty. I trzęsienia ziemi, i plagi. I fontanny tryskające krwią.

— Nieźle, widzę, że ma pan ukrytą głębię, panie Jones. Co w takim razie sprawiło, że zostałeś kaskaderem? Twój ojciec na pewno nie bardzo się z tego ucieszył.

— Nie miał nic przeciwko temu. Myślę, że nawet był ze mnie dumny. Zawsze powtarzał, że młodzi ludzie powinni iść za głosem serca. Można chwalić Boga, robiąc to, co się najlepiej potrafi.

— A wiesz, kim mój ojciec chciał, żebym została? Flo-rystką tak jak on. Wyobrażasz sobie mnie układającą kompozycje z lilii?

— Jasne, a dlaczego by nie?

Tina trąciła go delikatnie w ramię.

— Hej. Jestem niezłą twardzielką. To ja napisałam o afe-

* Apokalipsa św. Jana (16,8; 9; 16; 18; 19).

rze stręczycielskiej w Culver City w zeszłym miesiącu. I sama zebrałam wszystkie fakty. Jakiś śmieć podszedł nawet do mnie na parkingu podziemnym pod redakcją i straszyl, że połamię mi ręce.

— Okay. Cofam to, co powiedziałem. No tak, nie mogę wyobrazić sobie ciebie układającej kompozycje z lilii przez całe życie. Ale potrafię sobie wyobrazić, jak wyrwasz muchom skrzydełka. — Tyler uśmiechnął się szeroko.

— Nalej mi jeszcze drinka, ty kaskaderku, zanim cię walnę.

Tyler szedł do kuchni, gdy zadzwonił telefon.

— Słucham?

— Tyler? Dzięki Bogu, że udało mi się ciebie złapać. — Głos z drugiej strony brzmiał tak odległe i trzeszczał, jakby to admirał Peary dzwonił z bieguna pomocnego w 1909 roku.

— Słabo słyszę. Kto mówi? — zapytał Tyler.

— Dan Greeley. Mieszkam naprzeciwko domu twoich rodziców.

— A tak... pan Greeley. Chyba poznaliśmy się, gdy ostatnio odwiedziłem rodziców. Wszystko u was w porządku?

— Nie bardzo. Nie muszę ci mówić, co się dzieje; widziałem cię w wiadomościach. Byłeś bardzo odważny.

— Co się stało, panie Greeley?

— Tutaj też to mamy. Ponad sto osób w Memory Valley straciło wzrok. Przykro jest mi to mówić, ale wśród nich są twoi rodzice i twoja siostra Maggie.

— O mój Boże! Kiedy to się stało?

— Wczoraj, około trzeciej po południu. Byli na spotkaniu w domu kultury. Fotograf z lokalnej gazety robił im zdjęcia i nagle zaczęli krzyczeć, że nic nie widzą. Wybuchła panika.

— Gdzie są teraz moi rodzice?

— Zabraliśmy ich z powrotem do ich domu. Nie mieliśmy żadnego wyboru. Szpitale w Marin i Kentfield są już przepełnione.

— Jak się czują? Czy nic innego im się nie stało?

— Czują się całkiem dobrze, tylko ta ślepotą... W tej chwili jest u nich Julia, moja żona. Telefony nie działały, ale teraz jest już w porządku, więc to chyba najlepsza pora, by do nich zadzwonić. Ulżyło mi, że dodzwoniłem się do ciebie.

Tina stanęła na progu kuchni.

— Co się stało?

— Dzwonił sąsiad moich rodziców. Powiedział, że moi rodzice i siostra stracili wzrok.

— O matko! Tak mi przykro.

— Panie Greeley? Panie Greeley? — wołał do słuchawki Tyler, ale połączenie zostało przerwane i słyhać było jedynie trzaski.

Tyler wykręcił numer do rodziców. Po długim oczekiwaniu odezwała się Julia Greeley. Jej głos też brzmiał bardzo słabo, jakby była na końcu świata.

— Tyler? Dan powiedział, że zadzwonisz. Przekazuję słuchawkę twojemu ojcu.

Minęła spora chwila i w słuchawce usłyszał głos ojca.

— Tyler. Dzięki Bogu. Próbowałem się z tobą skontaktować, ale wczoraj były kłopoty z telefonami.

— Jak się czujesz, tato?

— Prawdę mówiąc, nie najlepiej. Nie udzielono nam żadnej pomocy medycznej, twoja matka jest w szoku. Maggie jakoś się trzyma.

— Tato, natychmiast do was jadę. Nie wychodźcie z domu, zamknijcie drzwi.

W słuchawce nastąpiła cisza. Tyler jeszcze raz zadzwonił, ale linia była już zajęta.

— No tak. Muszę do nich jechać.

— Daleko stąd mieszkają?

— W tym jest właśnie szkopał. Mieszkają w Memory Valley, jakieś piętnaście mil na północ od San Francisco. No i jak mam się tam dostać, skoro wszystkie loty są uziemione i nie wolno jeździć autostradami?

— Pewnie będziesz musiał jechać bocznymi drogami.

— No coś ty. To ponad czterysta mil. Nawet gdybym nie przestrzegał ograniczenia prędkości, trwałoby to po prostu długo.

— A może wynajmij szybką łódź motorową?

— Dobry pomysł. Widzę, że składasz się nie tylko z pięknej buzi.

— Ty! Uważaj sobie, kaskaderku.

Tyler zaczął wertować kartki swojego notesika z adresami, aż natrafił na numer telefonu Jima Lacuny z Santa Monica. Jim był właścicielem małej floty ślizgaczy morskich, które wynajmował na potrzeby produkcji filmowej, a Tyler współpracował z nim przy produkcji przynajmniej pięciu filmów, włącznie ze *Szczękami 5: Krew w wodzie*.

— Jim? Mówi Tyler Jones.

Połączenie telefoniczne też nie było najlepszej jakości, słyhać było jakieś szumy.

— Tyler, ty porąbańcu! Widziałem cię w wiadomościach! Kiedy powiedzieli, że jakiś kaskader posadził boeinga, którego pilot stracił wzrok, wiesz, o kim najpierw pomyślałem? O tobie, ty porąbany wariacie! I to byłeś ty! Powinieneś dostać medal.

— Dzięki, Jim, ale teraz medal nie jest mi potrzebny. Potrzebuję łodzi.

— Łodzi? A po co ci łódź?

— Moi rodzice stracili wzrok i jedyny realny sposób, by się do nich dostać, to drogą morską.

— Przykro mi to słyszeć. To okropne. Wiesz, pożyczyl bym ci łódź szybką jak strzała. Nawet nie policzył bym ci za wynajem. Ale nie wypłynął byś dalej niż kilkaset jardów. Wybrzeże jest tu patrolowane co najmniej przez dwa statki straży przybrzeżnej i nikomu nie pozwalają wypływać w morze. Mówią, że nie można ryzykować utraty wzroku na środku oceanu.

— Nie ma możliwości jakoś ich ominąć?

— Nie da się, nawet z takimi umiejętnościami jak twoje, *muchacho*.

— Okay, Jim. W takim razie będę musiał znaleźć inny sposób. U ciebie wszystko w porządku?

— Trzymam za nas kciuki, jak cała reszta. Czekam na telefon od mojego najlepszego mechanika, Dana Bradleya, tego, którego spotkałeś, gdy pracowaliśmy nad filmem z Samuelem L. Jacksonem. Jego żona dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem i powiedziała, że nie wrócił do domu. Mam bardzo złe przeczucie, że ta ślepotą doprowadzi do czegoś naprawdę niedobrego.

Zaczął coś jeszcze opowiadać, ale w słuchawce nasilił się szum i zagłuszył głos, przez co Tyler nic nie słyszał.

— Jim? Halo, Jim? — Połączenie zostało przerwane. Tyler postukał słuchawką w otwartą dłoń, ale to nic nie pomogło.

— Co się stało? — zapytała Tina.

— Mogę zapomnieć o podróży łodzią. Przynajmniej Jim tak twierdzi. Straż przybrzeżna blokuje wyjścia z portów i nie pozwala nikomu wypływać na ocean.

— Nie wiem, co ci poradzić. Wygląda na to, że nie da się nic zrobić, trzeba tylko siedzieć na miejscu i czekać na informacje.

Tyler pokręcił głową.

— Z obrazu całej sytuacji wynika, że na dopływ informacji nie ma co liczyć. Telefony przestały działać.

— Spróbuję zadzwonić do redakcji. — Tina wyjęła swoją komórkę i nacisnęła przycisk szybkiego wybierania numeru redakcji „LA Timesa”. Słuchała, czekała, wybrała numer jeszcze raz, aż w końcu pokręciła z niezadowoleniem głową. — Brak sygnału. Spróbuję wysłać wiadomość tekstową.

Różowymi paznokciami szybko wstukwała wiadomość i wysłała SMS-a. Spoglądała z niecierpliwością na wyświetlacz, ale poddała się po kilku chwilach.

— Wiadomość nie przeszła. Pewnie cała sieć padła.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, zgasł obraz na ekranie telewizora. Tyler zaczął przerzucać kanały, ale ekran pozostał czarny. Poddał się, cisnął pilota na sofę.

— Możliwe, że obsługa sieci komórkowej i telewizyjnej też straciła wzrok.

— Może to jeszcze coś poważniejszego. Może to atak terrorystyczny. Albo inwazja, no bo co zrobiłbyś najpierw po inwazji na inny kraj? Wyłączyłbyś sieci telekomunikacyjne, prawda?

— Daj spokój. A kto niby miałby nam zagrozić? Rosjanie? Chińczycy? Meksykanie?

— Nie mam pojęcia, ale mój redaktor naczelny zawsze powtarza, że „należy spodziewać się najgorszego scenariusza”. „Najgorszy scenariusz” zawsze najlepiej sprzedaje się w mediach, o wiele lepiej niż scenariusz typu: „Nie będzie tak źle”.

— Muszę jakoś dostać się do Memory Valley. Gliny zatrzymują samochody na autostradach, ale mógłbym spróbować przebić się motocyklem.

— Inteligentnie domyśliłam się, że masz motocykl.

— No tak. Jesteś bardzo spostrzegawcza. Ale to raczej oczywiste. Szczególnie że leży tu sterta czasopism motocyklowych.

— Nie mów jaki. Spróbuję zgadnąć. Harley softail.

— Prawie ci się udało. Ultra classic electra glide.

— Z najwyższej półki — zauważyła Tina. — Warto spróbować. Ale najpierw musisz chyba trochę odpocząć.

— Wcale nie. Ruszam natychmiast.

— Chyba zwariowałaś. Pojedziesz motocyklem taki kawał drogi do San Francisco po tym, jak nie spałeś przez ostatnie dwanaście godzin, a jedyny twój posiłek stanowi butelka heinekena?

— Tina, dam sobie radę. Swoją formę oceniam na sto dziesięć procent. Przecież po drodze mogę parę razy za trzymać się gdzieś na odpoczynek.

Tina zrobiła kwaśną minę.

— Jedziesz chyba na swój pogrzeb. Nie miej potem do mnie pretensji, gdy zaśniesz i walniesz w słup telegraficzny.

Tyler poszedł do sypialni zmienić ubranie. Włożył džinsy, białą koszulkę promującą *Młot Boga* — najnowszy film, w którym brał udział — i wytartą kurtkę dzinsową. Gdy się przebierał, Tina próbowała po raz kolejny połączyć się z redakcją gazety. Ale ani linia naziemna, ani komórka, ani Internet nie działały.

— Będę musiała wybrać się na Pierwszą Zachodnią, by sprawdzić, co tam się dzieje — oświadczyła, gdy Tyler wyszedł z sypialni. — A może podwieziesz mnie tym swoim motocyklem do mojego samochodu?

Wyszli z mieszkania i poszli do garażu z boku budynku. Tyler przekręcił klucz w zamku i podniósł opuszczaną bramę garażową, która zachrzęściła z powodu niesmarowanych prowadnic. W środku stały trzy pojazdy: mercury marquis, najprawdopodobniej z siedemdziesiątego pierwszego roku, pokryty cienką warstwą kurzu, uwalany błotem motocykl crossowy Kawasaki i motocykl przykryty zrobionym na zamówienie czarnym pokrowcem. Tyler zdjął pokrowiec i odsłonił lśniącego czernią harleya davidsona electra glide. Motocykl pachniał woskiem do polerowania lakieru, skórą i świeżym olejem.

— Zawsze uważałam, że motocykle mają w sobie coś niezwykle erotycznego — oświadczyła Tina, gdy Tyler lokował się na siodelku.

— Jego cena była wystarczająco seksowna. Niewiele

reszty dostałem z dwudziestu tysięcy dolarów — odparł Tyler, uruchamiając starterem motocykl. Silnik o pojemności tysiąca pięciuset centymetrów sześciennych zabulgotał głębokim dźwiękiem. Tyler wyjechał na podjazd. Zszedł z motocykla, zamknął bramę i z powrotem wsiadł. — Jedziesz czy nie?

Tina wspięła się po nóżce na miejsce dla pasażera i objęła go wpół. Ruszyli powoli po drodze dojazdowej, ale gdy tylko znaleźli się na ulicy, Tyler przekręcił manetkę gazu i silnik zaryczał.

— Orgazmicznie! — zawołała Tina. — Uwielbiam to!

Niebo na zachodzie stawało się coraz ciemniejsze, nabierało barwy ciemnografitowej, mimo że było dopiero południe. Tina pochyliła się do Tylera i krzyknęła:

— Armagedon!

Nad wzgórzami i kanionami snuły się dymy, czerwone płomienie pożarów biły w niebo na wysokość setek stóp. Wiatr rozsiewał iskry we wszystkich kierunkach. Suche liście drzew juki, które rosły wzdłuż Franklin Avenue, zajęły się ogniem. / *dano mu władzę dotknąć ogniem.*

Na skrzyżowaniu z North Highland Tyler skręcił na północ, by po chwili skręcić w Camrose. Gdy dojeżdżali do La Presa, po ziemi siał się szary gęsty dym. Tyler zwolnił i za kolejnym zakrętem dostrzegli, że ulica przed nimi została zablokowana palącymi się samochodami obrzuconymi cegłami, a ogrodzenia domostw były zniszczone. Ludzie biegali w różne strony i walczyli z sobą.

Tyler zatrzymał motocykl.

— To jakieś zamieszki. Matko Boska, zobacz. Oni szabrują.



Przynajmniej trzydziestu młodych ludzi włamywało się do domów, wybijając szyby i rozwalając kopniakami drzwi. Właściciele próbowali ich powstrzymać, ale z ich machania rękami, krzyków i niezdarnego poruszania się można było wywnioskować, że są ociemniałi.

Jakiś siwy mężczyzna w rdzawoczerwonym dresie wyszedł na podjazd ze strzelbą w rękach.

— Wynoście się stąd! — wrzeszczał. — Wynoście się z mojej własności!

Jeden z szabrowników uderzył go w plecy sztchetą z płotu, a mężczyzna wystrzelił na oślep w powietrze. Inny szabrownik podszedł od tyłu i popchnął mężczyznę, który znowu wystrzelił, tym razem trafiając w drzwi swojego forda explorera. Trójka napastników rzuciła się na niego, powaliła go na ziemię i skopała.

— Jezu! Nie ma jakiejś innej drogi do twojego mieszkania?

— Możemy spróbować Outpost Drive — zaproponowała Tina. — Wróć na North Highland i skręć w prawo.

Gdy Tyler powoli zawracał, w dymie spowijającym zamieszanie dostrzegli błyskawice, jakby grupa fotografów robiła zdjęcia, używając lamp błyskowych.

— A co to jest, do licha?

Błyskawice rozchodziły się na różne strony, jakby tańczyły, i z każdym błyskiem stawały się coraz jaśniejsze. Jeden z szabrowników nagle padł na kolana, łapiąc się za twarz, i zaczął wrzeszczeć.

— Nic nie widzę! Kurwa! Nic nie widzę!

Inny złodziej, dzwigający w rękach telewizor, upuścił go nagle na krawężnik. Telewizor rozpadł się na kawałki.

Mężczyzna zaczął kręcić się w kółko i machać bezradnie rękami. W końcu stracił równowagę i przewrócił się na ziemię.

— Nic nie widzę! Martinez! Pomóż mi! Oślepiłem! Martinez!

Kilku szabrowników zaczęło się potykać i przewracać, ale widać było, że większość jednak nie chciała porzucić swoich łupów i nie szła na pomoc kompanom. Dźwigali komputery, sprzęt hi-fi i plastikowe worki wypełnione wszystkim, co wpadło w ręce: zastawą stołową, zegarami, sprzętem kuchennym, butelkami alkoholu. Jeden z nich niósł na ramieniu całą torbę znakomitych kijów golfowych. Gdy zatrzymali się z wahaniem, rozbłyły rozświetlające dym błyskawice. Szabrownicy poprzewracali się na ziemię niemal natychmiast, jakby ktoś dzielił ich kijami baseballowymi. Jedni kręcili się, leżąc na plecach niczym zdychające chrząszcze, inni pełzli po asfalcie, wołając o pomoc zachrypniętymi głosami, w których przebijała desperacja.

— Pomocy! Ludzie! Pomocy! Nic nie widzę! Pomóżcie mi!

— Mój Boże, Tyler! Co się dzieje?

— Chyba nie powinniśmy czekać na odpowiedź na to pytanie.

— Ale to jest właśnie temat na reportaż, Tyler! Te światła! To te rozbłyski muszą powodować utratę wzroku!

— Możliwe, ale ja jakoś nie mam ochoty przekonać się o tym osobiście, a ty?

Gdy zwiększał obroty silnika, ale nie puszczał jeszcze hamulca, z dymu, niczym jakiś sztukmistrz, wyłonił się potężnie zbudowany człowiek. Ubrany był w czarny garnitur

i czarną kamizelkę, na głowie miał stożkowy kapelusz z szerokim rondem. Był jakieś siedemdziesiąt jardów od nich, więc Tyler nie widział dokładnie rysów jego twarzy, ale na pewno miał ziemistą cerę, wystające kości policzkowe i głęboko osadzone oczy — musiał być Latynosem albo Indianinem.

Mężczyzna stał na środku La Presa Drive i przyglądał się oślepiionym szabrownikom, jak jęczeli, krzyczeli, błagali o pomoc i wrzeszczeli wniebogłosy. Nie wykonał żadnego ruchu, żeby im pomóc. Część złodziejasków uciekała Glencoe Way, zostawiając za sobą ślady w postaci porzuconych łupów, rozsypanych płyt DVD, jakiegoś ekspresu do kawy i brązowej kurtki skórzanej.

— Daj mi swoją komórkę!

Tyler wyciągnął telefon.

— Przecież nie działa. Trzymaj się, spadamy stąd!

— Nie chcę nigdzie dzwonić, ale zrobić zdjęcie, *stupido*.

— Co?

Tina wyrwała mu komórkę z ręki i wyciągnęła rękę do przodu, nastawiając obiektyw na mężczyznę w czerni. Zrobiła zaledwie dwa zdjęcia, gdy mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Zdziwił się i zaczął iść ku nim pewnym, niespiesznym krokiem, ale emanował grozą.

— Koniec tego dobrego — zawyrokował Tyler i puścił hamulec, podkręcając gaz. Motocykl wystrzelił do przodu.

— Stój! Stój!!! Na sekundkę! Zatrzymaj się!

Tyler zahamował i odwrócił się w siodełku. Mężczyzna w czerni nie szedł już za nimi, ponieważ zdał sobie sprawę, że ich nie dogoni. Ale zza jego pleców z dymu wyłoniło

się co najmniej osiem postaci w dziwacznych przebraniach. Ich twarze były płaskie jak talerze, oczy mieli wąskie jak szparki, a ciała wyglądały jak domowej roboty trumny pomalowane na czarno z czerwonymi wzorkami, od których odchodziły kończyny.

— A kim, do licha, są te dziwadła? — odezwała się Tina.

Tyler przysłonił oczy dłonią. Nie mógł rozróżnić, czy są to ludzie, czy jakieś roboty. Zdecydowanie wyglądali bardziej na przerośnięte lalki teatralne niż na żywych ludzi, ale jak to możliwe, że się poruszali? Tyler nie potrafił ich nawet policzyć. Może to przez ten snujący się dym. Czasem wydawało mu się, że jest ich dwunastu, a po chwili widział zaledwie pięciu, może sześciu. Trudno mu było także ocenić odległość. Raz stali przed mężczyzną w czerni i wyglądało, że mają jakieś sześć stóp wzrostu, by po chwili stać w nim, co mogło znaczyć, że są dwa razy wyżsi.

— To jakieś złudzenia optyczne — zawyrokowała Tina. — Może projekcja laserowa. — Zrobiła trzy kolejne zdjęcia i wtedy mężczyzna w czerni i te dziwne bladolice postacie zaczęli iść w ich stronę.

— Trzymaj się mnie mocno! — krzyknął Tyler i ruszył z wyciem silnika z powrotem po Camrose Drive, skręcił w prawo w North Highland Avenue, potem znowu w prawo w Franklin, przemykając przed nosem pędzącego SUV-a, którego kierowca zatrafił.

— *Do prdele!* — wrzasnęła Tina.

— Co powiedziałaś?

— Mój tata jest Czechem. Nasze nazwisko rodowe to Fiala, a nie Freely. *Do prdele* znaczy „do dupy”.

Wjechali w Outpost Drive, ale ujechali zaledwie ćwierć

mili i wpadli w strugi wody przecinające ulicę. Kilkaset jadrów dalej dojechali do barykady utworzonej przez trzy wozy strażackie stojące w poprzek drogi. Za drzewami dostrzegli sześć, może siedem płonących domów. Tyler zatrzymał motocykl.

— Droga zamknięta — poinformował ich dowodzący akcją.

— Wiozę Tinę Freely z „LA Timesa”. Ona musi dostać się do swojego samochodu przy La Presa Drive.

— Może nawet nazywać się Tina Turner. Droga jest zamknięta dla wszystkich.

— Czy jeden z pańskich ludzi mógłby przyprowadzić jej samochód? — poprosił Tyler.

— Jesteśmy strażakami, a nie parkingowymi.

Tyler odwrócił się do Tiny.

— To może zawiozę cię do redakcji?

— Do „LA Timesa”? — dopytywał się dowódca oddziału strażackiego. — Na waszym miejscu dałbym sobie z tym spokój. Ostatnie wiadomości, jakie do nas dotarły, mówiły o tym, że na dachu budynku redakcji rozbił się prasowy helikopter z bakami pełnymi paliwa. Musieli ewakuować cały biurowiec.

— Mój Boże! — jęknęła Tina. — Czy byli ranni?

— Nie dotarły już do nas żadne informacje. Brak łączności.

Jeden ze strażaków zaczął wołać dowódcę.

— Panie kapitanie! Spada ciśnienie!

Bez żadnego słowa dowódca akcji zostawił ich przy barykadzie.

— No i co teraz? — zapytał Tyler Tinę.

— Nie mam pojęcia. Chyba powinniśmy komuś powiedzieć o tych błyskawicach, nie uważasz? O tym wszystkim, co widzieliśmy. No bo jeśli to jacyś obcy i faktycznie jest to prawdziwa inwazja kosmitów, jak w *Wojnie światów*, powinniśmy ostrzec ludzi.

— Więc komu o tym opowiemy? A może, co istotniejsze, w jaki sposób?

— Zatrzymajmy pierwszy radiowóz policyjny, jaki zobaczymy.

— No i co im niby powiemy? Że wiemy, dlaczego ludzie ślepną? Że to przez jakieś rozbłyski i ludzi przebranych w pudła? Tylko że to tak naprawdę nie są ludzie, ale złudzenia optyczne? A może to wcale nie złudzenia optyczne, lecz Marsjanie?

— Tyler, przecież widzieliśmy, jak ci ludzie tracili wzrok. To nie było żadne złudzenie optyczne. A co innego mogłoby powodować utratę wzroku, jeśli nie te światła?

Tyler spojrział na zegarek. Była dopiero dwunasta dwadzieścia pięć, a on chciał już jechać do Memory Valley.

— Posłuchaj. Pojedź ze mną. W Memory Valley oślepto ponad sto osób. Jeśli dowiemy się, jak to się stało, będziemy mogli połączyć te dwa wydarzenia i wtedy zyskamy dowód, o którym opowiemy gliniarzom.

Tina przeczesała palcami włosy, odwróciła się i skinęła głową.

— Dobra. Chyba masz rację. Tutaj już wiele nie zrobimy. Bez telefonów, z ewakuowaną redakcją... — Oparła dłoń na jego ramieniu, usiłując się uśmiechnąć. — Cokolwiek się wydarzy, nasze przeżycie już samo w sobie jest niezłym

materiałem na reportaż, prawda? I jedziemy do San Francisco, by znaleźć dowody na to, że Ameryką opanowali obcy.

— To jedziemy — rzucił Tyler. Zawrócił na Outpost Drive i pojechał po Franklin Avenue w stronę Hollywood Freeway.

Po obu stronach drogi płonęło Hollywood, a słońce słabo wyzierało spośród kłębow dymu. Na ulicach prawie nie było ruchu, choć gdzieś z południowego zachodu dochodził do nich dźwięk syren ambulansów i wozów strażackich. Gdy Tyler dojechał do wjazdu na autostradę, zbliżył się do nich radiowóz policyjny. Samochód zwolnił i dwoje motocyklistów zostało dokładnie zlustrowanych przez dwie pary oczu skrytych za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi. Ale po kilku sekundach policjanci najwyraźniej uznali, że ta dwójka nie wyglądała na szabrowników ani na wandalów, ani na podpalaczy, i doszli do wniosku, że zatrzymanie ich byłoby tylko niepotrzebną stratą czasu. Radiowóz oddalił się szybko, a Tyler i Tina odjechali na pomoc.

Rozdział 16

Portland, Oregon

— Pan do kogo? — zapytałem.

Za drzwiami stał mężczyzna w czarnym, trzyczęściowym garniturze. Był wysoki, przynajmniej trzy cale wyższy ode mnie, mocno zbudowany, z okrągłą twarzą poznaczoną bliznami po trądziku i małymi świeącymi oczami. Miał siwe, tłuste i bardzo długie włosy związane z tyłu w koński ogon. Pod kamizelką dostrzegłem białą koszulę bez kołnierzyka, a na jego szyi wisiało kilka srebrnych łańcuchów, które jeśli miały wisiory, to ukryte przed niepowołanymi oczami. W obydwu rękach, jak pełen szacunku żałobnik, trzymał wyświechtany czarny kapelusz z szerokim rondem.

Spojrzałem na jego buty. To była zawsze pierwsza rzecz, jaką robiłem, gdy spotykałem nieznajomych. Buty mówiły mi bardzo dużo o charakterze ich właściciela, jego aspiracjach, a przede wszystkim o zasobności portfela. Te kluczowe informacje były niezbędne takiej podrobie przepowiadacza przyszłości, jaką byłem — pomagały mi w ustaleniu, czy przepowiednia będzie korzystna, czy tragiczna.

Buty tego gościa były czarne i zakurzone, z wypchanymi czubkami. Nieźle je uszyto, ale w niedzisiejszym stylu, i od dawna nie miały styczności z dobrą pastą do butów.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytałem.

Obdarzył mnie najbardziej upiornym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Minęło już zbyt wiele czasu — odparł jakimś dziwnym, klekoczącym szeptem.

— Jest pan pewien, że trafił do właściwego pokoju? To numer dwieście trzystaście.

Przechylił się lekko na bok, jakby chciał spojrzeć ponad moim ramieniem. Ja zrobiłem to samo, żeby zasłonić mu widok.

— Harry?! — zawołała Amelia. — Kto to jest?

— Ten pan pomylił pokoje — odpowiedziałem i wyszczerzyłem do faceta zęby w nieszczerym uśmiechu. — Przykro mi, ale trafił pan pod zły numer. W recepcji panu pomogą.

— On tu jest — wyszeptał mężczyzna w czerni. — Cierpliwie czekałem na tę chwilę i ona właśnie nadeszła.

— Posłuchaj pan, nie mam najmniejszego pojęcia, kim pan jest ani dlaczego dobijał się pan do naszych drzwi, ale coś się panu musiało pomylić. To jest pokój dwieście trzystaście. Niech pan idzie do recepcji i tam udzielą panu prawidłowej informacji.

Mężczyzna w czerni nie zrobił najmniejszego ruchu, który mógłby sugerować, że ma zamiar odejść.

— Przyszedłem po tego, który nas zdradził — odparł. — Wreszcie nadszedł dzień rozliczenia.

— Jakikolwiek dzień to jest, ma pan pecha — odpowiedziałem i zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem. Ale gdy się odwróciłem, wrzasnąłem z przerażenia. Mężczyzna stał już w środku pokoju, tuż przed drzwiami balkonowymi, nadal trzymając w rękach kapelusz.

Sądzę, że Śpiewająca Skała był tym tak samo zaszokowany jak ja.

— *Tdcu eniciyapi hwo?* — spytał Śpiewająca Skała.

— *Hdu koła* — odpowiedział mężczyzna w czerni z uśmiechem. — *Khoydkiphela he?*

— *Tdcu eniciyapi hwo?!* — krzyknął na niego Śpiewająca Skała. Chyba nigdy nie widziałem go tak złego i przerażonego, nawet w szpitalu Sióstr Jerozolimskich w Nowym Jorku, gdy Misquamacus wezwał Wielkich Starych, by starli nas na proch i dookoła nas zaczęły się zawałać sufity. — *Tdcu eniciyapi hwo?* Jakie jest twoje imię?

Mężczyzna zrobił krok w jego stronę.

— Możesz zwać mnie Wovoka, jeśli chcesz, mój mały bracie z równin. — Położył prawą dłoń na sercu. — To w końcu jest ciało Wovoki. To jest twarz Wovoki.

— Jakie jest twoje prawdziwe imię? — powtórzył pytanie Śpiewająca Skała. — Wovoka był Pajutem, a ty przemawiasz w języku Siuksów.

Mężczyzna w czerni stale się przybliżał do Śpiewającej Skały.

— Hola — odezwałem się, wyciągając rękę do przodu. — Może jednak zachowaj odpowiednią odległość, kolego!

Mężczyzna w czerni zupełnie mnie zignorował.

— Ja jestem wszystkimi ludźmi z wszystkich plemion. Mówię wszystkimi językami, choć język Siuksów zostawia w moich ustach gorzkawy posmak. To posmak jadu węża.

Odwrócił się do mnie z tym swoim najbardziej upiornym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Wiesz, jak Siuksowie dostali tę nazwę? Od Francuzów, którzy tak nazwali lud Nadewisou, gdy go po raz pierwszy spotkali, a Nadewisou znaczy „zdradzieckie węże”.

Odwrócił się z powrotem do Śpiewającej Skały.

— A tutaj mamy najbardziej zdradzieckiego ze wszystkich węży. Tego, który zdradził własny lud nie tylko raz, gdy jeszcze żył w świecie żywych, ale też w życiu po życiu, gdy stał się duchem. I kolejny raz teraz, gdyż pomaga wam.

Śpiewająca Skała wzniosł skrzyżowane w nadgarstkach ręce i zacisnął pięści.

— Ty nie jesteś Wovoka, nawet jeśli masz jego ciało. Wiem, kim jesteś! Wyjdź z jego ciała i pozwól mu spać w spokoju! Zostaw wszystkie duchy, których spokój zakłóciłeś!

— Ja nie zakłóciłem ich spokoju, ale je wskrzesiłem — odparł mężczyzna w czerni. — Życie i śmierć są jednym cyklem, a wszyscy ci szamani zostawili niedokończone sprawy, zanim odeszli ze świata żywych. Podzieleni i samotni, zostali pokonani. Ale wspólnie zwrócą nam nasze święte ziemie, nasze języki, a co najważniejsze, naszą dumę. Znowu odetchniemy wiatrem, który nie będzie już przesiąknięty dymem białego człowieka.

Teraz to on górował nad Śpiewającą Skałą, chociaż Śpie-

wająca Skała trzymał uniesione ręce skrzyżowane w nadgarstkach.

— Wyjdź z ducha Wovoki! — wykrzyknął Śpiewająca Skała. — W imię Tego, Który Porusza, Takushkansjkana, Słońca! W imię Wi, Księżycy, i Wohpe, Spadającej Gwiazdy, jego córki! W imię Ite, Twarzy! — Zawahał się przez moment, ale po sekundzie wykrzyczał: — W imię Kobiety Białego Cielęcia Bawołu!

Kiedyś, gdy zdrowo popiliśmy jacka danielsa, Śpiewająca Skała opowiedział mi o bogach, których czcili Siuksowie Lakota, stąd wiedziałem, że Kobieta Białego Cielęcia Bawołu była boginią, którą czcili najbardziej. Żaden szaman Siuksów nie wezwałby jej na pomoc, gdyby sytuacja tego nie wymagała.

Jednak mężczyzna w czerni nie wydawał się tym wszystkim w jakikolwiek sposób wzruszony. Z pieczołowitością nałożył kapelusz na głowę i złapał za skrzyżowane nadgarstki Śpiewającej Skały.

— Misquamacusie! — wykrzyknęła Amelia.

Mężczyzna w czerni zawahał się przez chwilę, opuścił wzrok, jakby czekał, co ona ma do powiedzenia.

Śpiewająca Skała spojrział na Amelię, po czym znowu na mężczyznę w czerni. Jego twarz była napięta z przejęcia, oczy miał wytrzeszczone ze strachu, a na czole uwydatniły się żyły. I tak już nie żył. Był zaledwie mirażem człowieka, który kiedyś nazywał się John Śpiewająca Skała, a teraz pamięć po nim była jedynie mieszaniną dymu, światła i energii duchowej. W rzeczywistości miał w sobie mniej materii niż hologram, ale i tak widać było, że przerażała go wizja tego, co mężczyzna w czerni mógł z nim zrobić.

— Misquamacusie! — powtórzyła Amelia. — Puść go!
— Jesteś białym człowiekiem, a do tego kobietą — odrzekł mężczyzna w czerni, nawet na nią nie spoglądając. — Kimże ty jesteś, by mi rozkazywać?

— Może i jestem kobietą — odpowiedziała wyzywająco Amelia, choć jej głos drżał z przejęcia. — Ale przynajmniej jestem realną kobietą, która żyje w świecie żywych. A kimże ty jesteś, Misquamacusie? Nikim innym, jak tylko echem, pustą przestrzenią. Jesteś niczym innym, jak tylko krzykiem w lesie, którego nikt nie usłyszy. Nie możesz istnieć poza duchami innych, Wovoki albo pozostałych szamanów, w których dusze się przystroileś.

— Nie masz pojęcia o mojej mocy. — Mówiąc to, mężczyzna w czerni ściągnął ręce Śpiewającej Skały na dół z taką samą łatwością jak przed momentem, gdy rozdzielił jego nadgarstki. Może i Śpiewająca Skała był jedynie wytworem ektoplazmy, ale na jego twarzy malował się olbrzymi wysiłek i ból. Mimo że był tylko duchem, i tak miał w sobie dość substancji, by mężczyzna w czerni mógł mu zrobić krzywdę.

— Okay, dosyć tego! — odezwał się. Przeszedłem przez pokój i złapałem za ramię mężczyznę w czerni. A ten odwrócił się w moją stronę i splunął na mnie.

Nie uderzył mnie ani nawet nie walnął z byka. Nie puścił Śpiewającej Skały, a mimo to czułem, że jeszcze nikt nigdy nie zadał mi ciosu o takiej sile. Przeleciałem przez cały pokój, zwałem się na fotel, łamiąc jego dwie nogi, i spadłem na podłogę, skręcając sobie bark.

— No dobra, wystarczy! — wrzasnąłem. Wstałem i po-

nownie do niego podszedłem na lekko ugiętych nogach, z uniesionymi rękami, wyobrażając sobie, że to jest właśnie moja najlepsza postawa karate. Co z tego, że nie byłem nawet na jednym treningu karate, przecież cztery razy oglądałem *Wejście Smoka*.

— Harry, nawet tego nie próbuj! On może cię zabić w każdej chwili! — ostrzegła mnie Amelia, łapiąc za ramię. — Lepiej weź swoją bransoletkę!

— Co?

— Weź bransoletkę, Harry! Zdmuchnij świecę i weź bransoletkę do ręki! Śpiewająca Skała będzie w potrzasku, dopóki tego nie zrobisz!

Nie do końca rozumiałem, o co jej chodziło, ale odsunąłem się od mężczyzny w czerni i Śpiewającej Skały. Trzymając ręce w górze, cofałem się w stronę stołu, na którym ciągle paliła się pachnąca cynamonem świeca, a moja bransoletka z czarnych kamyków leżała owinięta wokół jej podstawy.

Gdy po nią sięgałem, mężczyzna w czerni splunął na mnie po raz drugi — tym razem było to jak silne uderzenie w plecy, po którym zwałem się na dywan.

— Zostań tam, gdzie jesteś, biały durniu! — ostrzegł mnie. — Nie musisz się do tego wtrącać!

— Tak myślisz? To zadzwonię na recepcję. Zobaczymy, jak twoje trzystuletnie duchowe echo poradzi sobie z ochroną hotelową.

Mężczyzna w czerni popatrzył na mnie złowrogo i chociaż wyglądał jak Wovoka, szaman Pajutów, to w jego oczach widać było, kim jest naprawdę. Misquamacusem — Tym, Który Odszedł I Powrócił.

— No dalej! Jeśli tak bardzo chcesz zemsty, to zacznij ode mnie!

— Tobą też się zajmę, możesz być tego pewien — wyszeptał mężczyzna w czerni. — Ale zanim to zrobię, chcę was poniżyć tak, jak poniżyliście mój lud. Jesteś głupcem i krzykaczem i nie posługujesz się magią. Twoje wtrącanie się do nie swoich spraw zaledwie na moment powstrzymało mnie od zemsty.

— Aha, więc jednak ci przeszkodziłem? — odparłem. — No to coś ci powiem, Misquamacusie. Tak ci jeszcze raz przeszkodzę, że nie będziesz wiedział, od kogo oberwałeś!

Mężczyzna w czerni nie odwrócił nawet ode mnie wzroku, a Śpiewająca Skąła nagle zawył — ścinające krew w żyłach echo krzyku dochodziło do mnie jakby z głębokiego tunelu. Usłyszałem trzask; przez środek głowy Śpiewającej Skąły przebiegła szczelina oddzielająca jego włosy i ukazała się czerwona rana. Po chwili jego skalp zaczął się rozchyłać i odchodzić od czubka głowy jak płatki rozkwitającego tulipana.

Śpiewająca Skąła krzyczał z bólu agonii, a jego skóra nadal się rozdzierała, odsłaniając po kolei gałki oczne, mięśnie policzków i chrząstki nosa. Usta zostały wywinięte na drugą stronę, obnażając język i pokryte tytoniowym nalotem zęby.

Po raz drugi rzuciłem się na mężczyznę w czerni, ale ten tylko potrząsnął głową i splunął na mnie. Rzuciło mną do tyłu tak potężnie, jakby mnie potracił samochód. Walnąłem głową o ścianę i osunąłem się na podłogę, dodatkowo na głowę spadł mi oprawiony w ramki obraz. Zamroczony

i poobijany próbowałem się jeszcze podnieść, ale powstrzymała mnie Amelia, klękając obok.

— Harry, nic nie działasz!

Śpiewająca Skała wrzeszczał jak torturowany kot. Skórę miał już zdartą z szyi, widać było tętnicę i jabłko Adama, zakrwawione i błyszczące wewnątrz ciała.

— Rany boskie! — wykrzyknąłem. — Nie mogę pozwolić mu tego robić! Misquamacusie! Ty popaprany Misquamacusie!

Mężczyzna w czerni nadal trzymał Śpiewającą Skałę za nadgarstki, a skóra Śpiewającej Skały zsuwała się z barków. Z przodu odsłaniały się mięśnie klatki piersiowej i ścięgna ramion, żyły, naczynia krwionośne i tkanka łączna. Wyglądał teraz jak model do studiowania anatomii, z jednym wyjątkiem — mięśnie i ścięgna kurczyły się i pulsowały cierpieniem, a pozbawione warg usta były rozwarte w niemym krzyku.

— Harry! Nawet o tym nie myśl! — uspokajała mnie Amelia. — Śpiewająca Skała nie żyje! Misquamacus zadaje ból, ale nie może zabić jego ducha!

— Przecież nie o to chodzi! Śpiewająca Skała uratował nam życie! Nie pozwolę, żeby ten drań sprawiał mi tyle cierpienia, nawet jeśli on nie należy już do świata żywych!

Zerwałem się na równe nogi i rzuciłem w stronę stołu. Natychmiast zostałem uderzony po raz kolejny przez coś albo kogoś, kogo zupełnie nie widziałem. Dostałem cios w bok głowy, ale udało mi się polecieć do przodu i wyciągnąć rękę przed siebie, żeby złapać świecę i bransoletkę z czarnych kamieni.

— *Ecunsiyo!* — szczerknął tylko mężczyzna w czerni, a płomień świecy wypuścił białą smugę ognia niczym miotacz płomieni i podpalił abażur lampy sufitowej. Żar oparzył mi twarz i poczułem smród przypalonych włosów. Nie miałem żadnego wyboru, musiałem się wycofać, zasłaniając twarz jedną ręką. Poczułem kolejne potwornie silne uderzenie, tym razem w plecy, i cios o mało nie przetrzącił mi kręgosłupa.

Kaszłąc, upadłem na kolana. I wtedy właśnie, w zasięgu moich rąk, zobaczyłem wyłamane nogi fotela. Złapałem jedną i ścisnąłem z całej siły.

Spojrzałem do góry. Śpiewająca Skała już nie krzyczała, ale trząsał się przeraźliwie. Jego ubranie i skóra były zdarte prawie do kolan i odsłaniały mięśnie brzucha i ud. Nawet skóra z jego członka została zdarta i ukazał się krwisty, cienki strzęp tkanki.

Amelia stała w kącie pokoju, rękami zasłaniała usta, a w oczach miała przerażenie.

Wstałem i skierowałem się do stołu. Nie zważając na to, że ogień świecy wznosił się jeszcze wyżej i był gorętszy, zamachnąłem się nogą fotela i zwałem świecę, ze stołu. Upadła na dywan i nadal paliła się potężnym płomieniem skierowanym na ścianę, jakby była palnikiem acetylenowym. Ale tym akurat się nie martwiłem. Sięgnąłem ręką przez blat stołu, złapałem bransoletę z czarnych kamieni i wsunąłem ją na nadgarstek.

Uniosłem pięść i krzyknąłem:

— Johnie Śpiewająca Skała! Johnie! Tutaj!

Mężczyzna w czerni splunął na mnie kilkakrotnie i rzucał mną od ściany do ściany. Ja jednak za każdym razem

wstawalem. Potrząsałem bransoletką, a skóra i ubranie Śpiewającej Skały z powrotem naciągały się na jego ciało. Obcy puścił jego nadgarstki i ruszył w moją stronę z twarzą wykrzywioną wściekłością. Uwolniony z uchwytu Śpiewająca Skała zaczął znikać i stawać się niewidzialny, by znowu wyglądać jak duch, którym był. Wirując niczym szyfonowy szal, jego ektoplazma unosiła się i płynąc w powietrzu, wyleciała przez drzwi balkonowe na zewnątrz, gdzie poszybowała do słońca i zniknęła z zasięgu wzroku.

Na miejscu został jedynie dym, który rozmywał się w powietrzu. Gdy już zupełnie zniknął, poczułem, jak bransoleta na mojej ręce zacisnęła się i zadrżała. Zdałem sobie sprawę, że duch Śpiewającej Skały schował się w czarnych kamieniach, które z pieczołowitością zbierał jeszcze jako młody chłopak z dna rzeki Okabojo, gdy dopiero uczył się sztuki szamanów.

Mężczyzna w czerni ruszył wprost na mnie i stanął nade mną jak wściekły byk.

— Chcesz dorwać Śpiewającą Skałę? — zapytałem. Był tak blisko mnie, że czułem jego lodowaty oddech na wyciągniętej przed siebie pięści. — On jest już tutaj i nie możesz go skrzywdzić. Jego duch jest w bransolecie, wielki czarny waśniaku, i nie możesz go dalej ścigać, bo przecież ty nie masz już nawet swojego ducha!

— Mógłbym cię zniszczyć, mógłbym zamienić twoje serce w kamień albo ugotować twój mózg. Mógłbym wypełnić twój brzuch jadowitymi węzami, a twoje płuca żarłoczny mrówkami. Mógłbym obdrzeć cię ze skóry jak twojego zdradzieckiego przyjaciela.

Nic nie odpowiedziałem na jego groźby. Byłem zbyt

przerażony, żeby w ogóle otworzyć usta. Amelia przyglądała mi się z drugiego kąta pokoju, a z wyglądu jej twarzy domyślałem się, że jest tak samo przerażona jak ja. Płomień świecy zgasł, ale dywan nadal się kopcił, a iskrzące się płatki popiołu opadały ze spalonych resztek abażuru, ukazując jego goły szkielet.

Mężczyzna w czerni stał przede mną, głośno oddychając przez długi czas, który jakby rozciągał się w nieskończoność, choć prawdopodobnie nie upłynęło nawet dwadzieścia sekund. W końcu odezwał się miękkim głosem:

— Obiecałem wam, że będziecie świadkami, jak wasz lud zostanie rozdarty na kawałki i rozniesiony przez wiatr, i dotrzymam danego słowa. A gdy tego dnia pożogi zajdzie słońce, ty i ta kobieta zapłacicie za to, co mi uczyniliście, a ból, który odczuwał wasz zdradziecki przyjaciel, będzie niczym w porównaniu z bólem, którego doświadczycie.

Nadal nie mogłem znaleźć słów, by mu odpowiedzieć. Nie chciałem sprowokować go w żaden sposób, by czasem nie zaczął natychmiast realizować swojej groźby i obdzierać mnie ze skóry. Nawet nie poruszyłem głową.

Wreszcie odwrócił się ode mnie i po prostu zniknął, jakby go tu nigdy nie było. I wtedy poczułem coś, jakby przewiew, jakby otwierały się i zamykały jakieś drzwi. Wovoka miał w sobie więcej materii niż Misquamacus. Przynajmniej potrafił sprawić, że był widzialny. Był jednak tylko duchem i prędzej czy później musiał wrócić do świata duchów.

— Naprawdę zniknął? — dopytywałem się Amelii.

Na moment zamknęła oczy i podniosła palec, jakby próbowała zbadać, z której strony wieje wiatr. Wreszcie uniosła powieki i powiedziała:

— Tak... zniknął.

Butem zdusiłem pomarańczowe iskry tłącego się dywanu. Trzy razy kichnąłem pod wpływem zapachu przypalonej wełny. Babcia zawsze powtarzała, że trzykrotne kichnięcie przynosi nieszczęście. Kichnij raz — zbudzisz diabła. Kichnij dwa razy — on już wie, gdzie jesteś. Kichnij trzy razy, a on pojawi się, by cię złapać.

— Więc to, co Śpiewająca Skała powiedział o Misquamacusie, to prawda? On pożyczca duchy innych szamanów, by móc wracać do świata rzeczywistego? — za pytałem.

— Na to wygląda — odpowiedziała Amelia. Była po denerwowana i wstrząśnięta wydarzeniami ostatnich chwil, cały czas wyłamywała palce i dotykała dłońmi policzków. Wyglądała jak ktoś, kto strasznie potrzebuje papierosa. — No i przecież na całym kontynencie żyły setki szamanów, więc on ma z kogo wybierać.

— Śpiewająca Skała podał nam kilka imion, prawda? Piekielny John i wódz Hot Dog czy jak tam on się nazywał.

— Każde plemię miało swojego szamana albo nawet kilku. Posługiwali się różnymi rodzajami magii, ale ich ogólne umiejętności były podobne. Uzdrawiali ludzi, spro wadzali choroby na wrogów, modlili się o deszcz albo o zakończenie opadów. Wypełniali jeziora rybami, zamieniali się w kojoty, w orły, latali nad podległym terytorium.

— A co z oślepieniem ludzi?

— Nie mam pojęcia. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Śpiewająca Skała nie zdążył nam niczego wyjaśnić.

— Czy możemy go jeszcze raz wywołać?

— Jeśli to zrobimy, to najprawdopodobniej znowu ściągniemy tu Misquamacusa, a on wtedy dokończy to, co zaczął. Naprawdę chciałbyś podjąć takie ryzyko?

— Nie. Nie chcę, żeby Śpiewająca Skala ponownie był obdzierany ze skóry. No i nie chcę, żebyśmy my byli obdzierani ze skóry. Nie bardzo lubię taki widok.

— Chyba mogłabym skomunikować się z nim za pomocą różdżki — oświadczyła Amelia.

— A jak to działa?

— Przypomina to szukanie różdżką wody, tylko że zamiast ukrytego źródła próbuje się odnaleźć myśli. To nawet bardziej przypomina nastroszenie radioodbiornika na odpowiednie fale, tyle że używa się do tego leszczynowej różdżki. Odbiera się nią myśli prosto z powietrza. Nawet je sływać.

Amelia podeszła do swojej płóciennej torby, poszperała w niej i wyciągnęła różdżkę w kształcie litery Y długości około sześciu cali.

— Ta metoda nie jest zbyt skuteczna, gdy mamy do czynienia z duchem dawno zmarłego człowieka. Najlepsza jest, gdy człowiek niedawno zmarł i jego myśli są nadal w danym pomieszczeniu. A duch Śpiewającej Skaly był tutaj, więc nasze szanse na komunikację są dość spore.

Wziąłem różdżkę Amelii do rąk i wywijałem nią na wszystkie strony, nawet ją powąchałem. Byłem dość sceptyczny, ale przecież nic nie szkodziło spróbować. Dopóki nie dowiemy się, jak Misquamacus oślepia ludzi, dopóty będziemy poruszać się na ślepo, zupełnie jak ci biedni ociemniiali.

Nagle usłyszeliśmy silne uderzenie na ulicy, potem rozległy się krzyki i wołanie kobiety o pomoc. Wyszliśmy na balkon i zobaczyliśmy hondę, która uderzyła w tył tramwaju, przygważdżając do tylnego zderzaka mężczyznę. Żył jeszcze, ale nie dawałem mu dużych szans.

Wokół zebrał się tłumek. Kilku mężczyzn próbowało otworzyć drzwi hondy. Kobieta za jej kierownicą nie usiłowała się wydostać z samochodu, chociaż ludzie walili w szyby pięściami.

— Musi pani wycofać! — krzyczeli do niej. — Dalej, niech pani cofnie samochód!

Przyglądaliśmy się tej scenie przez kilka minut. Przyjechał radiowóz i dwóch gliniarzy próbowało nakłonić ją do wycofania. Kobieta odwróciła się w ich stronę, patrzyła na nich, ale ich nie widziała.

— Ona jest ślepa — stwierdziła Amelia. — Spójrz, w jaki sposób przyciska dłoń do szyby.

Podjechał ambulans. Sanitariusze skontrolowali stan przygwożdżonego do tramwaju mężczyzny i poprosili policjantów o pomoc. Jeden z gliniarzy podszedł do hondy i rozbił boczną szybę kolbą rewolweru. Policjanci otworzyli drzwi, a sanitariusze pomogli kobiecie wysiąść. Ze sposobu, w jaki trzymała się za głowę, można było bez trudu wywnioskować, że ona nic nie widzi.

— Musimy coś zrobić — powiedziała Amelia. — Misquamacus oślepi wszystkich, jeśli go nie powstrzymamy. Nie jestem gapiem, wróćmy do środka.

— Więc spróbujesz tą swoją różdżką? — zapytałem.

Amelia skinęła głową. Podeszła do kanapy, bez wahania skrzyżowała ramiona i ściągnęła z siebie szary sweter. Pod

spodem miała koronkowy biustonosz z wyszywanymi różyczkami. Miała olbrzymi biust, który nie pozostawiał wiele wyobraźni. Rozpięła dzinsy i zsunęła je z nóg, odsłaniając koronkowe figi pasujące kolorem do biustonosza.

— Hej, czy ta metoda wymaga, by łączyć się z duchami w samej tylko bieliźnie? — zapytałem, starając się, by ton mojej wypowiedzi brzmiał swobodnie.

Sięgnęła rękami do tyłu, rozpięła haftkę biustonosza i zdjęła go z ramion. Miała bladuróżowe sutki, które lekko się zmarszczyły w letnim podmuchu powietrza wiejącego od otwartych drzwi balkonowych. Odwróciłem głowę i zasłoniłem do połowy oczy. Gdy odwróciłem się w jej stronę, zdjęła już figi i siedziała na kanapie jedynie w krótkich białych skarpetkach.

— Czy musisz to robić kompletnie nago?

Amelia skinęła głową.

— Leszczynowa różdżka działa jak antena, ale to moja skóra będzie pełnić funkcję odbiornika. Gdybym miała na sobie ubranie, odebrane myśli byłyby przytłumione i prawdopodobnie nie udałoby się ich zrozumieć.

Zamilkła na moment.

— Jeśli czujesz się skrepowany, to możesz wyjść na balkon albo zamknąć się w sypialni.

— Skrepowany? *Moi*? Oczywiście, że nie. Możesz za czynąć.

Zdjęła skarpetki i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na środku kanapy, z wyprostowanymi plecami, jakby przybrała jakąś pozycję jogi. Przed sobą na wysokości oczu trzymała leszczynową różdżkę.

Usiadłem okrakiem na krześle. Patrzyłem na nią i myśl-

lałem, jak bardzo wszystko w niej mi się podoba. Jej twarz, ciało, aura wokół niej. Tak naprawdę byłem w niej zakochany i żałowałem, że wyszła za Bertila. Spojrzała na mnie, marszcząc czoło.

— Kocham Bertila — oświadczyła. — Jest wspaniałym mężem. Ale to nie znaczy, że nie kocham także ciebie.

— Odczytałaś moje myśli — rzekłem zdziwiony.

— Oczywiście. Nie marnowałabym na to wszystko czasu, gdybym nie potrafiła czytać w myślach.

— Jezu, wstyd mi.

— Niepotrzebnie. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że ja mogę czuć to samo do ciebie?

Rozdział 17

Amelia powoli przesuwiała leszczynową różdżkę z prawej na lewo i z powrotem.

— Leszczynowe różdżki nazywano kiedyś „gałązkami spełniania pragnień”.

— Serio? — W tym momencie nie bardzo byłem przejęty jej różdżką.

— Pierwszą różdżkę sprowadzili do Ameryki ojcowie pielgrzymi, bo wierzyli w opowieść mówiącą o tym, że Bóg podarował Adamowi leszczynową gałąź, by mógł nią uderzać w powierzchnię jeziora i tworzyć dowolne zwierzę, jakiego potrzebował. Pielgrzymi sądzili, że dzięki różdżkom nie będą musieli brać z sobą zbyt wielu owiec i świń.

— Byłoby super, gdyby to działało.

— Poza tym jeśli wpleciesz sobie taką gałązkę we włosy, to tworzy ci się „czapeczka pragnień” i wkrótce spełni się wszystko, o czym marzysz.

— No tak, ewentualnie człowiek mógłby skończyć w wa riatkowie, gdyby łąził po mieście przebrany za stracha na wróble.

Amelia podniosła różdżkę i przymknęła powieki.

— Słyszysz coś? — zapytałem.

— Ciii, bardzo słabe odbicie. Ktoś coś mówi.

— Kto? Czy to Śpiewająca Skała?

— Ciii!

Zamilkłem. Amelia kręciła różdżką w powietrzu, zataczając coraz większe kręgi, po czym podniosła ją nad głowę i znieruchomiła. Zamknęła oczy i powiedziała:

— „Zabiję nas”.

Już miałem zapytać, co to znaczy, ale dostrzegłem, że ona jeszcze bardziej wsłuchuje się w myśli ducha, lekko kiwa głową i porusza ustami.

— „Zabiję nas. Zwycięzca loterii samochodowej”.

Minęło prawie pół minuty milczenia, Amelia kiwała głową i mruzczała:

— „Zwycięzca loterii samochodowej i nieśmiała kochanka”.

Czekałem na więcej. Jeśli te brednie były wszystkim, co udało jej się usłyszeć spoza światów za pomocą „łowienia myśli”, to na niewiele nam się to zda.

— „Zabiję nas” — powtórzyła Amelia.

Kolejne pół minuty milczenia i Amelia nagle otworzyła oczy.

— Jestem pewna, że to był głos Śpiewającej Skały. Był prawie jak szept, ledwie słyszalny przez biały szum, który prawdopodobnie zostawił za sobą Misquamacus. Ale jestem pewna, że to był jego głos.

— No to bardzo się cieszę, że przekazał nam coś tak... nieprzydatnego. „Zabiję nas?”. „Zwycięzca loterii samochodowej?”. „Nieśmiała kochanka?”. Co to, do licha, ma niby znaczyć?

Amelia naciągnęła skarpetki na stopy, włożyła majtki i biustonosz.

— Cokolwiek to było, musiało być ważne. Cały czas powtarzał to samo: „Zabiję nas” i „Zabiję nas”.

— Może to jest w jakiś sposób ważne — zacząłem marudzić — ale czy nie uważasz, że duchy bywają czasem totalnie upierdliwe? Dlaczego nie potrafią mówić po ludzku jak my? Bo chyba nie potrafią, co? Umieją jedynie dawać jakieś znaki i tajemniczo mrużyć.

Gdy Amelia zapinała dżinsy i skórzany pasek, zobaczyłem na ścianie ciemnoniebieską plamę, która momentalnie zaczęła się powiększać. Wyglądało to tak, jakby ktoś od środka malował po ścianie koło w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

— A co o tym myślisz? Co to niby może być? — odezwałem się, zwracając uwagę Amelii na ścianę. Gdy się odwróciła, koło o średnicy jakichś dziesięciu cali zostało już ukończone.

Podszedłem do ściany i potarłem ją palcem.

— To nie jest żaden marker ani pisak. I to nawet nie jest mokre.

Gapilem się na to zjawisko, gdy po prawej stronie pojawiła się nowa plama i też zaczęło formować się od niej koło. Patrzyliśmy na to niezwykle zdziwieni.

Gdy tylko drugie koło było gotowe, pojawiło się trzecie, a zaraz po nim czwarte. Więcej już się nie pojawiło.

— Okay. To pewnie jakieś znaki z zaświatów — powie działem, krzyżując ręce na piersiach.

Amelia ostrożnie dotknęła każdego koła palcami.

— Nawet jestem tego pewna. Śpiewająca Skała doszedł

do wniosku, że mogliśmy nie zrozumieć tego, co nam przekazał, więc dał nam wskazówkę.

— Cztery koła? A co to niby za wskazówka? Dlaczego nie przekaże nam informacji otwarcie?

— Bo prawdopodobnie nie ma takiej możliwości. Misquamacus może blokować przekaz. Niewykluczone, że nie pozwala Śpiewającej Skale zwrócić się do nas bezpośrednio.

Wpatrywaliśmy się w koła na ścianie, gdy przez uchylone drzwi balkonowe do pokoju wleciał turkusowy motyl. Polatał po salonie i usiadł w środku lewego koła. Posiedział tam przez chwilę, składając i rozkładając skrzydełka.

— To też ma być ta wskazówka? Czy może to tylko zagubiony motyl?

— Nie wiem, Harry. Naprawdę nie wiem.

Gdy mu się przyglądaliśmy, motyl nagle odleciał i usiadł w środku drugiego koła. Po kilku sekundach przeleciał do trzeciego koła i również usiadł w jego centrum. To też pewnie była jakaś część magicznego przekazu, ale ja nie miałem najmniejszego pojęcia, co może znaczyć.

Podszedłem do ściany, ale motyl był bardzo zadowolony z postoju i wcale nie zamierzał odlecieć. Na skrzydłach miał ciemnobrązowe owale, które wyglądały jak ludzkie oczy patrzące prosto we mnie. Jego głowa była purpurowa jak wielka kropla krwi.

— Ciekawy okaz — wymamrotałem. — To nie jest lokalny owad z Portlandu ani nawet z reszty Oregonu. Wygląda mi na tropikalnego motyla.

— Nigdy w życiu nie widziałam takiego motyla.

— A ja tak. Gdy mała Lucy przyjechała odwiedzić mnie

w Miami, zabrałem ją do Świata Motyli. To prawdopodobnie „wielki zielony zyzolus” albo coś takiego.

— Świat motyli — powtórzyła Amelia. Podeszła do kół i po kolei ich dotykała. — Świat motyli. No właśnie! To są światy!!!

— Światy? A jak na to wpadłaś? Równie dobrze to mogą być koła hula-hoop.

— Nie, Harry. To są światy. Jestem tego pewna. Ja to czuję.

— Okay. Jesteś jedynym prawdziwym i wybitnym medium spirytystycznym, jakie znam, więc nie będę z tobą dyskutował.

— Cztery światy. Można przechodzić z jednego świata do drugiego, zupełnie jak robił to ten motyl.

— No i co to niby nam mówi?

— To, że musimy skorzystać z komputera.

— No tak... w recepcji mają komputer. Prawdopodobnie pozwolą ci z niego skorzystać, jeśli zaprezentujesz im się w ubranku, w którym się rodziłaś.

Amelia popatrzyła na mnie jednym z tych swoich staromodnych spojrzeń.

— No dobra, przepraszam — dodałem. — Ale następnym razem, gdy najdzie cię ochota na łowienie myśli i będziesz potrzebowała moralnego wsparcia, a może nawet niemoralnego, to też możesz na mnie liczyć.

Wyciągnęła rękę i pieszczotliwie klepnęła mnie w policzek.

— Traktuję to jako komplement — odparła Amelia.

W tym momencie motyl nagle oderwał się od ściany i wyleciał przez uchylone drzwi balkonowe.

◆ ◆ ◆

W głównym holu hotelowym sobowtór Arta Garfunkela niechętnie pozwolił nam skorzystać z jednego ze służbowych laptopów. Ale tak przy tym narzekał, jakbyśmy chcieli zagrać muzykę Cajunów na jego cennym stradivariusie.

Usiedliśmy blisko siebie na jednej z jaskrawoczerwonych sof, jakby wyjętych z kreskówki z Królikiem Bugsem, i Amelia wstukała w wyszukiwarkę słowa: „cztery światy”.

Odpowiedzi wyświetliły się natychmiast. Żadne z nas do tej pory nie miało pojęcia, co to wyrażenie oznacza, ale przecież od czego jest Internet?

Okazało się, że Cztery Światy były elementem systemu wierzeń Indian Pueblo w Nowym Meksyku. Ich legendy mówiły, że Duch Słońca, Tawa, stworzył świat, w którym lud mógł żyć w pokoju i harmonii.

W Pierwszym Świecie Indianie Pueblo zaczęli się źle zachowywać — kradli, kłamali, walczyli między sobą i dogadzali sobie seksualnie na różne dziwne sposoby. Dlatego ci Indianie, którzy zachowywali się najlepiej, zostali zabrani przez Wielkiego Starego Pajaka, posłańca Tawy, do Drugiego Świata, a tych, którzy pozostali w Pierwszym Świecie, unicestwiono. No cóż — takie życie. Kradniesz, kłamiesz, bijesz się, używasz życia nie tak jak trzeba — to po tobie!

Po pewnym czasie mieszkańcy tego Drugiego Świata zaczęli zachowywać się równie haniebnie, więc Wielki Stary Pajakabrał ich do Trzeciego Świata, a potem do Czwartego Świata. W siedemnastym wieku Indianie Pueblo osiągnęli godność i społeczną harmonię — akurat w momencie, gdy przybyli hiszpańscy konkwistadorzy, którzy zbudowali misje

katolickie w całym Nowym Meksyku i usiłowali wytepić wierzenia Indian. Pięciuset Indianom Pueblo, którzy odmówili przejścia na katolicyzm, obcięto po jednej stopie.

Hiszpanie zrobili jedną dobrą rzecz: nauczyli Indian Pueblo uprawy pszenicy i jęczmienia, i drzew owocowych, ale z kolei dobrobyt Indian Pueblo ściągał na nich coraz więcej zagrożeń, gdyż napadały na nich wędrowne plemiona Nawahów i Apaczów, którzy z zazdrością patrzyli na woły i osły swoich sąsiadów, nie wspominając już o jabłkach i składach zboża. Nie dość, że na Indian Pueblo bez przerwy napadały inne plemiona, to jeszcze Hiszpanie zarazili ich różnymi europejskimi chorobami i setki tubylców umierało na ospę wietrzną i szkarlatynę.

W końcu zbuntowali się przeciwko Hiszpanom i religii katolickiej i powrócili do wierzeń w tradycyjnych bogów — w Tawę i Wielkiego Starego Pajaka. By ich ukarać, generał Juan Trevino aresztował czterdziestu siedmiu szamanów pod zarzutem czarów. Troje z nich zostało powieszonych, a reszta publicznie wychłostana. To był wielki błąd. W 1680 roku Indianin z San Juan o imieniu Pope zorganizował masowe powstanie. Spalono wiele domów i misji i zginęło ponad czterystu Europejczyków. W efekcie Hiszpanie zostali przepędzeni z Nowego Meksyku i dopiero po piętnastu latach tam powrócili.

To właśnie listy generała Trevino dały nam odpowiedzi na nasze pytania. Gdy Amelia odnalazła w Internecie ostatni list generała do sądu królewskiego w Hiszpanii, spojrzeliśmy po sobie i prawie jednocześnie powiedzieliśmy: „Zabiję nas”.

Wasza Dostojność!

Zaatakowani przez Indian Taos, Picuris i Tewa w ich osadach, zmuszeni byliśmy do ewakuacji stu pięćdziesięciu osadników do Isleta Pueblo — jedyne go puebla, którego mieszkańcy nie zwrócili się przeciwko nam.

Gdy zapadał zmierzch, troje Indian Tewa zbliżyło się od południowo-zachodniej strony wzdłuż wyschniętego strumienia. W dwóch z nich rozpoznałem szamanów, których wcześniej uwięziłem w Santa Fe za używanie czarów.

Towarzyszyło im przynajmniej dwadzieścia jakichś dziwnych postaci, które na twarzach miały białe maski z wąskimi wycięciami na oczy. Były ubrane w zbroje, które wykonano z drewna i pomalowano na czerwono i czarno. Zbroje te skrzypiały i postukiwały, gdy postacie się do nas zbliżały, i wzbudziło to w nas bardzo dziwne zaniepokojenie.

W zapadających ciemnościach trudno było nawet ustalić, ile było tych dziwnych postaci. Czasem wydawało się, że jest ich czterdzieści, ale po chwili widać było zaledwie sześć. Zmieniały swoje pozycje jak figury na szachownicy i w jednej chwili wydawały się wyjątkowo wysokie, a zaraz potem niskie jak dzieci i bardzo odległe.

Stał koło mnie Te'E — jeden ze starszych Indian. Zapytałem, co to za postacie i czy mają jakiś związek z czarami. Wtedy on zakrył twarz dłońmi, zostawiając tylko szparki na oczy, i wyjaśnił mi, że to Zabójcy Oczu, demony stworzone przez indiańskie dziewczęta, które zostały zapłodnione nasieniem obcego pochodzenia, na przykład z kłujących kolców kaktusów.

Dalej wyjaśnił, że demony te nazywano *shilowa*, co oznacza „czerwony” w języku Indian Zuni, a czasem też *k'winna*, co w tym samym języku oznacza „czarny”. Powiedział, że powinniśmy jak najszybciej opuścić pueblo, bo Zabójcy Oczu mogli nas wszystkich oslepić jednym spojrzeniem.

— No to teraz mamy naszego „zwycięzcę loterii samochodowej” i „nieśmiałego kochanka”, które po angielsku brzmią jak *k'winna* i *shilowa**, co znaczy czarny i czerwony w języku Indian Pueblo — podsumowała Amelia.

— To właśnie chyba chciał nam przekazać Śpiewająca Skala. I to, że Misquamacus wezwał tych Zabójców Oczu.

Z dalszej części listu wynikało, że generał Trevino poważnie podszedł do słów starego Te'E i rozkazał osadnikom i Indianom Isleta ewakuować się z pueblo i ruszyć na pomocny wschód. Jednocześnie rozkazał dwunastu żołnierzom zajęcie pozycji przy korycie suchego potoku, by powstrzymać szamanów Tewa i ich straszne demony przed wejściem do wioski.

Gdy te przerażające postacie zbliżyły się do nas, krzyknąłem do Indian Tewa, by nie zbliżali się bardziej, ale nie posłuchali mnie i zaczęli się wspinać do osady. Wydałem rozkaz otwarcia ognia, ale pierwsza salwa z arkebuzów nie wyrządziła żadnych szkód Indianom ani ich dziwacznym towarzyszom.

* *K'winna* brzmi jak *car winner* (ang.) — zwycięzca loterii samochodowej; *shilowa* brzmi jak *shy lover* (ang.) — nieśmiały kochanek.

Moi żołnierze przygotowali się do walki na rapiery i piki, ale gdy się do nich zbliżali, szpary na oczu postaci w białych maskach rozjaśniały się światłem tak jasnym jak błyskawice. Jeden po drugim moi żołnierze padali na ziemię, krzycząc, że zostali oślepieni, i wzywając Boga na pomoc.

Zrozumiałem, że pozostanie na posterunku będzie bezsensowne, bo gdybym ja też stracił wzrok, wówczas nie mógłbym służyć pomocą osadnikom, którzy liczyli na moją ochronę. Dlatego też opuściłem pueblo bez dalszego wahania.

— Tak więc elegancki generał zwiął — podsumowałem. — Ale nie można go za to winić.

— I co teraz zrobimy? — zapytała Amelia, zamykając laptopa. — Powinniśmy o tym komuś powiedzieć... i to jak najszybciej.

— Problem w tym, że nie wiemy komu. Kto potraktuje nas poważnie? Wyobrażasz sobie, co powiedzieliby w Pentagonie albo FBI, gdybyśmy do nich zadzwonili?

— Musimy się więcej dowiedzieć o tych Zabójcach Oczu — oświadczyła Amelia. — Kim są, skąd się wzięli i czy istnieje jakikolwiek sposób, żeby ich powstrzymać.

— Może powinniśmy jeszcze raz przywołać Śpiewającą Skałę?

Amelia pokręciła głową.

— To byłoby zbyt niebezpieczne zarówno dla Śpiewającej Skały, jak i dla nas. Musimy znaleźć kogoś, kto wie coś o szamanach Pueblo i kto nie jest na celowniku Misquamacusa.

— To proste — odparłem. — Wystarczy chyba tylko zajrzeć do książki telefonicznej na żółte strony.

Zaniósłem laptopa do recepcji. Sobowtóra Arta Garfunkela nie było w pobliżu, więc położyłem jego cenny komputer na półce pod ladą.

Ruszyliśmy z Amelią na górę. Idąc korytarzem, zobaczyliśmy otwarte drzwi naszego pokoju i stojącego na ich progu fałszywego Arta Garfunkela, który rozmawiał ze sprzątaczką.

— Przepraszam bardzo! Co państwo tutaj robili?!

Podniosłem ręce na znak poddania się.

— Mieliśmy mały wypadek ze świeczką. I przysięgam, że nie paliliśmy papierosów.

Otwierał i zamykał usta kilka razy bez słowa. W końcu wyrzucił z siebie:

— Będą państwo musieli opuścić nasz hotel, i to natychmiast. I mogą się państwo spodziewać rachunku za wyrządzone szkody.

— Panie Garfunkel, niech pan mi uwierzy, że spalony dywan nie jest wcale waszym największym zmartwieniem.

Jakby dla podkreślenia moich słów z ulicy dobiegł nas odgłos uderzenia, kobiecy krzyk, po nim następne uderzenie i następne.

Recepcjonista patrzył na mnie z niedowierzaniem, jakbym to ja był odpowiedzialny za spowodowanie tych wypadków, i odezwał się po chwili:

— Wcale nie nazywam się Garfunkel. Dlaczego nazwał mnie pan Garfunkel? Nazywam się Resnick.

Rozdział 18

Ladera Park, Los Angeles

Jasmine obudził odgłos silnego uderzenia, a po nim kilku następnych, i krzyki ludzi. Usiadła na kanapie. Na zewnątrz powoli zapadł zmrok, a niebo było bordowe z delikatną smugą pomarańczowego w miejscu, gdzie zaszło słońce.

Usłyszała kolejne krzyki i wystrzał. Jakiś mężczyzna wrzasnął, trzasnęły drzwi. Na zewnątrz, na klatce schodowej, słychać było tupot stóp. Ktoś kopnął w drzwi mieszkania ciotki Ammy.

Śpiące w fotelu niemowlę obudziło się i zaczęło płakać. Jasmine wzięła je na ręce. Dziecko było rozgrzane snem, lekko spocone i pachniało ciepłym moczem.

Ktoś kopnął w drzwi mieszkania drugi raz, potem trzeci. Jasmine przytuliła dziecko do piersi i uspokajała je.

Znowu ktoś walił w drzwi na korytarzu. Młody mężczyzna krzyczał:

— Chodźcie tutaj! Olejcie tamte! Musimy rozwalić te drzwi!

Znowu jakieś ruchy na korytarzu i głos starszej kobiety:

— Wynoście się stąd, bo wezwę policję!

— Do nikogo już nie zadzwonisz, babciu! Lepiej zejdź nam z drogi!

Z sypialni wyszła ciotka Ammy.

— Co się dzieje? Ledwie się zdrzemnęłam na chwilę, a tu słyszę jakieś wrzaski.

— Wygląda na to, że jakiś gang włamuje się do mieszkań.

Niemowlę przestało płakać. Oparło główkę na barku Jasmine i cicho sapało. Jasmine podniosła dłoń, by je pogłaskać, a chłopczyk chwycił jej palec w malutką i miękką rączkę.

Ciotka Ammy podeszła do przełącznika oświetlenia i pstryknęła nim, ale światło się nie zapaliło.

— Nie ma prądu. Klimatyzacja też nie działa. — Tak coś czuła, że jest za gorąco.

Poszła do kuchni i wyjęła z szuflady wielką latarkę. Zapaliła ją i podświetliła sobie twarz od spodu. Wyglądała jak czarownica. Wróciła do salonu i wyszła na balkon. Jasmine poszła za nią. W powietrzu unosił się silny swąd spalenizny; ponad połowa miasta nie miała prądu. Jasmine była tak przyzwyczajona do widoku mrugających świateł Los Angeles, że teraz stała osłupiała z dzieckiem na ręku i z przerażeniem patrzyła na czarną przestrzeń. Ammy wychyliła się przez poręcz.

— Chyba pali się gdzieś na dole. To na parterze, mieszkaniu starego Petersena.

Ponownie rozległy się krzyki i padł kolejny strzał.

— Ciociu, chyba musimy się stąd wynosić. Ten gang włamuje się do każdego mieszkania

— Ani mi się śni. Nie pozwolę, żeby okradli moje mieszkanie. Zostanę tutaj i będę ich odganiać.

— Ciociu Ammy, musimy uciekać. Zjedźmy na parking, zapakujmy się do samochodu i zwiewajmy stąd. Moglibyśmy zatrzymać się u Hubiego, dopóki nie skończą się te rozboje.

— A jeśli w Maywood też rabują domy? Jazz, nie mam zamiaru zostawić rzeczy, obrazów i rzeźb bez żadnej ochrony. To moje świętości.

W tym momencie usłyszały odgłos potężnej eksplozji w piwnicy. Wyjrzały przez poręcz — przez kratki wentylatorów podziemnego parkingu wydobywał się dym. Po chwili druga eksplozja rozdarła powietrze, następnie trzecia, pojawiły się płomienie, które przypiekały liście bugenwilli wspinającej się po elewacji.

— Podpalają samochody — stwierdziła Jasmine. — Dalej, ciociu Ammy, musimy stąd uciekać, zanim cały budynek zajmie się ogniem.

Załamana Ammy podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer pogotowia policji, ale linia była głucha.

— No dobrze. Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Daj mi kilka minut, żebym mogła się ubrać i zmówić modlitwę do Changó, bo tylko Changó może ochronić nas od ognia.

— Pospiesz się, ciociu.

Usłyszała rozpaczliwy krzyk staruszki dobiegający z korytarza i głośny, oblesny śmiech napastnika, a po nich kaszel, dalsze wołania i trzaskanie drzwiami.

— Co z tobą, babciu? Nie lubisz tańców? A może tak podpalić ci te twoje ohydne łąchy, co? Może wtedy wreszcie zatańczysz?

Jasmine zasłoniła usta dłonią. W normalnej sytuacji wybiegłaby na korytarz i stanęła w obronie starej kobiety, ale

doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby tak postąpiła. Napastnicy zrobiliby krzywdę jej, ciotce i małemu dziecku, a może by ich nawet zabili.

Szybko zmieniła dziecku pieluszkę i przebrała w czyste śpioszki. Wzięła bordowy szal leżący na oparciu kanapy i dokładnie owinęła nim dziecko.

Ciocia Ammy wyszła z sypialni w czarnej sukience do kostek. Na szyi miała kilka naszyjników z jaskrawych paciorków, każdy z nich poświęcony innej bogini Santerii. Czerwone i białe koraliki reprezentowały Changó, zielone i żółte Orunlę, a niebieskie i kryształowe Yemaya.

— Wezwałam Changó. *Kabio, kabio sile*, przyjdź do mojego domu i ochroń nas, Changó! Teraz możemy już iść.

Usłyszały hałasy zza ściany.

— Chodźmy do schodów przeciwpożarowych.

Gdy tylko wyszły na balkon, usłyszały śmiech i krzyki dobiegające z dołu. Jasmine ostrożnie wychyliła się przez balkon. W mroku dostrzegła sześciu, może siedmiu wyrostków, białych i Latynosów, którzy, plując i drwiąc, popychali między sobą mężczyznę i kobietę po czterdziestce.

— No i kto jest teraz ważniakiem? No kto? Założę się, że lejesz teraz w gacie, *amigo!* Może powinniśmy przelecieć twoją żonę, co? Chcesz zobaczyć, jak będzie mi obciągała?

Jasmine wepchnęła ciotkę Ammy z powrotem do salonu.

— Co znowu? — zapytała ciotka, przytrzymując ręką naszyjniki.

Jasmine przeszła przez cały salon i przyłożyła ucho do drzwi wyjściowych. Dziecko, całe spowite szalem, poruszyło głową na boki i powiedziało:

— Łum-łum.

Na korytarzu klatki schodowej było cicho. Żadnych krzyków, żadnych wrzasków, żadnego szurania butami.

— Nic nie słyszeć — powiedziała Jasmine. Spojrzała przez wizjer, ale przez niego widziała jedynie drzwi do mieszkania po przeciwnej stronie korytarza.

— Łum-łum — powtórzyło dziecko.

— Przykro mi, maluszk, ale nie mam pojęcia, co to znaczy. Rozumiem „ga” i „mm-mm”. Ale co znaczy „łum-łum”?

— Łum-łum — powiedziało dziecko i uśmiechnęło się do niej.

— Może próbuje nam powiedzieć, że można wyjść, bo jest już bezpiecznie? — dopytywała się ciotka Ammy. — W końcu to dziecko widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają.

— Nie jestem wcale tego taka pewna. „Łum-łum” może też oznaczać kilkunastu bandziorów czających się pod drzwiami i to, że nie powinniśmy ruszać się z miejsca.

Przez uchylone drzwi balkonowe dobiegł brzęk szkła i krzyk mężczyzny.

— Nie! Nie! Zostawcie ją, potwory!

— Chyba nie mamy wielkiego wyboru? — zapytała retorycznie Jasmine.

Podążyła dziecko ciotce i jak najciszej wysunęła ciężki łańcuch drzwiowy z zabezpieczenia, przekręciła trzy zamki i uchyliła drzwi.

Na zewnątrz było cicho, choć dochodził ją szum lejącej się wody. Czowała ostrzejszy swąd dymu niż wcześniej. Poczekała kilka sekund i wystawiła głowę, świecąc latarką ciotki Ammy w prawo i w lewo. Wyłożony zielonym

chodnikiem korytarz był pusty, choć wszystkie, oprócz jednych, drzwi do sąsiednich mieszkań stały otworem.

— Możemy iść. Wygląda na to, że poszli.

— Skoro poszli, to może bezpieczniej będzie jednak zostać — rzekła Ammy, przyciskając do siebie dziecko.

Odpowiedzią na jej pytanie były dwa kolejne przytłumione wybuchy w podziemnym garażu.

— Musimy stąd uciekać — nalegała Jasmine. — Cały budynek się pali, a jakoś nie słyszę syren wozów strażackich pędzących w naszą stronę, Pospiesz się, ciociu, bo w przeciwnym razem spalimy się na popiół.

Jasmine wzięła dziecko od ciotki, która zamknęła drzwi na wszystkie trzy zamki z solidnymi bolcami. Podczas ceremonii zamykania Jasmine wetknęła głowę do mieszkania, którego drzwi były otwarte.

— Halo?! Jest tam kto?

Nie usłyszała odpowiedzi, więc weszła do środka. Drzwi do łazienki znajdowały się po prawej stronie i właśnie stamtąd dobiegał szum wody lejącej się z odkręconego kranu.

— Halo? Jest tam kto? Jeśli tak, to należy natychmiast stąd uciekać. Cały budynek się pali.

Nikt nie odpowiadał, więc Jasmine uchyliła drzwi i poświeciła latarką przez szczelinę. Na początku dostrzegła jedynie brodzik prysznicowy i lustro na ścianie, które odbijało zasłonę prysznicową o wzorkach z białych mew. Spojrzała za otwarte drzwi i poświeciła latarką na wannę.

— O Boże! — jęknęła i odskoczyła do tyłu, uderzając barkiem o futrynę drzwi.

W wannie leżała starsza pani z uniesionymi rękami, jakby chciała, żeby ktoś ją wyciągnął. Ramiona miała przypalone,

a twarz poparzoną na czerwono od ognia, jej jasnoniebieskie oczy wpatrywały się wściekle w sufit. Wyglądała jak afrykańska maska *žu-žu*, usta miała wygięte w grymasie agonii, włosy rozczochrane, a sukienkę — wyglądającą jak szmata — spaloną.

Najprawdopodobniej udało się jej wejść do wanny i odkręcić zimną wodę, by uśmierzyć ból oparzeń, ale szok termiczny przypuszczalnie był zbyt silny i serce nie wytrzymało.

Jasmine odwróciła głowę. Ciotka Ammy stała tuż za nią i z samego wyrazu twarzy domyśliła się, co Jasmine zobaczyła w wannie.

— Nie żyje?

— Tak — odpowiedziała Jasmine.

— To Dottie Feinstein — wyjaśniła ciotka i się przeżegnała. — Była miłą i uprzejmą kobietą.

Nastąpił kolejny wybuch w podziemnym garażu.

— Chodźmy stąd — powiedziała ciotka Ammy. — Jeśli zgubię wszystkie moje święte przedmioty, to będzie to wola bogiń. Wiem, że mi to wynagrodzą.

Szły szybko korytarzem. Jasmine zatrzymywała się przy każdym drzwiach, kopała w nie i krzyczała:

— Pożar! Uciekajcie!

Dziwne, ale ani jedno drzwi się nie otworzyły i nikt nie odpowiedział ani słowem, oprócz jednej kobiety mówiącej z hiszpańskim akcentem.

— Odejdźcie! *Vamos!* Zostawcie mnie w spokoju!

Mieszkańcy kamienicy zamknęli się w swoich mieszkaniach na cztery spusty, jakby zupełnie odrzucili rzeczywistość. Jak to wszystko mogło się dziać? Samoloty spadały

z nieba. Całe miasto tonęło w mroku. Telewizory były czarne, telefony głuche i klimatyzatory przestały działać.

Doszli do drzwi prowadzących na klatkę schodową, która była pogrążona w mroku i wypełniona gryzącym w oczy dymem. Dodatkowo rozbrzmiewała echem hałasów dobiegających z placyku przed domem, więc wydawało się, że to schody do piekła. Jasmine oddała ciotce latarkę i schodziła, trzymając się poręczy, by nie stracić równowagi. Dziecko zaczęło pokasływać i kichać.

Gdy doszli do holu wejściowego, Jasmine podała dziecko Ammy. Powoli uchyliła drzwi i wyjrzała. Hol był zadymiony, ale pusty. Drzwi do dyżurki administratora były otwarte, jego fotel leżał na boku na podłodze, a biurko zalała kawa z przewróconego styropianowego kubka.

Jasmine pociągnęła ciotkę i przebiegli przez hol do obrotowych drzwi wejściowych.

— Łum-łum — odezwało się niemowlę, jakby chciało powiedzieć coś naprawdę bardzo ważnego.

— Tak, kochanie — odpowiedziała Jasmine. — Masz absolutną rację. Łum-łum.

Na zewnątrz zewsząd dobiegały dźwięki jak z zoo pełnego panikujących zwierząt. Idąc wzdłuż Ladera Avenue, słyszeli jęki i desperackie wołanie o pomoc. Młody Latynos w T-shircie poplamionym krwią szedł ulicą z wyciągniętymi przed siebie rękami, potykając się i łkając. Przeszedł nie-daleko nich, a nawet nie miał pojęcia, że kogoś mijał.

— Dokąd teraz pójdziemy? — zapytała Ammy. — Tutaj chyba wszędzie jest niebezpiecznie.

— Musimy zdobyć jakiś samochód — odpowiedziała Jasmine.

Z tyłu dobiegły ich odgłosy kolejnych eksplozji w podziemnym garażu kamienicy, z której uciekły, a gdy się odwróciły, zobaczyły ogień wydobywający się z okien piwnicy.

Na ulicy przed nimi stały trzy zaparkowane samochody. Jasmine szarpała za klamki, próbując je otworzyć, ale wszystkie były zamknięte.

— Nie możesz się włamać? — zapytała ciotka Ammy.

— A co ty myślisz, że jestem złodziejką samochodów? Skąd mam to umieć?

Szły dalej w pośpiechu wzdłuż ulicy, aż dotarły do South La Brea. Nieopodal rozległ się wrzask przypominający odgłosy pawiana i dźwięk rozbijanego szkła, powtarzający się regularnie, jakby ktoś łomem wybijał wszystkie szyby w budynku. W oddali wyły syreny samochodów służb ratunkowych, ale tutaj żaden się nie pojawiał.

Trzy przecznice dalej na południe Jasmine dostrzegła nagłe błyski intensywnie jasnego światła. Nie wyglądały jednak na błyskawice — bardziej na rozbłysk fleszy aparatów fotograficznych.

— Chyba powinniśmy uciekać w przeciwnym kierunku — zasugerowała Ammy, kiwając energicznie głową w stronę rozbłysków, aż jej kolczyki zaczęły podskakiwać.

— A niby dlaczego?

— Dlatego że te rozbłyski nie są naturalnego pochodzenia.

Ciotka Ammy pokręciła stanowczo głową.

— To nie flesze aparatów fotograficznych. Widziałam coś podobnego, gdy byłam mała. To są demony.

— Daj spokój, ciociu. Chyba nie wierzysz w demony?

Ciotka Ammy spojrzała na Jasmine i zacisnęła usta tak mocno, jakby były zaszyte przez dzikich łowców głów.

— Jeśli ktoś wierzy w bóstwa, to musi wierzyć też w ich przeciwności. Przecież nie musiałabyś modlić się do Boga, gdyby nie było szatana, prawda?

— No, chyba nie. Ale nie wierzę, że akurat to są demony.

— Więc co chcesz zrobić? Przekonać się osobiście?

Jasmine się zawahała. Te światła przypominały błyskanie lamp stroboskopowych. Wiatr przywiał krzyki rozpaczki kobiet i mężczyzn. Potworne zawrozczenie podobne do jęków wydawanych przez pasażerów samolotu, który ma się za chwilę rozbić.

— No dobrze, wygrałaś. Ale mimo to nadal nie wierzę, że to demony.

Ruszyli na pomoc. Kawałek dalej na ulicy stały dwa porzucone SUV-y — buick lacrosse i honda, obydwie zniszczone w wypadku. Przednia szyba buicka była wybita, a siedzenie kierowcy błyszczało od plam krwi. Jasmine dostrzegła też plamy krwi na asfalcie, ale wokoło nikogo nie było.

— Niech święci mają w opiece tego, kto tu ucierpiał — odezwała się ciotka Ammy.

Szły dalej i widziały, jak gasły światła kolejnych dzielnic miasta i przedmieść na wzgórzach aż po Pasadenę. Jedyną osobą, którą minęły na ulicy, była siwa kobieta w szarej sukience stojąca w mroku przed parterowym domem. Wychyłała się do przodu, jakby próbowała skupić wzrok na czymś znajdującym się parę jardów przed nią.

— Dobrze się pani czuje?! — zawołała Jasmine, ale siwa kobieta nie odezwała się ani nawet nie pomachała. — Może powinnam podejść i sprawdzić, co się z nią dzieje?

— Najpierw zajmijmy się sobą — zawyrokowała ciotka Ammy.

Firanka we frontowym oknie domu była odsłonięta, a brzuchaty mężczyzna w białej koszulce wyglądał przez okno, ale nie patrzył w ich kierunku.

— Chyba obydwójce są niewidomi — rzekła Jasmine.

— No to i tak nie możemy im pomóc. Idźmy dalej. Może dotrzemy do domu Hubiego.

— Poczekaj chwilę. Widzisz to, co ja?

Przed nimi ulica South La Brea skręcała lekkim łukiem w lewo, ale wielka czerwono-biała ciężarówka najwyraźniej pojechała dalej prosto i pokonawszy chodnik, złożyła się jak scyzoryk, bokiem opierając się o front domu. Ciągnik siodłowy nie był zniszczony, a naczepa wystawała na pół ulicy. Reflektory ciężarówki nadal się świeciły, drzwi szoferki były otwarte, a kabina pusta.

Jasmine podbiegła do ciężarówki i z podziwem poklepała dłonią błyszczące chromem nadkole błotnika. To był mack titan — największa ciężarówka na rynku, z potężnym silnikiem. Naczepa załadowana była prętami zbrojeniowymi — Jasmine oszacowała, że ładunek musiał ważyć kilkadziesiąt ton.

Rozejrzała się dookoła. Nie było ani śladu kierowcy, a dom spowijały ciemności. Weszła po schodach i zapukała do drzwi.

— Halo? Jest tu kto? — zawołała, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Ciotka Ammy czekała na nią z dzieckiem przed bramą.

— Nie ma nikogo — oświadczyła Jasmine. — Albo boją się otworzyć drzwi.

Zapukała do sąsiedniego domu, ale tam też było ciemno, choć słyszała, jakby ktoś kogoś uciszał.

— Halo! — krzyknęła i zapukała kilka razy. Minęło pół minuty, ale bez żadnej odpowiedzi. Zeszła ze schodów i wróciła do porzuconego titana.

— Znalezione niekradzione — mruknęła.

Wspięła się do kabiny. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

— Co ty robisz, moje dziecko?! — zawołała ciotka Ammy. — Chyba nie weźmiesz tego potwora?

— A dlaczego nie? Nie wygląda na to, żeby w tej chwili był komuś potrzebny.

Wsunęła się na siedzenie kierowcy. Na osłonie przeciw-słonecznej zobaczyła przyklejone taśmą dwa zdjęcia przedstawiające kierowcę ciężarówki z rodziną: opalonego mężczyznę o szerokiej twarzy w baseballówce z logo Mack Truck i pulchną tlenioną blondynkę w koszulce bez rękawów z tatuażem przedstawiającym drut kolczasty na ramieniu. Z przodu siedziała dwójka małych pulchnych chłopców, jeden z nich szczerzył się w bezzębny uśmiech.

Jasmine przekręciła kluczyk w stacyjce i ciężarówka natychmiast obudziła się do życia.

— Działa bez problemu! — zawołała. Wyłączyła silnik i zeskoczyła, by pomóc ciotce.

Ammy zaczęła wspinać się do kabiny ciężarówki tak powoli i ostrożnie, jakby zdobywała ośnieżony szczyt w wysokich górach.

„— Nie popędzaj mnie, Jazz! I nie popychaj!

W końcu usadowiła się na siedzeniu pasażera. Gdy Jasmine podawała jej dziecko, niemowlę spojrzało na nią takim wzrokiem, jakby chciało powiedzieć, że coś okropnego może im się przytrafić, ale nie wiadomo co.

Jasmine wspięła się na siedzenie kierowcy i ponownie uruchomiła silnik. Wrzuciła wsteczny bieg i powoli zaczęła jechać, patrząc w monitor kamery cofania. Błotnik ciągnika zachrobotał o ścianę domu, ale powoli wycofała ciężarówkę z chodnika i ustawiła w jednej linii z naczepą.

Wyłączyła dopływ sprężonego powietrza i zablokowała hamulce. Następnie delikatnie zmniejszyła ciśnienie w szczękach hamulcowych siodła. Wtedy znowu wyłączyła silnik i otworzyła drzwi.

— Co znowu? — zapytała ciotka Ammy.

— Mam zamiar pozbyć się naczepy z ładunkiem. Nie ujechałybyśmy zbyt daleko, wioząc taką kupę żelaza.

Ruszyła w stronę naczepy. W normalnych warunkach zadbałaby o podparcie kół, ale tym razem nie było na to czasu. Opuściła podpory naczepy i gdy dotknęły ziemi, przekręciła lewarkiem jeszcze kilka razy, by łatwiej było jej odczepić sworzeń łączący naczepę z siodłem ciągnika. Następnie odłączyła przewody powietrzne, wpięła je w ślepe łącza w tyle kabiny ciągnika i rozłączyła wiązkę przewodów elektrycznych. Od południowego zachodu wiała śmierzdząca spalenizną bryza niosąca jęki ludzi, które przypominały lament przeklętych dusz zesłanych do piekła.

Pociągnęła uchwyt zwalniający sworzeń siodła. Obok bardzo powoli przejechała żółta taksówka i Jasmine do-

strzegła, że jej kierowca bacznie jej się przypatruje, ale nie stanął. Przez te dziesięć minut, które upłynęło od ucieczki z domu ciotki Ammy, minęły ich zaledwie trzy inne samochody i żaden z nich się nie zatrzymał. Po obu stronach South La Brea stały parterowe domy, ale tylko w kilku z nich widać było pobłyskiwanie światła ze świec, a po drodze spotkali tylko siwą kobietę w szarej sukience.

Jasmine wspięła się z powrotem do kabiny. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała w głąb ulicy, gdzie nadal pobłyskiwały jasne światła, które ciotka Ammy nazywała „demonami”. Zastanawiała się, czym one naprawdę są. Ustawiała odpowiednio fotel kierowcy i włączyła silnik.

— Okay. Zobaczmy, co to maleństwo potrafi.

Ruszyła powoli, by wyjechać spod naczepy, po czym nacisnęła pedał gazu i titan potoczył się wzdłuż South La Brea do skrzyżowania z West Slauson. Światła na skrzyżowaniu nie działały, więc Jasmine zwolniła. Z prawej strony pojawił się pojedynczy SUV z przyciemnionymi szybami, ale zatrzymał się i ustąpił im pierwszeństwa, mrugając światłami. Jego kierowca najwyraźniej nie chciał się sprzezczać z dziesięciokołowym ciągnikiem siodłowym o szesnastolitrowym silniku i masie dziewięciu ton.

Jasmine pojechała dalej na wschód w kierunku Maywood. Wcześniej nigdy jeszcze nie prowadziła titana i w innych okolicznościach wpadłaby w euforię. Silnik miał moc ponad sześćset koni mechanicznych, a na dodatek teraz ciągnik siodłowy pozbawiony obciążonej kilkudziesięciotonowym ładunkiem naczepy żywo przyspieszał za każdym razem, gdy tylko dotykała pedału gazu.

— Powiem ci coś, ciociu. Jeśli ten bałagan kiedyś się skończy, to kupię sobie takie cacko.

Droga do Maywood zabrała im niespełna dwadzieścia minut, mimo że ulica East Slauson była zaśmiecona porzuconymi dopalającymi się samochodami. Choć South La Brea była prawie opustoszała, to im dalej posuwali się na wschód, tym więcej napotykali ślepych ludzi po omacku poruszających się po okolicy.

— Jezu — odezwała się Jasmine. — To jak z filmu *Dzień żywych trupów*.

Od czasu do czasu musiała zwalniać i dawać sygnał potężnymi trąbami titana na sprężone powietrze. Niektórzy ludzie odsuwali się na boki, a inni kręcili się zagubieni pośrodku ulicy, prosząc o pomoc podniesionymi rękami.

Jeden mężczyzna stanął na wprost samochodu, trzymając na rękach małą dziewczynkę z kręconymi włoskami.

— Ona nadal widzi! — wołał. — Ona widzi! Proszę, zaopiekujcie się nią!

Jasmine zatębiła kilka razy, aż dziewczynka zaczęła krzyczeć ze strachu. W końcu mężczyzna przycisnął dziecko do piersi i ruszył na chodnik, omal się nie przewracając o krawężnik.

— Boże, jak ja siebie nienawidzę — mruknęła Jasmine.

— Nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia, skarbie. Nie miałaś wyboru. Święci ci wybaczą, gdy znajdziesz się w niebie.

— Hm, mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko.

Skręcili na północ w Pięćdziesiątą Szóstą Wschodnią, gdzie mieszkał Hubie. To była biedniejsza okolica z parterowymi domami, niedaleko linii kolejowej, choć większość ogrodzeń i ogródków była porządnie utrzymana, z różami na treliach, z chodnikami wyłożonymi kostką brukową i betonowymi rzeźbami w ogrodach.

Byli o przecznicy przed domkiem Hubiego, gdy ciotka Ammy wskazała ręką i zawołała:

— Patrz!

Po ulicy snuł się gęsty, czarny dym. Jasmine nacisnęła hamulec, zatrzymując titana przed domem Hubiego, aż zablokowały się szczęki hamulcowe. Dom stał w ogniu, płomienie tańczyły w salonie jak na jakiejś piekielnej imprezie. Sąsiedni dom też już zaczynał się palić. Spod gontu wydobywał się dym.

— Gdzie jest Hubie? Nigdzie go nie widzę!

Dziecko wyczuło niepokój ciotki Ammy i zaczęło płakać.

— Zostań tutaj — poleciła Jasmine. — Rozejrzę się, może dowiem się, gdzie jest.

— Changó, ochroń go — westchnęła Ammy, ściskając palcami czerwone i białe paciorki. — Changó, proszę, ochroń go!

Jasmine wyskoczyła z kabiny titana. Otworzyła furtkę domu Hubiego i weszła na wybetonowane podwórko. Jego toyota stała w garażu, choć przednia szyba pękła, a żółty lakier na samochodzie zaczął się łuszczyć. Gdy podeszła do ganku, musiała zasłonić twarz ramieniem. Żar był tak wielki, że nie mogła podejść bliżej. Płonące zasłony z salonu unosiły się w powietrzu; płonął nawet drewniany fotel na biegunach.

Jasmine spojrzała na ulicę. Jakies sto jardów dalej starszy mężczyzna i kobieta szli chodnikiem, ale mężczyzna dotykał ręką każdego płotu i ściany, by znaleźć drogę, a kobieta trzymała się jego paska od spodni. Nie było nawet sensu ich pytać, gdzie mógł podziać się Hubie. Oni prawdopodobnie sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują.

Wróciła do kabiny. Dziecko nadal płakało, a ciotka Ammy kołtysaniem starała się je uciszyć.

— Nie ma Hubiego?

— Przykro mi, ciociu Ammy. Ale znasz Hubiego. To twarde. Umie przetrwać w każdych okolicznościach. Pamiętasz, gdy na Venice Beach prawie utonął? A gdy dachował swoim jeepem? Założę się, że udało mu się stąd uciec.

— Ale jego samochód nadal tutaj stoi. On nigdzie nie poszedłby pieszo. To nie w jego stylu.

— Skąd ta pewność? Mógł wyjechać z przyjaciółmi. Albo... sama nie wiem...

— Albo stracił wzrok i zgubił się?

— Tego nie powiedziałam.

— Może tego nie powiedziałaś, ale tak pomyślałaś.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, patrząc, jak płonie dom Hubiego i zapada się jego dach. Pozostał tylko kamienny komin — ponura parodia szczęśliwego domostwa.

Dziecko przestało płakać. Chłopiec też obserwował płonący dom, jedną rączkę miał wyciągniętą przed siebie, ścisnął i rozluźniał palce, jakby chciał złapać płomień odbijające się od szyby.

— Ga — powiedziało niemowlę. — Łum-łum.

— No i co teraz robimy? Nie uważasz, że powinniśmy

pokręcić się trochę dookoła i poszukać Hubiego? — zapytała ciotka Ammy.

— To nie ma sensu. Tracilibyśmy tylko paliwo, a jeśli nie ma prądu, to nie zatankujemy na żadnej stacji benzynowej.

— Ale jeśli nie ruszymy się, żeby poszukać Hubiego, to co teraz zrobimy?

— Nie wiem. Pojedźmy do mnie, choć okolice Inglewood nie wyglądały zbyt bezpiecznie, gdy spadały z nieba samoloty. Nie wiem, czy gdziekolwiek jest teraz bezpiecznie.

Jasmine zastanawiała się, co dalej robić, gdy przez ciemny, brązowy dym snujący się po ulicy zobaczyła trzy, cztery jasne błyski. Kilka sekund później pojawiło się przynajmniej sześć nowych błysków, i to bardzo wyraźnych.

— Co się dzieje? Znowu te światła!

Rozbłyski stopniowo się do nich zbliżały i stawały się coraz jaśniejsze. Jasmine dostrzegła sylwetkę kogoś idącego prosto na nich.

— Nie podoba mi się to — odezwała się ciotka Ammy. — Ani trochę mi się to nie podoba.

Niemowlę przekreśliło się, pokazało paluszkami na rozbłyski i krzyknęło z podnieceniem:

— Ga! Ga!

Z dymu wyłonił się przysadzisty mężczyzna. Jasmine włączyła wszystkie światła titana. Mężczyzna zatrzymał się oślepiony. Na głowie miał dziwną grudowatą czapkę, która wyglądała, jakby była zszyta z kilku skórek wiewiórek. Przez plecy miał przewieszony ciemnoczerwony koc, spod niego wystawały żółtawy zamszowy kaftan i nogawice przewiązane skórzanymi rzemieniami.

W jednej ręce trzymał dzidę przystrojoną piórami, paciorkami i czaszkami ptaków.

Zmrużył oczy, marszcząc czoło, gdy oślepiło go światło reflektorów, ale nawet nie próbował przesłonić ich ręką. Jego twarz wyrażała bardziej irytację i pogardę niż złość.

— A co to za świrus? — zapytała Jasmine. — Spójrz na niego, ciociu. Wygląda jak Geronimo.

Ciotka Ammy pociągnęła ją za rękę w potwornej panice.

— Jazz, zabierz nas stąd, i to szybko!

— Spokojnie, o co chodzi? On prawdopodobnie uciekł z domu wariatów.

— Zabierz nas stąd! — wrzasnęła przerażona ciotka Ammy. — Nie żartuję! Natychmiast ruszaj!

— Dobra! Dobra! Uspokój się i złap się czegoś!

Jasmine uruchomiła silnik i nacisnęła pedał gazu. Z dymu wyłoniło się pięć postaci i zgromadziło się obok mężczyzny w futrzanej czapie ze skór wiewiórek.

— A to kto?! — krzyknęła zdziwiona Jasmine.

Ta piątka dziwnych postaci była niezwykle wysoka i miała białe, trupie twarze; ich ciała przypominały skrzynie z drewna, byle jak zbite z desek i pomalowane na czarno. Z jakiegoś niezwykle powodu Jasmine nie umiała ocenić, jak blisko się one znajdowały albo może jak daleko, albo czy w ogóle było ich pięć, czy więcej. W jednej chwili wydawało się, że są ściśnięte blisko mężczyzny w dziwnej czapie, ale gdy mrugnęła, odniosła wrażenie, jakby nagle odskoczyły i stały trzy jardy przed nim, prawie tak blisko, że mogły dotknąć zderzaków ciężarówki. Kolejne mrugnięcie i były kilka jardów za mężczyzną w czapce ze skór, jak gdyby dopiero

wynurzały się z dymu, i było ich nagle siedem, osiem, a może i więcej.

Wrzuciła wsteczny i szybko wycofała. W jednej chwili rozbłysły światła ze szparek w maskach postaci, ale na szczęście ciotka Ammy przekręciła głowę i zasłoniła niemowlęciu oczy.

— Nie odwracaj się i nie patrz na nich! — ostrzegła Jasmine. — Jeśli spojrzysz na nich choć jeden raz, będzie to ostatni widok w twoim życiu.

Jasmine wpatrywała się w monitor wyświetlający obraz z kamery cofania i pędziła tyłem przez trzy przecznice. Wreszcie skręciła kierownicą i wszystkie dziesięć kół zapiszczało na asfalcie. Nacisnęła pedał gazu i z piskiem odjechała na południe. Przy sporej prędkości ciągnik siodłowy bez naczepy był o wiele trudniejszy do opanowania niż pełny zestaw drogowy z ładunkiem i gdy Jasmine dojechała do skrzyżowania z East Slauson, wpadła w szeroki poślizg i z ogromnym hukiem uderzyła bokiem w zaparkowany samochód. Wyrównała tor jazdy i skierowała się na wschód, w kierunku autostrady do Long Beach.

— Te „obiekty”... — zaczęła. — Co to było?

— Sama dobrze nie wiem — odparła Ammy. — Ale jestem pewna, że to demony nie z tego świata. I wiem, że potrafią odebrać człowiekowi wzrok.

— Kto ci to powiedział?

— Moje bóstwo, Changó. Ono dobrze się mną opiekuje. I ja też o nim pamiętam, składam mu ofiary i odmawiam modlitwy, a w zamian ono przestrzega mnie przed niebezpieczeństwem i mówi, co mi grozi.

- To pewnie i ja powinnam przejść na Santerię.
- Ważne jest to, w co naprawdę wierzysz, moja droga.

Dojechali do autostrady do Long Beach, która przecinała dzielnicę Maywood estakadą. Lewa strona ślimaka dojazdowego była zatarasowana rozbitymi i spalonymi samochodami, więc Jasmine musiała trzymać się prawej strony. Błotniki titana ocierały się o murek ochronny, siejąc snopy pomarańczowych iskier. Na niskim biegu titan miał mnóstwo mocy, która zupełnie wystarczała na zepchnięcie blokujących pojazdów na bok.

Autostrada była pusta, choć od czasu do czasu na środku drogi trafiały się porzucony samochód osobowy lub furgonetka, Jasmine widziała nawet jakiś radiowóz policyjny i płonący ambulans pogotowia ratunkowego.

— Dokąd jedziemy? — zapytała ciotka. — Ten mały koleś tutaj chyba jest już trochę głodny.

— Nie wiem. Ale powinniśmy wydostać się z LA. Jedziemy na północ.

Jechały w milczeniu przez kilka minut. Jasmine odwróciła się w końcu do ciotki.

— To był prawdziwy Indianin, prawda? Taki jak w filmach o Indianach i kowbojach, tak?

— Nie wiem, czy był prawdziwy.

— Co to znaczy, że nie wiesz? To znaczy, że był tylko takim sobie przebierańcem?

Ciotka Ammy spojrzała na Jasmine z dziwnym wyrazem twarzy.

— Nie, nie to miałam na myśli. On nie miał *ache*. Nie miał w sobie życia.

— Nadal nie rozumiem, o co chodzi.

Ciotka Ammy przytuliła dziecko do siebie, jakby nie chciała, by słyszało, co chce powiedzieć.

— To znaczy, dziewczyno, że on już dawno nie żył. Był kimś, kogo można by w pewnym sensie nazwać duchem. Ale miał na sobie przebranie. Tej twarzy nie miał za życia. Ona należy do kogoś innego. To tak, jakbyś pewnego ranka spojrziała w lustro i zobaczyła w nim nie siebie, ale mnie. — Ammy głęboko westchnęła. — Poznałam to po jego oczach, Jazz. Oczy, które spoglądały z tej twarzy, nie należały do niej. I w tych oczach było tyle nienawiści. To był najbardziej przerażający człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Naprawdę.

Rozdział 19

Waszyngton, DC

Prezydent spał i śnił mu się dom jego rodziców w Cincinnati. Przez sen widział spoglądające łakomie pomarańczowe cykady wyłazące z ziemi w ogródku rodziców, zbierające się na drzewach i bez przerwy cykające. Bał się ich jako dziecko. Kojarzyły mu się z inwazją obcych; tysiące owadów wygrzebywało się z ziemi i nic nie można było zrobić, żeby je powstrzymać.

Matka wozila go do szkoły, a na przedniej szybie samochodu zbierało się tyle martwych cykad, że wycieraczki blokowały się, bo nie mogły ich zgarnąć, i ledwie było widać drogę, gdyż szybę zalepiały rozmazane skrzydełka i rozgniecione owady.

Nagle poczuł cykadę na policzku. Ruszył ręką, jakby chciał zrzucić owada z twarzy, ale to nie była cykada; dotykały go palce człowieka, zimne i suche.

— Podjąłeś decyzję? — szepnął mu mężczyzna prosto w ucho.

Prezydent otworzył oczy. Misquamacus stał nad nim pochylony w negatywowym, czarno-białym odbiciu jak

poprzedniego dnia. Prezydent nie poruszył się od razu ani nic nie odpowiedział, mimo że czuł, jak owady spadają na jego poduszkę.

— Wiesz, że mógłbyś uratować niezliczone rzesze ludzi, gdybyś tylko chciał. Kto wie, gdybyście nauczyli się żyć po naszemu i przyjęli nasze wierzenia, moglibyśmy żyć razem w harmonii, jak dzieci tych samych bogów.

Na policzek prezydenta spadł karaluch i szybko wszedł za kołnierz jego pidżamy. Prezydent raptownie usiadł na łóżku i klepnął się w policzek.

— Czy mi się to wszystko śni? — spytał. — Przecież to nie dzieje się naprawdę, to niemożliwe.

— A co to znaczy „naprawdę”? — zapytał Misąamacus. — Wszystko, co widzisz i czujesz, dzieje się naprawdę. Ty jesteś prawdziwy. Ja jestem prawdziwy. Wielcy Starzy, którzy czekają na wygnaniu poza granicami nieboskłonu, też są prawdziwi i nadszedł czas ich powrotu, bez względu na to, jaka będzie twoja decyzja.

— Żądasz niemożliwego. Ludzie nie zaakceptują takiego sposobu życia.

— Jeśli nie będą chcieli tak żyć, to ich do tego zmuszę, a ci, którzy odmówią, umrą.

— Nie możesz żądać, żeby cały naród nagle porzucił swój styl życia.

— A dlaczego nie? Wasi przodkowie zrobili to z nami. I na dodatek wymordowali wszystkich, którzy im się sprzyjeli. Po prostu robię to samo.

Prezydent nacisnął przycisk alarmu i krzyknął:

— Johnson, Kaminsky! Do mnie!

— To na wiele się nie zda — rzekł Misąamacus. Mimo

że był tylko negatywowym odbiciem, prezydent dostrzegł uśmiezek na jego twarzy. Otwarły się drzwi i Johnson i Kaminsky wbiegli do pokoju.

— Coś się stało, panie prezydencie?

— On tu jest. Stoi przede mną. Nie widzicie go?

Długie milczenie.

— O kim pan mówi?

— O tym pieprzonym Indianinie! Jest tu! — Prezydent dźgnął palcem Misquamacusa stojącego w ciemności jego ślepoty. — On i jego pieprzone robaki! Nawet czuję jego zapach, do cholery!

Kolejna pauza pełna konsternacji i kasznięcie.

— Przykro mi, panie prezydencie. Nikogo tu nie widzę. Może powinienem zawołać lekarza?

Prezydent zerwał się z łóżka i postawił nogi na podłodze.

— Panie prezydencie, na miłość boską! Ostrożnie!

Ale prezydent rzucił się na Misquamacusa i złapał go za poję płaszcz. Misquamacus nawet nie próbował się uwolnić, spoglądał tylko na prezydenta z żalnością.

— Jest tutaj, do cholery! On jest prawdziwy! Czuję go! Trzymam go za płaszcz!

Kaminsky podszedł do prezydenta i delikatnie, ale stanowczo położył mu rękę na ramieniu.

— Nikogo tutaj nie ma. Proszę położyć się do łóżka, a ja wezwę doktora Henry'ego.

— To prawdopodobnie szok — rzekł Johnson. — Po tym, co stało się wczoraj, rozmawialiśmy z doktorem Croninem. Przepraszam, jeśli wygląda to na przekroczenie uprawnień, ale doktor Cronin powiedział, że ludzie, którzy nagle tracą wzrok, mogą cierpieć na różne przywidzenia.

Dzieje się tak, bo pozostałe zmysły wchodzą na wyższe obroty.

— Podejź tutaj — powiedział prezydent drżącym głosem. — Daj mi rękę!

Kaminsky wyciągnął dłoń, a prezydent złapał go za nadgarstek. Podniósł jego rękę do twarzy Misquamacusa, tak że wyglądało, jakby jego palce dotykały policzka i nosa czarownika.

— I co? Nic teraz nie czujesz?

— Przykro mi, panie prezydencie. To pewnie jakaś auto sugestia. Pana mózg kompensuje sobie utratę wzroku.

— Nie czujesz go? Dlaczego go nie czujesz? Przecież go dotykasz!

Kaminsky zaprowadził prezydenta do łóżka. Prezydent usiadł i popatrzył na Misquamacusa, kiwając głową, zdziwiony i rozgoryczony. Przecież Misquamacus stał tuż przed nim i on go widział! Słyszał jego głos, nawet czuł jego zapach. Dlaczego nikt inny go nie dostrzegał ani nie słyszał?

Może doktor Cronin miał rację. Może Misquamacus był jedynie iluzją spowodowaną stresem związanym z utratą wzroku? Może jego mózg wymyślił sobie tego ducha Indianina z braku bodźców wzrokowych? Przecież ludzie, którym amputowano kończyny, też mieli wrażenie, że czują ból albo swędzenie w brakujących dłoniach lub stopach. Może ten Misquamacus też był takim właśnie duchem--wrażeniem?

I wtedy Misquamacus szepnął, zupełnie jakby umiał czytać w jego myślach:

— Ja istnieję tylko w twojej ciemności, przyjacielu.

Widzisz mnie, bo ja chcę, żebyś mnie widział. Ale nie widzisz nic więcej i nikt nie widzi tego co ty.

— Odejdź ode mnie! — powiedział prezydent, odwracając głowę.

— Nie chce pan, żebyśmy poprosili doktora Henry'ego? — zapytał Kaminsky.

— Nie, nie chcę, Kaminsky. Ja nie mówiłem do ciebie.

— Może powinniśmy wezwać też doktora Cronina — odezwał się Johnson. — Z całym szacunkiem, panie prezydencie, nie chcemy, żeby przeżył pan jakieś załamanie nerwowe.

— Nie mam żadnego załamania. Czuję się doskonale. Zostawcie mnie teraz samego, dobrze? Dziękuję wam.

Nastała długa chwila milczenia, jakby Johnson i Kaminsky konferowali z sobą za pomocą dziwacznych min i gestów.

— Głusi jesteście? — rzucił prezydent. — Może i miałem jakieś przywidzenie, ale już jest w porządku. Więc zostawcie mnie samego. I nie chcę tu żadnych lekarzy. *Comprendo?*

— Tak jest — odpowiedział Kaminsky. — Ale proszę zawołać, gdyby pan czegokolwiek potrzebował, panie prezydencie.

Agenci wyszli z pokoju. Prezydent siedział na krawędzi łóżka w pidżamie w biało-niebieskie paski. Spojrzał na Misquamacusa i powiedział:

— Nie jesteś urojeniem, prawda? Jesteś realny. Przynajmniej ty bądź rzeczywisty, bo w przeciwnym razie oznacza to, że straciłem zmysły.

Widział Misquamacusa jeszcze wyraźniej niż wcześniej, mimo że nadal w negatywowym odbiciu. Rozróżniał rysy twarzy, chociaż skóra Indianina była czarna, a oczodoły

białe, z białymi kurzymi łapkami dookoła. Dostrzegł naszyj-
niki na jego szyi i bransoletki na nadgarstkach. Widział
czarno-białe pióra zwisające z rogów bizona i uwieszone
na nich czarne czaszki małych zwierząt.

— Dzień ostatecznego rozliczenia wkrótce nadejdzie.
Wiele tysięcy ludzi już zostało oślepionych i będą bezbronni,
gdy zaczniemy rzeź, tak jak bezbronny był mój lud, gdy
wy przybyliście ze wschodu i zaczęliście swoją rzeź.

— Proszę — odparł prezydent. — Proszę cię, żebyś tego
nie robił. Mogę złożyć twojemu ludowi ofertę.

— Ofertę? Jaką niby ofertę?

— Posłuchaj mnie uważnie. Wiele o tym wszystkim
myślałem. Na początek mógłbym powołać komisję federalną,
by przywróciła twojemu ludowi ziemię, które utracił. Potem
mógłbym załatwić miliony z budżetu federalnego i budżetów
stanowych na edukację, szpitale i tereny rekreacyjne dla
Indian.

Misquamacus syknął rozbawiony.

— Myślisz, że możesz mnie przekupić naszymi lasami?
Myślisz, że możesz uczyć nas naszych legend, naszej religii
i jeszcze mamy ci być za to wdzięczni? Myślisz, że będziecie
nas leczyć waszymi lekami i waszą chemią zamiast naszą
świętą magią leczniczą, której nauczyliśmy się od bogów?

Misquamacus pomachał dzidą na boki, żeby pokazać
swoją pogardę.

— To nasza ziemia, a twój lud ukradł ją mojemu ludowi,
posługując się kłamstwem i okrucieństwem, a na dodatek
łamiąc wszelkie obietnice. My odbierzemy ją wam, walcząc
w tych samych bitwach, w których nas pokonaliście. Ale
tym razem to wy zostaniecie pokonani. Tym razem to wasza

krw będzie wsiąkała w ziemię pod Sand Creek i Wounded Knee'a także w Infernal Caverns. Rozpocznemy od Memory Valley, gdzie dokonaliście masakry na plemieniu Hupa, a potem ruszymy na wschód, cofając się w czasie, bitwa po bitwie, odbierzemy każdą równinę, każdy las i każde jezioro, które nam ukradliście.

— Chyba zwariuję — powiedział prezydent, pochylając głowę. — To nie może dziać się naprawdę.

Misquamacus zbliżył się do prezydenta i położył mu rękę na ramieniu. Jego palce były tak zimne, że prezydent wzdrygnął się odruchowo.

— Powiedz swojemu ludowi, że czas jego dominacji dobiegł końca — wyszeptał Misquamacus. — Powiedz im, że oszczędzę tyłu, ilu zdołam.

— Nie zrobię tego. Ten kraj powstał dzięki pragnieniu wolności, zarówno religijnej, jak i politycznej. Może wolność rasowa pojawiła się później niż powinna, ale teraz też ją mamy.

— Ty mi mówisz o wolności? — odparł Misquamacus wzburzony. — Jaką wolność daliście Apaczom, których wycięliście w pień w Salt River Canyon i pod Turret Butte? Jaką wolność zaoferowaliście wodzowi Josephowi, gdy ścigaliście całe plemię Nez Perce przez prawie dwa tysiące mil? Gdzie była wasza wolność, gdy lud wodza Tępego Noża uciekł z Fort Robinson, a wasi żołnierze rzucili się w pościg i zabili wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci? Pluję na tę waszą wolność i będę też pluł na twoją mogiłę.

— Jeśli naprawdę myślisz, że możesz nas pokonać, to masz do tego prawo. Ale to nie znaczy, że ja powiem całemu narodowi, iż ma ci się poddać. Amerykanie, a to właśnie my, nigdy się nie poddają.

Misquamacus podniósł swoją dzidę czarownika i dotknął nią czoła prezydenta.

— Zapewniam cię, że poleje się krew. I zapadnie ciemność. A to wszystko stanie się z twojej winy.

Prezydent milczał. Głęboko w sercu czuł, że to niemożliwe, by to, co właśnie przeżywał, działo się naprawdę, mimo katastrof lotniczych i drogowych i setek ludzi potopionych, wypadających z budynków albo wchodzących pod samochody.

— Wyświadczę ci przysługę. Przywrócę ci wzrok, żebyś mógł być świadkiem zniszczenia twojego narodu i rozpadu społeczeństwa, tak jak tego świadkiem byłem ja i wódz Joseph, i Tecumseh, i jego brat Tenskwatawa, i Szalony Koń, i wszyscy moi bracia i siostry, i wszystkie nasze dzieci. Zamknij oczy, mój przyjacielu. — Mówiąc to, Misquamacus wyciągnął przed siebie prawą dłoń.

Prezydent zawahał się, ale zrobił to, co kazał czarownik. Misquamacus dotknął końcem zimnego palca po kolei jego powiek i powiedział:

— *Wabi, wabi.*

Prezydent otworzył oczy. Stopniowo obraz Misquamacusa zaczął się ściemniać, aż zniknął w otaczającej ciemności. Przez dłuższą chwilę prezydent myślał, że Misquamacus zwiódł go i że nie odzyska wzroku, ale nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna widzieć błądy prostokąt okna, czerwony fotel i sekretarzyk z szufladami ze stojącą na nim wazą pełną pomarańczowych róż.

Rozejrzał się dookoła. Widział skraj łóżka, drzwi do garderoby i wielką reprodukcję obrazu przedstawiającego brzeg morski i jachty.

Serce waliło mu z radości. Mrugał i mrugał, i z każdym mrugnięciem obraz stawał się coraz ostrzejszy. Już miał zawołać Johnsona i Kaminsky'ego, gdy zdał sobie sprawę, że ktoś stoi tuż za nim. Odwrócił się i wykrzyknął ze zdziwienia.

W pokoju stał Indianin w starym surducie i skórzanych nogawicach. Miał długie siwe włosy opadające do ramion, przewiązane wypłowiałą czerwoną chustą z przyczepionymi do niej pazurami zwierząt. Skóra na jego twarzy była okropnie pomarszczona, a obwisła dolna warga wyraźnie wskazywała, że brakowało mu już zębów.

Na szyi miał przynajmniej siedem naszyjników wykonanych z kawałków kości, paciorków i pomalowanych koralików z gliny.

— A co ty tu robisz, do cholery?! — zawołał prezydent. — Nie jesteś Marcusem.

Stary Indianin prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową.

— Mówisz o Misquamacusie. O Tym, Który Odszedł I Powrócił.

— Tak. A ty kim, do licha, jesteś?

— Szary Wilk, ale też i Misquamacus. Spójrz mi w oczy. Pamięć Misquamacusa żyje we mnie.

Prezydent skoczył na równe nogi.

— Kimkolwiek jesteś, starcze, nie masz prawa tu przebywać! Kaminsky! Johnson! Do mnie!

Johnson i Kaminsky wbiegli do pokoju. Johnson jadał akurat kanapkę z mortadellą, ale dosłownie szczeka mu opadła, gdy zobaczył Szarego Wilka stojącego obok prezydenta. Kaminsky natychmiast wyciągnął z kabury broń.

— Może powiecie mi, jak to indywiduum dostało się do mojego pokoju? — zapytał prezydent.

— Pan go widzi?

— Świetnie go widzę, do jasnej cholery! Właśnie od zyskałem wzrok.

— Tak po prostu?

— Właśnie tak. I wtedy go zobaczyłem — Prezydent wskazał niechętnym skinieniem na Szarego Wilka. — Za bierzcie go stąd! I zamknijcie. Niech Gene Schneider go przesłucha. I FBI. Ciekawe, jak udało się mu przejść obok takich cwaniaków jak wy. I ma powiedzieć, co wie na temat tej ślepoty.

— Powinniśmy wezwać pańskich lekarzy, panie prezydencie, żeby pana przebadali — zaproponował Kaminsky.

— Zostawmy to na później. Najpierw zajmijcie się tym facetem. Zadzwońcie do Douga Latterby'ego. I Johna Rostoffa. I generała McNamary. Niech pojawią się tu w ciągu dwudziestu minut. Zadzwońcie też do pani Perry.

— Możemy mieć z tym problemy, panie prezydencie.

Prezydent otworzył szafę i wyciągnął z niej biały T-shirt i bokserki.

— Niby dlaczego? A gdzie ona jest?

— Nie chodzi o pierwszą damę. O ich wszystkich. Cała sieć komunikacyjna nie istnieje. Telefony kablowe, komórkowe, Internet. Nawet telewizja i radio padły.

Cichym, lecz wyraźnym głosem odezwał się Szary Wilk:

— By pokonać wrogów, najpierw trzeba zabrać im oczy, a potem uszy.

— Zabrać go stąd! — warknął prezydent.

Kaminsky podszedł do Szarego Wilka i próbował pochwycić go za ramię, ale Szary Wilk tylko skinął lekko głową w bok i Kaminsky zawył z bólu.

.— Jezu! Mój nadgarstek!

Johnson odrzucił resztkę kanapki i wyciągnął pistolet. Trzymał go oburącz i celował prosto w głowę Indianina.

— Hej, koleś! Niech ci nawet nie drgnie jeden mięsień!

— Boli mnie jak jasna cholera! Jakby mi zwichnął nadgarstek.

— Dobra, mądralo! — rzucił Johnson, zbliżając się do Szarego Wilka. — Ręce na kark i marsz do drzwi! I nie próbuj żadnych sztuczek!

Szary Wilk odwrócił się do prezydenta.

— Jeszcze się spotkamy, mój przyjacielu, gdy to wszystko się skończy i gdy opadną dymy i popioły.

— Wynoś się stąd, człowieku — odburknął prezydent.

— Powiedziałem: ręce na kark! — warknął Johnson.

Szary Wilk powoli podniósł ręce i wsunął palce w swoje długie włosy z tyłu głowy.

— Ruszaj! — rozkazał mu Kaminsky.

Szary Wilk zaczął iść w stronę otwartych drzwi, a obydwaj agenci za nim. Tuż przed drzwiami agenci odwrócili się ku sobie i zderzyli z krzykiem. Już po chwili obydwaj wyli z bólu. Oni nie tylko się zderzyli, ale też jakby przykleili się do siebie, pierś do piersi, i patrzyli na siebie w przerażeniu. Ich białe koszule zalały się krwią, a materiał rozdarł na boki.

— Aaa!!! Jezu Chryste!!! — darł się z bólu Kaminsky. — Jezuuu!!! Jak to boli!!!

Początkowo prezydent nie miał w ogóle pojęcia, co się dzieje. Po chwili jednak zobaczył, jak rozdziera się skóra na piersiach agentów i ukazują się mięśnie klatki piersiowej, czerwone jak świeżo wykrojone z półtuszy. Pękły mostki

spinające klatki piersiowe, zaczęły rozwierać się zebra, coraz szerzej i szerzej, jak ramiona na powitanie. Prezydent widział ich płuca i szaleńczo bijące serca.

— O Boże!!! — wrzeszczał Johnson, a jego głos był tak mocny, że niemalże pękało szkło.

Szary Wilk się odwrócił. Jego wyschnięta twarz nie miała żadnego wyrazu, ale coś tam sobie mruczał pod nosem, od czasu do czasu zamykał oczy i kiwał głową, jakby dla wywołania większego efektu.

— Co robisz, ty gnojku?! — krzyknął prezydent. — Natychmiast przestań! Przecież ich zabijasz!

Szary Wilk nie zwrócił na niego uwagi. Trzymał ręce przed oczami, splatając palce, jakby bawił się w kocią kołyskę.

Żebra Johnsona i Kaminsky'ego zakleszczyły się nawzajem, zupełnie jak palce Szarego Wilka, i przyciskały ich jeszcze mocniej, aż wrzeszczeli z bólu i przerażenia twarzą w twarz. Czarownik zmienił ich w zrosniętych piersiami braci syjamskich.

— Rozdziel ich!!! — krzyknął prezydent.

Na odgłosy krzyków już wcześniej zbiegły się do dyżurki przed pokojem prezydenta pielęgniarki i salowe. Były zaszokowane tym, co zobaczyły, nie miały pojęcia, co się dzieje ani jak mogłyby pomóc.

— Słyszałeś, gnoju?! Rozdziel ich!!!

Szary Wilk rozsunął palce, ale Johnson i Kaminsky pozostali złączeni, krzycząc z bólu, aż zachrypli. Zataczali się jak objęci w uścisku pijacy, machając rękami i starając się utrzymać równowagę.

Szary Wilk wypowiedział jakieś słowa, których prezydent nie dosłyszał, po czym odchylił głowę do tyłu i upiornie zawył.

Johnson podniósł pistolet, chcąc wycelować w swoją skroń, ale przeszkadzał mu bark Kaminsky'ego i nie mógł przekreślić ręki. Sapiąc z bólu, poprosił swojego partnera:

— Zastrzel mnie! Zastrzel mnie! A ja zastrzelę ciebie!

— Nie! — Prezydent próbował ich powstrzymać; ruszył w ich kierunku, ale Szary Wilk tylko podniósł dłoń i prezydent poczuł, jak coś odpycha go do tyłu.

Johnson przyłożył lufę swojego pistoletu do ucha Kaminsky'ego, a Kaminsky podniósł broń do lewej skroni Johnsona.

— Nie róbcie tego! — błagał prezydent. — Joe! Dennis! Znajdziemy sposób, by was uratować!

Nie słuchając go, Johnson histerycznie krzyknął:

— Raz, dwa, TRZY! — I obydwaj jednocześnie nacisnęli spusty. Podwójny odgłos wystrzału był ogłuszający, krew trysnęła z ich głów, plamiąc nawet sufit.

Prezydent zamknął oczy i zrobił kilka ciężkich kroków do tyłu. Usiadł na łóżku. Johnson i Kaminsky osunęli się złączeni na podłogę. Na zewnątrz pokoju agent ochrony szpitala krzyczał do Szarego Wilka:

— Stój! Ani kroku dalej! Ręce do góry!

Jedna z pielęgniarek płakała w szoku, jakiś lekarz wołał sanitariusza, tak jakby jeszcze ktoś mógł w czymś pomóc Kaminsky'emu i Johnsonowi.

— Stój! Nie ruszaj się! — wrzasnął ochroniarz.

Prezydent otworzył oczy i zobaczył, że Szary Wilk idzie dalej przez recepcję do drzwi po drugiej stronie. Agent ochrony szpitala zasłonił sobą drzwi, ale i to nie powstrzymało szamana. Przeszedł prosto przez strażnika, rozmywając się w nicości. Ochroniarz odwrócił się, jakby spodziewał się, że Szary

Wilk pojawi się z powrotem za nim, ale szaman zupełnie zniknął.

— Widzieliście to?! — pytał osłupiały ochroniarz.

— Posłuchajcie! — odezwał się do wszystkich prezydent, wstając z łóżka. — Zachowajcie spokój i trzeźwe myślenie!

— Ten facet po prostu zniknął! — krzyczał ochroniarz. — Przeszedł przeze mnie i zniknął!

— Tylko bez paniki! — uspokajał prezydent. — Tu naprawdę rozegrały się niezwykle dziwne wydarzenia. Wykorzystano jakieś nadprzyrodzone moce. To, co stało się tutaj, w szpitalu, i to, co przydarza się ludziom w całej Ameryce, ma wspólne źródło.

Zbliżył się młody lekarz i pochylił się nad Johnsonem i Kaminskym. Przyjrzał się pobieżnie agentom Secret Service i zwrócił się do prezydenta:

— Co mogłoby zrobić coś tak okropnego? I ja to widziałem na własne oczy. I widziałem, jak on potem zniknął. Ale nie mogę w to uwierzyć. Przecież to niemożliwe.

— Będziemy musieli w to uwierzyć, jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szansę na przetrwanie. Odkąd tu jestem, ukazywały mi się duchy. I był jeden szczególnie, który opowiedział mi, co się nam wszystkim przydarzyło i dlaczego.

— Duchy... — powtórzył lekarz, wstając.

— A kim... czym niby był ten facet, który zniknął?

— Nie wiem. Może hologramem?

— Czy ktoś może przykryć tych dwóch nieszczęśników i przynieść nosze, żeby ich stąd zabrać? — poprosił prezydent.

— Czy nie powinniśmy ich tutaj zostawić, żeby sprawę zbadała policja, panie prezydencie?

— To nie jest sprawa policji. W wizji, którą miałem, ten duch, indiański szaman z plemienia Wampanoagów, powiedział, że mamy wybór. Albo zniszczymy nasze budowle, rozkopiemy drogi i powrócimy do sposobu życia Indian, albo zostaniemy wymordowani.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie, przecież to szaleństwo.

— Tak mu właśnie odpowiedziałem. Ale wygląda na to, że nasza przeszłość naprawdę nam bardzo zaciążyła. On chce wyrównać rachunki za to, co my zrobiliśmy z Indianami.

Lekarz ostrożnie przeszedł koło dwóch nieżyjących agentów, zbliżył się do prezydenta i spojrzał mu prosto w oczy.

— Panie prezydencie... to oślepienie ludzi nie jest powodowane przez duchy. Nie udało nam się jeszcze zidentyfikować przyczyny utraty wzroku przez tak wielu ludzi, ale podejrzewamy, że odpowiedzialny jest za to jakiś wirus, podobny do wirusa grypy hiszpanki z początku dwudziestego wieku.

— Więc co chce mi pan powiedzieć? Że miałem halucynacje?

— Nie, panie prezydencie. Wcale nie to. Ale stres związany z utratą wzroku może powodować różne dziwne zmiany w mózgu.

Prezydent machnął ręką.

— Ten szaman powiedział, że zwróci mi wzrok, żebym mógł być naocznym świadkiem tego, jak rozsypuje się nasze społeczeństwo. I tak uczynił, nie będę o tym w ogóle dyskutował.

— Oczywiście, że odzyskał pan wzrok. I bardzo się z tego

cieszę, bo to dowód na to, że ta ślepotą jest odwracalna, a może w ogóle tylko chwilowa.

— I nie ma nic wspólnego z indiańskimi duchami? I chce mi pan to wmówić mimo tego, co się stało z tymi dwoma agentami, i mimo tego, że ten facet po prostu rozmył się w powietrzu na pana oczach?

— Nie chciałbym się panu przeciwstawiać, panie prezydencie. Nie udaję, że rozumiem, co się tutaj stało, ale musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, choćby zbio rowe urojenie.

— Okay — odparł prezydent, kładąc lekarzowi rękę na ramieniu. — Może to było urojenie. Ale dopóki nie przekona mnie pan, że to urojenie, będę sądził, że naprawdę się wydarzyło. Proszę iść na dół i powiedzieć agentom Secret Service, co tu się stało. Niech jak najszybciej sprowadzą tu wiceprezydenta, sekretarza Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i generała McNamarę z Pentagonu. I panią Perry.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Aha, jeszcze jedno. Proszę im powiedzieć, żeby od szukali panią podsekretarz do spraw Indian i ją też tu przywieźli.

Lekarz nic nie odpowiedział, ale prezydent domyślił się z jego twarzy, co chciałby dodać: „A dlaczego nie ściągnie pan jeszcze jakiegoś czarownika? Tak na wszelki wypadek”.

Rozdział 20

Eugene, Oregon

Minęły niecałe dwie godziny od opuszczenia Portlandu. Jechaliśmy na południe przez dolinę Willamette w kierunku Eugene. Świeciło jasne popołudniowe słońce. Niebo było tak błękitne, że wydawało się niemalże fioletowe. Po prawej stronie mijaliśmy postrzępione, pokryte śniegiem szczyty Gór Kaskadowych.

Na drodze numer 5 z Portlandu doliczyłem się najwyżej dwudziestu samochodów — głównie SUV-ów i crossoverów z podejrzliwie przyglądającymi się nam rodzinami i stertami walizek na bagażnikach dachowych. Jedne jechały na północ, inne na południe, a ja nie miałem pojęcia, dokąd ci ludzie się udają albo dlaczego myśleli, że będą bezpieczniejsi w miejscu, do którego zmierzają. I chociaż dolina Willamette jest wręcz idyllicznym miejscem z pięknymi sadami wiśniowymi, winnicami i leniwie meandrującymi strumieniami, to teraz w powietrzu panowała wyczuwalna atmosfera oczekiwania, jakby ktoś komuś wypowiedział wojnę, jakby wszyscy czekali na spuszczenie bomby atomowej niczym w scenie z filmu *Dr Strangelove*.

Zjechaliśmy z drogi numer 5 na drogę numer 126 i skierowaliśmy się do osiedli mieszkalnych Eugene.

— Eugene, miasto słynące z ludzi przytulających się do drzew — przypominałem.

— Nie ma nic złego w przytulaniu drzew — odparła Amelia. — Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile energii psychicznej kryje się w drzewach.

— Drzewa mają energię psychiczną? Chyba ze mnie żartujesz?

— Wcale nie. Czasem przytulam się do bardzo starego drzewa i słyszę głosy ludzi, którzy siedzieli pod tym drzewem ponad sto lat temu. Odległe głosy, jak z bardzo starej płyty, która zamiast rowków ma słoje.

— Stąd przysłowie: „Lepszy słoik z dżemem w garści niż pieczeń na gałęzi”?

Amelia klapnęła mnie w plecy.

— Wiesz co? Twoje dowcipy są coraz gorsze.

Po tym jak bezceremonialnie zostaliśmy wyrzuceni z The Inn at Northrup Station, wynajęliśmy niebieskiego fordka escape u Hertza i ruszyliśmy w stronę cywilizacji — albo w stronę tego, co, naszym zdaniem, może jeszcze być cywilizacją. Nie wiedzieliśmy wtedy, że energia elektryczna nie dopływała już do miast w całym pasie od San Diego do San Francisco, a światła gasły w kolejnych hrabstwach stąd aż po St Louis na wschodzie. Wiedzieliśmy za to, że żadna z naszych komórek nie łapała sygnału, a na radioodbiorniku escape'a też nie dawało się złapać żadnej stacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wszelka telekomunikacja przestawała działać w całym kraju — linie telefoniczne, faksowe, poczta elektroniczna. W zasadzie

można się było porozumiewać już jedynie za pomocą gołębi pocztowych albo błyskania lusterkiem. Zostały jeszcze sygnały dymne, ale trzeba być Indianinem, żeby umieć je wysyłać i rozpoznawać. Śpiewająca Skała próbował mnie nauczyć kilku znaków, ale zapamiętałem tylko dwa: jeśli dym snuł się z połowy wzgórza, oznaczało to, że wszystko jest w porządku, a jeśli snuł się ze szczytu wzgórza, zbliżał się generał Custer.

— Drzewa — powtórzyłem, gdy jechaliśmy powoli przez centrum Eugene. Wyglądało, że większość sklepów i kafejek była zamknięta, a chodniki prawie opustoszały. Jednak niemal na każdym skrzyżowaniu stał radiowóz policyjny, a na rynku głównym przy Piątej Ulicy o barierki opierali się policjanci z długą bronią. Ich przeciwsloneczne lustrzanki błyszcząły w popołudniowym słońcu.

— I co z tymi drzewami? — zapytała Amelia.

— Nie pamiętasz, jak Misquamacus po raz pierwszy odrodził się w Karen? Poszliśmy na wizytę do doktora Snowa i on wtedy opowiedział nam wszystko o indiańskich szamanach i o sposobach, w jakich potrafili się odradzać w innych postaciach. Opowiadał, że po śmierci szamani Kiołów powracali jako drzewa i mogli się nawet przemieszczać z miejsca na miejsce i mówić.

— Jasne, że pamiętam. Ale co to ma wspólnego z Zabójcami Oczu?

— Nic. W tej kwestii na pewno nam nie pomoże. Ale w ogóle doktor mógłby pomóc. On jest czołowym ekspertem w dziedzinie indiańskich wierzeń i zabobonów. Jeśli ktokolwiek coś wie o Zabójcach Oczu, to właśnie on.

— Zatrzymaj się — powiedziała Amelia. — Po drugiej

stronie ulicy jest otwarta restauracja, a ja jestem głodna i muszę skorzystać z toalety.

Zawróciłem i zaparkowałem przed budynkiem z czerwonej cegły z szyldem Steelhead Brewery and Cafe. W środku śmierdziało płynem do mycia szyb i zepsutym piwem, a jedyną osobą był barman, który czyścił lustra za barem.

— Otwarte? — zapytałem.

Nawet się nie odwrócił, bo nie musiał — widział nas w lustrze.

— Żartuje pan? — odpowiedział.

Rozejrzałem się dookoła. W rogu stała londyńska budka telefoniczna.

— Działa?

Barman rozpylił płyn na lustrze i dalej je czyścił.

— Żartuje pan?

Podszedłem do baru i przez chwilę przyglądałem się, jak poleruje lustra.

— Okay. Żartuję. A pan nie zamierza wkrótce otworzyć tego miejsca?

— Nie. Dopóki nie włączą prądu.

— Nic nie działa? Nawet telefony?

— Nic.

— A jest jakieś miejsce w mieście, gdzie coś działa?

— Nie. Przynajmniej ja o tym nie wiem. I nie znam żadnego miejsca, gdzie coś działa, stąd aż do Myrtle Creek.

Amelia wyszła z łazienki.

— Nie ma światła w łazience.

— Bo nie ma prądu — wyjaśniłem jej. — Stąd aż do Myrtle Creek. Telefony też nie działają.

Wyszliśmy z baru i wsiedliśmy do samochodu.

— I co teraz robimy? — zapytała Amelia. — Umieram z głodu.

— Załadujmy zapas czekolady i batoników i ruszajmy do doktora Snowa.

— Harry, bądź poważny. Snów mieszka w Albany. To zabrałoby nam kilka dni.

— A widzisz. I tu się mylisz. Gdy doktor Snów skończył osiemdziesiąt lat, przeniósł się do Kalifornii i zamieszkał u swojej córki w Memory Valley.

— Nie wiedziałam.

— Ja też nie, aż do naszych problemów z Misquamacusem ostatnim razem. Zadzwoiłem do Snowa parę tygodni po wszystkim, bo chciałem mu powiedzieć, co tak naprawdę spowodowało zakażenie.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie. Kobieta, która kupiła od niego dom, dała mi jego aktualny numer telefonu, ale nie zadzwoniłem do niego. Prawdę mówiąc, nie byłem wcale pewien, że mi uwierzy.

— Dlaczego nie? Przecież to była prawda.

— Wiem. Ale doktor Snów zawsze upierał się, że in diańskie duchy posiadały o wiele więcej mocy od duchów europejskich. Nie uwierzyłyby, że Misquamacus wskrzesił *strigoi* do pomocy.

— Ale te *strigoi* były przerażające.

— Jasne, że tak, ale pochodziły z Rumunii, a doktor Snów uważa, że w porównaniu z duchami indiańskimi demony ze Starego Świata nie są bardziej przerażające niż stadko wściekłych psów.

— Wściekłe psy też potrafią przestraszyć. Przynajmniej ja się ich boję.

— No tak, ale wściekły pies nie oślepi cię, patrząc na ciebie, prawda? No i można takiego pieska zastrzelić. A z tymi Zabójcami Oczu... Bóg jeden wie, gdzie będziemy musieli szukać sposobu na ich powstrzymanie.

— Przecież nie musimy ich sami powstrzymywać. Wy starczy tylko dowiedzieć się, kim są i w jaki sposób wysłać ich z powrotem tam, skąd przyszli, a następnie przekonać kogoś z władz, że nie jesteśmy wariatami.

— To już będzie proste.

— Harry, przecież sami nie uratujemy całego kraju.

Wróciliśmy na drogę krajową numer 5. Skręciłem na stację benzynową Shella i zatrzymałem samochód.

— Posłuchaj, Amelio. Nie jestem najbardziej bezinteresownym facetem, jakiego znasz. Może nieuczciwie wyciągałem kasę od naiwnych starszych pań, wmawiając im, że czeka ich jeszcze miłość życia z młodszym kochaniem. I wierz mi, nie będę próbował uratować całego kraju sam. Ale bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie, tak się złożyło, że w tym kraju mieszkasz ty, Lucy, Karen i wiele innych osób, na których mi zależy, i jeżeli jedynym sposobem, by ochronić was przed tymi Zabójcami Oczu, jest wystąpienie przeciw nim osobiście, zrobię to, jeśli będę musiał.

Amelia siedziała bez ruchu i spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę. Potem pochyliła się i pocałowała mnie.

— Kocham cię, Harry Erskynie. Ale spójrz tutaj. — Wskazała ręką na dystrybutor paliwa. „Przepraszamy, papy nie działają”.

— Wiesz, nie zatrzymałem się po paliwo. Chcę kupić jakieś słodczyce i coś do picia.

— W takim razie poproszę o kilka batoników i butelkę mountain dew.

— Twoja prośba jest dla mnie rozkazem — odparłem i pocałowałem ją.

Memory Valley leżała o wiele bliżej od Eugene niż Albany, ale to nadal było ponad pięćset mil na południe przez Yreka i Weed, i Park Krajobrazowy Whiskeytown-Shasta-Trinity aż do doliny Sacramento.

Spodziewałem się wspaniałych widoków. Niestety, jechaliśmy w nocy, zmieniając się za kierownicą i drzemiąc z tyłu, a widzieliśmy jedynie przydrożne krzewy wyglądające sztucznie w świetle reflektorów samochodu. Trafiały się też błyszczące oczy jeleni. Oprócz krótkich postojów na zmianę za kierownicą zatrzymaliśmy się raz na stacji benzynowej w Williams mniej więcej o pierwszej trzydzieści w nocy. Uciąłem spory kawał węża z kompresora powietrza do kół i spuściłem paliwo z jeepa, który stał na podjeździe pod stacją. Amelia stała na czatach na wypadek, gdyby wkurzony właściciel wyskoczył ze strzelbą, ale stacja była zamknięta na cztery spusty i jedynie z daleka dochodziło szczekanie psa.

Dotarcie na miejsce zabrało nam ponad dziewięć godzin. Wtoczyliśmy się do Memory Valley kwadrans po trzeciej nad ranem i byliśmy wykończeni.

— Może uda nam się znaleźć jakiś motel — zaproponowała Amelia, gdy jechaliśmy główną ulicą. Oczywiście, tutaj też nie było prądu, ale jasny księżyc wisiał jeszcze na nocnym niebie i widać było, że miasteczko jest czyste



i zamożne. Na pasie zieleni przedzielającym jezdnię stały juki w donicach, a na środku ronda znajdowała się piękna fontanna. Przy ulicy były księgarnie, warsztaty rzemieślników i sklepiki z rękodzielnictwem albo restauracja z ekologiczną żywnością.

— No i jak znajdziemy doktora Snowa? — zapytała Amelia. — Masz jeszcze jego numer?

— Nie. Ale to nie powinno być trudne. To jest miasteczko, w którym każdy interesuje się sprawami swoich sąsiadów.

Główna ulica kończyła się wyłożonym brukiem kwadratowym placem otoczonym kafejkami. Największą budowlą przy rynku była biblioteka Memory Valley. Skręciliśmy w lewo i jechaliśmy obrosniętą drzewami aleją, aż minęliśmy znak informacyjny z napisem „Sweet Memory's Bed & Breakfast”. Pensjonat mieścił się w przepięknym domu w stylu kolonialnym z dużym gankiem i łamanym dachem, a nawet z małą wieżyczką z kogutkiem na szczycie. Zaparkowałem fordą przed podjazdem. Amelia została w samochodzie, a ja poszedłem do drzwi frontowych. Dzwonek nie działał, więc zastukałem kilka razy mocno kołatką.

Brak odpowiedzi, w oknach ciemno, więc spróbowałem drugi raz. Nadal nikt nie otwierał drzwi. Amelia opuściła szybę i krzyknęła:

— Harry, daj spokój! Na obrzeżach miasta na pewno jest sieciowy motel Howard Johnson.

— Dobra — odpowiedziałem, ale gdy odwróciłem się, żeby odejść, usłyszałem jakby szuranie w domu, a potem odgłos przewracanego krzesła. Kwękający głos kobiety zawołał:

— Kto tam?! Czego chcecie?

Cofnąłem się od drzwi.

— Ja i moja przyjaciółka szukamy miejsca na nocleg. Przyjechaliśmy aż z Oregonu.

— Nie mogę pana wpuścić. Przykro mi. Powiedziano nam, żeby nie wpuszczać obcych.

— My tylko chcemy przenocować, wziąć kąpiel i coś zjeść.

— Nie ma prądu.

— Tak proszę pani. Wiem o tym. Nawet zimna kąpiel i parę kanapek z mortadela nam wystarczy. — Zjadłem tyle batonów czekoladowych, że aż mnie mdliło. Byłem pewien, że przytyłem z dziesięć funtów.

— Ale i tak nie mogę was wpuścić.

Kiwnąłem na Amelię. Wskoczyła z samochodu i podeszła do drzwi.

— Właścicielka nie chce nas wpuścić. Czy możesz wyjaśnić jej, że nie jesteśmy jakąś parą bandziorów?

— Spróbuję — odpowiedziała Amelia. Zapukała delikatnie w witrażowe okienko z boku drzwi i zawołała:

— Proszę pani?! Proszę pani? Mam na imię Amelia, szukamy miejsca na odpoczynek. Nie sprawimy pani kłopotu, obiecuję.

— Powiedziano nam, żeby nikomu nie otwierać.

— Kto pani powiedział?

— Zastępca szeryfa Ramsay. Powiedział, żebyśmy poza mykali drzwi i nikogo nie wpuszczali, i że przyjedzie rano sprawdzić, czy wszystko w porządku. A ja nawet nie wiem, czy już jest rano, czy nie. Która godzina? Próbowałam zadzwonić do zegarynki, ale telefony nie działają.

— Jest trzecia trzydzieści pięć, proszę pani. Jeszcze nie wzeszło słońce.

Nastąpiła długa chwila milczenia, aż wreszcie kobieta zapytała:

— Jak się pani nazywa?

— Amelia. Amelia Carlsson. Jestem z Nowego Jorku. Mój przyjaciel ma na imię Harry. Przysięgam pani, że chcemy tylko się przespać. Nie sprawimy żadnych kłopotów.

Usłyszeliśmy, jak kobieta podchodzi do drzwi. Potem stuknięcie odciąganej klamki i grzechot łańcucha. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich koścista kobieta gdzieś pod siedemdziesiątkę, o siwych włosach, ubrana w czarną sukienkę do kolan i sznur pereł na szyi. Spoglądała w naszą stronę z lekko uniesioną brodą, ale nie potrafiła skupić na nas wzroku.

— Czy naprawdę mogę wam zaufać? — zapytała.

— Pani nas nie widzi, prawda? Pani jest ociemniała? — zapytała Amelia delikatnym, ciepłym głosem.

Kobieta skinęła głową.

— Z tego, co wiem, to połowa mieszkańców Memory Valley jest niewidoma. To dlatego zastępca szeryfa Ramsay kazał nam pozostać w domach. Próbują ściągnąć jakąś pomoc, ale nie wygląda na to, że ktokolwiek się pojawi. Przynajmniej nie od razu.

— To samo przydarzyło się mojej siostrze Lizzie i jej rodzinie — wytłumaczyła Amelia. — Tak dzieje się w całym kraju.

— Możemy wejść? — spytałem.

— No... chyba tak. Nie przyjechaliście mnie okraść, prawda? Nawet jeśli, to nie ma tu wiele do zabrania oprócz szlafroków, ale moi goście i tak je kradną.

Weszliśmy do holu. Mimo panującego tu mroku dostrzeg-

łem stare stoliki z wazami i suszonymi kwiatami. Na ścianie wisiał wielki obraz olejny przedstawiający uroczą młodą kobietę o bardzo czerwonych ustach, w brązowym berecie i brązowym żakiecie do jazdy konnej.

— Nazywam się Belinda Froggatt — przedstawiła się kobieta i zaczęła po omacku szukać drogi do salonu. Zamknąłem za sobą drzwi, podszedłem do niej i wziąłem ją za rękę. Spojrzała do góry i próbowała się uśmiechnąć. Nie sprawiała wrażenia ociemniałej, ale patrzyła gdzieś na mój bark, jakbym miał tam drugą głowę.

— Kiedy to się stało? — zapytała Amelia. — Kiedy pani straciła wzrok?

Zaprowadziłem panią Belindę Froggatt do jednego ze staromodnych foteli i pomogłem jej usiąść. Amelia i ja zajęliśmy miejsca na kanapie naprzeciwko. Ściany salonu oklejone były tapetą w kwieciste wzory, obwieszone lustrami w ozdobnych ramach, a wokół okien wisały ciężkie bordowe draperie z lambrekinami i opaskami do zasłon. Marzyłem o takich dziewiętnastowiecznych salonach i o dzwoneczku, na którego dźwięk pojawiałaby się moja francuska służąca z podwójnym Jackiem danielsem z lodem, a gdyby wychodziła, okazywałoby się, że poza koronkowym czepeczkiem, fartuszkami z falbankami i wysokimi szpilkami nie ma na sobie absolutnie nic.

— To stało się przedwczoraj, na targu rzemiosła. Co roku organizujemy taki targ i zawsze przyjeżdżają tłumy ludzi. Ja biorę na sprzedaż moje haftowane narzuty. Nie poświęcam na ich szycie zbyt wiele czasu, bo przecież prowadzę pensjonat, ale w tym roku miałam trzy.

Koniuszkami palców dotknęła policzka, jakby chciała

sprawdzić, czy nadal jest sobą, bo po prostu się nie widziała. Patrząc na nią, zrozumiałem, że dziewczyna na obrazie olejnym to prawdopodobnie ona albo jej matka. Wystające kości policzkowe, ciemne, brązowe oczy i rysy twarzy zdradzały, że kiedyś była bardzo ładna.

— Pamiętam tylko, że jacyś fotografowie robili zdjęcia. Rozpoznałam jednego z nich, wyglądał jak John Leppard z filmu *Marin Scope*, ale z nim było jeszcze sześciu czy może siedmiu innych, a lampy błyskowe ich aparatów były tak jasne, że oślepiały i nagle przestałam widzieć. Inni ludzie wokół mnie też zaczęli krzyczeć, że stracili wzrok. Powstało zamieszanie, ludzie wpadali na siebie i się potykali. Obok mnie przewrócił się stragan z domowej roboty konfiturami, dżemami i wszystko to porozbijało się o bruk. Udało mi się odnaleźć moje krzesło i uznałam, że bez pieczeniej będzie, jak nie będę się ruszała. Siedziałam i czekałam, aż to pandemonium minie. I chyba upłynęło dużo czasu, zanim podszedł do mnie sanitariusz i zapytał, jak się czuję. A potem jakiś miły mężczyzna odwiózł mnie do domu. Nie wiem nawet, kim był. Pamiętam tylko tyle, że śmierdział papierosami.

— A ci ludzie, którzy robili zdjęcia... — zapytałam. — Jak oni wyglądali?

Belina Froggatt zmarszczyła czoło.

— To było właśnie dziwne. Widziałam ich kątem oka i tak samo rozbłyśki fleszy. Ale nie potrafię ich nawet opisać. Gdy odwróciłam głowę w ich stronę, to tak jakby byli już gdzieś indziej. Pamiętam jednak, że mieli bardzo blade twarze. Wyglądali zupełnie tak, jakby mieli na głowach jakieś hokejowe maski.

— Czy był tam jeszcze ktoś, kogo pani nie rozpoznała? — zapytała Amelia. — Może widziała pani jakiegoś mężczyznę w czarnym ubraniu z kapeluszem i naszyjnikami?

Belinda Froggatt zastanowiła się przez chwilę, zagryzła wargi, ale potem pokręciła głową.

— Moją uwagę zwrócił jedynie stary mężczyzna stojący koło wejścia na targ, w dziwnym pirackim kapeluszu, okryty skórą jelenia. O tak, on miał na sobie dużo naszyjników z koralami. Na twarzy miał jakieś znaki, po dwa na każdym policzku. Nawet nie wiem, czy to były blizny, czy tylko namalowane paski.

— Czy to mógł być Indianin?

— Nie mam pojęcia. Nie widziałam jeszcze Indianina ubranego tak, jak tamten mężczyzna. Pamiętam, że wskażałam go palcem mojej przyjaciółce Lily, która miała ten stragan z konfiturami i dżemem, i pomyślałam, że wygląda bardzo ekscentrycznie. A ona powiedziała, że faktycznie on wygląda jak Długi John Silver. Rozśmieszyła mnie. Niestety, ona też straciła wzrok.

— Jak się pani teraz czuje? — zapytałam. — Czy możemy pani w czymś pomóc? Może zrobić pani coś do jedzenia albo do picia?

— Dziękuję za troskę, ale nic nie potrzebuję. Wcześniej zjadłam na zimno udko pieczonego kurczaka i wypłam szklankę mleka. Myślę, że przetrwam do przyjazdu zastępcy szeryfa Ramseaa. Chyba wszyscy muszą czekać, prawda?

— Jeszcze jedna sprawa. Czy zna pani doktora Ernesta Snowa? Przeprowadził się tutaj ze Wschodniego Wybrzeża parę lat temu i zamieszkał u córki i jej rodziny. Starszy, siwy mężczyzna, ale dobrze się trzyma.

— Doktor Snów? Oczywiście, że go znam. Znam wszystkich w Memory Valley. Przynajmniej powinnam. Mieszkam tu od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego, a mój pensjonat otworzyłam w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym.

— Czy może pani podać nam jego adres?

Kobieta wyprostowała się w fotelu i lekko przekrzywiła głowę.

— A dlaczego chcecie wiedzieć, gdzie mieszka? Nie jesteście jakimiś ściągaczami długów?

— Oczywiście, że nie. Znamy się z doktorem Snowem od wielu lat. Pani pewnie wie, że on jest antropologiem, ekspertem do spraw historii i kultury Indian. Razem prowadziliśmy pewne badania rytuałów indiańskich.

Belinda Froggatt wyjęła pogniecioną chusteczkę i niezwykle starannie wyczyściła nos.

— No nie wiem. Jeśli mówicie prawdę i Ernest nie będzie potem na mnie zły...

— Chyba nie sądzi pani, że ktokolwiek pojawiłby się o czwartej nad ranem w tym miejscu, gdy nie ma prądu w całym kraju i wszyscy tracą wzrok, po to, by marudzić osiemdziesięcioletniemu mężczyźnie, że nie zapłacił kilku rachunków z karty kredytowej?

— No tak, oczywiście, że tak nie myślę. Macie rację. Doktor Snów mieszka z córką przy Jumping Dance Lane.

— Dziękujemy pani — odparła Amelia. — A jak nazywa się jego córka?

— Meredith Burgess. Nie znam numeru ich domu, ale Jumping Dance Lane zaczyna się po drugiej stronie placu, to druga ulica po lewej, a może trzecia? Mieszkają tak

w jednej trzeciej jej długości. Ich dom jest żółty, a przed nim rośnie wysoki dąb. Jack Burgess jest adwokatem. To bardzo miły człowiek.

Wstałem i wziąłem w ręce jej kościste palce przystrojone pierścionkami. Pocałowałem ją w oba policzki. Pachniała delikatnie perfumami, które przypomniały mi moją matkę.

— Powiem coś pani, Belindo. Gdy będzie pisana historia tego, co stało się dziś rano w Ameryce, o ile oczywiście zostanie jeszcze ktoś, kto będzie mógł ją przeczytać, to pani będzie jej bohaterką.

Belinda się uśmiechnęła.

— Pod warunkiem że dobrze zapiszecie moje nazwisko. Froggatt pisze się przez dwa „g”.

♦ ♦ ♦

Bez względu na to, czy mieliśmy do czynienia z ogólnokrajowym kryzysem, czy też nie, było zbyt wcześnie, by budzić kogokolwiek, a szczególnie takiego dziadunia jak doktor Snów. Poza tym byłem tak zmęczony, że mógłbym paść na podłogę i po prostu zasnąć. Belinda wskazała nam drogę do pokoju na górze, w którym stało wielkie łóżko z baldachimem. Nawet nie zapytała, czy nie chcemy osobnych pokoi. Albo pomyślała, że jesteśmy zbyt zmęczeni, by się tym przejmować, albo wyczuła mimo swojej ślepoty, na czym opierał się mój związek z Amelią, i prawdę mówiąc, pewnie wyczuła więcej niż ja.

Rozebraliśmy się do bielizny i padliśmy jak martwi na pięć godzin. Gdy się obudziłem, zobaczyłem światło słoneczne i górę śniegu, jednakże to nie była góra śniegu, ale śnieżnobiała poduszka pachnąca krochmalem. Przez kilka

chwil nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie jestem. Przecież nie miałem u siebie mahoniowego stoliczka nocnego ze stojącym na nim zegarem z brązu, ani porcelanowej papużki i nikt ze znajomych nie miał takich ozdób przy łóżku.

Wtedy obok przeciągnęła się Amelia, mruczając:

— Tylko mi nie mów, że już pora wstać.

I wówczas przypomniałem sobie, gdzie jestem i co tu w ogóle robimy.

Amelia odrzuciła z siebie kołdrę, wstała z łóżka i odsłoniła zasłony. Nie znam nawet słowa, jakiego mógłbym użyć, by opisać sposób, w jaki czuje się człowiek, który nie może oderwać wzroku od uwielbionej kobiety, choć nawet nie jest jej kochankiem. Krzywizna jej kręgosłupa wydawała się doskonała, a każdy pieprzyk na ramieniu i ogólnie wszystko w jej figurze zostało tak stworzone, by cieszyć wzrok. Gdy odwróciła się od okna, dostrzegłem lekkie wgłębienie w jej seledynowych majtkach i przysięgam, że mógłbym na ten temat napisać poemat. A w najgorszym wypadku słowa do piosenki country.

— Zimny prysznic? — zapytała Amelia. Pomyślałem, że mnie na pewno przydałoby się ochłodzenie w takiej chwili.

Rozdział 21

Memory Valley, Kalifornia

Urządziliśmy najazd na lodówkę Belindy i (choć nie działała i było w niej ciemno) zrobiliśmy sobie prawdziwą ucztę z pieczonych udek kurczaka na zimno i sera szwajcarskiego z dziurami, jabłek i czerstwych bułek. Siedzieliśmy przy stole kuchennym, gdy pojawiła się Belinda. Na zewnątrz słońce rozświetlało jej mały sad. Nie mogła tego zobaczyć, ale zatrzymała się i nasłuchiwała odgłosów, przykładając dłoń do ucha.

— Zerwał się wiatr. Słyszę go!

— Poczęstowaliśmy się pani jedzeniem, ale odświeżymy zapasy — powiedziałem. — Czy jest coś, czego pani by sobie życzyła?

— Mam ochotę na torcik orzechowy. Gdyby tylko udało wam się go dostać. Nie wiem dlaczego, ale odkąd nie widzę, ciągle mam ochotę na coś słodkiego.

— Dobrze. Niech pani zostanie w domu i zamknie drzwi na zamek. My jedziemy odwiedzić doktora Snowa.

— Możecie zostać u mnie, jak długo tylko chcecie. Trochę

się boję siedzieć tu zupełnie sama, nie wiem nawet, czy to dzień, czy noc.

— Proszę się nie martwić. Zaraz po wizycie u doktora Snowa przyjedziemy tu z powrotem.

Wstaliśmy od stołu i wyszliśmy. Pojechaliśmy w kierunku centralnego placu Memory Valley. Przy ozdobnej fontannie stały dwa zielono-białe radiowozy policji z wydziału szeryfa hrabstwa Marin. Paru bardzo grubych facetów w mundurach zastępców szeryfa rozmawiało z kilkoma szczupłymi, niemalże ascetycznymi mieszkańcami. Gdy przejeżdżaliśmy obok, wszyscy odwrócili głowy w naszą stronę i przyglądali nam się bacznie. Jeden z zastępców szeryfa chyba chciał nas zatrzymać, jednak ja jechałem dalej — niezbyt szybko, ale wystarczająco szybko, by zostawić policjanta na środku drogi z rękami opartymi na szerokich biodrach i kiwającego głową z niezadowoleniem.

— To ta ulica, Jumping Dance Lane — oświadczyła Amelia. Skręciliśmy w lewo. Trzysta jardów dalej dostrzegaliśmy pomalowany na żółto dom, a przed nim olbrzymi dąb. Zaparkowaliśmy i ruszyliśmy podjazdem w stronę domu. Jakaś kobieta obserwowała nas z okna sypialni. Wiatr się wznagał i rozwiewał gazetę po ulicy.

Tutaj dzwonek też nie działał, ale na drzwiach była ciężka mosiężna kołatka w kształcie głowy wilka. Śpiewająca Skała powiedział mi kiedyś, że gdy drzwi frontowe domu skierowane są na wschód, to należy koniecznie powiesić na nich kołatkę w kształcie głowy wilka, żeby ochronić dom przed demonami nadchodzącymi z tego kierunku, szczególnie gdy zaczyna się ściemniać. Drzwi mojego mieszkania przy Wschodniej Siedemnastej wychodziły na wschód, ale

jedynymi zjawami, jakie się tam pojawiały, były posiwiałe kobiety, które chciały, by postawić im tarota, ewentualnie Velma z przeciwka, która chciała „pożyczyć” szklaneczkę jacka danielsa.

Zdążyłem zastukać dwa razy i drzwi otworzyły się tak szybko, że zupełnie nas to zaskoczyło. Stała w nich niska, piegowata kobieta o ognistorudych włosach w zielonym swetrze i czarnych spodniach o dwa numery za dużych.

— Państwo do kogo?

Było oczywiste, że ona nie straciła wzroku. Popatrzyła agresywnie na Amelię, potem na mnie i znowu na Amelię, jak groźny pies zastanawiający się, kogo ugryźć najpierw.

— Przepraszamy za najście. Szukamy doktora Ernesta Snowa. Belinda Froggatt z pensjonatu Sweet Memory's Bed and Breakfast powiedziała, że możemy go właśnie tutaj zastać.

— Kim jesteście? Czego chcecie? Wiecie, co stało się w naszym miasteczku, prawda?

— Tak, wiemy. To jest właśnie główny powód naszej wizyty tutaj. A pani to pani Burgess? Córka doktora Snowa?

Nie miała nawet szansy na odpowiedź, bo najpierw usłyszeliśmy suchy, wyniosły głos, który powiedział:

— To absolutna prawda. I jeśli mnie wzrok nie myli, to pan musi być Harry Erskine, a ta wspaniała dama to cudowna Amelia Carlsson!

Wytrącona z równowagi rudowłosa kobieta odwróciła głowę. Za jej plecami stał doktor Snów. Wyglądał jak zwykle elegancko w zielonej pikowanej bonzurce, choć jego siwa grzywka nie była już tak gęsta jak dawniej. Kości policzkowe

jakby bardziej mu wystawały i cały był bardziej kościsty. Podszedł do nas, kulejąc i opierając się na lasce ze srebrną rączką.

— To artretyzm — wyjaśnił. — Głównie z jego powodu opuściłem Albany i przyjechałem do Kalifornii. Gdy w powietrzu wisi mgła, kolana puchną mi nieziemsko. Jak się macie, do licha?

Złość Meredith natychmiast stopniała.

— Więc to pan jest Harry, a pani to Amelia! Bardzo państwa przepraszam! Po tym, co tu się stało, musimy ciągle mieć się na baczności. Wczoraj w nocy usłyszeliśmy jakieś strzały, a tutaj, w Memory Valley, nikt nigdy nie strzelał.

Skinęła, byśmy weszli do środka, i poprowadziła nas do wielkiej oranżerii z tyłu domu. Oranżerię umeblowano fotelami z pobielonej wikliny, na których ułożono ręcznie wyszywane poduszki. Za oknami dostrzegliśmy basen kąpielowy, trawnik rozciągający się na pochyłości i małą altanę. To byłby wręcz idylliczny obraz prosperity klasy średniej, gdyby nie to, że cywilizacja w całym kraju upadała.

— Mogę tylko zaproponować sok albo colę. Jeszcze nie wiemy, kiedy przywrócą zasilanie.

Nic nie odpowiedziałem. Nie miałem zamiaru jej straszyć. Spojrzałem z ukosa na doktora Snowa i miałem nadzieję, że z wyrazu mojej twarzy wywnioskował, iż nie przyjechalismy tutaj na spotkanie towarzyskie.

— Marry, kochanie — odezwał się doktor Snów. — Zostaw nas na trochę samych, bo podejrzewam, że Harry i Amelia chcą porozmawiać ze mną na jakieś bardzo osobiste tematy.

— W porządku, tatusiu.

Meredith wyglądała na rozczarowaną, ale bez dyskusji wstała i wyszła z oranżerii, zamykając za sobą drzwi. Snów wyprostował prawą nogę i mrugnął do mnie.

— Sporo czasu minęło, co, Harry? Trudno w to wszystko uwierzyć, prawda?

— On powrócił — oświadczyłem.

— Powrócił? — Doktor Snów spojrział na nas swoimi wodnistymi, poważnymi oczami, jak stary spaniel, który domyśla się, że nie pozostało mu już zbyt wiele życia. — Jesteście pewni? Chyba mówiłeś mi kiedyś, że on już nie ma szansy na powrót.

— Te wszystkie katastrofy lotnicze i drogowe, wyłączenia prądu, ślepoty u ludzi. To jego sprawa.

— Macie jakieś dowody, że to on jest za to wszystko odpowiedzialny? Podejrzewam, że macie, bo inaczej byście tutaj nie przyjeżdżali, prawda?

— Amelia ma siostrę, Lizzie. Wraz z rodziną byli na wakacjach w HelFs Canyon. Na wycieczce rowerowej spotkali na środku ścieżki dziwne indywidua. Gdy opowiadali nam tę historię, sami nie potrafili zdecydować, czy te dziwadła wyglądały jak drewniane pudła, lustra, czy wielkie marionetki. Ale w jednym się zgadzali: gdy rozświeciły się oczy tych zjaw, oni natychmiast stracili wzrok.

— Mów dalej — zachęcił mnie doktor Snów.

— Sami byśmy się nie domyślili, kim te zjawy są. Ale gdy byliśmy w szpitalu u Lizzie, ona ciągle mówiła o Tym, Który Odszedł I Powrócił.

— To przecież Misquamacus.
Skinąłem głową.

— Amelia zrobiła seans i wezwała Johna Śpiewającą Skalę, który potwierdził to, czego się wcześniej dowiedzieliśmy. Faktycznie chodziło o Misquamacusa, tylko że tym razem on postanowił zniszczyć całą cywilizację na terenie Ameryki.

— To zabawne, nieprawdaż? — rzekł w zadumie doktor Snów, kiwając głową z boku na bok.

— Zabawne? Dlaczego?

— Źle się wyraziłem. Tyle że miałem pewne własne podejrzenia, ale przestraszyłem się, że staję się jakimś paranoikiem. Bo przecież nie istnieje żadna organizacja terrorystyczna na świecie, która spowodowałaby spustoszenie na taką skalę. Nawet Rosjanie nie potrafiliby tego zrobić, ale nie podejrzewam, żeby chcieli czegoś takiego czy w ogóle się ośmielili. Gospodarka rosyjska prawie w całości zależy od naszej gospodarki, a na dodatek jesteśmy im potrzebni do zachowania równowagi polityczno-wojskowej pomiędzy Wschodem a Zachodem. Oni na pewno nie mają ochoty na robienie porządku w Iraku, Iranie albo Afganistanie. Wolą to zostawić nam. Próbowali raz w Afganistanie i rezultat wszyscy znają. — Tylko magia Pierwotnego Ludu jest wystarczająco silna, by przewrócić nasz kraj do góry nogami. W końcu to jest ich kontynent, nie nasz.

Snów zamyślił się na chwilę i zmarszczył czoło.

— Misquamacus — powtórzył. — Ale czyż nie powie działaś, że odesłaliście go stąd raz na zawsze? Mówiłeś, że zniszczyliście każdy jego element. Jego energię duchową, jego ektoplazmę. Przecież dzięki temu miał już nie powrócić do realnego świata, nawet jako duch.

— Myślałem, że tak się stało. Ale John Śpiewająca Skała powiedział, że dopóki istnieje pamięć o nim, nawet jeśli pamiętają go tylko inne duchy, dopóty on będzie istniał.

— Rozumiem, rozumiem, I oczywiście znalazł sobie sposób, żeby powrócić do świata żywych?

— Posiadł duchy innych nieżyjących szamanów, całych setek, z każdego plemienia, jakiego nazwę tylko możemy wymienić, z terenu całego kraju. Od Apaczów po Zuni.

— Duch, który posiadał inne duchy. Nigdy nie słyszałem o takiej możliwości, nawet w indiańskiej mitologii.

— To wszystko prawda, panie doktorze — wtrąciła Amelia. — Misquamacus pojawił się w naszym pokoju hotelowym w Portlandzie. Nie wyglądał jak on, przynajmniej nie zewnątrz. Przybrał postać innego szamana, Wovoki. Ale to był on. Zaczął torturować Śpiewającą Skałę, lecz udało nam się to przerwać. Przed zniknięciem powiedział, że nasz koniec jest bliski. Że wszyscy zostaniemy oślepieni i że wtedy nas wymorduje, a potem zburzy miasta, aż nie ostanie się kamień na kamieniu.

— To niemożliwe — oświadczył doktor Snów. — To totalny absurd. Indiańska magia jest potężna, ale nie aż do takiego stopnia.

— Nie chodzi o miasta — włączyłem się do dyskusji — ale o zniszczenia czynione społeczeństwu i wyniszczenie narodu. Przez niego zginęły już tysiące.

— Wydaje nam się, że odkryliśmy, w jaki sposób oślepią ludzi. Śpiewająca Skała dał nam pewne wskazówki i sądzimy, że on wykorzystuje duchy Indian Pueblo nazywane Zabójcami Oczu.

— Zabójcy Oczu! Zabójcy Oczu! Oczywiście! Powinienem był sam na to wpaść! — zawołał podekscytowany doktor Snów.

— Czyli wie pan coś o nich? Kim są te duchy?

— To bardzo interesująca część mitologii Indian Pueblo, głównie Zuni, choć Hopi i Acoma opowiadali historie o podobnych demonach.

— Sprawdził w Internecie. Najprawdopodobniej zostały powołane do życia, gdy dziewczęta zaszły w ciążę z obcymi obiektami, na przykład kolcami kaktusa — wyjaśniła Amelia.

— O tak, kolce kaktusa. Albo olbrzymie fallusy z gliny. Indianie Pueblo zawsze byli doskonałymi garncarzami. Mam wspaniałą figurkę ptaka wykonaną przez Indian Cicuye. I miseczki wykonane przez Acomów. Chcielibyście zobaczyć?

— Może później. Musimy się dowiedzieć, czy ci Zabójcy Oczu są rzeczywistymi bytami. A jeśli tak, co możemy zrobić, żeby ich powstrzymać?

Doktor Snów wstał i zaczął krążyć po oranżerii, stukając laską o marmurową posadzkę.

— Przepraszam, że musiałem się ruszyć, ale gdy za długo siedzę, moje kolano się zastaje.

Obszedł nas trzy razy i przy każdym nowym okrążeniu wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafił dobrać słów.

— Chodzi o to, że... — odezwał się w końcu. — Chodzi o to, że Zabójcy Oczu są rzeczywistymi bytami, tylko potocznie znany mit o ich stworzeniu jest najprawdopodobniej nieprawdziwy. Jakies piętnaście lat temu wydawnictwo

Uniwersytetu Nowego Meksyku opublikowało fascynujący esej napisany przez naukowca pochodzenia indiańskiego, z plemienia Zuni, George'a Lonana. Całkowitym zbiegiem okoliczności jest znaczenie słowa „lonan” w języku Zuni. Oznacza ono „chmurę”. Lonan rozmawiał z bardzo starym szamanem Zuni i odkrył, że gdy dziewczyna Zuni zachodziła w ciążę z chłopcem, którego jej rodzice nie aprobowali, wówczas chroniła imię swojego kochanka, udając, że zaspokajała się kaktusami, kolbami kukurydzy albo fallusami z gliny i tak właśnie dorobiła się dziecka. Rodzina przyjmowała wtedy jako pewnik, że dziecko jest jakimś nienaturalnym bytem, i gdy się rodziło, natychmiast wkładali je do skleconej z desek trumny i wycinali szczeliny na oczy, by widzieć, kiedy będzie już martwe.

— Dzieci wkładano do trumien, gdy jeszcze żyły? — zapytała Amelia.

Doktor Snów przestał krążyć.

— Zuni wierzyli, że jeśli zabiliby dzieci własnymi rękami, dusząc, topiąc albo wrzucając do ognia, to demony zamieszkujące każdy nieożywiony przedmiot mogłyby się na nich zemścić.

— I byłaby to „zemsta kaktusowych kolców” — wtrąciłem.

— Możesz uważać, że to zabawne — skomentował Snów. — Ale Zuni wierzyli, że kłujące kaktusy mogą po zmroku przepoczwarzać się w różnorodne bezkształtne stwory, jak na przykład olbrzymie ślimaki pokryte kolcami, które potrafią wślizgnąć się do ust człowieka, przedostać się do jego krtani i go udusić.

Po tej przypowieści zachowałem swoje żartobliwe komentarze dla siebie. Od czasu gdy po raz pierwszy natknąłem

się na Misquamacusa, straszony byłem przez mityczne indiańskie kreatury tak przerażające jak olbrzymie kaktusowate ślimaki i wiedziałem, że w jakimś równoległym wymiarze one naprawdę istnieją. Wiedziałem także, że każdy szaman mający odpowiednie umiejętności mógł ściągnąć je do świata żywych i spowodować niemożliwą do opisanie rzecz. Na przykład istniał sobie taki Jaszczur z Drzew, który wyglądał jak olbrzymi smok z Komodo. W połowie przezroczysty i pół gad, pół zjawa — ale mimo to potrafił odgryźć palce człowieka jednym kłapięciem szczęk.

— Pewnego dnia — ciągnął doktor Snów — córce wodza Zuni urodziły się bliźniaki, chłopiec i dziewczynka. Ich matka twierdziła, że były dziećmi fallusa z gliny, więc włożono je do drewnianych trumien i zaniesiono do świętego miejsca na pustyni, by umarły. Historia głosi, że gdy Tawa, Duch Słońca, zobaczył, co ludzie zrobili, wpadł we wściekłość. Przez całe wieki uczył ludzi tolerancji i przebaczenia, a oni porzucili dwoje noworodków na pustyni. Dla Tawy nie miało znaczenia, jak dzieci zostały poczęte. Nawet dziecko demona jest bezbronne, a pozostawienie bezbronno dziecka na śmierć jest niewybaczalne. Tawa patrzył z nieba na szczeliny w trumnach. Patrzył przez cały dzień, od świtu do zmierzchu, i wypełnił oczy dzieci oślepiającym światłem. Gdy Zuni przyszli zobaczyć, czy dzieci już umarły, te spojrzały na nich i ich oślepiły. I tak oto dzieci stały się Zabójcami Oczu.

— Z tego, co opowiadała Lizzie i jej rodzina, wynikało, że oni potrafią chodzić — przypomniała Amelia. — Mieli ciała z drewnianych skrzyń, ale też nogi i ręce, i nawet twarze.

Doktor Snów usiadł, zgrzytając zębami z bólu z powodu sztywności w kolanie.

— Po tym jak pięciu Zuni straciło wzrok, trumny zabrano z powrotem do puebla, żeby pokazać je szamanowi, którego zwano Mówiący Jastrząb. Mówiący Jastrząb wszedł w trans i podczas widzenia bóg Tawa powiedział mu, że te dzieci nie są już dziećmi ludzi, lecz demonami słońca. Powiedział też, że jeśli Mówiący Jastrząb będzie się nimi dobrze opiekował, to będą one chronić Zuni przed wszystkimi wrogami, a tych Zuni mieli wielu, działo się to na długo przez przybyciem Hiszpanów. Słowo „apacze” oznacza w języku Zuni „wróg” albo „obcy”, albo też „ludzie z drugiej strony”. Sami Apacze nazywali siebie *Ende*, co po prostu znaczyło „Nasz Lud”. Mówiący Jastrząb poprosił wioskowych cieśli o dorobienie rąk i nóg na zawiasach i doczepienie ich do trumiennych pudeł. Garncarze dorobili maski z białej gliny. Dzięki tym dodatkom Zabójcy Oczu mogli stać i chodzić. Bez wątplenia to właśnie te kreatury widziała twoja siostra i jej rodzina w HelFs Canyon.

— Ale przecież musi być ich więcej niż tylko dwoje. Ludzie tracą wzrok w całym kraju.

— Oczywiście, że jest ich więcej. Prawdopodobnie nawet tysiące. Pamiętajcie, że pierwszymi Zabójcami Oczu byli chłopiec i dziewczynka; w jakiś sposób musieli się rozmnożyć. Nie znam intymnych szczegółów tego procesu, ale nie zapominajmy, że indiańskie duchy potrafiły się mnożyć na różnorodne sposoby. Mogły posiąść ciała zwierząt na pewien czas, na przykład wilków lub jeleni, i rozmnażać się w tym samym czasie co zwierzęta. Niektóre dokonywały tego dzięki odbiciu w traflి jeziora. Trudno w tej chwili powiedzieć, jak ta dwójka się rozmnożyła.

— Niektórych ludzi oślepiali natychmiast, prawda? — rzekła Amelia. — Na przykład Lizzie i jej rodzinę. Jeden błysk, i koniec. Ale z innymi było inaczej. Utrata wzroku była opóźniona. Na przykład ci piloci samolotów pasażerskich. Przecież normalnie wystartowali i dopiero podczas lotu nagle tracili wzrok.

— Ta utrata wzroku nie jest procesem fizycznym — oznajmił doktor Snów. — Takim jak oślepienie ostrym światłem słonecznym. Błysk z oczu Zabójców Oczu jest bardzo jasny, ale nie powoduje nieodwracalnego zniszczenia narządu wzroku. To bardziej rodzaj hipnozy, wmówienie mózgowi, że nie widzi. I tak samo jak podczas hipnozy Zabójcy Oczu mogą narzucić czar oślepienia z opóźnieniem, zadziała wówczas dopiero za dwadzieścia minut albo za dwie godziny.

— To chyba zbyt skomplikowane jak na demona — powątpiewała Amelia.

— Tak. Ale właśnie dlatego Zabójcom Oczu zawsze towarzyszył szaman i to on decydował kto, kiedy i na jak długo ma być oślepiony.

— Czyli ta utrata wzroku nie jest trwała? — zapytałem.

— Zgodzicie się ze mną chyba, że w dużym stopniu zależy to od Misquamacusa. Gdy już nas pokona, może wielkodusznie przywrócić nam wzrok. Ale nie musi. Może uznać, że po tym, co uczyniliśmy jego ludowi, powinniśmy spędzić resztę życia w ślepcie.

— Co doprowadza nas bezpośrednio do pytania za miliony dolarów. Jak powstrzymać te chodzące pudła?

Doktor Snów spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu, aż zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle

słyszał pytanie. Już miałem je powtórzyć, gdy wreszcie się odezwał.

— Chcę być z tobą naprawdę szczery, Harry, nie mam najmniejszego pojęcia.

— Musi przecież coś być w twoich książkach?

— Większość swoich książek przechowuję w magazynie, przykro mi.

— A nie ma kogoś, z kim można by na ten temat porozmawiać?

— Z pewnością, ale w Nowym Meksyku.

— W porządku, pojedziemy do Nowego Meksyku, jeśli będzie trzeba.

— Harry, ja mam osiemdziesiąt trzy lata i chroniczny artretyzm. Do tego jeszcze cukrzycę. Nie dam rady pojechać do Nowego Meksyku.

— Ale podróż nie będzie trwała dłużej niż jeden dzień, no... może półtora dnia. A przecież tu chodzi o przetrwanie całego narodu. Mówimy o milionach ludzi. Rozejrzyj się dookoła. Na ten dom. Nic z tego nie uchowa się z pożogi. Zanim się obejrzysz, wszyscy będziemy mieszkać w tipi i wigwamach. Albo nawet w jaskiniach.

— Harry, ja mogę umrzeć w podróży, zanim dojedziemy do Phoenix.

— To co mamy robić? Siedzieć z założonymi rękami, aż pojawią się Zabójcy Oczu, oślepią nas i Misquamacus zrobi z nami, co tylko zechce?

— Oczywiście, że nie. Przecież Amelia jest utalentowanym medium, prawda?

— Oczywiście. — Spojrzałem na Amelię. — Ona jest najlepsza.

— Więc powinna skontaktować się z kimś, kto powie nam to, co chcemy wiedzieć. Z jakimś indiańskim szamanem, który znał się na swojej robocie.

— Nie dam rady wywołać żadnych duchów z Nowego Meksyku — odparła Amelia. — Szczególnie że sama ich nie znam i nie znam do nich drogi. Musieliby być duchowo złączeni z tym miejscem. Musieliby umrzeć w tym miejscu albo gdzieś w okolicy.

— W takim razie nie powinnaś mieć z tym najmniejszych kłopotów, moja droga! Jesteśmy przecież w Memory Valley, nie pamiętasz?

— No i co z tego?

— No coś ty? Nie słyszałaś nigdy o Memory Valley? To właśnie tutaj w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku generał Henry Lawrence wyeliminował ostatnią grupę Indian Hupa. Od tysiąc osiemset dwudziestego szóstego byli stale spychani na południe i wyrzucani ze swoich ziem przez poszukiwaczy złota i w końcu osiedlili się tutaj, w tej dolinie, którą nazwali Doliną Białego Księżyca. Była ich zaledwie garstka, niespełna setka, mężczyzn, kobiet i dzieci. Rozkazano im opuścić Memory Valley i przenieść się do rezerwatu dalej w głębi lądu, ale opierali się tej decyzji. Pewnej nocy na początku stycznia generał Lawrence i dwustu żołnierzy otoczyli Indian i wszystkich wymordowali. W swoim raporcie generał napisał, że Indianie pierwsi otworzyli ogień, a on, chcąc chronić swoich ludzi, zezwolił na użycie karabinów maszynowych Hotchkissa wystrzeliwujących pociski rozpryskowe. Żaden Indianin nie przeżył ostrzału.

— Nigdy o tym nie słyszałem — przyznałem zaskoczony.

. _ To wydarzyło się miesiąc po masakrze pod Wounded Knee i myślę, że rząd chciał utrzymać tę rzeź w tajemnicy. I tak naprawdę był to ostatni incydent w wojnie z Indianami. Okrutny koniec cywilizacji, która istniała od tysięcy lat.

Amelia dotknęła skroni koniuszkami palców.

— Nie jestem zupełnie przekonana, doktorze. Nie czuję tutaj żadnej obecności duchów. Przecież o nich rozmawialiś my. Zwykle w takich sytuacjach dają o sobie znać, gdy żyjący ludzie o nich mówią.

— Może powinnaś spróbować tego seansu ze świecą? — zaproponowałem. — Albo tego przerażającego przywoływania, które wcześniej wykorzystywałaś? *Venora, venora, ssiriti venora.*

— Pewnie mogłabym... Ale nawet gdyby udało mi się skontaktować z tymi Hupa, to co oni mogliby wiedzieć o Zuni?

— Prawdopodobnie nic — odpowiedział Snów. — Ale prawie wszystkie plemiona indiańskie miały własne legendy o demonach, które potrafią oślepić albo nawet zabijać, gdy spojrzą na swoją ofiarę. Każde plemię nazywa je po swojemu i opowiada różne historie o ich powstaniu, ale są to w zasadzie te same demony.

— To pewnie spróbuję. Choć lepiej byłoby przeprowadzić seans w nocy. Duchy wtedy chętniej przychodzą, a poza tym tych Indian zabito przecież w nocy, prawda?

— No dobrze. To wróćcie tu około siódmej. Jestem pewien, że Merry upichci nam coś do jedzenia. A ja mam jeszcze kilka butelek Arrowood Syrah-Shiraz, które wprowadzą nas w odpowiedni nastrój.

— Rozumiem, że wracacie do nas wieczorem? — po-

wiedziała Meredith, odprowadzając nas do drzwi. Nie była tym zachwycona. — Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale chcę was uprzedzić, że ojciec nie czuł się ostatnio zbyt dobrze. Problemy z sercem i inne takie. Nie chciałabym, żeby się tym wszystkim za bardzo przejął.

— Doskonale to rozumiemy — odparła Amelia. — Po staramy się przeprowadzić seans bardzo spokojnie, obiecuję.

Ruszyliśmy z powrotem do samochodu. Meredith odprowadzała nas wzrokiem. Jak tylko się oddaliliśmy, zapytałem Amelię:

— Bardzo spokojnie? Jak chcesz przywołać ducha zamordowanego Hupa przy stole w salonie Snowa i zachować wielki spokój?

Amelia otwarła drzwi i wsiadła do SUV-a.

— Chyba mi się to nie uda. Ale jest tak, jak powiedziałeś: tu chodzi o przetrwanie całego narodu.

Rozdział 22

San Fernando, Kalifornia

Pędzili na północ, mijając coraz więcej rozbitych, dymiących się lub porzuconych samochodów. Tina siedziała na harleyu na miejscu pasażera, obejmując mocno Tylera. Na skrzyżowaniu z Golden Gate Freeway minęli karambol, w którym wzięło udział siedem samochodów. Tina zrobiła wielki błąd i spojrzała na wrak chevroleta bravada. W środku siedziała cała rodzina spalona na popiół, mężczyzna, kobieta i troje małych dzieci, i nawet pies z wyciągniętą do góry głową, jakby nadal żył.

Niewiele dźwięków przebijało się do jej uszu przez agresywny bulgot widlastego silnika motocykla i szum powietrza, ale kilka razy usłyszała z tyłu odgłosy potężnych eksplozji, a gdy się oglądała za siebie, widziała wznoszące się w niebo chmury wybuchów.

— Zatrzymamy się, gdy dojedziemy do Wheeler Ridge! — krzyknął Tyler.

— Ile jeszcze nam zostało?

— Jakaś godzina, jeśli będziemy mieli szczęście!

— A dalej, ile jeszcze do Memory Valley?

— Ze cztery godziny!

— No to świetnie! Szkoda tylko, że mój tyłek nie ma odrobinę wygodniej!

Minęło ich dwadzieścia, może trzydzieści samochodów zmierzających na południe, w stronę miasta. Sami wyprzedzili jeden samochód — starego volkswagena kombi pomalowanego w wyblakłe słoneczniki, jadącego co najwyżej dwadzieścia mil na godzinę i ciągnącego za sobą czarny dym dobywający się z rury wydechowej. W środku jechali mężczyzna z siwą brodą i długimi siwymi włosami przewiazanymi czerwoną bandaną oraz siwa kobieta z tatuażami na ramionach. Podczas wyprzedzania Tyler pozdrowił ich, pokazując symbol pokoju, a oni odpowiedzieli astmatycznie brzmiącym dźwiękiem klaksonu.

Po lewej minęli zbiornik retencyjny dla Los Angeles; słońce odbijało się od wody, której powierzchnia błyszczała jak wypolerowana sztaba srebra. Nigdzie nie napotkali radiowozów policji drogowej ani helikopterów kontroli ruchu, więc Tyler przekręcił manetkę gazu i pędzili teraz z prędkością około dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Po pięciu minutach Tyler musiał jednak zwolnić, bo przed nimi pojawił się dym na drodze.

Pół mili przed nimi betonowy wiadukt przechodził ukośnie nad autostradą, ale pod nim wszystkie cztery pasy ruchu były zablokowane palącymi się samochodami, które tak mocno powbijały się w siebie, że trudno było je zliczyć. Nikt nie stał obok, więc przypuszczalnie z karambolu nikt nie ocalał.

Tyler zatrzymał motocykl i opuścił nogi na asfalt. Czuł żar z płonących samochodów na twarzy i kostkach dłoni,

słyszał chrzęszczący dźwięk blach karoserii jęczących melancholijnie pod wpływem ognia.

Nietrudno było wywnioskować, co tu się stało. Wielka biała ciężarówka z naczepą spadła z wiaduktu wprost na autostradę i rozbiła się, blokując wszystkie pasy. Najechała na nią druga ciężarówka i przewróciła się na bok. Samochody osobowe, vany i SUV-y rozbijały się doszczętnie, kolejno wpadając na siebie.

— Myślisz, że ktoś przeżył? — zapytała Tina.

Tyler pokręcił głową.

— Po takim pożarze trudno będzie nawet zidentyfikować tych ludzi.

— Biedni... Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

— Tak. Bo może się okazać, że już nikt inny się nimi nie zajmie.

— Musimy zrobić mały objazd — rzekła Tina.

— Nie ma mowy. Do najbliższego skrzyżowania jest ponad dziesięć mil, no i mamy już mało paliwa.

— Więc co zrobimy?

— Pojedziemy do góry i przejedziemy nad karambolem.

— Jak to?

— Po nasypie wiaduktu do góry, potem wiaduktem nad autostradą i znowu na autostradę z drugiej strony.

Tina spojrzała na wylany betonem nasyp wiaduktu po obu stronach autostrady.

— Ty chyba zwariowałaś! Zobacz, jak tu stromo! Nawet pieszo nie dałoby się pod niego podejść. Nie dałabym rady wejść do góry nawet po drabinie!

Tyler rozłożył szeroko ręce.

— Halo! Przepraszam! A czym niby ja się zajmuję

zawodowo? Jestem przecież kaskaderem. Czy uda nam się wspiąć po nasypie, przejechać przez wiadukt i zjechać na drugą stronę? Ależ oczywiście, że tak!

— Myślałam, że zawsze skrupulatnie i długo przygotujesz się do swoich numerów, by nikomu nic się nie stało.

— Niestety, nie mamy na to czasu.

— Ja się na to nie piszę — oświadczyła z naciskiem Tina.

— Więc jak ominiesz to piekło?

— Znajdę jakiś sposób. Pieszko.

— Posłuchaj, Tino! Robiłem takie numery kilkanaście razy. Raz nawet podjeżdżałem motocyklem po boku naczepy.

— Nie wątpię. Czy to właśnie wtedy rozwaliłeś sobie kolano?

— Nie. Rzepkę rozwaliłem, skacząc z konia na pustą platformę ciężarówki. A gdy robiłem numer z motocyklem, to tylko połamane sobie kości nadgarstka.

— Tyle mi wystarczy! Rób to beze mnie!

Zaczęła zsiadać z siodełka, ale Tyler złapał ją za ramię.

— No coś ty, ja tylko żartowałem. Podczas tych numerów nie odniosłem żadnych kontuzji. I teraz też nic się nam nie stanie. Przysięgam. No dalej! Przecież nazywasz się Tina Freely i jesteś twardzielką. To ty odłoniłaś kulisy przestępczości zorganizowanej w Culver City, chociaż gangsterzy grozili, że połamią ci ręce.

Nastąpił moment napięcia, a gdy Tina próbowała unieść się z siodełka, Tyler ściągał ją na dół. Patrzyli sobie w oczy, jednakże nie była to walka, lecz raczej poszukiwanie zrozumienia.

„Nigdy czegoś takiego nie robiłam, jestem przerażona” — mówiły jej oczy.

„Wiem, że nie, ale obiecuję, że wszystko będzie dobrze, okay?” — odpowiadał wzrokiem. Tina stopniowo uspokajała się i rozluźniała.

— W porządku — powiedziała w końcu. — Skoro jesteś tego taki pewien, to musi się udać.

Tyler wyprostował się w siodełku i tak przekręcił manetkę gazu, że Tina omal nie ogłuchła. Odwrócił się i krzyknął:

— Trzymaj się mnie jak spocona koszula, rozumiesz? Spleć dłonie. I nie puszczaj się za żadne skarby, nawet jeśli się przewrócimy!

— Co?! Nic nie mówię o przewracaniu się.

— Nie?! To trudno. Teraz i tak już za późno! — Zawrócił motocyklem, robiąc szeroki łuk, aż ustawił się na pasie południowym. Trzymając hamulec, Tyler podkręcił obroty silnika do trzech tysięcy. — Gotowa?!

— Nie!!! Absolutnie nie!!!

— Okay! To jazda!!!

Motocykl wystrzelił do przodu z rykiem silnika. Tuż przed nasypem Tyler poderwał lekko kierownicę, jakby chciał jechać na jednym kole. Motocykl opadł dwoma kołami na pochyłość nasypu. Uderzenie wbiło ich w siedzenia i pędzili teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni w górę. Tuż przed szczytem Tyler pochylił się w lewo i wyskoczyli w powietrze, by po chwili twardo wylądować. Motocykl zachwiał się mocno na boki i Tyler przez moment obawiał się, że straci nad nim kontrolę i wbiją się prostopadle w przeciwległą betonową barierkę.

Zgodnie z tym, co mu zawsze powtarzał doświadczony kaskader: „Gdy masz jakieś wątpliwości, to śmiało wal do

przodu", Tyler dodał gazu, ominął barierkę ochronną i wyskoczył na drugą stronę wiaduktu. Tina zdążyła tylko wrzasnąć:

— Aaaaaa!!!

Tyler właśnie się dowiedział, dlaczego takie sceny pokazują w zwolnionym tempie. Poczuł, jakby powietrze zamieniło się w klej, i miał wrażenie, że lecą bardzo powoli, mając mnóstwo czasu na rozmyślanie nad tym, co dzieje się wokół nich. Spadali przez dym docierający tu od karambolu, tak że przez moment nic nie widzieli, aż nagle znów zobaczyli biegnącą na północny zachód autostradę i pokryte lasem zielone wzgórza.

Przednie koło motocykla opadło na beton z ostrym, gumowym chrzęstem. Udało nam się, pomyślał Tyler. Ale to nie był koniec. Tylne koło uderzyło w powierzchnię i odbiło się jak wierzgający żreback — Tina wyleciała z siodełka, trzymając Tylera w pasie. Spadli z motocykla i poturlali się w dół nasypu, bezwładnie machając rękami i nogami.

Harley przeleciał obok, mijając ich zaledwie o cale, i wylądował na drodze. Tyler zakończył turlanie na brzuchu z twarzą na asfalcie, a Tina wylądowała na jego plecach. Przez chwilę leżeli zupełnie bez ruchu, tak jakby ktoś właśnie kazał im tak zrobić po zakończeniu popisu kaskaderskiego. Bo jeśli jakieś kości byłyby połamane, to próba poruszenia się mogłaby pogorszyć sytuację.

Tina wreszcie odkleiła się od pleców Tylera i wstała. Przekręcił się na bok i spojrzał na nią. Miała startą skórę na lewym policzku, ale poza tym wyglądała na niekniętą.

— Nic ci się nie stało? — zapytał.

— Nie. Ale wiedziałam, że to nie najlepszy pomysł.

Tyler wstał na równe nogi. Upadając, uderzył protezą rzepki kolanowej w asfalt i teraz skrzywił się z bólu.

— A z tobą w porządku? — zapytała Tina. — Chyba nie połamałeś sobie nóg?

— Nie, nic mi nie jest.

Kulejąc, podszedł do electry i podniósł ją z ziemi. Motocykl nie wyglądał na uszkodzony, ale gdy nacisnął starter, usłyszał jedynie łupnięcie z rozrusznika i denerwujące klikanie. Spróbował kilka razy, ale silnik nie odpalił.

— Coś się zepsuło? Dasz radę go naprawić?

— Wszystko mogło się zepsuć, bezpieczniki albo coś poszło na złączeniach. A może uszkodził się komputer sterujący.

— To co teraz zrobimy?

— Chyba musimy znaleźć inny środek transportu.

Tina dotknęła siniaka na policzku.

— Mam nadzieję, że nie mam pękniętej kości.

Tyler podszedł do niej i zbadał policzek, dotykając go delikatnie końcami palców.

— Nic ci nie jest. To tylko silne stłuczenie.

— No to pięknie. Dobrze, że dzisiaj nie stoję przed kamerami telewizyjnymi.

Tyler jeszcze raz spróbował uruchomić harleya, ale bez rezultatu.

— Chyba musimy ruszyć pieszo. Żegnaj, staruszkule, wróć po ciebie, jeśli tylko nadarzy się okazja.

◆ ◆ ◆

Uszli zaledwie około stu jardów, gdy usłyszeli odległe burczenie silnika ciężarówki jadącej z południa. Odgłos silnika dochodził zza karambolu pod wiaduktem.

Zatrzymali się i nasłuchiwali. Ciężarówka podjechała do zbitej masy samochodów i zatrzymała się. Między chmurami dymu dostrzegli potężną czerwoną maskę ciągnika siodłowego i wielkie chromowane zderzaki.

— Idziemy. I tak nam się na nic nie przydadzą. Będą musieli zawrócić — rzekł Tyler.

— Tak. My też powinniśmy tak zrobić.

— Muszę przyznać, że masz rację. Choć prawie nam się udało, no nie?

— Owszem, ale za to musimy teraz zasuwać na piechotę.

Ciężarówka zaczęła powoli się cofać, ale nie zawróciła. Przejechała tyłem jakieś czterysta jardów i zatrzymała się. W niebo uniósł się dym z dwóch osmolonych pionowych rur wydechowych i usłyszeli wycie silnika.

— O rany! — westchnął Tyler. — Chyba nie zrobi tego, co myślę.

Kierowca ciężarówki zwolnił hamulce i ruszył w kierunku karambolu, nabierając prędkości. Z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę ciągnik uderzył we wraki samochodów. Wyjeżdżając z karambolu, wypchnął trzy wypalone samochody, które wyleciały, jakby eksplodowała pod nimi bomba, i zepchnął je zderzakiem na pas zieleni między jezdniami. Towarzyszył temu piekielny chrzest blachy o asfalt. Tuż po tym kierowca zwolnił i zatrzymał ciągnik.

Tyler i Tina podeszli do ciężarówki. Na siedzeniu pasażera zobaczyli starszą ciemnoskórą kobietę w jaskrawoczerwonej chustce na głowie, trzymającą w rękach niemowlę. Otworzyły

się drzwi od strony kierowcy i z szoferki wyskoczyła młoda czarnoskóra dziewczyna w dopasowanych džinsach i obcisłym czarnym swetrze.

— Cześć. Mam nadzieję, że za bardzo się nie przestraszyliście.

— Niezły popis kaskaderski — odezwał się Tyler. — Wszystko w porządku?

Kobieta zbadała zderzaki titana. Jeden był wgnieciony, a na błotniku pojawiło się kilka rys. Więcej uszkodzeń ciężarówka nie odniosła.

— Ona ma sześćset koni mocy. Żeby ją powstrzymać, potrzeba czegoś więcej niż kilku wraków. — Mówiąc to, odwróciła się w stronę karambolu. — Choć wcale tego nie chciałam. Biedni ludzie. Aż płakać się chce, prawda? Po prostu chce mi się płakać nad ich losem.

Samochody zepchnięte przez ciężarówkę miały wypalony lakier i ten sam szary, trupi kolor, ich szyby były szare od dymu i nie było przez nie widać spalonych ciał pasażerów.

— A wy sobie wędrujecie pieszo? — zapytała kobieta.

— Tam zostawiłem swojego harleya. Mieliśmy mały wypadek.

Tina wskazała palcem na swój policzek.

— Ktoś chciał się popisać i doszło do wypadku. A tak przy okazji, to jestem Tina. A to Tyler.

— Jasmine. A to moja ciocia Amadi, ale ja mówię na nią ciocia Ammy.

— A ten mały koleś? — zapytał Tyler.

— Nawet nie wiem, jak ma na imię. Na innej autostradzie był karambol i go uratowałam. Jego mama zginęła. Próbo-

wałam skontaktować się z opieką społeczną, żeby go zabrali, ale nikt nie przyjechał.

— To prawdziwy Armagedon — stwierdził Tyler. — Świat, jaki znaliśmy, się skończył. A wy dokąd jedziecie?

— Nie wiem. Na północ. Pomyśleliśmy, że będzie bezpieczniej, jak wyjedziemy z LA, i tyle. Nie chcemy oślepnąć.

— My próbujemy dostać się do San Francisco, a do kładniej do Memory Valley koło Sausalito. Ale tam dzieje się dokładnie to samo co tutaj. Moja matka, ojciec i siostra stracili wzrok wraz z jakąś setką innych ludzi. Nie ma już bezpiecznych miejsc.

— Czy wiecie, co się w ogóle dzieje? — zapytała Jasmine. — My próbowaliśmy odnaleźć mojego brata w Maywood, ale zobaczyliśmy jakieś dziwne stwory w białych maskach, błyskające ostrym światłem. Ciotka Ammy uważa, że to właśnie one wszystkich oślepiają. Nie wiem, kim one są, ale to jakieś szaleństwo. To chyba niemożliwe?

— Niestety, możliwe — odparła Tina, kiwając głową. — My też je widzieliśmy w Hollywood. Widzieliśmy, jak oślepiały jakichś szczeniaków okradających ludzi w domach.

— Wiecie, kim one są?

— Nie mamy zielonego pojęcia.

— Może to jacyś kosmici? — zastanawiała się Jasmine. — No wiecie, jak ci z *Wojny światów*.

— To całkiem możliwe — odezwał się Tyler. — Nie wyglądają na ludzi.

Z okna wychyliła się głowa ciotki Ammy.

— Jazz! Mały robi się głodny!

— Słuchajcie. Możemy was podwieźć, jeśli chcecie — zaproponowała. — I tak nie jedziemy do żadnego konkretnego miejsca.

— To świetnie — odparł Tyler. — Z moim rozwalonym kolanem pewnie nie doszedłbym do następnego miasteczka, a co dopiero do San Francisco.

Wspięli się do kabiny. Zrobiło się w niej dość ciasno. Tina ścisnęła się z ciotką Ammy na siedzeniu pasażera, a Tyler usiadł na podłodze tyłem do kierunku jazdy. Jasmine włączyła silnik i ruszyli na północ.

— Czy ten mały ma jakieś imię? — zapytała Tina. Dziecko patrzyło na nią radośnie i skubało guzik jej swetra.

— Nie uważałam za stosowne sama nadawać mu teraz imienia — odpowiedziała Jasmine. — Zrobię to, jeśli nie uda mi się dowiedzieć, jak się nazywa.

— Mnie się wydaje, że ma na imię Mickey — oświadczyła Tina.

— Mickey? To okropne imię — zdziwił się Tyler.

— No dobrze, to jakie damy mu imię?

— Frank.

— Frank?! To gorsze od Mickey!

— Jeśli chcecie nadać mu imię, to powinno to być Peter, po Oggun — wtrąciła się ciotka Ammy.

— Po kim?

— Oggun to bóg religii Santeria.

— To dlaczego ma mieć na imię Peter?

— Bo to tajemne imię Ogguin. Gdy do Ameryki przywieziono pierwszych niewolników z Afryki Zachodniej, zabroniono im oddawania czci ich własnym bóstwom. Więc

niewolnicy nadali swoim bogom imiona katolickich świętych. Ogguna czczono pod imieniem świętego Piotra. Oggiin będzie dobrym patronem dla tego małego, bo pojawia się zawsze, gdy wydarzają się wypadki drogowe i przelewa się krew.

— Nigdy nie słyszałem o tej religii. Ale Peter to dobre imię. Co o tym sądzisz, Petey?

Petey nagle wybuchnął płaczem.



Rozdział 23

Lasy państwowe hrabstwa Modoc, północna Kalifornia

— Zapnijcie pasy, dobrze? — poprosiła strażniczka Butowski.

— Nie mogę znaleźć sprzączki — odparła Cayley.

— Jest tuż obok ciebie na siedzeniu.

Cayley macała ręką, ale nadal nie mogła jej znaleźć.

— Właśnie tam, gdzie szukasz. — Głos strażniczki Butowski zdradzał rosnące zniecierpliwienie.

— Nic nie widzę — wyjaśniła Cayley. — Nie widzę. Jestem ślepa.

— Co?

— Wszyscy jesteśmy ślepi. Cała czwórka.

Strażnik Edison odwrócił się w fotelu.

— Co wy mówicie? Jak to: ślepi? Żartujecie sobie ze mnie?

— To prawda — wyznał Charlie. — To się nam przydarzyło wczoraj.

— Hej, bądźcie poważni. Przecież widzieliście nas wyraźnie, gdy lądowaliśmy.

— Tak. Ale nie wiemy, jak to się stało. Gdy trzymaliśmy

się za ręce, odzyskaliśmy wzrok. Ale jak tylko puściliśmy dłonie, znowu go straciliśmy.

— Trudno to zrozumieć, prawda? — mruknął Remo. — Sam w to nie wierzę.

— Wiecie, że ludzie tracą wzrok w całym kraju, od wybrzeża do wybrzeża? — zapytał strażnik Edison.

— To znaczy, że nie tylko my straciliśmy wzrok?

— To jakaś pandemia. Samoloty pasażerskie spadały na ziemię, bo piloci tracili wzrok w powietrzu. Ludzie wchodzi na ulice i ginęli pod kołami samochodów. Olbrzymie kraksy samochodowe pochłonęły mnóstwo ofiar. Zabraliśmy trzech innych wędkarzy wczoraj po południu i jednego ornitologa amatora tuż po świcie dzisiaj. Oni też byli niewidomi.

Podniósł mikrofon do ust, posrakał w niego parę razy.

— To nie wszystko, wszelka komunikacja przestała istnieć. Straciliśmy kontakt z naszą komendą w Alturas jakieś pół godziny temu i nie możemy połączyć się ze strażnikami ze stanic. Nie wiadomo, co się dzieje. Osobiście uważam, że to wpływ wzrostu aktywności na powierzchni Słońca. Nacisnął guzik startera i śmigła wirnika zaczęły się obracać. — Nie martwcie się — dodał strażnik Edison. — Zawieziemy was do lekarza.

Helikopter uniósł się w powietrze i strażnik pochylił go w stronę rzeki. Byli zaledwie pięćdziesiąt stóp nad ziemią, gdy przez dym unoszący się nad dopalającym się winnebago pilot dostrzegł trzy postacie.

— Hej, Jim! — zawołała strażniczka Butowski. — Tam jest jeszcze jakaś trójka ludzi. Powinniśmy sprawdzić, czy z nimi wszystko w porządku.

— Ilu ich jest? — zapytał Remo, przekrzykując łoskot silnika.

— Troje! A dlaczego pytasz? Spotkałeś ich wcześniej?

— Facet w czarnym ubraniu i dwóch śmiesznie wyglądających gości o białych twarzach i z rogami na głowach?

— Tak. Jim, wyląduj. Musimy sprawdzić, czy nie są ranni.

— Nie! — wrzasnął Remo.

— W czym problem? — zapytał strażnik Edison.

— To oni! To właśnie oni nas oślepi!

— Co ty mówisz?

— Uciekajmy stąd! Szybko!

— Przykro mi, ale naszym obowiązkiem jest opieka nad każdym na terenie parku narodowego, kto może mieć kłopoty. Musimy z nimi porozmawiać i sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy.

— Proszę, nie róbcie tego! — zawołał Mickey. — Was też mogą oślepić!

— Hej! Uspokójcie się! To nie potrwa długo — oświadczył strażnik Edison.

Ruszył drążkiem sterującym i helikopter wykonał ciasny nawrót nad rzeką, wzbijając kropelki wody w powietrze.

— Proszę — błagała Cayley. — Musicie nam uwierzyć! Kto nas stąd zabierze, jeśli wy też stracie wzrok?

Ale helikopter już powoli obniżał pułap i lądował na parkingu, a Piekielny John i jego dwóch kanciastych kompanów ruszyli w jego kierunku.

— Czy oni tu jeszcze są? — zapytał Remo.

— Tak. Ale bez paniki — odparł strażnik Edison. — Tylko

sprawdzimy, czy wszystko jest okay, i zaraz się stąd wynosimy. A jeśli będą stwarzać problemy, to pod siedzeniem mam remingtona.

— Jezus Maria, człowieku! Broń ci nic nie pomoże! Wystarczy, że na ciebie spojrzą!

Helikopter był już trzy metry nad ziemią. Piekielny John podniósł obie ręce i ze szparek w maskach jego kompanów wystrzeliło białe oślepiające światło.

— Co, do jasnej cholery...?! — zawołał strażnik Edison.

Strażniczka Butowski złapała się za oczy.

— Nic nie widzę, Jim! Nic nie widzę!

— Odlatuj! Odlatuj! Już! — wrzeszczał Remo, kopiąc nogą w bok kabiny.

Tym razem strażnik Edison już się nie wahał. Obrócił helikopter wokół osi głównego wirnika, jednocześnie unosząc go prawie pionowo, aż zrównali się ze szczytem wzniesienia. Potem skierował helikopter na północ wzdłuż rzeki Pit. Wszyscy trzymali się kurczowo swoich foteli, czując, jakby ich żołądki zostały na parkingu.

— Margot! Co się stało? Powiedz mi, że wszystko okay?!

— Nic nie widzę! — szlochała strażniczka Edison. — Nic nie widzę! Mam czarno przed oczami!

— Jezu! Przecież mówiłem wam, żeby się stamtąd wynosić — wymamrotał Remo.

— Zamknij się już! — odburknął Edison.

— O Boże! I co teraz będzie? — jęczała Butowski.

— Spokojnie! Polecimy do Alturas. Znajdziemy okulistę. Dzieciaki też nas widziały przez chwilę, a to znaczy, że to może być tylko tymczasowa utrata wzroku.

Lecieli na północ. Strażniczka Butowski cały czas łkała,

a Mickey i reszta nie odzywali się ani słowem. Byli poobijani i wykończeni i nic nie mogli zrobić, żeby jej ulżyć.

— Kim byli ci ludzie? — zapytał strażnik Edison po pięciu minutach lotu. — Co to były za błyski? Lasery?

— Ten facet w czarnym ubraniu powiedział, że nazywa się Piekielny John. Jest Indianinem — odpowiedział Mickey.

— Indianinem? A ci pozostali dwaj?

— Nie wiemy. Facet na czarno nawet wypowiedział ich imiona: Tuddy jakoś tam i Tubby jakoś tam. Ale to nie byli prawdziwi ludzie.

— Jak to: nie prawdziwi ludzie?

— No nie. Wyglądali, jakby byli zrobieni z drewna.

— No tak, z drewna — powtórzył ironicznie Edison i spojrzął przez plecy na Mickeya.

Nie zadał już więcej pytań, tylko zaczął wywoływać komendę przez radio.

— Tu strażnik parku stanowego Emmet, wzywam komendę w Alturas! Strażnik parku stanowego Emmet, wzywam komendę w Alturas! Odbiór!

Nie było odpowiedzi, tylko głośnie, nieustające syczenie w słuchawce. Strażniczka Butowski zaczęła łkać jak małe dziecko.

— Nie zobaczę już dzieciaczków mojej siostry. Nie będę mogła pracować ani prowadzić samochodu, ani oglądać telewizji, ani nic.

— Trzymaj się, Margot. Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

Lecieli dalej w milczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że strażnik parku Edison nie był zainteresowany dyskusowaniem

o Indianach w czarnych garniturach ani o drewnianych ludziach o białych twarzach z rogami na głowach. Sądził zapewne, że młodzi kłamią albo ulegli złudzeniu, albo po prostu nie chciał o tym myśleć.

— Przed nami lotnisko w Alturas — odezwał się pilot.

Ale gdy pochylił helikopter i zaczął podchodzić do lądowania, krzyknął niemal bezgłośnie: „Nie!”, helikopterem zakołysało i zatrzęsło, po czym cały przekręcił się wokół własnej osi. Silnik wył, zmieniając obroty, jak piła łańcuchowa tnąca gałęzie drzew. Cayley i strażniczka Butowski wrzeszczały ze strachu, chłopcy zresztą też.

— Co się dzieje? — zapiszczała Cayley. — Co się dzieje?!

Helikopter zakręcił się jeszcze raz wokół osi, po czym ustabilizował lot, a silnik wrócił do prawidłowych obrotów.

— Już w porządku! Już w porządku! Nie panikujcie! Wszystko będzie dobrze! — wybełkotał rozhisteryzowany Edison.

— Co się dzieje, człowieku? — zawołał Remo. — No powiedz, co się dzieje, do cholery?

— Ja też straciłem wzrok, ale myślę, że poradzę sobie z lądowaniem.

— Co?! Ty też oślepeś?! Jezu!!!

— Wszyscy zginiemy! — jęczała Cayley. — Rozbijemy się i zginiemy!

— Spokojnie! Posłuchajcie mnie! Lotnisko w Alturas było niecałe dwie mile przed nami. Polecę na wprost parę minut i wyląduję. Jeśli zrobię to ostrożnie, wszystko będzie dobrze.

— Ale my się kręciliśmy dookoła. Skąd wiesz, że teraz

lecimy w tym samym kierunku? — zapytał sceptycznym tonem Charlie.

— Podejrzewam, że wykonaliśmy obrót o trzysta sześć dziesiąt stopni. Lecimy mniej więcej w tym samym kierunku.

— Ale czy „podejrzewam” to to samo co, jestem całkiem pewien”? — zapytał Charlie piskliwie. — A „mniej więcej” to jaki to jest kierunek?

— Nie wiem. Podejrzewam, że mniej więcej ten sam.

Lecieli przed siebie, a helikopter to opadał, to unosił się i tańczył na boki. Strażnik Edison starał się lecieć na wprost. Butowski zaczęła liczyć na głos do stu.

— Minęły dwie minuty! Powinniśmy znajdować się teraz nad lotniskiem.

Strażnik Edison przesunął drążek sterujący i helikopter zawisł nad ziemią, a następnie bardzo powoli zaczął obniżać pułap.

— Dobry Boże, nie pozwól nam umrzeć. Dobry Boże, proszę, nie pozwól nam umrzeć. Nie pozwól nam się spalić żywcem. Cokolwiek miałoby się stać, nie pozwól nam się spalić — modliła się Cayley.

— Czy możesz się uspokoić, do cholery?! — warknął na nią Remo.

Helikopter był coraz niżej i Mickeyowi wydawało się, że już powinni prawie dotykać pasa. Strażnik Edison zszedł jeszcze kilkanaście stóp niżej, ale wtedy usłyszeli ostry odgłos drapania w spód kabiny i helikopterem rzuciło raptownie w lewo. Z wyciem silnika Edison poderwał maszynę.

— Co to było? — odezwała się Cayley. — Mało się nie rozbiliśmy.

— Drzewo — odpowiedział Edison zwięźle.
— Czyli nie jesteśmy nad lotniskiem — zawyrokował Charlie.

— Nie. Nie jesteśmy. I szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie jesteśmy. Ale trzymajcie się, bo mam zamiar spróbować jeszcze raz.

Poleciał do przodu, odliczając kolejne sto sekund i spróbował lądować, tym razem robiąc to jeszcze ostrożniej. Mickey przymknął powieki i próbował wyobrazić sobie swój dom i rodzinę, i swojego psa — czarnego labradora wabiącego się Jet. Z niewiadomego powodu wierzył, że gdy rzuca się ze skały Infernal Caverns, jakiś cud ich uratuje, ale teraz był całkowicie przekonany, że zginą.

Strażnik Edison bardzo powoli opuszczał helikopter; wydawało się, że jedynie wiszą w powietrzu. Ale gdy poczuli, że tylko prawa płoza uderzyła w coś twardego, Edison momentalnie poderwał helikopter.

— To mogło być zbocze góry albo skos jakiegoś dachu.

Poleciał jeszcze kawałek do przodu i spróbował posadzić helikopter po raz trzeci. Tym razem rozległ się ostry chrzęst łamanych gałęzi i wyraźnie poczuli, że lądują na czubku drzewa. Cayley zaczęła głośno płakać.

— Po prostu wyląduj gdziekolwiek, człowieku, i już — rzucił Remo.

— Nadal mamy dużo paliwa — powiedział Edison. — Jeśli rozbijemy się przy lądowaniu, to twoja dziewczyna faktycznie będzie miała powody, by bać się, że spłonie żywcem. Uważam, że powinniśmy najpierw wylatać całe paliwo.

— Przecież to nonsens — odparł Remo. — nie wiemy nawet, jak wysoko nad ziemią jesteśmy. Możemy rozbić się o jakąś górę, wszystko może się zdarzyć. Jak daleko można przelecieć tym helikopterem?

— Ze trzysta pięćdziesiąt mil.

— Rany boskie! To równie dobrze możemy utonąć w oceanie!

— Posłuchajcie! — powiedział Edison. — Wszyscy jesteśmy ślepi, więc nie mamy zbyt wielu możliwości, prawda? Mógłbym próbować lądować, ale jest to zbyt niebezpieczne w sytuacji, gdy mamy jeszcze sto galonów paliwa.

— Ale gdy skończy się paliwo, i tak się rozbijemy!

— Nie spadniemy po prostu z nieba. Włączę łopaty wirnika w autorotację i ześlizgniemy się na dół.

— To najmniej niebezpieczne wyjście — wtrąciła się strażniczka Butowski. — Z pełnymi bakami paliwa nie mielibyśmy szansy, gdybyśmy trafili na wierzchołek drzewa albo zbocze góry.

— Dobrze. To zrobimy tak, proszę. Nie chcę spłonąć żywcem — błagała Cayley. — Mój chłopak rozbił się samochodem i spłonął w nim żywcem.

Edison zwiększył pułap i prędkość lotu. Mickey wiedział, że w każdej chwili mogą uderzyć w zbocze góry, drzewo lub słup linii wysokiego napięcia, ale był już spokojny, bo pogodził się z tym, że i tak zginą.

— Nie martwcie się, my, piloci helikopterów, wierzy my, że im trudniejsza sytuacja, tym łatwiej z niej wyjdziemy.

— Dzięki — odparł Remo. — Nie pozostaje więc nam nic innego, jak tylko w to uwierzyć.

— Próbuję podtrzymać was na duchu. Przecież jeszcze żyjemy, prawda? Jeszcze jesteśmy w jednym kawałku. I tak zostanie.

◆ ◆ ◆

Lecieli przez trzy godziny. Mimo świadomości, że w każdej chwili mogą się rozbić, monotonne uderzanie łopat wirnika helikoptera LongRanger uspokoiło Cayley, Charliego i Mickeya do tego stopnia, że usnęli. Remo nie mógł się nawet zdrzemnąć. Siedział z pochyloną głową jak w pozycji do awaryjnego lądowania, marząc o tym, by ten koszmar wreszcie się skończył w taki czy inny sposób. Ta bezkresna ciemność przed oczami była najbardziej dołująca; pomyślał, że jeśli nawet przeżyją lądowanie, to i tak pozostanie ślepy do końca życia.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, silnik helikoptera zaczął się krztusić i zmniejszył obroty.

— Skończyło się paliwo! Lądujemy! — oznajmił strażnik Edison.

Cayley, Charlie i Mickey obudzili się z drzemki. Silnik zupełnie stanął i Edison odłączył główny silnik, by płaty mogły się swobodnie obracać i podtrzymywać w powietrzu opadający helikopter. Mickey czuł, jakby spadali jak cegła, ale Edison ich uspokajał.

— Lądujemy jak według instrukcji awaryjnej! Doskonała autorotacja! Nic nam się nie stanie, jeśli nie uderzymy w coś wystającego!

Nikt nie odpowiedział ani słowem. Trzymali się siedzeń, a gdyby nie byli ślepi, widzieliby swoje blade, przerażone twarze. Helikopter spadał z nieba, płaty wirowały swobodnie

ze świstem, jakby chciały wygwizdać smutną melodyjkę przygotowującą do najgorszego.

— Nie bójcie się! — uspokajał ich strażnik Edison. — Jeden Francuz wylądował z wysokości czterech tysięcy stóp na wyłączonych silnikach.

— Boże, proszę! — łkała i modliła się Cayley. — Boże, proszę, pomóż nam!

Nie mieli najmniejszego pojęcia, jak długo opadali, ale wydawało im się, jakby trwało to w nieskończoność, jakby nigdy nie mieli dotknąć ziemi. Szum i gwizd wolno kręcących się płatów nie chciał się skończyć. Aż nagle z przerażającym hukiem helikopter uderzył w ziemię. Siła wstrząsu porzuciła jego pasażerów we wszystkie strony. Mickey uderzył barkiem w przegrodę kabiny, a potem głową w kolano Rema, tak silnie, że aż go zamroczyło. Poczł, że Cayley chwyciła się jego koszuli i oderwała jeden z rękawów, a po chwili Charlie wpadł mu na plecy.

Helikopter przewrócił się na prawą burtę i przekoziółkował dwa razy. Pasażerowie czuli się jak w bębnie olbrzymiej suszarki do prania. Wreszcie ze zgrzytem blachy helikopter zakołysał się po raz ostatni i zatrzymał.

— Wylądowaliśmy! — krzyknął strażnik Edison. — Czy ktoś jest ranny?

— Mnie nic nie jest — odpowiedział Remo. — Cayley, a co z tobą?

— Znowu uderzyłam się w ramię.

— Ale żyjesz, to najważniejsze. Charlie? Mickey?

— Jeśli tylko Charlie ze mnie zejdzie, też nic mi nie będzie.

— Charlie?

— Uderzyłem się w głowę i chyba leci mi krew.

— Margot, a ty?

Strażniczka Butowski milczała.

— Margot! — powtórzył Edison. — Margot, co z tobą?
Margot!

Po omacku próbował stwierdzić, co się jej stało, bo nagle zawołał:

— O Boże! O Boże! Margot.

— Co się stało? — zapytał Remo. — Może tylko straciła przytomność?

— Chyba nie. Wyczuwam ręką jakiś fragment ramy helikoptera, który przebił jej żebra. Jest mnóstwo krwi. I nie wyczuwam pulsu.

— O Jezu!

Próbowali się jakoś samodzielnie wydostać z leżącego na boku helikoptera, gdy usłyszeli nawoływania i stukanie w kabinę.

— Hej tam, ludzie! Żyjecie? Zaraz was stamtąd wydostaniemy.

Ktoś wspinał się po kabinie i próbował otworzyć drzwi.

— Michael, podaj łom! Dave, pomóż mi!

W końcu wyrwano drzwi z zawiasów i ręce ratowników sięgnęły w głąb kabiny, by wydostać rozbitków.

— Macie mnóstwo szczęścia, że nie zginęliście.

— Moja partnerka... — odezwał się strażnik Edison —
...jest poważnie ranna.

— Sanitariusz! — zawołał głos. — Tu jest ranna kobieta!

Cesarze IT usiedli na ziemi. Choć byli w szoku, to wyczuli, że siedzą na pięknie przystrzyżonym trawniku.

— Słuchajcie — odezwał się Mickey. — Złapmy się za

ręce. — Ujął dłoń Charliego po swojej lewej stronie i dłoń Cayley po prawej. Remo chwycił za drugą rękę Charliego i niemal natychmiast ich oczy wypełniły się światłem i kolorami.

Siedzieli w soczyście zielonym parku, niebie było intensywnie błękitne, a wokół stało około trzydziestu osób. Obok dostrzegli ambulans i dwa policyjne radiowozy z wydziału szeryfa hrabstwa Marin.

Dwóch policjantów próbowało wyważyć przednią szybę helikoptera. Jeden z głównych silników helikoptera odpadł od całości i wyglądał jak zgnieciony świerszcz. Śmigłowiec zostawił za sobą piętnastej ardowy pas zrytej ziemi i teraz dopiero zdali sobie sprawę, że ledwie udało im się ominąć czubki orzechów włoskich, których szpalery wytyczały granice parku.

— Wszyscy straciliśmy wzrok — oświadczył strażnik Edison. — Te dzieciaki, ja i moja partnerka. Dlatego się rozbiliśmy.

— Bóg nad wami dziś czuwał, przyjacielu — stwierdził siwy mężczyzna w białym swetrze. — Tutaj ponad setka mieszkańców oślepla.

— A gdzie jesteśmy? — zapytał Remo, rozglądając się dookoła. — Byliśmy w powietrzu bardzo długo, żeby zużyć całe paliwo.

— Jesteście w parku imienia Dana Johnsona w Memory Valley. A wy, dzieciaki, na pewno nie widzicie?

— Memory Valley? Niemożliwe! Dolecieliśmy aż tu? Przecież to daleko na południu!

Trzem mężczyznom udało się wreszcie podważyć i wyciągnąć przednią szybę helikoptera. Była wykonana z plek-

siglasu i od wewnątrz zabrudzona krwią. Sanitariusz pochylił się i zajrzał do kokpitu, ale po chwili wyprostował się i rozłożył szeroko ramiona.

— To okropne — przyznał Charlie. — Mogło przydarzyć się każdemu z nas.

— Nie wiem jak wy — zaczął Remo — ale ja bym chętnie się czegoś napił, a potem powinniśmy zbierać się do domu. Mam nadzieję, że moim rodzicom nic się nie stało.

Edison siedział na trawie niedaleko nich. Sanitariusz przyklęknął przy nim i szeptał mu coś do ucha. Kiwał głową ze zrozumieniem i wycierał łzy spływające po policzkach strażnika.

— Chodźcie, złapiemy go za rękę. Może też odzyska wzrok — zaproponowała Cayley.

Trzymając się za ręce i tworząc ludzki łańcuch, podeszli do Edisona. Gapie dziwnie się na nich patrzyli, ale przyjaciele wcale się tym nie przejmowali.

— Panie strażniku? — odezwał się Mickey. Edison podniósł głowę i patrzył niewidzącym wzrokiem w jego stronę. — Trzymamy się za ręce. Odzyskaliśmy wzrok.

Strażnik Edison zerwał się na równe nogi.

— Widzicie? Widzieliście Margot?

— Tak. Zginęła na miejscu. Niech pan weźmie nas za ręce, dobrze?

Edison wahał się przez moment, ale wyciągnął przed siebie rękę. Remo ujął jego dłoń i prawie natychmiast strażnik mrugnął do nich.

— Widzę! A to numer! To niezwykle!

Spojrzał na wrak longragera. Policjanci przykrywali właśnie kokpit niebieskim kocem

— Margot... Dlaczego to musiałaś być ty? To była taka wspaniała dziewczyna. Inteligentna, wesoła. I była takim dobrym strażnikiem. Naprawdę się starała. Nie tak jak te dupy wołowe, które tylko lubią nazywać się strażnikami przyrody.

Podeszli do nich dwaj policjanci, którzy wcześniej pracowali przy helikopterze.

— Powinniście przejść jakieś badania. Ale z tym może być problem, bo wielu ludzi straciło wzrok i z tego powodu doszło do mnóstwa wypadków, szpitale są przepełnione.

— Myślę, że nic nam nie jest — odpowiedział Edison, stukając się w klatkę piersiową. — Nie czuję, żebym miał coś połamane.

— Musimy już jechać do naszych domów w Pało Alto — oświadczył Mickey. — Nasz lekarz domowy nas zbada.

— To niezły pomysł — odparł zastępca szeryfa. — Tylko nie wiem, jak się tam dostaniecie. Nie jeżdżą autobusy, taksówki ani pociągi. Nie istnieje komunikacja między miastowa.

Czarny labrador zupełnie podobny do Jęta podbiegł do nich przez trawnik.

— Też mam takiego psa. Wygląda identycznie! — za wołał Mickey.

Jeden z policjantów zmarszczył brwi i opuścił okulary na nos.

— Chyba, synu, powiedziałaś, że straciliście wzrok.

— Raz tracimy, a potem powraca. Proszę nie pytać nas, jak to się dzieje, bo nie mamy najmniejszego pojęcia.

Policjant wyglądał, jakby chciał zapytać, dlaczego trzy-

mają się za ręce, ale jego kolega kiwnął na nich, by podeszli do wraku helikoptera.

— Słuchajcie. Jeszcze będziemy musieli pogadać o tym wypadku, dobrze? Ale teraz idźcie na rynek. Co prawda nie ma prądu, lecz bistro jest otwarte. Na pewno coś tam się znajdzie do picia i będziecie mogli doprowadzić się do porządku.

♦ ♦ ♦

Poszli przez park, trzymając się za ręce. Byli już przy głównej bramie prowadzącej wprost na główny plac miasteczka, gdy Remo zatrzymał się i zawołał:

— Zobaczcie!

Głęboko w cieniu drzew orzechowych po drugiej stronie parku zobaczyli ponad dwa tuziny żołnierzy, sześciu z nich siedziało na koniach. Niektórzy mieli kapelusze o szerokich rondach i płaszcze do kostek. Jeźdźcy mieli ciemnoniebieskie kurty i spodnie z pojedynczym lampasem oraz długie jasnozłote rękawice. Stali tam bez ruchu, jedynie konie były zaniepokojone i potrzęsały uzdami, a brzęk uprzęży słychać było aż przy bramie.

— Wyglądają zupełnie tak samo jak ci faceci, których spotkaliśmy, zanim przyleciał helikopter. Zupełnie jak ka waleria z dawnych czasów — rzekł Mickey.

— Może mają tu jakieś uroczystości i odtwarzają dawną bitwę albo coś podobnego — zastanawiał się na głos Charlie.

— Tak sądzisz? — odezwał się sceptycznie Remo. — Ludzie w całym kraju tracą wzrok, a oni przebieraliby się tutaj w kolorowe kostiumy?

Stali i przez minutę przyglądali się żołnierzom. Cień

robił się coraz głębszy, aż zupełnie pochłonał jeźdźców i żołnierzy, którzy zniknęli z widoku.

— No i jak mam to wszystko rozumieć? — zapytał Edison. — Nawet nie chciałbym przyznać się do tego, że widziałem duchy, ale oni przecież wyglądali jak duchy.

— A pan wierzy w duchy? — zapytał Mickey.

— Nie, absolutnie nie. Ale jeśli oni nie byli duchami, to kim, do licha, byli?

Rozdział 24

Waszyngton, DC

Prezydent siedział za biurkiem w Gabinetcie Owalnym.

— Nastaje taki czas, że przywódca musi stanąć w pierwszym szeregu z narodem bez względu na ryzyko, i właśnie taki czas nastał.

— Nie bardzo rozumiem, panie prezydencie — odrzekł generał McNamara.

— Chcę osobiście udać się do Memory Valley. Jeśli tam właśnie ma zostać przeprowadzony pierwszy atak na nasz naród, to uważam, że powinienem tam być, by razem bronić naszego kraju.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie — odezwał się John Rostoff, sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. — Pańska informacja, że Memory Valley będzie miejscem pierwszego ataku tego terrorystycznego ugrupowania... sam pan powiedział, że otrzymał pan ją w jakiejś wizji. Jeśli poleci pan do Memory Valley, to narazi się pan na wielkie ryzyko, o ile w ogóle tam pan dotrze, bo załoga helikoptera może stracić wzrok po drodze. Nawet jeśli ta informacja okaże się prawdziwa, Bóg jeden raczy wiedzieć, jakich aktów przemocy dopuszczą się terroryści.

Prezydent wstał i podszedł do okna. Mimo przeżytej ślepoty szybko odzyskał wigor. Stał wyprostowany, oczy świeciły mu się blaskiem energii, a szczeka wysunęła się agresywnie. Znowu był „starym mopsem”, który chętnie stawał do walki, gdy piętrzyły się przeciwności losu.

— Ci „terroryści”, John, to Indianie albo raczej duchy Indian, które chcą, by kraj powrócił w ich władanie. Nie wiem, jak mają zamiar to osiągnąć, ale na własne oczy widziałem ich nadnaturalną moc. I jeśli potraktujemy ich siłę jak zwykłą sztuczkę magiczną albo szachrajstwa, to popełnimy poważny błąd.

— Zdaje pan sobie sprawę, panie prezydencie, że trudno jest nam w to wszystko uwierzyć — odrzekł generał McNamara. — Bez względu na etniczne pochodzenie, ci ludzie to terroryści albo obce siły inwazyjne i powinniśmy od powiednio ich traktować.

— Generale, ogień należy zwalczać ogniem. Sam wi działem, że oni potrafią pojawiać się i znikać, kiedy chcą. Mogą przybierać różne postacie. Rany boskie, generale, oni złączyli ciałami dwóch agentów Secret Service na moich oczach, na oczach wielu świadków.

— Co pan proponuje? — zapytał z rezerwą generał.

— Nie mamy łączności radiowej, więc chcę, żeby wy słało samolot do Presidio w San Francisco. Niech Szósta Armia będzie w pogotowiu i do tego Dziewiąta Dywizja Piechoty z Fort Lewis w stanie Waszyngton. Wyślijcie też posłańców drogami, na wypadek gdyby samolot nie doleciał. I tylko tyle możemy zrobić konwencjonalnymi metodami. Leilo, a jak wyglądają nadnaturalne aspekty tej sprawy?

Leila Whitefeather, czystej krwi Indianka z plemienia

Nawahów, przystojna czterdziestopięciolatka o długich ciemnych włosach upiętych w kok, była podsekretarzem do spraw Indian. Na sobie miała szarą garsonkę o oficjalnym kroju, a jedynymi indiańskimi symbolami w jej wyglądzie były kolczyki z oprawionym w srebro turkusem i srebrna broszka z turkusami w kształcie żółwia.

— Przykro mi, panie prezydencie, ale magia Indian nie odgrywa już takiej roli jak dawniej, jeśli w ogóle kiedykolwiek odgrywała jakąś istotną rolę. Każde plemię miało bogaty i złożony system wierzeń, w skład którego wchodziło leczenie czarami oraz moc wpływania na pogodę i zsyłanie pożogi na wrogów. Jednak obecnie te wierzenia służą raczej zachowaniu historii i tradycji plemienia. Są bardzo cenną spuścizną. Uważam, że w tym wypadku nie mamy do czynienia z magią, jaką znaliśmy. Gdy ludzie umierają, są martwi bez względu na wyznawaną religię. Nie wracają ot tak sobie do życia, żeby odzyskać ziemię, które utracili, niezależnie od tego, jak romantyczne może być takie wyzwanie.

Prezydent spojrział na nią z powagą.

— To bardzo pragmatyczne podejście, Leilo. Ale jak w takim razie wytłumaczysz wizje, które miałem w szpitalu? Jak wytłumaczysz Szarego Wilka, który przeszedł przez ochroniarza, jakby ten był bezcielesny? Jak wytłumaczysz tysiące oślepych Amerykanów i tyle ofiar?

— Uważam, że musimy szukać technologicznie zaawansowanej broni, panie prezydencie, a nie magii. I naprawdę myślę, że te wizje były tylko wizjami.

Prezydent rozejrzał się po gabinecie. Pomyślał, że jeśli poleci dziś do Memory Valley, to może już tu nie wrócić.

— Jeżeli nie mogę ufać własnej ocenie sytuacji i swojej poczytalności, to czyjej ocenie i czyjej poczytalności mogę ufać? Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych, panie i panowie, i lecę do Memory Yalley bronić naszego narodu. Przygotujcie Marinę One do lotu do San Francisco. Ruszam za dwadzieścia minut.

Rozdział 25

Memory Valley, Kalifornia

Gdy przechodziliśmy przez główny plac miasteczka, idąc z powrotem do Sweet Memory's Bed & Breakfast, zauważyliśmy, że drzwi Aspen Cafe są otwarte, a w środku siedzi pełno ludzi. Front bistra był przeszklony, wewnątrz na lakierowanej podłodze z dębowej klepki stało ze dwadzieścia okrągłych stolików z krzesłami z giętego drewna. Tylną ścianę wyłożono lustrami, wskutek czego można było odnieść wrażenie, że w kafejce siedzi dwukrotnie więcej ludzi. Pod sufitem wisiały dwa wielkie wentylatory, ale z powodu braku prądu nie pracowały, toteż w środku było gorąco i duszno.

Młoda rudowłosa kobieta zainstalowała kempingową kuchenkę gazową na marmurowym blacie i parzyła kawę. Długa kolejka ludzi czekała na obsługę. Przynajmniej jedna trzecia z nich była ociemniała, a pozostali — żony, mężowie, przyjaciele, a nawet dzieci — byli ich przewodnikami.

— Napijemy się kawy? — zapytałem Amelię. — Wy-

gląda na to, że mają też coś do jedzenia. Przynajmniej markizy Oreo i batony KitKat.

Kupiłem dwie filiżanki czarnej kawy i przyniosłem je do stołu koło okna, przy którym siedziało już pięcioro ludzi — trzech młodych mężczyzn w dżinsach i bawełnianych bluzach, ładna dziewczyna w dżinsowej mini i — co było dziwne — umundurowany strażnik z parku narodowego ze szczeniastymi brązowymi wąsami. A co wydawało się jeszcze dziwniejsze — byli posiniaczeni i podrapani, jakby toczyli jakąś walkę wręcz. Dziewczyna trzymała rękę na zaimprovizowanym z paska do spodni temblaku, a jeden z chłopaków miał oderwany rękaw koszuli. Ale najdziwniejsze wydawało się, że wszyscy trzymali się za ręce.

Było ich pięcioro, ale przy stole nadal stały trzy wolne krzesła.

— Możemy się przysiąść? — zapytałem.

Spojrzeli po sobie z zażenowaniem. Jeden z młodzieńców odezwał się pierwszy.

— Problem w tym, że my nie możemy przerwać kręgu.

— A co, urządzacie jakiś seans spirytystyczny?

— Nie, nic takiego. Wszyscy straciliśmy wzrok, ale odkryliśmy, że jeśli trzymamy się za ręce, to widzimy.

Ta informacja natychmiast wzbudziła zainteresowanie Amelii.

— Więc widzicie tylko wtedy, gdy trzymacie się za ręce?

— Właśnie. Ale nawet nie wiemy, jak długo to potrwa.

— A jak oślepiście?

— Byliśmy na rybach nad rzeką Pit. W parku stanowym w hrabstwie Modoc. I wtedy podszedł do nas ten Indianin cały ubrany na czarno, a z nim były takie dwie dziwne

postacie, jakby ogromne lalki. No nie wiem... lalki, a może roboty.

— Te lalki czy roboty, czy coś tam... — zaczęła z namysłem Amelia — czy miały białe twarze i prostokątne ciała pomalowane na czarno i czerwono? I bardzo jasne światła rozbłyskiwały z ich oczu?

Wszyscy energicznie pokiwali głowami.

— Tak, tak! Tak było! Pani też ich widziała?

— Nie widzieliśmy ich na własne oczy — oznajmiłem. — Ale opowiadano nam o nich. Siostra Amelii i jej rodzina zostali oślepieni w Parku Krajobrazowym Hell's Canyon w Oregonie.

— Mogę zaświadczyć, że mówią prawdę, bo te dziwadła mnie też odebrały wzrok. Przylecieliśmy tutaj helikopterem straży parkowej ponad trzysta pięćdziesiąt mil, bo chcieliśmy zużyć paliwo, i rozbiliśmy się. Moja partnerka nie żyje. Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

— A to trzymanie się za ręce... jak na to wpadliście?

— Zupełnie przypadkowo. Po prostu złapaliśmy się za ręce, gdy usłyszeliśmy helikopter.

Amelia rozejrzała się po kafeterii. Wokół było wielu ociemniałych ludzi.

— Czy już komuś o tym mówiliście?

— Jeszcze nie. Zastanawialiśmy się, czy tego nie zrobić, ale nie chcieliśmy dawać ludziom płonnych nadziei, bo gdyby się chwycili za ręce i nadal nic nie widzieli... Pomyśleliśmy, że poczekamy na zastępców szeryfa, którzy chcą z nami porozmawiać, może oni sami coś zdecydują. Nie chcemy wywołać zamieszania.

Na zewnątrz zapadał zmrok. Ciemna chmura zasłoniła popołudniowe słońce, aż główny plac miasteczka wydał się

zupełnie pozbawiony kolorów. Nawet liście osik stały się szare i zaczęły drżeć.

— Chyba będzie padać — oznajmił strażnik parkowy.

— Czy mogłabym chwycić was za ręce? — zapytała Amelia.

Piątka spojrzała po sobie. Bali się przerwać łańcuch, by znowu nie stracić wzroku.

— Jestem medium — wyjaśniła. — I jestem bardzo wrażliwa na takie kręgi ludzkie. Chciałabym się dowiedzieć, jaka energia między wami przepływa, bo podejrzewam, że właśnie tak się dzieje.

— Ona naprawdę jest świetna — zapewniłem ich, potwierdzając to uniesieniem kciuka. — Potrafi rozmawiać z duchami.

— No to co robimy? — Młody facet o włoskich ryśach z kilkudniowym zarostem na twarzy zapytał pozostałych.

— Nie, człowieku! A jeśli stracimy wzrok na zawsze? — odpowiedział grubasek o kręconych włosach i czerwonych policzkach.

— Myślę, że powinniśmy spróbować — odezwała się dziewczyna. Spojrzała na Amelię i dostrzegłem, że natychmiast pojawiło się między nimi porozumienie. Czasem właśnie tak się dzieje, że spojrzysz na kogoś jeden raz i ci się spodoba, wtedy natychmiast nabierasz do niego zaufania. Ta dziewczyna od razu polubiła Amelię. A może tylko spodobały jej się wielkie kolczyki Amelii i jej pobrzękujące bransoletki? — Może dzięki temu odzyskamy wzrok na stałe? Żebyśmy nie musieli zawsze trzymać się za ręce? Nie obraż się, Charlie, ale tobie tak pocą się dłonie...

Wahali się jeszcze przez chwilę. Strażnik przyrody pierwszy puścił rękę faceta o włoskim wyglądzie, a my przystawiliśmy dwa z trzech wolnych krzeseł i usiedliśmy. Chwyciłem za dłoń Amelii i tego faceta.

— Wcale nie musimy tworzyć zamkniętego kręgu — wyjaśnił chudy mężczyzna z oderwanym rękawem koszuli, w okularach o grubej oprawie. Facet był tak blady, jakby całe życie spędził zamknięty w szafie z bielizną. — Od zyskaliśmy wzrok, gdy chwyciliśmy się za ręce i utworzyliśmy linię, ale o wiele lepiej widzimy, gdy tworzymy krąg. Wszystko jest jaśniejsze i ostrzejsze. I czujemy się jakby bezpieczniej. Czujemy siłę wspólnoty... wie pani, o co chodzi, prawda?

Amelia przyjrzała się im wszystkim po kolei.

— Ty masz na imię Charlie — powiedziała do grubaska z czerwoną twarzą i kręconymi włosami. — Rodzice dali ci imię Clarence, prawda? Ale ty zawsze wolałeś, żeby przyjaciele mówili na ciebie Charlie.

— Clarence! — wykrzyknął ten o włoskim wyglądzie. — Nigdy nie powiedziałaś nam, że naprawdę masz na imię Clarence!

— To na cześć sławnego prawnika Clarence'a Darrowa. Mój ojciec chciał, żebym został adwokatem — wyznał Charlie.

— A ty masz na imię Remo, na pamiątkę San Remo, skąd pochodzili twoi dziadkowie, bo przecież nie istnieje święty o imieniu Remo. A ty jesteś Mickey. To drugie imię twojego ojca, które nadano mu po twoim dziadku. Cayley. Twoim rodzicom po prostu podobało się brzmienie tego imienia. A ty jesteś Jim. Na chrzcie otrzymałeś imiona

Robert James, ale nie chciałeś, by zwracano się do ciebie Bob-Jim, bo wydawało ci się, że brzmi to komicznie.

Cała piątka patrzyła na Amelię z podziwem. Byłem już świadkiem robienia przez nią tego numeru na różnych przyjęciach, ale za każdym razem jej niezwykle umiejętności bardzo mnie zaskakiwały.

— Posłuchajcie — kontynuowała Amelia. — Zamknę teraz oczy i spróbuję dowiedzieć się, jaka magiczna energia przez was przepływa. Już ją czuję, zupełnie jakby w pobliżu burczał generator prądu. To jest bardzo, bardzo silna energia.

Przez minutę zupełnie się nie odzywała, a my spoglądaliśmy po sobie i próbowaliśmy zachować powagę. Zwykle trudno mi było powstrzymać się od śmiechu podczas seansów, ale tym razem zachowanie powagi przyszło mi z łatwością. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby Amelii nie udało się odkryć, dlaczego ci młodzi ludzie i strażnik parkowy stracili wzrok ani jak mogli go odzyskać na stałe.

Wewnątrz Aspen Cafe robiło się coraz ciemniej, a gdy wyrząłem przez okno, dostrzegłem błyski światła za drzewami. Zerwał się wiatr. Porywał suche liście z chodnika i przeganiał je po ulicy, a policjanci stojący na środku placu musieli przytrzymać kapelusze. Na skraju placu pojawiła się wielka czerwona ciężarówka i powoli zbliżała się w naszym kierunku. Była gigantyczna, chyba jedna z największych, jakie widziałem w życiu. Zatrzymała się koło ozdobnej fontanny i z kabiny po stronie kierowcy wyskoczyła ubrana na czarno ciemnoskóra kobieta. Podszedł do niej jeden z zastępców szeryfa.

— Chyba już wiem — odezwała się Amelia z zamkniętymi nadal oczami.

— Chyba co już wiesz?

— Czuję to wyraźnie. I nawet słyszę. To jest jak śpiew. Prawie jakby śpiewał chór kościelny.

— Co to jest?

— To klucz, Harry. Odpowiedź.

— Odpowiedź? Ja nawet nie znam pytania.

Otworzyła oczy i z uśmiechem spojrzała na nas siedzących w kręgu.

— To duch. Wiara. To dlatego pionierzy szli dalej mimo wyczerpania i głodu, i zimy, gdy zamarzali na śmierć. To niezniszczalna wiara w lepszy świat.

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co pani mówi — przyznał Edison.

— Pozwólcie więc, że wszystko wam wyjaśnię. Indianie mają swoją magię i to właśnie ona was oślepiła. Te stwory, które wyglądały jak skrzynie na nogach, to demony, Zabójcy Oczu, jak nazywali ich Indianie Pueblo, bo mieli jasność słońca w oczach. Ale gdy pionierzy szli na zachód, nieśli z sobą własną magię. Nie mam na myśli uroków, zaklęć, magicznych naparów ani czarów. Na pewno wszyscy pionierzy byli głęboko religijni, ale chodzi mi o to, że przybyli na zachód z wizją. Nieśli z sobą niezniszczalne przekonanie, że doprowadzą ten kraj do rozkwitu i stanie się dla nich Ogrodem Edenu.

— Hm — odezwał się strażnik Edison. — Moja rodzina pochodzi z zachodnich dzielnic Baltimore. A ja nie nazwałbym zachodnich dzielnic Baltimore Ogrodem Edenu... Ani żadnym innym ogrodem.

— To nie o to chodzi — odparła Amelia. — Niektórzy pionierzy stali się zachłanni: niektórzy stali się zabójcami, inni z pełną świadomością mordowali plemiona indiańskie, darując im koce zainfekowane cholerą. Mimo tych niegodziwości nadal mieli w sobie wizję, dobrą czy złą, ale to moc tej wizji zwraca wam wzrok. To duch pionierstwa. On nadal istnieje. Wokół nas. Jest w powietrzu, w wietrze, zupełnie jak duchy indiańskie. Jest wszędzie.

Nad głowami usłyszeliśmy uderzenie pioruna. Błyskawica przecięła niebo i walnęła w topolę rosnącą po drugiej stronie placu. Drzewo zapaliło się jak pochodnia.

— Nadchodzi — powiedziała Amelia. — Czuję to. To początek końca. Co doktor Snów powiedział o Memory Valley? Że właśnie tutaj doszło do ostatniej bitwy Indian z białymi. To była ostatnia noc niepodległości Indian, którą utracili po tysiącach lat trwania ich cywilizacji. I teraz próbują ją odzyskać.

— A co my możemy zrobić? — zapytałem. — Może i mamy radosnego ducha radosnych pionierów, ale on nie powstrzymał Misquamacusa, który oślepił połowę narodu. I wygląda na to, że oślepi też drugą połowę, jeśli tylko będzie miał ku temu okazję.

— Eee... my coś widzieliśmy — wtrącił się Mickey. — Nie wiem, czy to działo się naprawdę, czy to tylko było złudzenie. Widzieliśmy żołnierzy. Kawalerzystów. Takich z dawnych czasów.

Z pomocą Rema i Charliego Mickey opowiedział nam o tym, co stało się po oślepieniu przez Piekielnego Johna — jak Indianin związał ich z sobą, zmusił do wspięcia się na wierzchołek skały i rzucenia się w przepaść. Opowiedzieli

nam, jak zostali uratowani i jak ich wybawiciele zniknęli następnego ranka, a potem pojawili się znowu na chwilę, gdy młodzi ludzie odzyskali wzrok po złapaniu się za ręce. Amelia słuchała wszystkiego w dużym skupieniu, nie zrywając kręgu.

— To mogą być dobre wieści — odrzekła.

— Niby co? Kolejne duchy? — zapytałem. — Tyle już tych duchów dookoła, że niedługo dla żywych zabraknie miejsca na ziemi.

— Słyszałeś, co Śpiewająca Skąła powiedział nam w Portlandzie — przypomniała mi Amelia. — Misquamacus po życzył duchy setek dawno nieżyjących indiańskich szamanów, by pojawiać się w różnych miejscach na terenie całego kraju i oślepić tak wielu ludzi, jak tylko mu się uda. Żeby to osiągnąć, musiał otworzyć portal łączący świat duchów ze światem żywych.

— Jaki portal? — dopytywał się Edison.

— To trudno opisać, przypomina trochę drzwi, które jeśli się przesunie, to chwilowo zachodzą na drugie. Dwa światy istnieją równolegle, zachodzą na siebie.

— Teraz to już nic nie rozumiem.

— To nie ma znaczenia, czy rozumiesz, czy nie. Najważniejsze jest to, że skoro Mickey i Remo faktycznie widzieli kawalerzystów z dziewiętnastego wieku, to znaczy, że oni też się przedostali przez portal. A kto wie, kto jeszcze. Misquamacus otworzył połączenie dwóch czasów i sprowadził duchy szamanów, od których chciał pomocy. Ale najwyraźniej nie udało mu się powstrzymać innych duchów przed przedostaniem się do tego czasu. A może ci żołnierze po prostu ścigali tych Indian?

— No więc w jakim sensie jest to dobra wiadomość? — zapytałem Amelię.

— Są żołnierzami, Harry, doświadczonymi w walce z Indianami. I uratowali tych młodych ludzi, gdy zmuszono ich do rzucenia się ze skały, prawda? Nie chciałbyś mieć takich ludzi po swojej stronie?

— Chyba tak. Miejmy nadzieję, że pojawią się, gdy będą potrzebni. Liczę też, że dowiemy się, jak walczyć z tymi chodzącymi skrzynkami na narzędzia. No i z Misquamacusem oraz jego mało sympatycznymi szamanami.

— Właśnie dlatego dziś wieczorem urządzamy seans u doktora Snowa.

W tym momencie rozbrzmiał kolejny grzmot, aż zatrzęsły się nasze kubki z kawą. Zaczęło dosłownie lać z nieba, studzienki ściekowe momentalnie się wypełniły, a krople spadające na chodnik tworzyły wielkie bąble wody. Zobaczyłem, jak czworo ludzi biegnie do bistra. By nie zmoknąć, na głowy ponaciągali kurtki i swetry. Gdy wpadli do środka, energicznie potrząsali ramionami, by strząsnąć z siebie wodę.

Jedną z tych osób była ta ciemnoskóra kobieta, która wyskoczyła z szoferki ciągnika siodłowego. Tuż za nią szła koścista Murzynka w czerwonej chustce zawiązanej wokół głowy. Za nimi do kawiarni weszli blondynka o nordyckim typie urody i wysoki, atletycznie zbudowany facet w dżinsowej kurtce, która na plecach miała napis „Mistrz surfingu” wykonany ze stalowych ćwieków. W na pół zapiętej kurtce niósł śpiące niemowlę. Najwyraźniej świat faktycznie miał się ku końcowi, skoro sprowadził tu tak niezwykłą mieszankę uciekinierów.

Facet w dżinsowej kurtce podszedł do kelnerki za barem i zapytał:

— Przepraszam bardzo, czy macie jakąś żywność dla niemowląt? Albo wie pani, gdzie możemy coś takiego kupić? Skończyło nam się jedzenie, a ten mały koleś może się obudzić w każdej chwili i zrobić nam awanturę, że kolacja jeszcze nie jest gotowa.

Znowu zagrzmiało w pobliżu, aż niemowlę się poruszyło, ale jedynie uchyliło powieki do połowy i ponownie zapadło w sen.

— Po drugiej stronie ulicy widziałam sklep — odezwała się Amelia. — Harry, może ty skoczysz coś kupić dla dziecka? Ci ludzie są potwornie przemoczeni.

— Aha, to teraz ja mam być potwornie przemoczony?

— Harry, przecież wiem, że jesteś szlachetnym rycerzem gotowym do poświęceń.

Amelia wstała i ja też, obydwójce delikatnie, lecz zdecydowanie uwolniliśmy dłonie z uścisku Rema i Edisona. Przez moment wyglądali na wystraszonych — Remo, Cayley, Charlie i Mickey, nawet strażnik Jim Edison — ale rozluźnili się, gdy tylko się zorientowali, że mimo przerwania kręgu nadal widzieli.

— Proszę, niech pani siada — powiedział Edison, przedstawiając krzesło wolną ręką. Murzynka w czerwonej chuście na głowie usiadła i podziękowała:

— Bardzo miło z pana strony.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Przez moment poczekałem w wejściu do bistra, wziąłem głęboki oddech i poleciałem pędem na drugą stronę ulicy, jak Gene Kelly na dopingu, starając się nie wskoczyć w sam środek kałuży. Sklep był

pograżony w mroku, bo przecież na zewnątrz też było już ciemno. Jedynie na kontuarze paliło się kilka małych świeczek. Na szczęście był otwarty. Wnętrze pachniało pokarmem dla psów i mydłem. Pulchny sprzedawca z białą bródką w przyciasnym fartuchu przyświecając sobie latarką, znalazł pokarm dla niemowląt i zaraz popędziłem z powrotem do bistra. W świetle błyskawic wydawało się, że strugi deszczu zamierały w powietrzu.

Gdy wróciłem do Aspen Cafe, odkryłem, że wszyscy już się z sobą zapoznali. Kobieta z czerwonym szalem na głowie miała na imię Amray — albo ciotka Ammy (dla rodziny i przyjaciół). Prowadząca ciężarówkę miała na imię Jasmine, w skrócie Jazz. Blond walkiria nazywała się Tina Freely i była reporterką „LA Timesa”, a nasz surfer wcale nie był surferem, lecz nazywał się Tyler Jones i był kaskaderem grającym w filmach, gdy tylko ktoś musiał spaść z wysokiego budynku albo przejechać motocyklem przez palącą się obręcz, albo skoczyć na główkę do wiadra wody.

— Więc czyj to maluch? — zapytałem. Rudowłosa dziewczyna za barem podgrzała słoiczek z jedzeniem dla dziecka i przyniosła.

— Nie wiemy — odpowiedział Tyler. — To Jazz uratowała je z potwornego karambolu. Jego mama nie przeżyła tej tragedii.

— Ma jakieś imię?

— Peter. Tylko nie zdrabniajcie imienia do „Petey”, bo wtedy zaczyna płakać.

Ciotka Ammy zwróciła się do Amelii.

— Peter jest taki jak ty. On ma oczy po obu stronach lustra. To on pokazał nam szamana, o którym opowiadałaś.

— Widzieliście go?

— Tak wyraźnie jak teraz was. Wysoki gość z rogami na głowie i zwisającymi ozdobami, a z jego ubrania spadały karaluchy.

Spojrzałem na Amelię i uniosłem pytająco brwi. Ciotka Ammy dokładnie opisała Misquamacusa.

— Więc Peter naprawdę posiada moc — rzekła Amelia.

— Ale to przecież bardzo rzadko występuje u dzieci, prawda? — dopytywałem się. — Sama powiedziałaś, że zaczęłaś widzieć duchy, jak miałaś trzynaście lat, gdy niezdolne małe dziewczynki stają się niezdolnymi dużymi dziewczynami. — A ten koleś ma najwyżej sześć miesięcy.

Amelia pogłaskała niemowlę po główce. Chłopiec pił swój posiłek z butelki i machnął rączką, by mu nie przeszkadzać.

— Jego moc najprawdopodobniej pochodzi od matki. Gdy matka lub ojciec przedwcześnie umierają i zostawiają małe dziecko bez opieki, to ich moc przechodzi na dziecko i duch rodziciela dalej się o nie troszczy. W taki właśnie sposób młodzi ludzie stają się świetnymi mediami. Nieżyjący rodzic wprowadza ich do świata duchów. Duch rodzica opiekuje się duchem dziecka i widzi, jak dorasta.

Na zewnątrz znowu zagrzmiało, tym razem tuż nad ich głowami. Grzmot zabrzmiał jak wystrzał armatni i odbił się od obu stron Memory Valley.

— To nie jest naturalna burza — oświadczyła ciotka Ammy. — Zapamiętajcie moje słowa, dziś w nocy rozpęta się tu piekło.

— Oni wszyscy widzieli Zabójców Oczu. — Amelia zwróciła się teraz do mnie. — Jazz i Ammy widziały

przynajmniej dwoje w Maywood. Tina i Tyler widzieli kilkoro w Hollywood. I zawsze towarzyszył im indiański czarownik.

— No dobrze, kimkolwiek są, tutaj, w Memory Valley, też zebrali swoje żniwo — odrzekł Tyler. — Zanim przestały działać telefony, znajomi rodziny zadzwonili, że moi rodzice i siostra stracili wzrok. Dlatego tu przyjechałem. Byłem w ich domu, ale nikogo nie zastałem i nikt nie ma pojęcia, gdzie mogą być. Jak tylko burza się uspokoi, pójdę ich poszukać.

Burza się jednak nie uspokoiła. Siedzieliśmy w Aspen Cafe od ponad dwóch godzin i z każdą mijającą minutą grzmoty stawały się coraz głośniejsze, deszcz bębnił o szyby w oknach, a błyskawice rozświetlały niebo niemal non stop. Bistro było pełne ludzi, lecz niewielu z nich rozmawiało. Wszyscy patrzyli przez okna na rynek i widać było, że przeczuwają jakieś katastroficzne wydarzenia, choć nikt nie miał pojęcia, co takiego miałyby nastąpić.

Amelia spojrzała na zegarek. Była za piętnaście siódma.

— Wracajmy do doktora Snowa. Ciotka Ammy ma rację. To nie jest normalna burza. To Misquamacus wzywa duchy swoich przodków. Może zaatakować nas w każdej chwili, a my powinniśmy się dowiedzieć, jak się przed nim bronić.

— Widzę, że oboje znacie się na indiańskiej magii. Co ten Misquamacus może nam zrobić? — zapytał Edison.

— Wyobraź sobie najgorszą rzecz, która mogłaby ci się przydarzyć. Największy ból, najbardziej koszmarną stratę.

A potem wyobraź sobie, że to ma trwać wiecznie i na końcu nie będzie żadnego „Amen”, w ogóle nie będzie żadnego końca.

— Ty nie żartujesz? Mówisz to serio?

— Zawsze mówię serio, Jim. Oprócz chwil, gdy żartuję.

Ale teraz nie żartowałem.

— Więc co zamierzacie zrobić?

— Idziemy z Amelią do doktora Snowa i zorganizujemy seans, by dowiedzieć się, czy ze świata duchów uzyskamy jakąś podpowiedź, co zrobić, by uratować nasze istnienia.

— Czy ktoś z nas nie powinien z wami iść? — zapytał Tyler.

— Nie, dzięki — odpowiedziała Amelia. — Czekajcie tutaj. Obiecuję, że cokolwiek się wydarzy, wrócimy do was.

Zostawiliśmy ich w kawiarni i wyszliśmy na burzę. Wiatr był tak silny, że jak tylko postawiliśmy nogi za progiem, walczyliśmy, by utrzymać równowagę, a ja musiałem użyć dużo siły, by zamknąć z powrotem drzwi. Kolejny grzmot prawie nas ogłuszył. Błyskawice oświetlały budynki wokół placu, nadając im dziwny dwuwymiarowy wygląd, jakby były to jedynie rekwizyty filmowe do *Burzy* Szekspira.

Skęciliśmy za róg i wiatr wiał nam teraz w plecy, więc prawie biegliśmy. Postawiłem kołnierz, ale deszcz i tak lał mi się po karku i za koszulę. Oprócz tego, że silnie wiało i było mokro, robiło się przejmująco zimno. Amelia drżała.

Gdy doszliśmy do domu doktora Snowa, zacząłem gorączkowo dobijać się do drzwi. Meredith szybko nam otworzyła i wpadliśmy do holu, a towarzyszyły nam wirujące mokre liście i świszczący wiatr niczym ze świata duchów.

— Co za burza — odezwała się Meredith. — Jeszcze

nigdy nie widziałam takich piorunów! Aż cały dom trzeszczy!

Poprowadziła nas do salonu. Nie było prądu, więc Meredith rozświetliła pokój dwoma kandelabrami. W każdym z nich było po dziesięć świeczek. Ich płomyki tańczyły w przeciągu jak baletnice na scenie. Doktor Snów siedział już u szczytu stołu w ciemnobrązowym swetrze. Przed nim stał kieliszek czerwonego wina. Odbijał się w blacie stołu wykończonego na wysoki połysk i wyglądał jak siwowłosego król z kart do gry.

— No, jesteście wreszcie! — zawołał. — Marry, przynieś jeszcze dwa kieliszki dla naszych gości?

Usiedliśmy po obu stronach doktora. Za jego plecami okna były zasłonięte ciężkimi welurowymi zasłonami, które ruszały się, jakby ktoś się za nimi ukrywał.

— Rozpoczęło się — powiedział. Podniósł palec i w tym samym momencie rozległ się grzmot, zupełnie jakby na potwierdzenie jego słów.

— To prawda — przyznała Amelia. — Wzywa wszystkich czarowników i zamierza wprowadzić swój plan w życie. To będzie okropne. Chce zawrócić czas.

— Jak was nie było, poczytałem trochę o duchach, które posiadły inne duchy, a szczególnie duchy szamanów.

— I co odkryłeś? — zapytałem. — Coś, co pomoże nam dopaść Misquamacusa?

— Całkiem możliwe, Harry, całkiem możliwe. Okazuje się, że Pakuna, wielki czarownik z plemienia Irokezów, został zamordowany przez zazdrosnego rywala, Patrzącego Na Księżyc, który podejrzewał go o utrzymywanie stosunków z jego żoną. Po podejrzeniu Pakunie gardła Patrzący

Na Księżyc wykorzystał moce innego czarownika, Srebrnego Wilka, który uwięził ducha Pakuny w wapiennej skale. Wrzucił tę skałę do rzeki, by powoli rozpuszczała się w wodzie i by rozpuszczony duch Pakuny rozpląnął się i nigdy nie mógł wrócić do życia. Pakuna nie mógł wrócić do świata żywych w swojej postaci, ale jego imię było czczone i pamiętane przez członków jego plemienia, zupełnie jak w przypadku Misquamacusa. Gdy umarł, Srebrny Wilk Pakuna wniknął do jego ducha i w ten sposób wrócił do świata żywych. Rzucił potężną klątwę na Patrzącego Na Księżyc i uwięził go w pniu drzewa, a później zmusił ducha Srebrnego Wilka, by oślepił sam siebie i obciął sobie genitalia, toteż gdy Srebrny Wilk powrócił do świata duchów, był traktowany jak nic niewarta kobieta i odpychany przez inne duchy. Gdzieś w górach Adirondack rośnie olbrzymi dąb, z którego rozlegają się okropne wrzaski. Legenda głosi, że w tym drzewie został żywcem uwięziony Patrzący Na Księżyc, który nadal tkwi w pniu dębu i na zawsze w nim pozostanie.

— To prowadzi nas do tego, o czym wspominał Śpie wająca Skała. Powiedział mianowicie, że Misquamacus posiadał duchy innych indiańskich czarowników i powrócił do rzeczywistego świata jako oni.

— Tak — przyznał doktor Snów. — I to właśnie znaczy, że musimy traktować jego pogroźki wyjątkowo poważnie. On chce wszystkich oślepić z pomocą Zabójców Oczu, a potem zabić. Prawdopodobnie jego magia nie będzie w stanie zburzyć naszych miast, zniszczyć dróg i kolei, ale Stany Zjednoczone staną się największym miejscem pożogi i zniszczenia na kuli ziemskiej.

— W takim razie im wcześniej znajdziemy sposób na jego powstrzymanie, tym lepiej — odrzekła Amelia.

Meredith przyniosła dwa kryształowe kieliszki, a doktor Snów napełnił je winem. Podniósł swój i wznosił uroczysty toast:

— Za pokrzyżowanie planów duchom.

Amelia wyciągnęła z torebki srebrny talerz i położyła na nim jedną ze swoich świec o aromacie leśnych borówek. Wyjęła też leszczynową różdżkę i trzymała ją oburącz w górze, tak że końcem dotykała jej czoła.

— Szukam mądrego człowieka — zaczęła. — Szukam człowieka z plemienia Hupa, który zna się na mocy czarów.

Doktor Snów i ja czekaliśmy cierpliwie. Amelia powtórzyła swoje wezwanie:

— Szukam człowieka z plemienia Hupa, który posiadał wiedzę o demonach i duchach.

Powtórzyła to jeszcze wiele razy, zmieniając niektóre słowa. Ja niczego nie czułem oprócz tego, że kark mi sztywnieje od chłodu.

Minęło prawie dziesięć minut.

— Wzywam ducha, który pomoże nam odnaleźć mądrego człowieka. Chcę rozmawiać z mądrym człowiekiem z plemienia Hupa. Rozkazuję wam mi pomóc. Rozkazuję wam go znaleźć. Rozkazuję wam przybyć na rozmowę.

Bez żadnego ostrzeżenia doktor Snów wyrzucił przed siebie ramiona i przewrócił swój kieliszek z winem.

— Nie rozmawiam z potworami, które wymordowały moje plemię! — wykrzyknął. Ale to wcale nie był głos doktora Snowa. Zamiast eleganckiej formy i dobranych

słów usłyszeliśmy chrapliwy, gardłowy głos o nierozpoznawalnym akcencie, który przypominał szczekanie pitbulla.

— Jasna cholera! — zakląłem, zwracając się do Amelii. — A to kto?

Amelia mnie zignorowała. Pochyliła się nad stołem z zacisniętymi pięściami i odrzekła:

— Musisz ze mną porozmawiać. To ja sprowadziłam tutaj twojego ducha i ja nim rządę.

— Wymordowaliście moje plemię! Gwałciliście nasze kobiety! Cięliście szablami nasze dzieci, jakby to były dzikie zwierzęta.

— I tak musisz ze mną rozmawiać — odrzekła Amelia. — Nie masz wyboru. Bo inaczej zatrzymam tu twojego ducha na zawsze i nigdy już nie zobaczysz swojego plemienia, nawet jego duchów.

— Dlaczego mnie tu wezwałeś? — zapytał duch przemawiający przez doktora Snowa. — Czy nie dosyć wy zarządziliście nam krzywd, by jeszcze męczyć nas po śmierci?

— Kim jesteś? Ja wzywałam mądrego człowieka, który zna się na sprawach magii i demonów.

— Jestem Nihltak. Znam się na sprawach magii i demonów. I znam także sposoby działania białych, którzy są żywym wcieleniem diabła.

— Posłuchaj, Nihltaku, musisz opowiedzieć mi o duchach, które są pozbawione własnej substancji. Mam na myśli takie duchy, które odwiedzają świat żywych w substancji innych duchów. Muszę dowiedzieć się, jak je stąd odesłać.

— Do czego potrzebna ci taka wiedza?

— Musisz mi powiedzieć! Żądam tego!

Doktor Snów odwrócił się w moją stronę. Spojrzenie jego oczu mnie poraziło. Były zupełnie czarne, tak jakby oczodoły były puste. Potem powoli odwrócił się do Amelii.

— Duch, który utracił swoją substancję, może odwiedzać świat żywych, ale pojawiać się może jedynie w kształtach innych duchów, mających swoją substancję. Istnieje jednak sposób, dzięki któremu może uzyskać własne kształty.

— Tak? A jaki to sposób?

— Może wezwać wszystkie duchy, którymi zawładnął, a one połączą się i stworzą Olbrzyna Grzmotu. Będzie wyglądał jak ten duch bez substancji, ale osiągnie wzrost wielu drzew i posiadać siłę tych wszystkich duchów, które ów duch bez substancji sprowadził i którymi wcześniej zawładnął. Zmiażdży wszystko, co stanie mu na drodze.

Amelia skrzywiła się z przerażenia.

— Olbrzym Grzmotu... ale to tylko legenda?

— Tak myślisz? Olbrzym Grzmotu wiele razy chodził po ziemi, zanim przybyli biali ludzie, gdy duchy jednego plemienia walczyły z duchami drugiego plemienia. Tyle krwi spłynęło rzekami, że wodzowie i szamani wszystkich plemion zdecydowali się już nigdy nie wzywać Olbrzyna Grzmotu.

— Czy istnieje sposób zniszczenia Olbrzyna Grzmotu? Powstrzymania go?

Duch przemawiający przez doktora Snowa zamilkł na chwilę.

— Tylko ofiara może go przebłagać.

— Jaka ofiara?

— Z sieroty, która niedawno utraciła rodziców. Taka

ofiara daruje mu dwa duchy, ojca i matki dziecka, mężczyzny i kobiety, i on wykorzysta je, by odtworzyć swoją duchową substancję. Kiedy już ją odzyska, będzie mógł odwiedzać świat żywych we własnym kształcie. Doktor Snów dodał po chwili milczenia:

— Olbrzym będzie musiał przyjąć takie poświęcenie.

— To musimy złożyć mu w ofierze dziecko? — za pytałem.

Duch w ciele doktora Snowa nie usłyszał mnie albo tylko udawał.

— Hej! — odezwałem się znowu. — Przecież nie za bijemy dziecka! To nie wchodzi w grę! Co on sobie myśli, że jesteśmy jakimiś Inkami?

Amelia podniosła rękę, bym zamilkł. I powiedziała:

— A co z tymi Zabójcami Oczu, demonami słońca? Jak możemy ich powstrzymać przed oślepieniem nas?

— Więcej wam nie powiem. Wymordowaliście tak wielu z nas, dlaczego miałbym przejmować się tym, że teraz wy zostaniecie wymordowani przez nas?

— Musisz mi powiedzieć. Nie masz wyboru. Jeśli nie powiesz, to spowoduję uwięzienie twojego ducha w tym stole na zawsze albo na tak długo, jak ten stół będzie istniał. Twoje odbicie już w nim jest, Nihltaku, więc to nie będzie trudne!

Po tej groźbie nastąpiło długie milczenie. Palce Snowa postukały po blacie stołu, zupełnie jakby chciał przypomnieć sobie zapomnianą lekcję nauki gry na pianinie.

— Demony słońca... one same dadzą wam to, czego będziecie potrzebowali do ich zniszczenia. Ich broń będzie waszą bronią.

— A co to niby ma, do cholery, znaczyć?! — wybuch-
nałem, żądając wyjaśnień. — Nie możesz dokładnie po-
wiedzieć, o co chodzi?!

Prawie natychmiast po tym, jak to powiedziałem doktor
Snów spojrział na mnie pytającym wzrokiem i potrząsnął
głową.

— Przepraszam, Harry. Ale co mam ci dokładniej wy-
jaśnić?

— „Ich broń będzie waszą bronią”. To właśnie powie-
działeś.

— Ja?! Naprawdę?! Hm, ciekawe, co miałem na myśli. —
Doktor Snów rozejrzał się i dodał: — O rany! Ale ze mnie
flejtuch! Rozlałem wino!

Spojrzałem na Amelię.

— Nihltak odszedł — powiedziała.

— A możesz go ściągnąć z powrotem?

— Harry, on przecież nie chciał nam nic powiedzieć.
Gdybym go nie postraszyła, że zatrzymam go tutaj w stole,
to...

— To dlaczego tego nie zrobiłaś? Przynajmniej dowie-
dzielibyśmy się, jak walczyć z Zabójcami Oczu.

— Bo nie umiem tego zrobić. Ja tylko blefowałam.

— No to świetnie...

Gdy doktor Snów sięgnął ręką, by postawić przewró-
cony kieliszek, zauważyłem, że coś rusza się po we-
wnętrznej stronie jego ręki. Początkowo myślałem, że
to tylko złudzenie optyczne wywołane przez migającą
świecę. Ale gdy przyjrzałem się temu bliżej, dostrzeg-
łem, że jego żyły wiją się jak jakieś długie niebieskie
glisty.

— Doktorze Snów... — Złapałem go za nadgarstek. On też spojrzął na swoją rękę, a jego żyły faktycznie przemieniły się w niebieskie glisty.

— O mój Boże! — jęknął.

Całe jego ramię zamieniło się w zbitą masę glist kłębiących się pod rękawem koszuli i swetra. Jego nadgarstek też zaczął się rozpadać.

— Amelio! — krzyknąłem. — Spójrz na ramię doktora!

Doktor Snów podniósł rękę, a glisty, które ją tworzyły, opadły na stół i kłębiły się jak w agonii. Doktor potrząsnął ramieniem i z rękawa wypadły na dywan setki błyszczących w świetle świec kłębiących się glist.

— Nihltaku! Nihltaku! Zostaw go! — krzyknęła Amelia.

Bez względu na to, co Amelia chciała zrobić, i tak już było za późno. Snów spojrzął na mnie w niemej panice i otworzył usta, jakby chciał wezwać pomoc. Gdy tylko je rozchylił, z jego ust wysypały się glisty, a cała jego twarz zmieniła się w kopiec wijących się robaków. W ciągu kilku sekund jego głowa zapadła się do środka, pozostawiając parę glist na swetrze.

Amelia i ja wstaliśmy od stołu i zrobiliśmy kilka kroków do tyłu. Nie wiem, jak czuła się Amelia, ale ja trząsnęłam się, jakbym miała grypę. Już całe ciało doktora Snowa zamieniło się w roje robaków, które powoli wypełzały z nogawek spodni i rozchodziły się po dywanie na wszystkie strony.

— Jezusie! — zawołałam. — Co się z nim stało?

Amelia miała w oczach przerażenie.

— Nihltak zabrał z sobą jego ducha na drugą stronę. Chciał mnie w ten sposób ukarać za to, że zmusiłam go,

by nam pomógł. Zabrał ducha doktora, a w zamian zostawił trupie robaki. Z holu zawołała Meredith:

— Tato?! Wszystko w porządku? Czy mam podać coś do jedzenia?

— No i co jej teraz powiemy? — syknąłem.

— Tato?!

W tym momencie rozległ się nad nami potężny grzmot. Był tak głośny, że cały dom zadrżał. Moment później rozległ się kolejny i następne.

— Później jej to wszystko wyjaśnimy. Teraz mamy o wiele gorsze zmartwienie. On tu jest. Misquamacus. Nadszedł właśnie ten moment, na który czekał od swojego pierwszego powrotu.

— Ale jak go powstrzymać? Przecież nie złożymy mu w ofierze sieroty? A w ogóle znamy jakąś sierotę?

— A Peter? Ten chłopczyk, którego przywiozła Jasmine?

— I oddałabyś go Misquamacusowi? Po moim trupie! A poza tym czy naprawdę sądzisz, że Misquamacus pocie szyłby się takim maleństwem? On przecież chce nas wszystkich zabić i prawdopodobnie ma wystarczającą do tego moc.

— Może coś na to poradzimy. Chodźmy stąd.

Meredith otworzyła drzwi do jadalni.

— Tato? Wszystko w porządku?

Amelia podeszła do niej, wzięła za ramię i praktycznie wypchnęła z pokoju.

— Co się dzieje? Co się stało z moim ojcem?

— Meredith. Proszę. Nie wchodź do tego pokoju — odezwała się Amelia.

— Dlaczego? Co się stało?

r

— Po prostu tam nie wchodzi. Twój ojciec nie żyje. Zamknij drzwi na klucz i nikogo tam nie wpuszczaj. Harry i ja musimy teraz iść. Sprawa jest bardzo poważna. Słyszałaś ten grzmot. Ale wrócimy do ciebie.

— Nie żyje? Ale jak to? Co się stało? Serce? Amelio, proszę cię. Pozwól mi tam wejść. Muszę go zobaczyć!

Stałem w progu i nie pozwoliłem jej wejść do jadalni. Nie musiałem nawet nic mówić. Podejrzewam, że z wyrazu mojej twarzy domyśliła się, iż gdyby nalegała na zobaczenie swojego ojca, miałyby koszmary senne do końca życia. Choć koniec jej życia i tak mógł nastąpić dość szybko, jeśli miałyby to zależeć od Misquamacusa.

Rozdział 26

Jakimś cudem udało nam się dostać z powrotem na rynek. Wiał tak porywisty wiatr, że wielokrotnie musieliśmy się zatrzymywać i przytrzymywać ogrodzeń, drzew, latarni, by złapać oddech. Deszcz lał jak z cebra, a błyskawice i grzmoty uderzały prawie bez przerwy.

— Kim jest ten Olbrzym Grzmotu, do licha?! — krzyknąłem do Amelii.

— Do tej pory sądziłam, że to tylko zwykła legenda! — odkrzyknęła Amelia. — W czasach, gdy Indianie prerii walczyli z sobą, niektóre plemiona podobno wzywały na pomoc duchy swoich zmarłych szamanów!

Szliśmy zaśmieconą ulicą. Byliśmy już prawie przy rynku i z daleka widzieliśmy Aspen Cafe. Jej wnętrze było zatłoczone i oświetlone mnóstwem świec — zupełnie jak w kościele.

— Szamani łączyli się, tworząc ludzką piramidę, no wiesz, zupełnie jak akrobaci w cyrku! — Amelia starała się przekrzyczeć grzmoty. — Razem tworzyli olbrzyma

wysokości ponad siedemdziesięciu stóp. Legendy głoszą, że potrafił przemierzać prerię szybciej niż galopujący koń. I niszczył tipi i wigwamy, jakby to były zabawki!

— I Misquamacus chce dzisiaj to zrobić?

— Nihltak tak uważał! — odpowiedziała Amelia, spoglądając w niebo. — Te wszystkie pioruny i grzmoty też na to wskazują! Olbrzymy Grzmotu miały tak wielką magiczną moc, że gdziekolwiek szły, za nimi podążały burze z piorunami!

Dotarliśmy wreszcie do kafejki. Sapiąc ze zmęczenia, przemoknięci do suchej nitki wtoczyliśmy się do środka. Od razu podszedł do nas Tyler.

— Udało wam się! Już się baliśmy, że zniknęliście na zawsze!

— Rozmawialiście z duchami? — zapytała ciotka Ammy, bujając w ramionach małego Petera.

Rudowłosa barmanka podała Amelii ręcznik, by choć trochę wytarła sobie włosy.

— Tak, ciociu Ammy. Rozmawialiśmy z duchami. Z szamanem z plemienia Hupa, jednym z tych, którzy zostali wymordowani przez generała Lawrence'a i jego oddział.

— Widzę ból w twoich oczach — oznajmiła Ammy.

— Tak. Podczas seansu straciliśmy dobrego przyjaciela.

— Ktoś umarł? — dopytywał się Edison.

Skinąłem głową.

— To magia bez kompromisów, Jim. Coś w stylu „życie albo śmierć”.

— Przykro mi to słyszeć. Udało wam się dowiedzieć, jak pokonać Misquamacusa?

— Coś wiemy. Ale nie jesteśmy pewni, czy to pomoże. Jest tylko jeden sposób: trzeba mu złożyć sierotę w ofierze. Tylko że nie bardzo mamy ochotę to zrobić. Ale przynajmniej wiemy, z czym mamy do czynienia.

Rynek rozświetlały błyskawice tak jasne, że gdy patrzyliśmy przez okna kawiarni, oślepiały nas, pozostawiając zielonkawy powidok. Błyskawice rozświetlały nie tylko budynki, drzewa i zaparkowane samochody, ale też długi, rozproszony rząd postaci idących w naszym kierunku. Była ich ponad setka. Znajdowali się zbyt daleko, by rozpoznać rysy twarzy, ale dostrzegliśmy, że mają kapelusze albo jakieś inne nakrycia głowy. Część z nich była w płaszczach, część w garniturach, wielu owiniętych jedynie kocami.

— To szamani — oświadczyła Amelia.

Ciotka Ammy podała niemowlę Jasmine i wstała. Popatrzyła w ciemność.

— Złe duchy — rzekła. — Niech Changó ma nas w swojej opiece.

Kolejne błyskawice rozświetliły niebo i teraz wyraźniej widzieliśmy czarowników. Zaledwie kilku miało kapelusze o szerokich rondach; pozostali mieli czapki ze skór bobrów, rogi zwierzęce albo skomplikowane nakrycia z dzianego materiału, przypominające czapki piratów. Za nimi, w świetle błyskawic, pojawiło się więcej postaci; kolejna setka dziwadła o martwych, białych twarzach.

W jednej chwili wydawało się, że są dosyć daleko, po drugiej stronie rynku. Za chwilę odnieśliśmy wrażenie, że są bardzo blisko, tuż koło kawiarni. Ich korpusy przypominały skrzynie, a ich kończynami były deski. Masze-

rowali dziwacznie, tanecznym krokiem jak teatralne marionetki.

— Zabójcy Oczu — wyjaśniła Amelia. — Gdy z ich oczu posypią się błyski, to broń Boże na nich nie patrzcie!

Tłumek ludzi w kafeterii odwrócił się od okien i wycofał w głąb sali. Większość milczała, jedynie jakaś dwójka, może trójka dzieci pochlipywała ze strachu, a kobiety zaczęły krzyczeć w panice:

— Zróbcie coś! Niech ktoś coś zrobi! Czy ktoś ma broń?

— Żadna broń na to nie pomoże. Te postacie to duchy Indian! Oni już są martwi!

— O czym pani mówi? — odezwał się mąż histeryzującej kobiety. — Oni nie są martwi! Proszę na nich spojrzeć! Idą w naszą stronę i nie wygląda na to, żeby mieli zamiar się zatrzymać!

Ciotka Ammy podniosła w tym momencie dłoń.

— To prawda. Te istoty, które mają ludzkie postacie, to duchy przybyły tu ze świata duchów. Te zaś, które wyglądają jak chodzące trumny, to demony. One przyszły odebrać nam wzrok i uczynić z nas swoich niewolników albo zabić, jeśli tylko stawimy im opór. Moi przodkowie żyli w Afryce Zachodniej, gdy inne demony o białych twarzach przyszły i uczyniły z nas swoich niewolników albo wybiły, gdy stawialiśmy opór. Wiem, jaką złość czują te duchy, jak bardzo są żądne zemsty. A dziś przyszła kolej na nie i to one sieją strach i zniszczenie i przynoszą śmierć! Dziś chcą przewrócić do góry nogami całą naszą cywilizację.

— Opowiada pani głupoty! — odezwał się jakiś młody mężczyzna. — Duchy Indian? Demony? Dajcie mi strzelbę, to pokażę wam, jacy oni są „już martwi“!

Błyskawice rozświetlały niebo jedna po drugiej, tak że na rynku zrobiło się praktycznie jasno jak w dzień. Czarownicy zebrali się na środku placu, a Zabójcy Oczu otoczyli ich kołem. Pół tuzina szamanów stanęło blisko siebie z twarzami skierowanymi do środka. Każdy położył rękę na ramieniu sąsiada. Druga szóstka zrobiła to samo, ale sześć jardów dalej.

— Co oni zamierzają? — zapytał Edison. — Czy oni mają jakąś naradę albo coś takiego?

— Tworzą Olbrzyma Grzmotu — odpowiedziała Amelia. — Jesteśmy prawdopodobnie pierwszymi białymi, którzy coś takiego oglądają.

— Co tworzą?! — wykrzyknął zdziwiony strażnik.

Gdy te dwie grupy czarowników mocno się ujęły za barki, następní zaczęli wspinać się po ich plecach, a później jeszcze następní. Z zadziwiającą szybkością utworzyli dwie nogi, potem tułów i dwie ręce. Na końcu pięciu kolejnych spletało się z tymi budującymi tułów i utworzyli głowę. Podnieśli ramiona i wyglądało to tak, jakby olbrzym miał głowę przyozdobioną bizonimi rogami.

Olbrzym Grzmotu miał prawie sto stóp wysokości. Widziałem twarze czarowników tworzących tułów, kończyny i głowę giganta, ale jednocześnie dostrzegłem charakterystyczne rysy oblicza olbrzyma. Nie miałem wątpliwości — to był Misquamacus. W końcu powrócił w swojej postaci. Nie mogłem się mylić: to były jego wystające kości policzkowe, jego czoło i wąska szpara ust. Ale najbardziej charakterystyczne miał oczy. Choć zostały odtworzone przez twarze dwóch czarowników, to były pełne wściekłej nienawiści, tak znamiennej dla Misquamacusa.

Błyskawica przeleciała pomiędzy rogami Olbrzyma Grzmotu i wtedy zaczął iść w naszym kierunku. Początkowo jego kroki były ociężałe, ale stopniowo stawały się coraz bardziej płynne, niemalże ludzkie. Nawet gdy walczyłem z Misquamacusem w przeszłości, nigdy nie byłem odrętwiały ze strachu, ale teraz musiałem przyznać, że patrzyłem na tego zbliżającego się potwora z otwartymi ustami i nie potrafiłem nawet wytworzyć w mózgu impulsu nakazującego mi ucieczkę.

Zabójcy Oczu otaczali Olbrzyma Grzmotu ze wszystkich stron i szli w naszym kierunku, posuwając się dziwnymi ruchami w dół i w górę jak szpulki w maszynie do szycia. Gdy ich oczy zaczęły błyszczeć niebieskim światłem, Amelia krzyknęła:

— Nie patrzcie na nich! Nie patrzcie na nich! Jeśli nie chcecie oślepnąć, to odwróćcie wzrok w inną stronę!

Ale odwrócenie wzroku od Zabójców Oczu i Olbrzyma Grzmotu było prawie niemożliwe. Szczególnie że Tyler krzyknął nagle:

— Tam! Spójrzcie tam!

Ręką wskazywał na prawą stronę rynku. Gdy błyskawica znowu rozświetliła plac, dostrzegłem pięciu ludzi biegnących na ukos przez rynek w naszym kierunku, zaledwie kilka jardów przed zbliżającymi się do nas Zabójcami Oczu. Cała piątka trzymała się za ręce.

— To mój ojciec! — krzyknął Tyler. — Ojciec, mama i siostra!

Otworzył drzwi kawiarni i wybiegł na zewnątrz. Słyszałem, jak wołał:

— Mamo! Tato! Maggie! To ja, Tyler!

Ktoś z piątki potknął się, ale reszta podciągnęła go i biegli dalej. Tyler ruszył w ich stronę. Zabójcy Oczu byli już zaledwie pięćdziesiąt jardów od nas i podchodzili coraz bliżej.

Tyler był już blisko rodziców, gdy Olbrzym Grzmotu zrobił dłuższy krok i pochylił się nad głowami Zabójców Oczu. Potężnym ramieniem utworzonym ze splątanych z sobą czarowników złapał całą piątkę uciekających ludzi i wyrzucił ich wysoko w powietrze ponad wierzchołki drzew otaczających rynek. Ich ciała upadły głucho na drogę dojazdową do rynku nieopodal ciężarówki Jasmine i leżały nieruchomo.

Tyler odskoczył na bok. Najwyraźniej chciał przechytryć Olbrzyma Grzmotu, by pobiec przez plac do ciał rodziny. Ale Olbrzym Grzmotu znowu się pochylił i spróbował złapać Tylera. Kaskader przeżoiołkował dwa razy na chodniku i zanurkował z powrotem do kawiarni. Jego oczy błyszczały wściekłością, oddech rwał się ze zdenerwowania i wysiłku.

— On ich zabił! — wyjęczał. — On ich zabił!

Oparł się o blat baru i pochylił głowę. Tina podeszła i objęła go.

— On ich zabił — powtórzył Tyler. Odwrócił się i spojrzał na mnie. — Zabije nas wszystkich, prawda?

Rzuciłem okiem na Amelię. Potem spojrzałem na Petera trzymanego przez Jasmine.

— Nie możemy tego zrobić — rzekła Amelia.

— Wiem. Ale co z tymi wszystkimi ludźmi... i tymi, których Misquamacus już zabił?

Wyjrzałem za okno. Zabójcy Oczu stali tuż na zewnątrz,

widzieliśmy ich białe twarze bez wyrazu. Ich oczy jeszcze nie strzelały błyskawicami, ale wiedziałem, że zaraz zaczną. Podejrzewałem, że Misquamacus chciał najpierw nas przestraszyć, a dopiero potem oślepić. Chciał nas przerazić i rozkoszować się tym widokiem.

— Szkoda, że nie wiemy, co Nihltak miał na myśli, mówiąc o użyciu broni Zabójców Oczu przeciwko nim — oświadczyła Amelia.

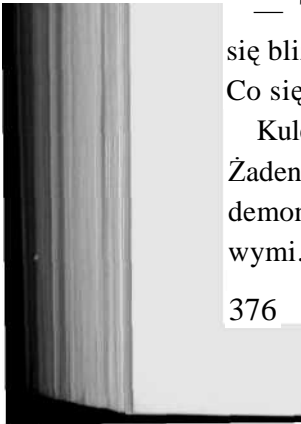
— Przecież oni nie mają żadnej broni — powiedziałem. — Tylko oczy. Jak można użyć czyichś oczu przeciwko nim?

Prawie minutę staliśmy niemal naprzeciw siebie bez ruchu. Patrzyliśmy przez okno, a Zabójcy Oczu patrzyli na nas; za nimi stał nieruchomo Olbrzym Grzmotu, wielki jak drzewo, a wokół jego głowy latały błyskawice. Mały Peter obudził się nagle, spojrzął przez okno i zaczął płakać.

W tym samym momencie usłyszeliśmy ostry trzask, który dobiegł spoza rynku. Jeden z Zabójców Oczu zachwiał się i zobaczyłem wielką dziurę w jego drewnianym korpusie. Po chwili kolejny Zabójca Oczu odchylił się do tyłu, a z jego policzka odpadł półkolisty kawałek gliny. Odgłosy huków i trzasków stawały się coraz głośniejsze, coraz bardziej nachalne.

— To odgłosy strzałów — powiedział Tyler. Przysunął się bliżej szyby i spojrzął w lewo, w odległy róg placu. — Co się dzieje? Ktoś do nich strzela!

Kule leciały w kierunku Zabójców Oczu jak roje szerszeni. Żaden z Zabójców Oczu się nie przewrócił. Były przecież demonami, a demonów nie da się zabić kulami karabinowymi. Jednak siła uderzeń pocisków pozbawiała ich rów-



nowagi i przez chwilę kręcili się, jakby byli pijani, zderzając się z sobą i machając bezładnie ramionami.

— Spójrzcie tam! Pod drzewami! — krzyknął Remo.

Pod drzewami zobaczyliśmy ponad siedemdziesięciu żołnierzy w kapeluszach, z długimi strzelbami. Za nimi stał oddział kawalerii złożony z dwudziestu jeźdźców. Ich konie niecierpliwie przebierały nogami w miejscu. Piechurzy strzelali z pozycji klęczącej, przeładowywali i znowu strzelali. Z korpusów Zabójców Oczu odpadały kawałki drewna, rozsypywały się ich gliniane twarze.

— To jakieś wojsko! — stwierdziłem. — Ale skąd? Zdecydowanie nie wygląda na Gwardię Narodową.

— To ten sam oddział żołnierzy, który walczył w ostatniej bitwie pod Memory Valley — odrzekła Amelia.

— Co?!

— To żołnierze generała Lawrence'a z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Przecież mówiłam, że Misquamacus otworzył portal, żeby mogli przez niego przejść szamani. A generał Lawrence i jego oddział ruszyli za nimi.

Przyglądałem się tej nierzeczywistej scenie, gdy żołnierze wstali, zaczęli przyczepiać bagnety do karabinów i ruszyli w stronę rynku. Kawaleria kroczyła tuż za nimi. Zabójcy Oczu jeszcze trzymali się na nogach i gdy żołnierze się do nich zbliżyli, demony zaczęły ciskać błyskawice z oczu, coraz szybciej i szybciej, aż wyglądało to tak, jakby żołnierze byli obfotografowywani przez paparazzich. Błyski były tak ostre, że musiałem zasłonić oczy rękami.

— Oni wcale nie ślepną! — stwierdziłem. — Spójrzcie! Te błyski na nich nie działają!

— Oni poruszają się, strzelają i walczą, ale już dawno są martwi. Nic nie oślepi człowieka, który od dawna nie żyje — wyjaśniła ciotka Ammy stojąca tuż przy mnie.

Gdy żołnierze podeszli bliżej, w ich stronę ruszył Olbrzym Grzmotu. Wystarczyło mu tylko pięć długich kroków. Żołnierze zatrzymali się, ale nadal stali w szyku i oddawali salwy do Olbrzyma Grzmotu, aż niemal cały rynek zasnuł się dymem z ich karabinów. Za strzelcami kawalerzyści zaczęli pospiesznie rozpakowywać z jucznego konia jakiś prymitywnie wyglądający karabin maszynowy.

Olbrzym Grzmotu wznosił ręce. Gdy tylko to zrobił, z chmur wystrzeliły błyskawice i uderzyły w koniuszki jego palców, aż na ziemię posypał się snop iskiei. Żołnierze strzelali tak zaciekle, że kawałki ubrań indiańskich czarowników zaczęły latać w powietrzu — fragmenty koców, futra, skór bizonów. Wtedy nagle usłyszałem dźwięk tak potwornie głośny, że niemal mnie ogłuszył — było to uderzenie pioruna, które zatrzęsało ziemią i sprawiło, że popękały wszystkie szyby w kawiarni.

Olbrzym Grzmotu opuścił ręce i skierował je w stronę żołnierzy, a błyskawica, którą ściągnął z nieba, wystrzeliła z jego palców i dosłownie zmiotła ich z powierzchni ziemi. Może i żołnierze byli duchami, ale mieli swoją substancję i właśnie ta substancja rozsypała się na czaszki, żebra i zakrwawione fragmenty ektoplazmatycznych ciał. Uderzenie pioruna powyrywało nogi koniom, zwierzęta leżały teraz, dymiące i wypatroszone jak wypalone kanu.

Olbrzym Grzmotu skierował się w naszą stronę i zdałem sobie sprawę, że chce dokończyć to, co wcześniej zaczął. Zabójcy Oczu, mimo że potrzaskani i podziurawieni jak

sita, utworzyli grupę na zewnątrz kawiarni. Wziąłem Amelię za rękę i powiedziałem:

— Teraz oduczą nas grzebania w sprawach duchów, prawda?

Amelia spojrzała mi w oczy. Włosy miała rozczochrane, makijaż się rozmywał, ale jeszcze nigdy nie wydała mi się piękniejsza.

— Kocham cię, Harry Erskynie — wyznała.

— Ja ciebie też kocham, Amelio Carlsson.

Spojrzałem na ludzi w kawiarni. Wszyscy zdali już sobie sprawę, że zostaną oślepieni. Ale stali wyprostowani, przodem do Zabójców Oczu, i trzymali się za ręce, mając w sobie ducha pionierów. Byłem z nich niezmiernie dumny. Nawet mały Peter przestał płakać i patrzył na Zabójców Oczu i Olbrzyma Grzmotu.

— Ga! — powiedział.

— Tak, kochanie — przyznała Ammy. — Ga!

Gdy spoglądałem po kolei na twarze ludzi, zobaczyłem swoje odbicie w lustrach na tylnej ścianie kafejki. I widziałem odbicia Zabójców Oczu na chodniku.

„Ich broń będzie waszą bronią” — tak właśnie powiedział Nihltak. A co było ich bronią? Ich oczy!

Odwrociłem się. Oczy Zabójców Oczu zaczęły błyszczeć. Było to błękitne i białe światło, na które żaden człowiek nie mógł patrzeć, tak jak na blask słońca.

— Na ziemię! — wrzasnąłem. — Wszyscy na ziemię! Zamknąć oczy i leżeć płasko bez ruchu!

Przez moment nikt nie rozumiał, o co mi chodzi. Ale znowu wykrzychałem komendy:

— Na ziemię!!! Natychmiast!!!

Wreszcie wszyscy padli na podłogę, jakby jednocześnie dostali ataku serca. Mimo że sam miałem zamknięte oczy, czułem intensywność światła, które zalało wnętrze kawiarni. Przez skórę czułem, że robi się coraz jaśniej i jaśniej, jakby Zabójcy Oczu chcieli wcisnąć się do naszych mózgów samą potęgą światła.

Wtedy usłyszałem eksplozję szkła i odrażający wrzask. Brzmiał jak krzyk niemowlęcia wrzuconego do ognia. Potem usłyszałem kolejną eksplozję i znowu wrzask, tak samo potworny, i kolejny, i po nim następne. Ostre światło nagle zgasło.

Otworzyłem powoli oczy i podniosłem głowę. Amelia też patrzyła, co się dzieje. Wnętrze bistra było oświetlone już nie tylko tańczącym blaskiem świec. Pozostali ludzie także zaczęli wstawać i patrzeć, co się dzieje za oknem. Wszyscy Zabójcy Oczu płonęli. Niektórzy jeszcze stali, ale całe ich korpusy w kształcie skrzyń zajęły się ogniem. Większość jednak leżała na chodniku w kawałkach, a ich gliniane maski były pokruszone jak rozbite talerze. W trumnach ich korpusów nie leżały żadne szkielety niemowląt. Zabójcy Oczu byli jedynie oślepiającym światłem, które teraz zniknęło na zawsze.

— Co się z nimi stało? — zapytał Mickey.

— To — odpowiedziałem, wskazując na lustra.

Wtem, zupełnie bez żadnego ostrzeżenia, szyby kawiarni implodowały i zostaliśmy zalani potłuczonym szkłem. Mężczyźni krzyczeli, kobiety też. Lustra zalały się krwią. Amelia miała głębokie rozcięcie na brodzie, ja czułem krew spływającą po lewym policzku. Uderzył ogłuszający piorun i do kawiarni wlały się strugi deszczu i popioły z palących się Zabójców Oczu pchane silnymi podmuchami wiatru.

Olbrzym Grzmotu stojący na środku placu spojrział na nas, a wokół jego rogów tańczyły wyładowania elektryczne.

— Znowu mi się postawiłeś, mały bracie — powiedział, a jego głos był połączeniem głosów wszystkich indiańskich czarowników tworzących jego ramiona, nogi, tułów i głowę. To brzmiało jak chór stu głosów mówiących jednym. — Przeciwwstałeś mi się i zniszczyłeś moje demony. Za to, co zrobiłeś, ukarzę cię czymś więcej niż zwykłą ciemnością. Będziesz pogrążony w wiecznej agonii wraz ze swoimi bliskimi i swoimi dziećmi. Zrobię to, co wy zrobiliście nam: ześlę na was potworny ból, który będzie trwał całą wieczność.

— O Boże — odezwał się Charlie. — On nas zmasakruje, prawda? Zacznie nami rzucać we wszystkie strony jak rodzicami Tylera.

— Nie będziemy mieli takiego szczęścia — odpowiedziałem. — Zrobi nam coś znacznie gorszego.

— To po co tu sterczymy? Uciekajmy!

— Bez sensu. Nie zdołamy mu uciec.

Mały Peter podniósł paluszek na Olbrzyma Grzmotu. Wydawało się, że wcale się go nie boi.

— Ga! — zawołał. — Mm-mm!

Spojrzałem na Amelię i obydwójce pokręciliśmy głowami. Czymkolwiek Misquamacus nas straszyl i jakkolwiek mieliśmy cierpieć, życie małego Petera było nienaruszalne.

Olbrzym Grzmotu podniósł ręce i po raz drugi błyskawice spłynęły do jego palców. Mimo trzaskającego huku piorunów i wycia wiatru dosłyszałem charakterystyczny ryk silnika motocykla.

Rozejrzałem się. Początkowo nie mogłem zlokalizować źródła tego dźwięku. Ale cały czas słyszałem podkręcanie silnika i wtedy motocykl pojawił się na parkingu przed kawiarnią — wielkie czarne kawasaki, na którego siodełku siedział Tyler.

— Co robisz?! — krzyknąłem do niego. — Jak ci się udało go uruchomić?

— Uczył mnie najlepszy kaskader motocyklowy w tym biznesie!

— Jeśli chcesz uciec, to może weź z sobą Amelię i małego Petera.

— Wcale nie uciekam! Chcę go powstrzymać! — krzyknął Tyler, wskazując Olbrzyma Grzmotu.

— Co?

— Sam powiedziałeś, że można go powstrzymać, ofiarując mu sierotę.

— Co?!

— Sierotę, sam przecież tak powiedziałeś! No i... ja jestem teraz sierotą!

— Nie rozumiem!

— No to patrz!

Nawet nie chciał mnie wysłuchać. Zwiększył obroty kawasaki i ruszył do przodu, krążąc wokół rynku coraz szybciej, jakby jeździł po ścianie śmierci. W samym środku rynku Olbrzym Grzmotu powoli opuszczał wielkie ramiona. Objąłem mocno Amelię i nie potrafiłem niczego z siebie wykrztusić — nawet zwykłego „żegnaj”.

Olbrzym Grzmotu zrobił krok w naszą stronę. Czuliśmy, jak drży ziemia, ale podnieśliśmy głowy i patrzyliśmy na niego z oporem w oczach.

— Misquamacusie! — wrzasnałem. — W cokolwiek sam wierzysz, draniu, gnij w tym na zawsze!

W tej chwili Tyler ruszył na ukos przez rynek, z wyciem silnika i oślepiającym reflektorem. Stał na podnóżkach i coś krzyczał, ale nie słyszałem co. Jechał prosto na Olbrzyma Grzmotu i musiał pędzić co najmniej sześćdziesiąt mil na godzinę, gdy do niego dojeżdżał. Wtedy raptownie zahamował, a tył motocykla uniósł się jak tylne nogi wierzgającego żrebaka. Tyler puścił manetki i wyleciał w powietrze z wyprostowanymi do przodu rękami jak lecący Superman.

— Bierz mnie! Bierz mnie! — usłyszeliśmy jego okrzyk.

Przez ułamek sekundy myślałem, że odbije się i spadnie na ziemię, że Olbrzym Grzmotu machnie swoją łapą i odrzuci go na bok, gdzie leżeli martwi jego rodzice i siostra. Ale Tyler złapał się dwóch czarowników, którzy spleceni tworzyli korpus giganta. Uczepił się ich koców i skórzanych derek, by nie odpaść od potwora. Wisząc tak na rękach, znalazł sobie oparcie pod stopy w niższym rzędzie czarowników. Wszystkie ramiona szamanów były splątane z sobą jak w tańcu z *Greka Zorby*, więc nie mogli odepchnąć go od siebie i powstrzymać przed wciśnięciem się między nich. Tyler wniknął do wnętrza Olbrzyma Grzmotu, jak człowiek wchodzący do jaskini. Dokonał prawdziwego wyczynu akrobatycznego.

Nagle wszystko stanęło — na dziesięć sekund, na dwadzieścia. Olbrzym Grzmotu stał bez ruchu i w pewnym momencie lekko się zachwiało. Spojrzał na dół oczami, którymi były ludzkie twarze, jakby był zdziwiony i zmieszany. I wtedy bardzo powoli znowu podniósł ręce.

Z ogłuszającym, rwącym powietrze hukiem oddał niebu wszystkie pioruny, które wcześniej wchłonał. Jednocześnie jego sto gardeł wydało zagniewany ryk.

Jeden czarownik zaczął wyplątywać się z prawego barku Olbrzyma Grzmotu i rozłożył szeroko ramiona. Pomyślałem, że będzie schodził na ziemię, ale on zawahał się przez moment i zrobił krok w powietrze.

— O mój Boże! — krzyknęła Amelia. Od barku Olbrzyma Grzmotu do bruku rynku było przynajmniej osiemdziesiąt stóp.

Zamiast jednak spaść na ziemię, indiański czarownik uniósł się pionowo do nisko wiszących chmur i zniknął. Kolejny czarownik uwolnił się z ramienia Olbrzyma Grzmotu i się uniósł. Po nim następny i kolejni. Staliśmy w milczeniu, obserwując, jak cały Olbrzym Grzmotu rozpada się na kawałki i poszczególni szamani szybują do nieba cicho jak balony.

Patrzyliśmy na Olbrzyma Grzmotu jak oniemiaли.

— To duchy — odrzekła ciotka Ammy, potrząsając głową. — Wracają teraz do swojego świata duchów, tam gdzie ich miejsce.

Gdy rozpadał się korpus potwora, usłyszeliśmy głęboki, a zarazem miękki dudniący dźwięk. Stawał się coraz głośniejszy i wibrujący, gdy ostatni z czarowników unosił się do nieba. Przez kilka sekund ziemia wokół nas drżała, jakby zbliżała się jakaś potężna lokomotywa, sto razy większa od normalnej. Niemalże straciliśmy słuch od tego hałasu. Pioruny nadal uderzały wokół nas, po drugiej stronie rynku zapalił się dąb. Poczułem mżawkę na twarzy, ale była to ciepła mżawka.

— Cholera jasna — zaklął Remo za moimi plecami.

Spojrzałem do góry. Na początku nie mogłem zrozumieć, na co patrzę. Ale wtedy znowu rozbłysły błyskawice i przez tysięczną część sekundy widziałem, skąd pochodziła ta ciepła mżawka. Tam, gdzie znajdowała się klatka piersiowa Olbrzyma Grzmotu, w powietrzu wisiała wielka masa splątanych krwawych resztek ludzkich i zwierzęcych. Były tam kawałki pogiętego metalu, drewno i nawet fragmenty płotów. Chociaż oglądałem to tylko przez ułamek sekundy, to w tej masie dostrzegłem pozbawione głów ciała mężczyzn i kobiet, korpusy zwierzęce, wypatroszone truchła psów. Wszystko to było połączone plątaniną drutu kolczastego i kabla telefonicznego i poprzebijane stalowymi prętami.

Ta ciepła mżawka, padająca z nieba na rynek, była krwią kapiącą z tej wiszącej w powietrzu rzeźni. Nasączała ziemię i trawniki wokół nas. Spływała w poprzek ulicy, wylewając się na chodniki, aż zaczęły błyszczeć czerwienią. Pokrywała szyby samochodów zaparkowanych wokół rynku i spływała rynsztokami.

— Co to jest?! — wrzasnąłem do Amelii. — Zobacz! To bije, jakby to było czyjeś serce!

— Bo to właśnie jest serce! — krzyknęła Amelia w odpowiedzi. — To serce Olbrzyma Grzmotu! Jego ciała już nie ma, ale pozostało serce! To są wszystkie okrucieństwa, które Misquamacus kiedykolwiek uczynił podczas swoich niezliczonych istnień, wszystkie zwinięte w jedno serce! Martwe, ale nadal żywe i bijące, nadal pompujące krew, jak prawdziwe serce!

Popatrzyliśmy na siebie z obrzydzeniem. Byliśmy cali

we krwi — mieliśmy ją na włosach, twarzach i ubraniach. Wyglądała jak rdza i nawet śmierdziała rdzą.

— Wynośmy się stąd! — zaproponowałem i złapałem Amelię za rękę.

— Spójrz tam! — zawołała Amelia.

Odwróciłem się. W naszą stronę w strugach deszczu krwi szedł Misquamacus. Był o wiele wyższy, niż go zapamiętałem, i na głowie miał rogi bizona przystrojone paciorkami, piórami i czaszkami ptaków. Całe to jego okrycie głowy służyło teraz krwi. Na jego karku wisiało siedem naszyjników i srebrny medalion symbolizujący macki wyrastające z twarzy najpotężniejszego z Wielkich Starych. Na ramionach i nogach błyszczały bransolety i ozdoby. W rękach trzymał dzidę szamana z nadzianą na nią srebrną czaszką. Oprócz tych ozdób był zupełnie nagi, choć gdy podszedł bliżej, dostrzegłem zmumifikowanego szczura zwisającego z jego członka — zęby zwierzęcia były zatopione w żołądki Misquamacusa. Jego skóra świeciła jak polerowana miedź.

Podszedł do nas na odległość pięciu jardów i się zatrzymał. Błyskawice rozbłyskiwały dookoła i nawet trzy, może cztery razy uderzyły w wielkie, powoli bijące serce wiszące nad naszymi głowami, najwyraźniej przyciągnięte przez zwoje drutu kolczastego spowijającego jego krwawą masę. Iskry poleciały nam na głowy, więc teraz staliśmy już w deszczu krwi i fajerwerków. W powietrzu unosił się silny zapach zwęglonego drewna i spalonego, zepsutego mięsa.

Misquamacus stał w milczeniu przez długi czas. Amelia złapała mnie za ramię, chcąc odciągnąć, ale wiedziałem, że Misquamacus nie może mnie już skrzywdzić. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

— Ty! — zawołał, wskazując na mnie swoją dzidą. — Myślisz, że nas pokonałeś, mały bracie! — Jego głos był głęboki i brzmiał echem, jakby mówił z końca długiego tunelu.

Piorun znowu uderzył w wiszące serce i prąd przepłynął po płątaninie z drutu kolczastego. Tym razem iskry spadły na nas takim deszczem, jakbyśmy stali obok szlifierki do metalu. W jednym miejscu musiał zerwać się drut spajający to serce, bo parę jardów od nas spadło kilka bali drewna i fragmenty ogrodzenia. Po nich zleciały dwa poskręcane ciała — bezręki i bezgłowy mężczyzna oraz rozdarta kozia tusza.

— Harry, chodź stąd! — nalegała Amelia, ciągnąc mnie za rękaw.

— Nie bój się! — uspokajałem ją. — On nic nam już nie może zrobić!

Może i powiedziałem to przekonującym tonem, ale po cichu modliłem się, żeby doktor Snów miał w stu procentach rację, że jeśli Misquamacus przyjmie ofiarę Tylera, to odejdzie w pokoju do Krainy Wiecznych Łowów i przestanie nas dręczyć i mścić się.

Misquamacus podszedł jeszcze bliżej. Krew spływała po jego kościstych policzkach, co sprawiało, że wyglądał, jakby płakał krwawymi łzami z wściekłości.

— Nadejdzie dzień, kiedy cię wreszcie zniszczę! Teraz, gdy mogę już powracać do świata żywych, na pewno dotrzymam słowa!

— Naprawdę?! — krzyknąłem. — Chciałbym zobaczyć, czy ci się uda! — Byłem wykończony i zdenerwowany. — Jesteś tutaj i straszysz mnie tylko z jednego powodu: darowa-

liśmy ci duszę białego człowieka i ją wzięłeś! To był nasz przyjaciel, ktoś, kogo darzyliśmy szacunkiem i o kogo się troszczyliśmy! Bez nas byłbyś nikim! Zaledwie zimnym powiewem wokół koszuli nocnej jakiejś starej kobiety z plemienia Wampanoagów!

Misquamacus głęboko oddychał. Nad naszymi głowami znowu uderzył piorun i jeszcze więcej fragmentów serca spadło na czerwony od krwi trawnik koło nas.

— Ile razy wasi ludzie składali obietnice mojemu ludowi i ile razy te obietnice łamali? To jest ziemia Indian! Te góry, jeziora i tereny łowieckie należą do mojego ludu! A gdzie teraz jest mój lud?

Zamilkł i po chwili odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszałem:

— Powiem ci jedno: myślisz, że jesteś fałszywym szamanem. Nie wierzysz w siebie. Myślisz, że nie masz żadnej mocy poza mocą robienia sztuczek. Ale muszę ci przyznać, że jesteś prawdziwym czarownikiem, jakim ja kiedyś byłem.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie miałem jednak zamiaru stać tutaj i dopytywać się Misquamacusa, co ma na myśli, bo pioruny przepaliły większość drutu spinającego wiszące serce, krew lała się z góry i różne przerażające resztki ciał i drewna spadały na ziemię: kobieta bez twarzy i jednej nogi, ćwiartka biało-czarnej krowy, ławka parkowa, wymieszane ścierwa martwych kotów.

Misquamacus raz jeszcze się odezwał i pomachał swoją szamańską dzidą z boku na bok.

— Obiecuję ci! Skoro mogę wracać do świata żywych, to powrócę! I spalę tę ziemię od jednego oceanu do drugiego!

— Harry! Zostaw go wreszcie! Uciekajmy stąd!

Ciotka Ammy, Remo, Charlie i cała reszta zostawili nas już wcześniej i oddalali się teraz boczną uliczką od tego miejsca. Ja nie potrafiłem się odwrócić i uciec. Nie teraz, nie po tylu latach życia w strachu. Nie byłem żadnym cholernym bohaterem, ale straciłem zbyt wielu przyjaciół i byłem świadkiem zbyt wielu cierpień, śmierci i potwornych zniszczeń.

Kilka jardów ode mnie spadł długi, kuty z żelaza pręt ogrodzeniowy. Z jednej strony miał ostrze jak średniowieczna pika. Przesunąłem się bokiem w stronę tego pręta, cały czas bacznie przyglądając się Misquamacusowi.

Czarownik rozpoczął jakiś śpiew. Nie wiem, co to miało znaczyć. Nie wiem nawet, w jakim języku śpiewał. Mogłem się jedynie domyślić, że słowami pieśni chciał rzucić na mnie jakąś klątwę albo składał obietnicę powrotu, albo jedno i drugie. Misquamacus nigdy nie pogodzi się z tym, co biali ludzie zrobili jego ludowi, bez względu na to, czy będzie żywy, martwy, czy tylko półmartwy.

Nadal zawodził i machał szamańską dzidą, gdy ja pochyliłem się i podniosłem pręt ogrodzeniowy. Był znacznie cięższy, niż wcześniej sądziłem. Ledwie udało mi się go dźwignąć. Ale wyteżyłem siły, szarpnąłem za pręt i bez wahania rzuciłem się na Misquamacusa. Chyba krzyczałem wtedy: „Geronimo!”.

Zobaczyłem, że Misquamacus rozwarł usta w niemym krzyku. Chyba faktycznie krzyczał, może nawet głośno, ale ja go nie słyszałem. Widziałem tylko jego oczy, całkowicie czarne i puste, jakby w jego głowie nie było nic poza bezkresną głębią. Aż trudno to opisać, ale ten moment wydawał mi się wręcz intymny. Nigdy nie miałem z nim

tak bliskiego fizycznego kontaktu, a teraz byliśmy niemalże jak kochankowie rzucający się sobie w ramiona.

Ostrze pręta wbiło się w jego klatkę piersiową z cichym plaśnięciem i nie poczułem prawie żadnego oporu, gdy wpychałem pikę głębiej. Nic dziwnego, bo przecież nie był z krwi i kości. Był stworzony z ektoplazmy, eterycznej substancji duchów, pozbawionej twardej materii jak wata. Gdy puściłem pręt i odsunąłem się, pika nadal tkwiła w Misquamacusie. Złapał ją oburącz i próbował wyciągnąć z piersi. Przez cały ten czas wpatrywał się we mnie lodowato.

Nad nami piorun znowu uderzył w zawieszony w powietrzu serce — albo raczej w krwawe resztki, które z niego pozostały — i nagle to wszystko runęło. Ostatnia partia części ciał ludzkich, drewna i kawałków betonu spadła prosto na nas. W moje plecy uderzyło oderwane ludzkie ramię. Oberwałem kawałkiem drutu kolczastego, który zaplątał mi się we włosy, na szczęście udało mi się jakoś z niego wyplątać, choć przy okazji zdarłem sobie skórę z lewego kciuka. I tak byłem cały pokryty krwią, więc odrobina własnej nie robiła już tak wielkiej różnicy.

Misquamacus zataczał się w miejscu, próbując wyciągnąć z siebie pręt. Ryczał przy tym z wściekłości i bólu, a ja nagle zdałem sobie sprawę z tego, że on nie ma tyle siły, by to uczynić.

— Ty! — zawył. — Ty! Przeklinam cię na wieki!

Ale w tej właśnie chwili oślepiająca błyskawica trafiła w ostrze pręta wystające z jego pleców. Misquamacus eksplodował tak gwałtownie, że aż mnie odrzuciło do tyłu. Uderzenie pioruna było tak głośne, że nie mogłem pozbierać myśli.

Tysiące iskrzących fragmentów wyleciało w powietrze. To było coś więcej niż zwykły wybuch i trafienie piorunem. Poczułem, jak ziemia się pode mną ugięła, i wydawało się, że coś nawet stało się z niebem. Usłyszałem jakieś echo, po nim kolejne i potem wysoki świst, który się do nas zbliżał. Przez kilka sekund niemal przydusiły nas do ziemi podmuchy wyjącego wiatru; dopiero wtedy zrozumiałem, jak potężnym czarownikiem był Misquamacus i jak blisko był odwrócenia biegu czasu.

Czułem, jakby wszystko się zatrzymało, słyszałem walenie w bębny i tysiące śpiewających głosów, zobaczyłem stada bizonów. Ujrzałem ogniska i pył pustyni, i śnieg, i ludzi poprzebieranych za demony. Zobaczyłem wschód i momentalnie po nim zachód słońca. Patrzyłem, jak księżyc szybko przesuwają się po nieboskłonie. Obserwowałem, jak by to było, gdyby Misquamacusowi udało się zabrać nas w przeszłość, gdy Ameryka należała do jego ludu, a Wielcy Starzy zarządzili światem.

Usłyszałem jeszcze jeden rozdzierający powietrze hałas, jakby ktoś zatrzasnął wielkie drzwi, i nagle rynek pograżył się w ciszy. Leżałem na boku, zamroczony. Po chwili poczułem dłoń na ramieniu, podniosłem głowę i zobaczyłem Amelię kucającą obok mnie. Na początku nie słyszałem nawet, o czym mówi, ale kiwała uspokajająco głową i uśmiechała się, a potem pocałowała mnie w czoło, mimo że obydwoje kleiliśmy się od zasychającej krwi.

Udało mi się usiąść. Nie było już śladu po Misquamacusie, kilka iskier jeszcze tliło się w powietrzu, lecz po chwili zgasło. Pręt z ogrodzenia leżał zgięty na trawie, wyglądał jak gigantyczna spinka do włosów.

— On odszedł — powiedziała Amelia głosem tak delikatnym, jakby była wróżką z bajki.

Wstałem z jej pomocą i podszedłem do miejsca, gdzie stał Misquamacus. Trawa była przypalona, dookoła leżały porozrzucane czaszki ptaków i z mumifikowane zwłoki szczura, ale nic więcej.

Rozejrzeliśmy się dookoła. Rynek był zawałony pozostałościami jak po jakimś zamachu terrorystycznym czy wybuchu bomby. Ludzie płakali z przejęcia. Dym i mgła zaczęły się unosić, odsłaniając gwiazdy na niebie.

Amelia pochyliła się i podniosła coś z trawnika. Dokładnie się temu przyjrzała i podała mi.

— Souvenir dla ciebie.

— Co? — Niedośłyszałem.

— Pamiątka! Chyba ci się należy!

To był srebrny medalion, który Misquamacus nosił na szyi. Przedstawiał wijące się macki najpotężniejszego z Wielkich Starych. Kusilo mnie, żeby wyrzucić go jak najdalej, ale wtedy pomyślałem: Nie, zatrzymam to dla Śpiewającej Skały, będzie miał pamiątkę. Należy mu się o wiele bardziej niż mnie.



Nieopodal, wśród krwawych resztek, znaleźliśmy Tyle-
ra leżącego na boku obok kawasaki. Jego ramiona i nogi były powykręcane pod dziwacznymi kątami. Miał otwarte oczy i jego twarz wyglądała bardzo spokojnie, co nas zaskoczyło.

Tina przyklękła przy nim.

— Nie żyje. Chyba ma skręcony kark.

— Ten facet był prawdziwym bohaterem — odezwał się Remo.

Odwrociłem się. Powoli na rynek zaczęli się schodzić ludzie, którzy wcześniej siedzieli w kawiarni. Spoglądali na gwiazdy, lecz wielu z nich nadal było ślepych, więc trzymali się swoich przyjaciół i rozpytywali, co się stało.

— Tak — odpowiedziałem. — Był bohaterem. Tak samo jak każdy, kto dzisiaj był tu z nami.

Staliśmy wokół ciała Tylera, gdy na rynek od południa nadjechał czarny cadillac escalade z mrugającymi czerwonymi i niebieskimi światłami. Za nim jechały jeszcze dwa cadillaki. Kawalkada zatrzymała się tuż przy kawiarni. Natychmiast otworzyły się drzwi i z samochodów wyskoczyło przynajmniej ośmiu facetów w ciemnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Utworzyli koło wokół samochodów i jeden z nich krzyknął:

— Czysto!

Podszedłem do niego i zapytałem:

— Co się dzieje?

— Proszę się odsunąć — odpowiedział, ale to „proszę” nie brzmiało jak uprzejma prośba.

Wtedy otworzyły się drzwi drugiego cadillaca i wysiadł z niego prezydent David Perry. Odsunąłem się na bok, jak mi przykazano. Nie głosowałem na Davida Perry'ego, ale prezydent to prezydent.

Podszedł do nas, a za nim kroczyli agenci Secret Service. Miał na sobie czarną marynarkę i nie nosił kapelusza.

— Jezu. Co się panu stało? Jest pan cały pokryty krwią. Jest pan ranny?

— Nie, panie prezydencie. Mieliśmy tu małą potyczkę, i tyle. Powinien pan zobaczyć tego drugiego gościa.

Prezydent w skupieniu rozejrzał się po rynku Memory Valley, potem spojrzął na Aspen Cafe z wybitymi szybami i na dymiące resztki Zabójców Oczu leżące na chodniku przed kawiarnią. Na koniec zadarł głowę i spojrzął na gwiazdy.

— Nigdy jeszcze nie widziałem takiej burzy. Zatrzymali mnie w San Francisco i nie pozwolili tu przylecieć od razu właśnie ze względu na pogodę. Co za dzień.

— Nazywam się Erskine, Harry Erskine. A to pani Amelia Carlsson.

Prezydent wyciągnął dłoń na przywitanie. Pokazałem mu swoją, całą pokrytą wysychającą krwią.

— Nie jestem przeczulony, panie Erskine — powiedział i potrząsnął naszymi dłońmi. — Co tu się tak naprawdę stało?

— Nie przyjechał pan tu zupełnie przypadkiem, prawda, panie prezydencie? — zapytałem.

— Nie, panie Erskine. Ostrzeżono mnie, że zdarzy się tu jakaś straszna katastrofa.

— Prawie tak się stało. Ale już można odetchnąć z ulgą. Znaleźliśmy sposób, by ją powstrzymać.

Prezydent zaczął iść w stronę dopalających się trumien tworzących kiedyś Zabójców Oczu. Poszedłem za nim. Zatrzymał się i nie odwracając się w moją stronę, zapytał:

— Czy imię Misquamacus coś panu mówi, panie Erskine?

— Tak, panie prezydencie.

Zrozumiałem wtedy, że David Perry miał już względne pojęcie o tym, co wydarzyło się w Memory Valley tego wieczoru. Nie znał oczywiście żadnych szczegółów. Nie wiedział nic o Olbrzymie Grzmotu ani o poświęceniu Tylera Jonesa, ani o pojawieniu się duchów armii generała Lawrence'a. Ale skoro znał imię Misquamacusa, Tego, Który Odszedł I Powrócił, to na pewno podejrzewał, jak wielka bitwa tu się rozegrała.

— Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pogadać? — zapytał prezydent. — Mógłby pan mi co nieco opowiedzieć o tym, co tu się stało.

— Oczywiście. Pani Carlsson i ja zatrzymaliśmy się w pensjonacie przy tamtej ulicy. Ale mamy jeszcze coś do zrobienia. Straciliśmy dziś jednego starego przyjaciela i jednego nowego.

Prezydent odwrócił się do ludzi z Aspen Cafe, którzy zebrali się wokół nas zadziwieni i pełni szacunku.

— Cokolwiek dziś zrobiliście, wasz kraj dziękuje wam za to. — Prezydent podszedł do Mickeya i wyciągnął rękę. Mickey się zawahał. Swoją prawą dłonią trzymał lewą dłoń Cayley. Bał się, że jak ją puści, znowu straci wzrok.

— Panie prezydencie — *zacząłem*, ale Mickey zaryzykował, uwolnił się z dłoni Cayley i na ślepo wyciągnął rękę. Prezydent chwycił jego dłoń i potrząsnął.

— Jak się nazywasz, synu?

Mickey popatrzył na niego zaskoczony.

— Ja widzę! — wykrzyknął.

— Słucham?

— Nie trzymam dłoni Cayley, ale widzę!

— Byłeś oślepiiony? — zapytał prezydent.

— Ja byłem ślepy i moi przyjaciele. Odkryliśmy, że jeśli trzymamy się za ręce, to odzyskujemy wzrok, ale kiedy ścisnąłem pana dłoń... — Mickey złapał się za twarz. — Ja widzę!

— Czy jest tu jeszcze ktoś, kto oślepił? — zapytał prezydent. — Proszę do mnie podejść.

Z tłumu wystąpił siwy mężczyzna w koszuli w kratę prowadzony przez wnuka. Prezydent ujął jego dłoń i ścisnął. Niemal natychmiast mężczyzna mruknął, rozejrzał się i krzyknął:

— Widzę! Wszystko widzę!

— Nie mam pojęcia, jak to działa, ale ja też byłem ślepy, jednak nigdy tego nie podaliśmy do wiadomości.

— Ale teraz pan widzi — rzekła Amelia. — Jak odzyskał pan wzrok?

— Misquamacus nie chciał, żeby ominął mnie widok upadku naszej cywilizacji i powrotu do czasów polowań na bizona i strzelania z łuku. Był jak morderca, który zabija całą rodzinę na oczach ojca.

— On przypuszczalnie użył bardzo prostego zaklęcia, by przywrócić panu wzrok. Białe czarownice wykorzystywały to samo zaklęcie w Rumunii, gdy wioskę dotknęło zapalenie oka albo jaglica. Czarownica najpierw przywracała wzrok najstarszemu mieszkańcowi wioski, a potem ten mieszkaniec przekazywał lekarstwo każdemu cierpiącemu na ślepotę przez klaśnięcie dłońmi albo pocałowanie chorego. Tak naprawdę nie jest to nawet żadne zaklęcie, w ścisłym znaczeniu tego słowa. To bardziej jak przyłożenie rąk, rytuał popularny wśród prawie wszystkich wróżów i szamanów.

— Widzę, że zna się pani na czarach, pani Carlsson.

— Jest najlepsza — dodałem. — Jeśli ktoś zasługuje na medal za to, co tutaj się dzisiaj wydarzyło, to na pewno Tyler i Amelia.

— No dobrze, ale co z tym leczeniem? Czy będę teraz musiał jeździć po całym kraju i ścisnąć dłonie wszystkim niewidomym? Przecież są ich setki tysięcy!

— Lekarstwo przenosi się od jednej osoby do drugiej — wyjaśniła Amelia, kręcąc głową. — Wystarczy, jak pan ogłosi, żeby każdy ślepy uścisnął dłoń innej ślepej osoby.

— Więc możemy się sami z tego wyleczyć? — zapytał prezydent, chcąc się upewnić.

— Tak, panie prezydencie. Możemy się sami wyleczyć.

Rozdział 27

Przez prawie całą resztę nocy opowiadaliśmy prezydentowi Perry'emu o Misquamacusie i jego powtarzanych próbach zgładzenia najeźdźców, którzy odebrali ziemię Indianom i zniszczyli ich kulturę. Tuż przed świtem prezydent wstał, ucisnął nasze dłonie i powiedział:

— Dziękuję wam za wszystko. Cały kraj ma u was wielki dług. Wiele czasu i pieniędzy będzie kosztował nas powrót do normalności, ale na pewno nam się uda. I wtedy porozmawiam sobie z pewnymi Rosjanami.

Gdy prezydencka kawalkada odjeżdżała, znowu się rozpadało. Niebiesko-czerwone światła kogutów odbijały się na mokrym asfalcie.

Amelia i ja siedzieliśmy przy kuchennym stole z panią Belindą Froggatt i jedliśmy śniadanie złożone z wędzonej szynki i jabłek prosto z jej sadu. Po śniadaniu wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy, opierając się o furtkę prowadzącą do sadu. Przestało padać, a krople wody błyszcząły na źdźbłach trawy i liściach drzew, odbijając poranne słońce.

— Wracasz do Miami, do swoich damulek? — zapytała Amelia.

— Nie wiem. To zależy.

— Od czego? Sądziłam, że ci się tam podoba. Byłeś jak Don Johnson z talią kart tarota i kieszenią wypchaną magicznymi hasłami.

— To zależy od pani, pani Carlsson.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli to, czy nadal chcesz być panią Carlsson, czy chcesz może sprawdzić, co fortuna by ci przyniosła, gdybyś była ze mną?

Amelia oparła głowę na moim ramieniu.

— Czasem jest tak, Harry, że gdy człowiek dokona w życiu jakiegoś wyboru, musi się go trzymać. Gdzie my byśmy byli, gdybyśmy nie przestrzegali tej zasady?

— Może w hotelu Delano w Miami Beach pociągalibyśmy ze słomek Nagayama Sunset?

Uśmiechnęła się nostalgicznie i pocałowała mnie w policzek.

— Chodź. Wracajmy do cywilizacji.